

Crosland Susan

Zapach władzy

Daisy Brewster, młoda piękna Amerykanka, przyjeżdża do Londynu na roczne stypendium. Ale że w życiu niczego przewidzieć nie można, po roku nie wraca do kraju do ukochanego, za którego miała wyjść za mąż, lecz pozostaje w Anglii, by tu rozpocząć karierę dziennikarską i poślubić obiecującego członka Parlamentu.

Mijają lata, Daisy z naiwnej Slicznej panienci przeobraża się w równie piękną, ale jakże już nie naiwną kobietę - poznała świat politycznych intryg, szantażu, seksu wykorzystywanego dla zdobycia władzy - i kiedy jej niedoszły kochanek, urażony w swej męskiej dumie, postanawia się zemścić niszcząc karierę jej męża, Daisy wie, jak walczyć.

I
DAISY LONDYNIE

Daisy wybuchnęła płaczem, co jeszcze bardziej ją rozzłościło, gdy on zwyczajnie sobie leżał, uśmiechnięty, tolerancyjny, jakby był półbogiem, a ona uczennicą, której wkrótce minie napad złego humoru. Jeszcze bardziej wściekał ją fakt, że zgadzała się z oceną Carla Myera jego własnej osoby: był najbardziej fascynującym człowiekiem, jakiego spotkała w ciągu dwudziestu trzech lat swego życia.

- Wróć na chwilę na łóżka, Daisy.

- Nie chcę wracać do łóżka. - Udało jej się nie tupnąć stopą, którą właśnie wsunęła w pantofel. — Myślisz, że zawsze, kiedy mam zmartwienie, wystarczy, żebyś się popisał swoim łóżkowym talentem. Sprzeczka wybuchła, gdy Daisy kończyła się ubierać.

Podniosła z podłogi pasek, odwróciła się do Carla plecami, stając przed lustrem nad jego biurkiem. Ponieważ z taką furią szarpnęła za pasek, zapięła go o jedną dziurkę za ciasno. W lustrze widziała nagiego mężczyznę, leżącego wygodnie na łóżku i przyglądającego się jej z rozbawieniem. Musiała zostawić pasek zapięty zbyt ciasno - gdyby zaczęła go poprawiać, poznałby, że to jej złość spowodowała złe zapięcie tego głupiego paska. Zawsze znał przyczynę i skutek wszystkiego, w cholerę z nim.

Odwróciła się do mężczyzny.

- Chodzi mi o twoją arogancję, Carl. Wiesz, że jesteś błyskotliwym intelektualistą nowej prawicy. Wiesz, że zajmiesz jedną z kluczowych pozycji w Waszyngtonie. Wiesz,

że jesteś artystą w łóżku. Nikt ci o tym nie musi mówić. Czasami czuję, że jestem tylko lalką. Wyrzała przez okno sypialni: późnopołudniowe niebo nagle pociemniało. Zanosiło się na deszcz. W porządku, lubiła prowadzić w deszczu. Mogła wrócić na Manhattan w godzinę i piętnaście minut. Podeszła do okna i spojrzała ponad dziedzińcem na przeciwny dom w neogotyckim stylu: pozapalano już światła, ostrołukowe okna lśniły jasno w porośniętym bluszczem kamieniu. Pomimo chwilowego złego nastroju lubiła Princeton. Znowu odwróciła się do łóżka. Carl podparł się na łokciu i sięgnął po papierosa z otwartej paczki na nocnym stoliku. Daisy widziała czarne loki opadające mu nisko na kark. Uwielbiała jego włosy, kontrastujące z bladą cerą. Uwielbiała początki łysiny między gęstymi lokami: przynajmniej tu nie był doskonały. Zapalił papierosa, potem przesunął ciężar ciała z łokcia i znowu oparł się wygodnie na poduszkach ułożonych na wytartym wezglowiu. Wierzchnie prześcieradła i koce wciąż leżały zwinięte w nogach łóżka. Carl lubił, gdy przenikliwy chłód listopadowy zostawał na dworze, tam gdzie było jego miejsce: temperatura w sypialni rzadko wynosiła mniej niż dwadzieścia jeden stopni. Leżał z podciągniętymi nogami, z prawą dłonią trzymającą papierosa zwieszoną obok łóżka. Nagość jego jasnego, szczupłego ciała nie wprawiała go w najmniejsze zakłopotanie. Daisy nagle przypomniała sobie, że się gniewa.

— To wolny kraj — powiedział, a iskiereki zamigotały w piwnych oczach. - Możesz się złościć tak długo, jak ci się podoba. Ale kiedy już będziesz mogła o tym porozmawiać, to może wyjaśnisz mi łaskawie, dlaczego według ciebie traktuję cię jak lalkę. Chętnie bym się na przykład dowiedział, jak sądzisz, dlaczego chciałbym się ożenić z lalką?

Daisy milczała. Stała plecami do okna. Carl palił.

— Może lalka to niewłaściwe słowo — powiedziała. — Może pupilka nauczyciela bardziej by pasowało.

Poznała go, kiedy była na pierwszym roku w Radcliffe.

W wieku trzydziestu czterech lat był już dobrze znany jako przebojowy profesor nauk międzynarodowych na uniwersytecie w Princeton. Każdy, kto interesował się polityką i przyjeżdżał do Princeton z zagranicy, chciał usłyszeć przynajmniej jeden z wykładów Carla Myera, słynącego ze złośliwego wdzięku, z jakim przedstawiał swe radykalne koncepcje.

— Kochałam sposób, w jaki wychodziłeś do ludzi, do mnie, rzucając wyzwanie i drocząc się jednocześnie. Stale się zmieniałeś, uczyłeś moje ciało odczuwać coś, czego nigdy przedtem nie czuło, otwierałeś mój umysł na nowe idee, sposoby myślenia, jakich wcześniej nie znałam. Uwielbiałam być pupilką nauczyciela. Ale nie jestem pewna, czy chcę za ciebie wyjść, już teraz. Dopiero skończyłam studia. Chcę spróbować szczęścia jako rzeźbiarka.

Usiadła na skórzanym fotelu pod oknem, ignorując ubrania Carla, leżące częściowo na fotelu, a częściowo obok, gdzie rzucił je czterdzieści minut wcześniej.

— Mówiłem ci, Daisy, że nadal mogłabyś rzeźbić. Myślę, że dopóki jestem w Princeton, sensowniej by było, gdybyś miała pracownię tutaj, a nie w Nowym Jorku. Ale to drobiazg. W tej chwili ojciec daje ci pieniądze. Gdybyś wyszła za mnie, to ja wspierałbym twoją karierę do czasu, kiedy praca zacznie ci przynosić zyski. Nie proponuję ci, żebyś się zmieniła w kurę domową.

Spojrzała na guzik spinający skórę na fotelu, który kręciła w palcach. Jeden z kasztanowych loków sięgających ramion opadł jej na policzek. Uniosła dłoń, żeby go odgarnąć. Carl znajdował radość w obserwowaniu wszystkich ruchów Daisy: miała w sobie pełno wdzięku. Spojrzała na niego szarymi, poważnymi oczami. Jej zły nastrój minął.

— Posłuchaj, Daisy — powiedział. — Za dwa lata będą wybory. Jeśli Ford zostanie ponownie wybrany, Kissinger nadal będzie kierował międzynarodowym cyrkiem. Wszyscy wiedzą, że moja praca na temat obronności zamieszczona w „Commentary” wywarła na nim wrażenie. To prawda, że z tego powodu mógłby w Waszyngtonie widzieć we mnie zagrożenie. Aleja twierdzę, że człowiek tak pewny siebie jak

Kissinger podejmie to ryzyko i zechce mnie wykorzystać w dziedzinie kontroli uzbrojenia. Gdyby tak się stało, wziąłbym z Princeton urlop na czas nieokreślony i przeniósłbym się do Waszyngtonu. Kto wie, czym mogłoby się to skończyć? Amerykańscy ministrowie nie muszą być wybierani. Kissingera nigdy nie wybrano na żadne stanowisko. A intelekt nie występuje w Waszyngtonie w nadmiarze. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

— Waszyngton by ci się spodobał, Daisy. Dzieje się tam wiele spraw. Mogłabyś jednocześnie być moją żoną i kontynuować karierę rzeźbiarki. Pomyśl o wszystkich politykach, którzy zechcieliby, żeby Daisy Brewster odlała ich podobizny z brązu. Wszystko byłoby w twoich rękach. W Waszyngtonie byłabyś w swoim żywiole. Twoi rodzice musieliby zaakceptować tę sytuację.

Daisy znowu spuściła wzrok. Nigdy nie potrafiła ostatecznie rozstrzygnąć, czy wrogość jej rodziców wobec Carla czyniła go w jej oczach bardziej pociągającym. Tak czy inaczej nie był to odpowiedni moment na rozmyślanie

o obiekcjach rodziców, w tej chwili nie miały znaczenia. Ponownie podniosła wzrok.

— Wiesz o tyle więcej niż ja — powiedziała. — Zawsze tak będzie i to mi się właściwie podoba. Ale gdybym wyszła za ciebie teraz, czułabym się tak, jakbym została przez ciebie staranowana. Nigdy nie zaznałam prawdziwej niezależności. Okres w Radchffe pod tym względem się nie liczy. W Nowym Jorku wynajmuję mieszkanie wspólnie z innymi ludźmi i stale wracam do Filadelfii do rodziców.

Carl, wciąż leżąc z podciągniętymi nogami, zapalił kolejnego papierosa. Uniósł prawą nogę, oparł kostkę na lewym kolanie, stale przyglądał się Daisy. Uśmiechnęła się w duchu: proszę, oto ona siedzi w kremowej jedwabnej bluzce i miękkim tweedowym kostiumie, a Carl leży nago i wspólnie rozmawiają o przyszłości.

— Kiedy ostatnio byłam w domu, tata i mama spytali, czy rozważałam możliwość studiowania rzeźby przez kilka semestrów w Królewskiej Akademii Sztuki w Londynie. Pokryliby koszty.

Zapach władzy

Carl z wolna oblewał się rumieńcem.

— Na swój dystyngowany, arystokratyczny sposób tata i mama wykazują cholerną determinację, nie sądzisz?

Twarz Daisy poczerwieniała pod jasnymi piegami. Co innego, gdy sama krytykowała rodziców, ale ubodło ją wbijanie im szpil przez Carla.

— Szczerze mówiąc, mam już dosyć ciągłego pouczenia — odparła ostro. — Nie chcę, żebyś mnie pouczał. Chcę pojechać do Londynu, może na rok, znaleźć pracę i utrzymywać się samodzielnie.

— W jaki sposób masz zamiar się utrzymywać jako nieznana rzeźbiarka w Londynie? Jesteś dziecinna, Daisy.

Wstała.

— Mówisz to zawsze, kiedy chcę zrobić coś, z czym ty się nie zgadzasz. Dobrze, nie dam rady się utrzymać z rzeźbiarstwa. Wiele osób daje sobie jakoś radę, pracując u Woolwortha. W Londynie musi być jakiś Woolworth.

— Jestem pewien, że w Londynie jest wiele sklepów Woolwortha, Daisy, chociaż wątpię, czy wieje sprzedawczyń otrzymuje oprócz pensji wsparcie finansowe od tatusia.

W niskim głosie Carla zabrzmiały ostrzejsze tony.

Daisy podniosła z biurka torebkę. Nie patrząc więcej na nagiego mężczyznę, który ją fascynował, podeszła do drzwi sypialni, otworzyła je i zamknęła za sobą.

2

Przybyła do Londynu na samym początku 1976 roku. Trzy tygodnie później wyszła ze stacji metra linii Blackfriars na ostre, przejrzyste powietrze późnego stycznia. Przekonała się wkrótce, że sławna londyńska mgła i smog należały już do przeszłości. Stała na Ludgate Circus, czekając na zielone światło, a pędzące ciężarówki znikwały w dali. A może już jest spóźniona? Nie miała zegarka, a z jakiejś przyczyny, której jeszcze nie zgłębiła, w tym kraju nie było zegarów na frontonach domów. W centrum Filadelfii nie sposób było przejść pięćdziesięciu metrów, nie napotykając zegara. To było chyba najdłuższe czerwone światło w historii.

Chłód potęgował stukot jej szpilek, kiedy przechodziła przez jezdnię ku początkowi ulicy Fleet. Szybkim ruchem języka zwilżyła dolną wargę i momentalnie przypomniała sobie, że przede wszystkim nie powinna sprawiać wrażenia zdenerwowanej. Angielka, u której się zatrzymała, narysowała jej plan, więc Daisy wiedziała, że budynek „Ramparta” znajdował się zaledwie kilka bloków dalej. I oto wznosił się nad nią, z nazwą wypisaną wzdłuż całej frontowej ściany. Istnieje opinia, że jeśli uda się komuś ukryć własny niepokój, wpływa to również na innych, a także dodaje pewności siebie. Miejmy nadzieję, że to prawda, pomyślała, stając na szerokim frontowym stopniu. Sprawdziła uczesanie w kieszonkowym lusterku, gdy za jej plecami pluton autobusów linii jedenaście potoczył się w kierunku katedry św. Pawła. Spojrzała na kopułę katedry, wznoszącą się na tle koba-

towego nieba ponad Ludgate Circus. Potem wkroczyła w jaskiniowe portale słynnej gazety niedzielnej, która była lekturą obowiązkową niemal całego brytyjskiego establishmentu.

Umundurowany recepcjonista za biurkiem przypatrywał się nadchodzącej Daisy z kamienną twarzą. Po sposobie, w jaki spojrziała na sufit na wysokości pierwszego piętra, poznał, że była tu po raz pierwszy. Mogła być gońcem lub córką dyrektora. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo.

— Nazywam się Daisy Brewster. Jestem umówiona z redaktorem na jedenastą. — Dzięki Bogu, na ścianie za plecami recepcjonisty wisiał zegar. Zobaczyła, że była minuta przed jedenastą. Potem długa wskazówka zamknęła pełną godzinę.

Recepcjonista szperał w dużym spisie telefonów złożonym z luźnych kartek.

— Według tego zegara za panem, jest już po jedenastej. Czy mógłby się pan połączyć z gabinetem pana Franwella, żeby przynajmniej wiedzieli, że przyszedłam? — spytała grzecznie Daisy. Ten idiota nie musiał chyba przewracać tych wszystkich kartek, żeby znać numer redaktora! Może jednak lepiej prosić niż żądać, bo mógłby szukać jeszcze wolniej.

— Może pani powtórzyć nazwisko?

— Brewster. Daisy Brewster. Jestem umówiona na jedenastą.

Recepcjonista przekazał tę informację przez telefon, po czym wskazał na podwójny rząd wind ze lśniącymi mosiężnymi drzwiami.

— Ostatnie piętro. Ktoś wyjdzie po panią.

Mimo że młody człowiek o ziemistej twarzy, jadący z nią windą, uporczywie się jej przyglądał, skoncentrowała się na lustrze, pospiesznie poprawiając dwa loki, by opadały na policzek pod różnymi kątami. Młodzieniec wysiadł na trzecim piętrze. Jeśli był reporterem, to zapewne nie należał do tych ważniejszych.

— Daisy Brewster? Jestem Rachel Fisher, Osobista Asystentka Redaktora. — Głos Rachel był jednocześnie precyzyjny i miły. Zawsze udawało się jej wymówić swój

Susan Crosland

tytuł dużymi literami. — Możesz poczekać w moim biurze, zanim redaktor będzie mógł cię przyjąć. Korytarz kończył się przestronnym pomieszczeniem, gdzie dostrzegła biurka i ludzi, ale zanim tam doszły, Rachel otworzyła drzwi z matowego szkła po prawej, z czarnym napisem „Prywatne”. Znalazły się w oddzielnym gabinecie, gdzie Daisy ujrzała zamknięte drzwi, wyglądające na hebanowe, z napisem „Prywatne”, tym razem złotymi literami.

— Usiądź, proszę. Może zdejmiesz płaszcz? — Grzeczna i władcza jednocześnie, Rachel skinęła na beżową skórzaną sofę. Sama usiadła na stojącym przy dębowym biurku fotelu obrotowym z beżowej skóry i skupiła się na dokumencie leżącym obok maszyny do pisania.

W koszach w kącie stały trzy duże rośliny różnych gatunków. Brak jakiegokolwiek krzątania sprawiały że obecność kobiety za biurkiem była jeszcze bardziej dor^inu-jąca. Daisy położyła płaszcz obok siebie na sofie. Nie podobał jej się sposób, w jaki Rachel Fisher narzucała Daisy swoją wolę. Wolałaby, żeby jej serce łomotało trochę ciszej.

Na biurku Rachel zabrzączał dzwonek. Niespiesznie podniosła słuchawkę jednego z telefonów.

— Tak?... Zawiadomię redaktora, że chce się pan z nim spotkać. Czy będzie pan u siebie po lunchu?

— Odłożyła słuchawkę, nie mówiąc nic więcej.

Zabrzączał inny dzwonek. Rachel podniosła słuchawkę czerwonego telefonu.

— Tak, jest tutaj. — Odłożywszy słuchawkę, wstała i łaskawie wskazała na hebanowe drzwi.

— Redaktor może cię przyjąć.

Daisy zarzuciła płaszcz na ramię: pasował do jej spódnicy. Rachel otworzyła hebanowe drzwi, wpuściła Daisy, po czym wycofała się i zamknęła drzwi.

Po przeciwnej stronie pokoju stało olbrzymie biurko. Za nim, na ścianie, wisiał stalowy kwadrat dwa i pół na dwa i pół metra. Na kwadracie widniała wygrawerowana w czymś, co wyglądało na złoto (w rzeczywistości w mosią-

Zapach władzy

dzu, powiększona mapa Wielkiej Brytanii, a wokół niej, w znacznie mniejszej skali, wygrawerowano w miedzi resztę świata. Na podłodze leżał gruby, czarny dywan z Wilton. Meble były czarne, z wyjątkiem mahoniowego biurka. Mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł wzrok. Uśmiechnął się. Wstał i obszedł biurko, żeby uścisnąć rękę Daisy. Był średniego wzrostu, zaledwie kilka centymetrów wyższy od niej, zwalisty. Miał kasztanowe włosy i mięsistą twarz. Uwagę Daisy momentalnie przykuł intensywny błękit oczu. Jego marynarka wisiała na oparciu krzesła, z którego właśnie wstał.

Kamizelka z wielbłądziej wełny była rozpięta, rękawy koszuli podwiniete, krawat rozluźniony. W wieku trzydziestu trzech lat był najmłodszym redaktorem na ulicy Fleet. Daisy poczuła, że mężczyzna ją zarówno pociąga jak i onieśmiela. Ben Franwell często wywierał na ludziach takie wrażenie.

— Proszę usiąść, panno Brewster — powiedział, wskazując na wielką kanapę z czarnej skóry, stojącą pod ścianą ze szlifowanego szkła. W roku 1976 w biurach kilku osób zajmujących najwyższe stanowiska można było zobaczyć klasyczne krzesło Charlesa Eamesa wraz z otomaną. Ojciec Daisy miał takie krzesło w swoim banku. Ale tu po raz pierwszy zobaczyła dwa krzesła Eamesa w jednym pokoju. Ujrzała, że Ben Franwell trzyma w ręku list, który do niego napisała. Znała go na pamięć: w domu w Chelsea, gdzie zatrzymała się u gościnnych angielskich przyjaciół rodziny, pięć razy przepisywała go na maszynie, zanim uznała, że jest poprawny.

— Dlaczego pani napisała, że poznaliśmy się na przyjęciu BBC?

Ben Franwell nie marnował czasu na wstępy. Gdyby Daisy potrafiła odróżniać angielskie dialekty, w brzmieniu samogłosek rozpoznałaby akcent z Yorkshire.

— Ponieważ dziewczyna, u której się zatrzymałam, pracuje dla BBC i zabrała mnie na takie przyjęcie. Kiedy powiedziałam jej, że staram się o pracę w „Ramparcie”, poradziła mi, żebym napisała bezpośrednio do pana, gdyż był pan na tym przyjęciu.

— Od lat nie chodziłem na bankiety BBC — oświadczył Ben Franwell. - Nie trawię tych nadętych mądrali. Daisy oblała się rumieńcem. Nic dziwnego, że nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej widziała tego człowieka. O Boże!

— Kiedy tylko weszłam do tego gabinetu, zrozumiałam, że moja przyjaciółka się pomyliła.

— Przynajmniej postąpiła pani słusznie, wierząc, że jeśli na czymś pani zależy, powinna się pani udać na sam szczyt. A więc dotarła tu pani. I na czym pani zależy?

— Przeniosłam się do Londynu. Podziwiam pańską gazetę. Chciałam zapytać, czy znalazłby pan dla mnie pracę. Potrafiła zachowywać się grzecznie, nie tracąc przy tym pewności siebie, chociaż widząc wpatrzone w nią niebieskie oczy Franwella, który ciągle się uśmiechał, była w stanie zachować pewność siebie wyłącznie na pozór.

— Jakie ma pani doświadczenie, panno Brewster?

— JeszczeVpodczas studiów w Radcliffe College zaczęłam współpracować z „Ladies Home Journal”. Od tamtej pory pracowałam jako wolny strzelec dla amerykańskiej edycji „Vogue” i „Philadelphia Enquirer”. Robiłam to przez kilka lat — dodała.

Kłopot z Daisy polegał na tym, że ponieważ nie lubiła kłamać, robiąc to, dodawała zbędne szczegóły, które najczęściej kładły cały występ.

— Sądząc po wyglądzie, nie może mieć pani więcej niż dwadzieścia pięć lat.

— To dlatego, że wiodłam takie cnotliwe życie. Franwell roześmiał się. Podobały mu się kasztanowe loki podskakujące jej na ramionach, jasne, szare oczy, nawet piegi. Była bardzo ładną dziewczyną.

— Gdzie pani mieszka?

— Mieszkałam w Filadelfii. Teraz szukam tu własnego mieszkania.

— Dlaczego?

— Chcę pracować w Londynie. Myślę, że Amerykanka mogłaby pisać z nieco innego punktu widzenia. Miałam nadzieję, że może się to przydać pańskiej gazecie.

— Należy pani do związku?

— Nie. Nie miałam na to czasu.

— Jest pani mężatką?

— Nie.

— A chce pani?

— Nie ma pośpiechu.

Zastanawiała się, czemu się uśmiecha. Zbijało ją to z tropu.

— Orientuje się pani, że w tych czasach większość gazet na ulicy Fleet jest tak tyranizowana przez związki, że nikt nie ośmiela się zatrudniać reporterów, którzy nie odrobili pańszczyzny na prowincji. Jestem jednym z nielicznych, którzy pozostali niezależni. Czy dlatego zwróciła się pani do mnie?

— Powiedziano mi, że w „Ramparcie” wszystko zależy od pana decyzji. — Dopiero teraz zaczęła pojmować, co miała na myśli jej przyjaciółka z BBC, mówiąc, że w „Ramparcie” nie trzeba się liczyć ze związkami.

— Za miesiąc spodziewam się wolnego miejsca na stronach z artykułami wiodącymi. Zostaw Rachel Fisher numer telefonu, pod którym można cię zastać. Wydam polecenie, by szef działu jutro do ciebie zadzwonił. Zleci ci napisanie czegoś. Jeśli się nam spodoba, skontaktujemy się z tobą znowu. Do tego czasu nie ma sensu rozważać sposobu na ominięcie faktu, że nie należysz do związku. Wiesz o tym, że jeśli piszesz dla „Ramparta”, to nie możesz publikować nigdzie indziej?

— Nie, nie wiedziałam — odparła Daisy. — Będę musiała to przemyśleć. — Pod wpływem instynktu zablefowała zuchwale: — Wolałabym nie rezygnować z innej pracy, póki „Rampart” nie będzie w stanie zapłacić mi przyzwoitej pensji. Ale sądzę, że przede wszystkim musi pan zdecydować, czy podoba się panu to, co piszę.

Franwell wstał i uścisnął dłoń Daisy.

— Oczekuję, że jutro przyśle mi pani wycinki ze swymi artykułami z — co to było?, a tak — „Ladies Home Journal” „Vogue” i „Philadelphia Enquirer”. Proszę nie przysyłać wiele — wystarczy po jednym czy dwa z każdej gazety.

17

— Och, panie Franwell. — Jej twarz była tak gorąca, że miała pewność, że musi być purpurowa. — Nie mogę.

— Dlaczego? — spytał z uśmiechem.

Przyznać się czy próbować wybrnąć? Wybrała drugie wyjście.

— Nie przywiozłam ich ze sobą. Mam je w domu. W Filadelfii - dodała, jak gdyby Kolebka Niepodległości była miejscem równie niedostępnym co stepy Syberii.

— Wobec tego proszę napisać do kogoś z prośbą, żeby je pani przysłał — poradził, bawiąc się świetnie. Odwrócił się i odszedł do biurka. Daisy wyszła z gabinetu.

Rachel Fisher przez chwilę nie podnosiła wzroku. Daisy musiała zaczekać.

W końcu Rachel spytała:

— Czy mogłabym w czymś pomóc?

— Pan Franwell poprosił mnie, żebym podała ci mój numer telefonu.

Rachel wręczyła jej mały liniowany bloczek.

— Wpisz tu, proszę, swój numer i nazwisko. Daisy spełniła polecenie.

— Pozwól, że odprowadzę cię do wyjścia — powiedziała wstając Rachel. Tę grzecznościową formułkę wypowiedziała tonem wyższości. Kiedy wyszły na korytarz, Daisy spojrzała w stronę dużego pomieszczenia z biurkami i ludźmi. Odczuła ulgę, że Rachel nie weszła z nią do windy. Po wejściu do wysokiego hallu ujrzała, że jedyny zegar za plecami recepcjonisty wskazywał jedenastą trzydzieści. Dopiero kiedy wyszła z budynku, jej serce gwałtownie podskoczyło. Miała to za sobą.

Miała wrażenie, że się spodobała Benowi Franwellowi. Ale co, na Boga, miała począć z nie istniejącymi wycinkami z prasy? Jakie znaczenie będzie miał fakt, że ich nigdy nie dostarczy?

Rozejrzała się po ulicy Fleet, po dużych fasadach imperiów prasowych sąsiadujących z pubami i ślicznymi kafejkami. Załóżmy, że dostanie tę pracę. Czy Carl będzie z niej dumny?

Szpilki Daisy stukały wesoło, kiedy szła w stronę Ludgate

Circus. Zamiast wrócić do metra linii Blackfriars i do Chelsea, ruszyła w kierunku katedry św. Pawła. Każdy Amerykanin chce zobaczyć katedrę.

Wdwróciwszy się plecami do Daisy, Ben Franwell hie myślał o niej nawet przez minutę. Ani trochę nie wierzył w historię o Filadelfii i Radcliffe, ale dziewczyna miała dostateczną klasę. Był jednak pewien na dziewięćdziesiąt procent, że nigdy w życiu nie pisała do gazet — czuł to w kościach. Podobała mu się jej pewność siebie: mogła jej pomóc w forsowaniu niejednych drzwi. Nie miał zamiaru zaprzętać sobie głowy sprawdzaniem jej referencji: jeśli potrafiła wykonywać pracę, nic więcej go nie obchodziło.

Mógł też ominąć fakt, że nie należała do związku. Gardził związkami zawodowymi i ich bandyckimi próbami pouczenia go, jak ma zarządzać najpopularniejszą w kraju gazetą niedzielną. Oni i te ich cholerne reguły! Mogli wodzić za nos mięczaków, ale on będzie zatrudniał każdego, kto mu się spodoba, kiedy mu się spodobał tak długo, aż mu się będzie podobać. Pieprzyć ich.

3

To do ciebie, Daisy. Może odbierzesz w salonie?

Przez cały dzień nie ruszała się z domu przy Cadogan Square, na wypadek, gdyby zadzwonili z „Ramparta”. Pobiegła do salonu i chwyciła telefon, który z jakiejś przyczyny stał na fortepianie obok oprawionej w srebrną ramkę, podpisanej fotografii królowej z jej walijskimi psami.

— Mówi James Allen. Jestem szefem działu artykułów wiodących w „Ramparcie”. Rozumiem, że wczoraj spotkała się pani z redaktorem. Zauważyła pani może, że ostatnio wiele uwagi poświęca się prostytutkom. Myślimy o zamieszczeniu artykułu na ten temat za tydzień od tej niedzieli. Czy zechciałaby pani napisać dla nas tysiąc pięćset słów? Chciałbym zobaczyć pani artykuł przed końcem tego tygodnia.

Daisy odwróciła wzrok od królowej, żeby się nie rozpraszać.

— Jaki punkt widzenia mieliście na myśli?

— Pozostawiamy to pani decyzji, pod warunkiem, że artykuł będzie lekki, ale dosadny. I proszę się zbytnio nie zapędzać: niezależnie od pani prywatnych opinii w tej materii, wierność małżeńska nie podlega dyskusji. A tak przy okazji, kiedy mówię o prostytutkach, mam na myśli kobiety pracujące na ulicy i tym podobne. Jeśli uważa pani, że awanturnica wykorzystująca bogatych facetów też jest prostytutką, proszę tego nadmiernie nie podkreślać. I radzę dać sobie spokój, jeśli znajdzie pani prostytutkę zadowoloną ze swej pracy. Jesteśmy gazetą rodzinną.

Daisy spojrzała na zegar w kształcie powozu, spokojnie tykający na kominku. Była dopiero piętnasta trzydzieści. Miała wrażenie, że redaktor sepleni. Może miał wadę wymowy?

- Czy chce pan, żebym przeprowadziła wywiad z prostytutką?

- Zrobiłbym to, będąc na pani miejscu. Właściwie jak inaczej mogłaby się pani za to zabrać? Myślę, że mogłaby się pani zwrócić do kogoś, kto korzystał z usług prostytutki. Szczęśliwy człowiek: żadnych powikłań. Możemy pani zaproponować sto pięćdziesiąt funtów, jeśli przyjmie artykuł, a osiemdziesiąt, jeśli będziemy musieli go odrzucić. - Do końca tygodnia nie zostało zbyt wiele czasu. Jest już środa. - Jeśli złoży pani artykuł na samym początku przyszłego tygodnia, to w porządku.

Tysiąc pięćset słów. Na moim biurku we wtorek rano. - Powiedział pan wtorek?

- Jesteśmy gazetą niedzielną. Nie pracujemy w poniedziałki.

- Oczywiście - odparła Daisy: - Przepraszam bardzo, ale czy mógłby pan przeliterować swoje nazwisko?

- James. J-A-M-E-S. Allen. A-L-L-E-N. - Tu rozległ się dźwięk przypominający chichot. To niefortunne, że jego nazwisko nie było bardziej skomplikowane. Ale jak inaczej miała się dowiedzieć? Na początku rozmowy usłyszała tylko „szef działu artykułów wiodących”.

- Czy chciałaby pani się jeszcze czegoś dowiedzieć?

- Nie, nie sądzę. Artykuł będzie na pańskim biurku we wtorek rano.

- Dobrze. Do widzenia.

- Do widzenia.

- Możesz to wymyślić - poradziła jej tego wieczoru przyjaciółka pracująca dla BBC. - Nie mogłabyś tego zrobić w BBC, ale wszyscy wiedzą, że artykuły wiodące w „Ramparcie” są w połowie wysane z palca, chociaż pod względem wiadomości są dokładni. Nie piszesz żarliwej analizy upadku moralnego dla Dodatku Kobiecego w „Guardian”. Każda feministka, która czyta „Ramparta”, robi to tylko po to,

żeby móc wyrazić potem swoją pogardę. Czemu nie posłuchasz rady tego redaktora i nie zwrócisz się do kogoś, kto był u prostytutki? Może znalazłoby się w tym ziarno prawdy.

- Ale kogo mogłabym spytać? W Filadelfii byłoby chyba mnóstwo takich ludzi - dodała Daisy, wcale nie mając pewności, którzy mieszkańcy Filadelfii odwiedzali domy publiczne. Mogła się założyć, że Carl znałby kogoś takiego. — W Londynie nie znam właściwie nikogo poza tobą i twoją rodziną.

— W takim razie musisz się chyba zwrócić do taty. Tylko poczekaj, aż mamy nie będzie w pobliżu. Na stacji Sloane Square dzielonej przez linie District i Circle panował tłok. Daisy stała w wagonie pełnym ludzi zmierzających głównie do City, chociaż spora część wysiadła razem z nią przy Blackfriars.

Tuż po dziewiątej wręczyła kopertę recepcjoniście, innemu niż ten sprzed tygodnia.

- Oni nie przychodzą przed dziesiątą, proszę pani.

- Czy redaktor na pewno dostanie tę kopertę? Obiecałam, że doręcę ją dziś rano.

- Dopilnuję, żeby jak najszybciej przekazano ją jego sekretarce.

Daisy wyszła z budynku „Ramparta” i postawiła kołnierz. Niebo pokryło się długimi, szarymi chmurami, uciekającymi przed wiatrem, a urzędnicy kryli się pod ścianami, pragnąc schronić się przed lodowatymi podmuchami. Kiedy Daisy skręciła przy Ludgate Circus, uderzenie wiatru sprawiło, że zabrakło jej tchu.

Przynajmniej dostarczyła artykuł na czas. Teraz wróci na Cadogan Square i będzie czekać. Wymyśliła gorzką historyjkę o konwencjonalnej młodej kobiecie z klasy średniej, która sądzi, że najkrótszą drogą do fortuny jest występ w Rewii Raymonda. (Gospodarz Daisy uprzejmie zaprosił ją do Raymonda, by mogła zapoznać się z najbardziej artystycznym programem erotycznym w Londynie.) Bohaterka jej opowieści, ubrana w niebieskie strusie pióra,

dostaje kartkę od dżentelmena w średnim wieku, odzianego w prążkowany garnitur. Dżentelmen (ignorując reguły klubu) zaprasza ją na kolację do Caprice. Niestety, w czasie konsumowania *fois gras* antypatia, jaką młoda dama zaczyna odczuwać do wypielegnowanej dłoni spoczywającej na jej udzie, wywołuje u niej wysypkę. Mężczyzna cofa gwałtownie rękę, pewien, że kobieta jest na coś chora, a w tym samym momencie do stolika podchodzi drugi dżentelmen, ponieważ obaj są członkami Klubu Garlicka. Młoda dama, teraz już poważnie zmieniona przez rozwijającą się wysypkę, czuje się dotknięta faktem, że mężczyzna przedstawia ją jako siostrzenicę i postanawia wstąpić do klasztoru. Kiedy w środę przed południem zadzwonił telefon, sama Daisy podniosła słuchawkę.

- Tu James Allen z „Ramparta”. Dobry artykuł. Ukaże się w niedzielę. Możemy zaproponować pani umowę na sześć miesięcy, którą sformułujemy tak, by obejść sprawę związków. Jeśli obie strony będą zadowolone, umowę można przedłużyć. Sto dwadzieścia funtów tygodniowo. Poczynając od drugiego tygodnia lutego. - Daisy zauważyła, że wada wymowy zniknęła. Głos redaktora brzmiał szorstko.

— Ale czy nie mówił pan o stu pięćdziesięciu funtach za ten artykuł?

- Tylko za ten. Kiedy podpisze pani umowę, będzie miała pani zagwarantowaną stałą pracę.

- Ale sto dwadzieścia funtów to za mało, jeśli mam porzucić pracę jako wolny strzelec dla gazet amerykańskich. - Nie chciała dać po sobie poznać, że tak bardzo zależy jej na tej pracy, by zaczynać ze słabej pozycji. — Obawiam się, że taka jest stawka.

- Cóż, chciałabym pisać dla „Ramparta”, ale to chyba niemożliwe za te pieniądze, skoro muszę zrezygnować ze współpracy z innymi gazetami.

— Zastanowię się nad tym. Może coś się da zrobić. Daisy spędziła niespokojne dwadzieścia cztery godziny,

zanim zadzwonił znowu.

— Mogę zaproponować sto czterdzieści funtów. To absolutne maksimum.

- Wobec tego zgadzam się - odparła Daisy. Dzięki Bogu, nie zapytał, czy te nie istniejące wycinki zostały wysłane z Filadelfii.

- Czy może pani przyjść na początku przyszłego tygodnia, żebyśmy mogli sfinalizować szczegóły?
- Tak.

Odłożywszy słuchawkę zaimprovizowała na perskim dywanie taniec wojenny czerwonoskórych. Potem poszła do sypialni, gdzie, siedząc przy oknie wychodzącym na Cadogan Square i platany, które zrzuciły liście na zimę, napisała do rodziców, że wkrótce nie będzie już potrzebowała miesięcznych czeków.

Później zadzwoniła do trzech pośredników mieszkaniowych, pytając o jednopokojowe mieszkania z kuchnią i łazienką.

Tego wieczoru wszyscy domownicy wyszli, więc zjadła kolację w kuchni, a potem poszła na górę, ułożyła poduszki na łóżku w stertę i przechyliła abażur, żałując, że Anglicy nie używali jaśniejszych żarówek. Z szafki przy łóżku wyjęła liniowany bloczek i długopis.

Najdroższy Carlu,

W najbliższą niedzielę wydrukuję mój artykuł Za dwa tygodnie zaczynam pisać dla nich regularnie.

Mam już listę jednopokojowych mieszkań, które zacznę jutro oglądać.

Myślałam o Twoim liście - nie tylko dlatego, że lubię na niego patrzeć, dotykać, cieszyć się nim, zanim przeczytam go po raz setny - ale ze względu na to, co piszesz w środku listu. Nie jestem psychoanalityczką, więc skąd mam wiedzieć, czy masz rację, twierdząc, że to śmieszny stosunek moich rodziców do Ciebie wpłynął na moją decyzję, żeby „oddzielić się od Ciebie oceanem i żyć przez rok na własną rękę”?

Myślę jednak, że jedynym powodem było to, co Ci powiedziałam. Mówisz, że jesteś ze mnie dumny, a jednak Twoja obecność jest tak dominująca, że w Twoim towarzystwie czuję się stłamszona. Jeśli przez pewien czas pożyję samowy-

starczalnie, chyba będę mogła być z Tobą, nie czując się przytłoczona siłą Twojej osobowości. Co nie znaczy, że jestem tak bardzo samowystarczalna. Tęsknię za Tobą jeszcze bardziej, niż przypuszczałam tamtej nocy w Princeton, kiedy wylewałam na Twoją poduszkę wiadra łez. A minął dopiero miesiąc. Wszyscy w domu przy Cadogan Square są dla mnie uroczy, ale jednocześnie nikt nie sugeruje, że moglibyśmy porozmawiać na tematy osobiste. W miniony piątek wydali dla mnie male przyjęcie, a mimo to jestem potwornie samotna. „Czuję się tak samotny, że mógłbym umrzeć.” Nigdy dotąd nie rozumiałam tej piosenki. Poszłam na dwie randki z ludźmi, których poznałam na przyjęciu. Ale byli tacy sflaczali w porównaniu z Tobą. Nie mam tu na myśli intymnych części ich ciał, o których nic nie wiem. Ale bez przerwy prowadzili rozmowę z taką wyższością, choć nie potrafiłam zrozumieć, na czym miałyby ona polegać. Domyśliłam się, że są ludźmi, których Anglicy nazywają Kimś w City. Staranie się o pracę u Woolwortha (zgoda, to było nieco dziecinne) zajęło mi naturalnie większość czasu. Mimo to od czasu, kiedy pisałam do Ciebie w zeszłym tygodniu, udało mi się pójść dwa razy do Muzeum Brytyjskiego. Jak na razie najbardziej podobają mi się konie asyryjskie. Muszą mieć blisko sześć metrów wysokości, a coś w ich wyglądzie sprawia, że są zdumiewająco seksowne. Ale przekonałam się już, że zawsze kiedy sztuka mnie wizualnie pociąga, pociąga mnie też seksualnie. Czy sądzisz, że wszystkie zmysły są ze sobą połączone? Patrząc na te konie asyryjskie poczułam nagle to „pstryk” i momentalnie zaczęłam myśleć o Tobie.

Samo pisanie o tym wywołało znowu to uczucie. Istnieje jednak mały problem. Mężczyzna, który nauczył mnie otwierać się na tę cudowną ekstazę, znajduje się po drugiej stronie oceanu. Mogłabym pewnie wyjrzeć przez okno i zawołać do pierwszego lepszego mężczyzny: „hej... jestem samotna”, ale coś mimowi, że nic by to nie dało. Chcę czuć dotyk tylko Twoich rąk.

Dobranoc, Carlu Myerze. Kocham Cię bardziej niż cokolwiek na świecie.

Daisy

4

o dziesiątej rano w drugi wtorek lutego zapukała do drzwi z napisem „Redaktor artykułów wiodących”. James Allen powitał ją promiennym uśmiechem.

— Biurko już na panią czeka. Zobaczy pani, że szybko się pani zapozna z ludźmi. Wprowadzą panią we wszystko. Będzie pani siedziała na ziemi niczyjej: dziennikarze od artykułów wiodących, kilku felietonistów, niekiedy ktoś przypadkowy. Oprowadzę panią i przedstawię najbliższemu sąsiadowi. Pomieszczenie, do którego weszli, wydało się Daisy ogromne i faktycznie zajmowało prawie całe najwyższe piętro; pracowało tam sześćdziesiąt osób, trzy czwarte dziennikarzy „Ramparta”. Reszta zajmowała przeszklone gabinety po obu stronach. Szare stalowe szafki pod oknami zasłaniały większą część widoku na biura konkurencyjnych gazet po drugiej stronie ulicy Fleet. Pomieszczenie miało nieokreślony wygląd, było czysto utylitarne, duże i duszne.

James Allen zatrzymał się przy pustym biurku sąsiadującym plecami z biurkiem, od którego jakiś mężczyzna, piszący na maszynie, podniósł teraz wzrok.

— To jest Giles Alexander. Giles, to Daisy Brewster. Widziałeś jej artykuł o tym, dlaczego nie chce zostać prostytutką. Będzie dla nas pisać artykuły wiodące. Zobaczymy się później, Daisy. Zajrzyj do mnie, gdybyś miała jakiegokolwiek kłopoty.

Giles Alexander miał wąską twarz, przywodzącą Daisy na myśl głodnego wilka, ale wyglądał całkiem zabawnie, kiedy uśmiechnął się nie otwierając ust i wstał, żeby uścisnąć

Daisy rękę. Był wysoki, chudy i odnosiło się wrażenie, że ma obłuzowane stawy kończyn. Włosy sterczące agresywnie z głowy miały kolor marchwi.

- Jestem największą prostytutką, jaką poznasz w tej szmacie — oświadczył.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo gardzę wszystkim, co reprezentuje sobą „Rampart” - całym tym trąbieniem o tym, że Brytania znowu zapanuje nad morzami, jeśli tylko obalimy rząd partii pracy i wyczyścimy szeregi torysów z żalonych krwawiących serc.

- Czy o tym właśnie piszesz?

- Najwyraźniej nie wczytałaś się jeszcze dokładnie w „Ramparta”. Pisuję „niezależne” felietony. Jednym z kaprysów Benjamina Franwella jest zatrudnianie paru oswojonych lewicowców, żeby pokazać, że jego gazeta nie jest całkowicie faszystowska. Stąd moja obecność. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba, Tulipanku. Daj mi znać, gdybyś chciała, żebym cię oprowadził.

Wrócił na miejsce i podjął pisanie na maszynie, w pełni pochłonięty tą czynnością. Daisy równie dobrze mogłaby się znajdować na innej planecie, a nie dwa metry od niego.

Poczuła przyływ podniecenia, otwierając i zamykając szuflady biurka, mimo że zawierały niewiele poza spinaczami do papieru, kopertami, połową ryzy papieru maszynowego. Niewielki stosik kartek z nagłówkiem „Rampart” wywołał miły dreszczyk. Czując się nieco mniej onieśmielona, rozejrzała się po pomieszczeniu i ujrzała, że kilka osób stoi przed długą półką, wertując gazety zebrane w otwartych teczkach. Nie mając nic innego do roboty, postanowiła przekartkować kilka gazet, chociaż onieśmielenie wróciło z pełną siłą, kiedy przeciskała się między biurkami, a pracujący przy nich ludzie przyglądali się jej z ciekawością, a niektórzy wręcz z wrogością. Kiedy jednak dotarła do półki poskładanych gazet -wszystkie numery porannych, wieczornych, niedzielnych gazet z ostatniego miesiąca - poczuła coś na kształt uniesienia: rozpoczynała zupełnie nowy rozdział w życiu. Ta rozkosz nie wywołała w Daisy poczucia nielojalności

wobec Carla, a raczej przyjemność, że jest samowystarczalna po raz pierwszy w swym dwudziestotrzyletnim życiu.

Wróciwszy do siebie, zastała tam młodą kobietę, siedzącą ze skrzyżowanymi szczupłymi nogami w spodniach na blacie biurka.

— Witaj w naszym szczęśliwym domu. Jestem Angela. Angela Brent. Mieszkam tam, w kącie, razem z tymi wszystkimi telefonami i butelką szampana. Przystojni młodzieńcy, którzy siedzą tuż przy butelce, pomagają mi w pisaniu plotek towarzyskich. Dlatego właśnie mamy tyle telefonów. W tej butelce już dawno nie było szampana i truchleję na myśl, jaki płyn wiano do niej ostatnio.

Daisy podobało się, że nikt nie oczekiwał, by coś mądrego na to odpowiedziała.

Angela miała ponad metr siedemdziesiąt, była więc wyższa, nawet szczuplejsza niż Daisy i prawdopodobnie o kilka lat starsza. Miała prawie czarne włosy centymetrowej długości, w uszach nosiła duże perły i malowała się tak, by nadać twarzy wygląd pomalowanej porcelany. Miała na sobie elegancką parodię dwurzędowego, granatowego garnituru w prążki, noszonego przez dżentelmenów z City. Daisy pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała kogoś równie seksownego, co Angela.

— Ponieważ Benjamin Franwell praktycznie uwiódł połowę' duszy tego sumiennego człowieka, który siedzi naprzeciwko ciebie, ja pracuję nad drugim składnikiem jego natury. Czy możemy pójść razem na lunch, Giles?

— Czemu nie? Może Tulipanek się do nas przyłączy?

— Co ty na to, Daisy?

— Jesteście pewni?

— A więc umowa stoi. Wrócę do was o pierwszej. Angela ruszyła w stronę biurka, na którym stała butelka po szampanie.

— Ona mi się podoba — powiedziała Daisy do Gilesa.

— Nie tobie jednej. Pochodzi z najbardziej konwencjonalnej rodziny w hrabstwie, ale jest jej całkowicie obojętne, kto lub co jest odpowiednie. Angelę interesuje tylko to, co jej się podoba. Ma wybitnie katolicki gust.

26

- Nienawidzę tego słowa - stwierdziła Daisy.

- Jakiego?

- Odpowiednie.

- Ciąg dalszy podczas lunchu. - Giles ponownie skupił się na pisaniu na maszynie.

Szli razem w stronę wylotu ulicy Fleet, a Giles często zostawał w tyle, by przepuścić przechodniów spieszących z przeciwka.

- Czy wszyscy wylęgają na chodniki dokładnie o trzynastej? - spytała Daisy.

- Niezupełnie - odparł Giles. - Samochód redaktora wyruszył do Soho przed dwudziestoma minutami.

A każdy, kto umówił się na lunch w towarzystwie „źródła”, jak to nazywają, mógł opuścić biuro o dwunastej trzydzieści:

„Minister nie może czekać, stary”. Nie może też czekać dziewczyna, której suty lunch można wytłumaczyć w sprawozdaniu „gościnnością okazaną ministrowi (rachunek w załączeniu)”.

Dziennikarzom-politycznym wszystko uchodzi na sucho: ministrowie należą do tej wąskiej grupy osób, których nazwisk nie trzeba wymieniać w podaniu o zwrot kosztów. Gdyby pracownicy księgowości różnych gazet z ulicy Fleet zebrali się kiedyś razem, odkryliby, że tego samego dnia trzydziestu sześciu bezimiennych ministrów jadło lunch z trzydziestoma sześcioma naciągaczami.

- Ilu macie ministrów? - spytała Daisy.

- Dwudziestu czterech.

W trzech czwartych długości ulicy Fleet skręcili w prawo w Chancery Lane. Mała włoska restauracja była już prawie pełna, ale na Angelę czekał zarezerwowany stolik. Kiedy złożyli zamówienia, Daisy spytała: - Czy dziennikarzom od artykułów wiodących mówi się kiedykolwiek, co mają robić? Dadzą mi zlecenie czy też wybór tematu zależy wyłącznie ode mnie?

- Doskonałe pytanie - pochwalił Giles. - Zadaniem starego, biednego Jamesa Allena jest wymyślanie tematów dla takich jak my, co nie jest proste, biorąc pod uwagę, że

rok składa się z pięćdziesięciu dwóch tygodni. Jeśli nie potrafi nic wymyślić, a Bóg nie zleca ci żadnej pracy, wtedy masz sama coś zaproponować.

- Bóg to Ben Franwell? — spytała Daisy.

- A któż inny? Artykuły wiodące mają dotyczyć konkretnego tematu. Pisanie dla gazety niedzielnej wiąże się zawsze z niebezpieczeństwem, że pracujesz nad jakąś historią na początku tygodnia, a temat zostaje poruszony przez piątkowy „Times” czy „Mail”. Wtedy twoja praca idzie na marne.

- Ale przypuśćmy, że mój artykuł jest lepszy - powiedziała Daisy.

- To bez znaczenia. Twój artykuł padnie na miejscu, zostanie nadziany na stalowy szpikulec, który wreszcie tak wypełni się trupami, że trzeba je będzie ściągnąć i formalnie odrzucić, by zrobić miejsce dla kolejnych nieszczęśników. Redaktorzy, a Franwell z pewnością, są niesłychanie próżni: ich gazeta pierwsza musi poruszyć temat.

- Spróbuj kiedyś pisać plotki towarzyskie - wtrąciła Angela. - Muszę być chyba jedyną osobą na ulicy Fleet, która nie jest alkoholiczką. Ci wszyscy dziennikarze zgrywający się na nonszalancję są zrozpaczeni, kiedy ich rywal ich ubiega. Ruszają wtedy do El Vine, wypijają pół butelki whisky i rozczulają się w towarzystwie reportera od wiadomości, którego cenna praca została nadziana na szpikulec, bo „Evening Standard” napisał o tym pierwszy. - Angela zmarszczyła nos w pogardzie dla podobnego zachowania. - Płeć delikatna przyjmuje te niepowodzenia bardziej filozoficznie — dodała. Ponieważ delikatność nie była najbardziej rzucającą się w oczy cechą wyglądu i zachowania Angeli, Daisy zaczęła się śmiać.

- W pracy dla gazety niedzielnej wspaniałe jest to, Tulipanku, że nie zaczynasz pisać przed czwartkiem. Wtorek i środę traktuj jako dni „zbierania materiałów”, inaczej mówiąc, pieprz je.

- Ale ty dzisiaj wściekle waliłeś w maszynę.

- Och. Robię notatki do przyszłej pracy, „porządkuję umysł”.

- Inaczej mówiąc, pisze coś, co nie ma nic wspólnego

z „Rampartem”, pewnie swoje dzieło na temat antysocjalistycznego charakteru EWG.

- A redaktor się temu nie sprzeciwia?

- Przekonasz się szybko, Tulipanku, że Bena Franwella interesują wyłącznie rezultaty. Jeśli przez kilka tygodni nie napiszesz nic dobrego, we wtorek stanie ci za plecami, żeby dać do zrozumienia, że masz zacząć pracować na swoją pensję, i to szybko. Jeśli jednak dostaje to, czego chce, nic go nie obchodzi, co piszesz we wtorek. Chce jednak, żebyś siedziała w redakcji: to przypomina jemu i tobie, że on jest panem. Jakim dziennikarstwem zajmowałaś się do tej pory? Daisy oblała się rumieńcem.

- Powiem wam kiedyś — odparła niezręcznie.

Nie chciała oszukiwać Angeli i Gilesa, ale nie chciała też, żeby Ben dowiedział się prawdy. Dlatego pośpiesznie zmieniła temat. - Przyjechałam do Anglii dopiero w zeszłym miesiącu. Urodziłam się i wychowałam w Filadelfii. Moi rodzice nie lubią człowieka, którego kocham. Wyobrażają go sobie jako wielkiego pajaka, który omptuje ich kochaną córeczkę. Twierdzą, że nie jest odpowiedni. Ale nie dlatego przyjechałam do Londynu. Zrobiłam to, bo chciałam być przez rok całkowicie niezależna. Przynajmniej mi się wydaje, że taki był powód mojego przyjazdu.

- Bardzo cię to martwi, że rodzicom się nie podoba twój ukochany? Teraz rozumiem, dlaczego nie lubisz słowa „odpowiedni” — powiedział Giles.

- Nie chcę ich ranić - wyjaśniła Daisy. - Może w głębi duszy myślałam, że kiedy rozłączę się z Carlem na rok, a potem wciąż będę go kochać, moi rodzice to zaakceptują.

- Jesteś jedynaczką? - spytała Angela.

- Mam starszego brata. Jest żonaty. Jestem z nim w dość bliskich stosunkach, chociaż potrafi być nieco nadęty. Jest prawnikiem. A ojciec, chociaż ma bank, jest osobą niezwykle szanowaną i tak dalej, nie jest jednym z tych upiornych republikanów, którzy uważają, że system opieki zdrowotnej oznacza, że kraj stoi na krawędzi komunizmu. Można by go nazwać liberalnym republikaninem. •

- Takim jak Nelson Rockefeller? - spytał Giles.

— Nie tak bogatym. Chociaż na pewno nie jesteśmy biedni. Okazuje się jednak, że mój ojciec przestaje być liberałem, kiedy Żyd ubiega się o rękę jego córki. To zabawne. Początkowo w ogóle nie rozmawiałam o tym z rodzicami, chociaż musieli się domyślać, że mam romans z Carlem. Nie robili z tego sprawy, chociaż nie można powiedzieć, że zachowywali się ciepło, kiedy Carl wpadał czasem po mnie. Przypuszczam, że mieli nadzieję, że to mi przejdzie. Poznałam Carla jeszcze podczas studiów w Radcliffe, podczas weekendu w Princeton. On tam wykłada. Jest starszy ode mnie o dziesięć lat. Po skończeniu studiów wyprowadziłam się od rodziców: do spółki z koleżanką wynajmowałam w Nowym Jorku mieszkanie, kiedy studiowałam rzeźbę na Columbii.

Uzmysłowiła sobie, że teraz musieli być pewni, że nigdy nie pracowała jako dziennikarka. Giles rzucił jej ostre spojrzenie, ale nic nie powiedział. Porcelanowa twarz Angeli nie wyrażała żadnych uczuć. Daisy paplała dalej, w czasie gdy jej towarzysze pochłaniali tortellini. Była to jej pierwsza prawdziwie osobista rozmowa, odkąd przybyła do Londynu przed blisko sześcioma tygodniami.

— W Radcliffe specjalizowałam się w angielskim, ale studiowałam także rzeźbę. Potem zapisałam się na Columbii na dwuletni kurs pod kierunkiem rzeźbiarza, który był fantastycznym nauczycielem. Fakt, że rodzice zawsze mnie zachęcali do studiów, sprawił, że sprawy się pogorszyły, odkąd zaczęłam rozważać możliwość małżeństwa, co do którego oni mają pewność, że nie jest dla mnie dobre i że będę tego żałować. Fakt, że Carl jest błyskotliwy, nie ma tu żadnego znaczenia. Nadal jest Żydem.

Giles podniósł karafkę z czerwonym chianti i napełnił kieliszek Angeli i własny.

— Ty nic nie zjesz, Tulipanku?

— W końcu postanowiłam spędzić rok za granicą na własny rachunek. - Wypiła dwa wielkie łyki chianti.

Giles napełnił jej kieliszek.

Potem Daisy zaatakowała fettucine ze śmietaną i serem gorgonzola.

Zapach władzy

- Cóż - powiedziała Angela, zapalając papierosa. - Moi rodzice padliby trupem, gdybym zaczęła liczyć się z ich zdaniem w tych kwestiach. W skrytości truchleją z przerażenia, że dostaną ode mnie prezent w postaci Hotentota na zięcia. Tak się składa, że dotąd nie gustowałam w czarnych, ale nigdy nic nie wiadomo. Chyba nie sprzeciwialiby się zbytnio, gdybym wyszła za Żyda. Na tej wyspie niezbyt często spotyka się mentalność białych protestantów, nie sądzisz, Giles?

- To zależy od Żyda. Każda ambitna mamusia byłaby w siódmym niebie, gdyby jej córka wyszła za Rothschilda, ale z drugiej strony ich nie uznaje się za Żydów. O ile jeszcze **tego** nie zauważyłaś, Tulipanku, Anglicy mają najbardziej materialistyczną kulturę na świecie.

- Chociaż zazwyczaj obruszamy się, kiedy ktoś inny stwierdza, że w Anglii to pieniądze czynią mężczyznę lub kobietę odpowiednimi - stwierdziła Angela. - Czy Carl ma pieniądze, Daisy?

- Tylko tyle, ile zarobi na wykładach i książkach: wystarczy, ale to żadna wielka fortuna.

- Aha - odparła Angela.

Po lunchu Daisy spojrzała na swoją maszynę do pisania. Mogła napisać list, a jednocześnie sprawiać wrażenie, że uczciwie pracuje na swoją pensję. Zaczęła: *Najdroższy Carlu*. Potem wysunęła kartkę z maszyny, zmięła ją w kulę i wrzuciła do kosza. Zauważyła, że nikt nie wrzucał zużytego papieru wprost do kosza.

Zaczęła od początku. Jeśli pominie nagłówek, każdy, kto rzuci okiem na kartkę, zobaczy tylko serię akapitów, mogących być przecież artykułem.

Tak, miałeś rację: rozpoczęcie nowego życia jest ucieczką od nieprzerwanej tęsknoty za Tobą. Mimo to dziś rano w metrze przyłapałam się na tym, że patrzę na plecy mężczyzny idącego przede mną.

Poczułam znowu ten „pstryk”.

Przerwała. Carl napisał jej, że przyjemnie mu czytać o tym, co do niego czuła, ale chciałby się też dowiedzieć o jej życiu w Londynie. Postanowiła, że swój pierwszy dzień w „Rampar-cie” opisze w dalszej części listu. Przez chwilę była zaabsorbowana swoją miłością. Nie nawykła do picia podczas lunchu.

Pisała dalej:

Zwróciłam uwagę na jego włosy —początki łysiny, a dalej gęste, ciemne loki, sięgające tej cudownej, wolnej od skazy części karku, gdzie zaczyna się zbroja. Czy myślisz, że flksacja na punkcie kontrastu jasnej skóry i ciemnych włosów jest czymś niezdrowym? Minionej nocy tak bardzo za Tobą tęskniłam, że postanowiłam udawać, że jestem Tobą. Niedawno wpadła mi w ręce książka o fantazjach kobiecych, ale znudziła mnie. Przypuszczam, że fantazje innych ludzi są zawsze nudne. Tak czy inaczej, moja nie miała nic wspólnego z tymi w książce, które obejmowały osły, kaczkę, nawet odkurzacze. Nadal nie wiem, dlaczego Anglicy nazywają odkurzacza Hooverem, nawet jeśli wyprodukowała go inna firma. rW tym kraju używa się bardzo dziwnego języka. Moje fantazje dotyczą Ciebie. Leżysz rozciągnięty w fote~ lu. Stoisz przy stoliku z drinkami. Poluzowujesz krawat i odpinasz pierwszy guzik koszuli. Leżysz w kąpieli, z lewą dłonią wspartą na krawędzi wanny, trzymając wypalonego do połowy papierosa. Leżysz w łóżku i patrzysz, jak się rozbieram.

Daisy siedziała z łokciami wspartymi na biurku, z brodą w dłoniach, zatopiona we wspomnieniach. — Ciekawe, czy ktoś ci powiedział, że wszyscy tu mają świetny wzrok i na odległość potrafią odczytać czyjś tekst. Piszesz opowiadanie?

Daisy, oblana purpurą, okręciła się gwałtownie na fotelu.

Stała za nią niewysoka, młoda kobieta w ciemnych okularach zsuniętych na srebrnoblond włosy, opadające jej prosto do ramion. Miała tak jasne oczy, że, z wyjątkiem źrenic, były niemal bezbarwne. Nieco małe rysy nadawały jej wyjątkowo inteligentny wygląd i, podobnie jak w przy-

padku Gilesa, kiedy się rozluźnił, zabawnego. Daisy poczuła do niej natychmiastową sympatię.
- Mam na imię Frances. Kiedy nie stoję za tobą, czytając to, co, jak sądzisz, piszesz prywatnie, piszę recenzje książek. Z nieznanych powodów uprawnia mnie to do własnego pomieszczenia. Mało tego, pomieszczenia sąsiadującego z gabinetem Rachel Fisher. Jeśli kiedykolwiek napiszę powieść, możliwe, że wystąpią w niej Ben Franwell i Rachel Fisher. Czasami, kiedy modulowany głos tej Fisher nagle się nasila, a ja siedzę z głową przyciśniętą do ściany dzielącej nasze pomieszczenia, podsłuchuję tak niezwykle rzeczy, że nie mogę sobie wyobrazić, co się może dziać, kiedy ona i nasz redaktor zamykają się w jego sanktuarium. A tak przy okazji, nasz redaktor znajduje szczególną przyjemność w pojawianiu się nagle przy biurkach pracowników i potrafi czytać jeszcze szybciej niż ja.

Daisy odwróciła się do maszyny, wysunęła kartkę i schowała ją do szuflady.

- Czy masz po pracy czas na drinka? - spytała Frances. - Zauważyłaś może, że na ulicy Fleet nie trzeba przechodzić więcej niż trzy metry, żeby trafić do pubu. Niektóre nawet nie są takie złe.

Tuż po szóstej wyszły dużymi frontowymi drzwiami „Ramparta” i przeszły przez ulicę Fleet.

Po godzinie opuściły The Bell i poszły, każda w swoją stronę: Frances do swego dwupokojowego mieszkania w Barbican, a Daisy na stację metra Blackfriars.

Daisy zrobiła kilka kroków, kiedy coś kazało jej się zatrzymać.

Frances stała, patrząc na nią, a jej platynowe włosy lśniły niesamowicie w blasku latarni.

Daisy pomachała jej i poszła dalej.

Frances wciąż stała, patrząc za oddalającą się postacią. Po minucie czy dwóch ruszyła w swoją stronę.

5

Benjamin Franwell był nie oszlifowanym diamentem. I nie miał zamiaru się zmieniać. Charakteryzowała go ta agresywna pewność siebie rodem z Yorkshire, która niekiedy wpada w buńczuczne zadufanie. Jego ojciec, właściciel sklepu z gazetami w Sheffield, powołany do wojska, wrócił do domu na przepustkę i wkrótce potem w 1942 roku został wysłany do Afryki Północnej. Ben urodził się w następnym roku. Podobnie jak miliony brytyjskich dzieci podczas drugiej wojny światowej, pierwsze lata życia spędził bez ojca i jego związek z matką był bardzo bliski. Mieszkali w mieszkaniu komunalnym. Matka wiązała z przyszłością syna wielkie nadzieje.

Na uniwersytecie w Hull zaangażował się w działalność polityczną i wstąpił do Partii Konserwatywnej. Jego ojciec, który przez całe życie należał do Partii Pracy, poczuł się dotknięty, ale pani Franwell była zadowolona. Członkostwo syna w Partii Konserwatywnej postrzegała jako wstępny etap kariery.

Zaczął pracować jako reporter „Sheffield Post”. Po trzech latach został redaktorem działu wiadomości. Kiedy właściciel „Ramparta”, milioner, który doszedł do fortuny własnymi siłami, przyjechał do Sheffield, by odebrać honorowy doktorat, poznał młodego, walecznego dziennikarza o szorstkich rysach, którego niebieskie oczy, patrzące z drugiej strony stołu podczas lunchu, były intensywne, a czasem żartobliwie kpiące.

Dwa dni później Ben Franwell dostał telefoniczne zaproszenie do pracy w „Ramparcie” w charakterze zastępcy kierownika działu wiadomości. Było to w roku 1970, zaraz po tym, jak konserwatyści obalili drugi rząd Partii Pracy, kierowany przez Harolda Wilsona. Trzy lata później Ben Franwell był redaktorem jednej z najbardziej wpływowych pravicowych gazet niedzielnych na ulicy Fleet. Niektórzy naczelni stawiają na supremację. Oznacza to, że mianują kilku swoich zastępców, którzy oddzielają ich od zespołu. Dziennikarka zwraca się do odpowiedniego zastępcy ze skargą, że treść jej artykułu została przeinaczona i jeśli czegoś z tym nie zrobią, ona będzie musiała odejść z pracy. Zastępca obiecuje, że pomówi z redaktorem. Wie jednak, że redaktor ma inne rzeczy na głowie i nie chce się w to mieszać. Dlatego zastępca informuje dziennikarkę, że, niestety, redaktor jest zavalony pracą i czy wobec tego nie mogłaby tym razem okazać odrobiny wyrozumiałości? Jeśli się zgodzi, w porządku. Jeśli postanowi odejść, redaktor nadal zachowuje swą pozycję wyższości: może teraz wkroczyć, zapewniając, że to wszystko było nieporozumieniem, ma nadzieję, że ona zmieni zdanie i zostanie, a następnym razem on przypilnuje, żeby się tak z nią nie obchodzono. Ben nie zarządzał gazetą w ten sposób. Wtykał nos we wszystko. Co tydzień dziennikarze zaprzęтали sobie głowy tylko jedną myślą: czy Benowi Franwellowi spodobały się ich artykuły. Dziennikarze od artykułów wiodących wręczali swoje prace, w dwóch kopiach, Jamesowi Allenowi, ale wszyscy wiedzieli, że pierwsza kopia jest posyłana do gabinetu Bena Franwella. To, czy artykuł miał się ukazać, zależało wyłącznie od niego. Kiedy mu się coś podobało, nie skąpił pochwał. Jednak nigdy nie zapominali, że miał ich na oku: jeśli, domagając się zwrotu wydatków, przekraczali niepisaną granicę, dowiadywali się o tym właśnie od Bena. Był szefem absolutnym. Podobnie, jeśli ktokolwiek z zespołu chciał się na coś poskarżyć, zwracał się do Bena. Swoich pracowników, a zwłaszcza kobiety, traktował z mieszaniną surowości i ojcostwa. Gardził ruchem feministycznym. Na miłość

boską, nie życzył sobie, by banda intrygantów z klasy średniej mówiła mu, że kobiety mają więcej obowiązków rodzinnych i domowych. Sam nie wymagał, by kobiety przychodziły do pracy w soboty, chyba że były reporterkami od wiadomości; do drugiej nad ranem w niedzielę, przy pomocy głównego trzonu zespołu redakcyjnego, dopinał numer gazety na ostatni guzik.

Ben czuł bezgraniczną pogardę do nieudolności ostatniego premiera torysów w traktowaniu związków zawodowych. Ben Franwell wyznawał opinię, że każdy, kto ma jaja, rozumie, że związki trzeba tłamsić. Ted Heath tańczył tak, jak mu zagrali górnicy, a potem, by zademonstrować własną siłę — „Kto rządzi krajem?” — rozpiął wybory, które wygrała partia pracy. Boże. Co za wpadka.

Podczas walki o kierownictwo partii torysów w roku 1975 „Rampart” Bena Franwella poparł pierwszą kobietę, która odważyła się ubiegać o to stanowisko. Franwell podziwiał ją za to. Podobало mu się, że ojciec Margaret Thatcher był sklepikarzem. Ben był zawsze gotów traktować kobiety na równi z mężczyznami, jeśli tylko na to zasługiwały.

Jesienią tego roku, na konferencji partyjnej, podczas przyjęcia wydanego dla ważnych osobistości przez skarbnika partii, Ben poznał Rachel Fisher. W dwóch ostatnich wyborach startowała jako kandydatka konserwatystów w okręgach, gdzie nie miała szansy na zwycięstwo. Pozwolili jej jednak „powąchać krew”. Zasadniczo Ben sprzeciwiał się myśliwskiej terminologii torysów, ale to określenie przypadło mu do gustu. Przypadła mu też do gustu Rachel Fisher.

Miała wtedy dwadzieścia dziewięć lat, o trzy lata mniej od Bena i, jak on, była wolna. Miała zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale jej zachowanie sprawiało, że wydawała się wyższa. Ciemnowłosa, ciemnooka, o ładnej twarzy, emanowała dziwnie mocną pewnością, że wiedziała, co jest właściwe - właściwe dla interesów narodu, szacunku międzynarodowego, właściwe dla rodzin łączących ambicje z przyszłością własną i swych dzieci.

Miała korzystniejszy start niż Ben. Jej ojciec był prawnym doradcą w Bedford, działającym aktywnie w lokalnej partii torysów. Podobnie jak wielu ludzi z klasy średniej, posłał córkę do szkoły prywatnej tylko dlatego, że była prywatna. Miejskowa szkoła średnia należała do najlepszych szkół państwowych w kraju. Pod względem akademickim przewyższała prywatną, która uczyła dobrych manier, ale merytorycznie była mierna. Dla pana Fishera liczyło się jednak, że jego córka uczęszcza do szkoły prywatnej. Rachel udało się zdobyć stypendium w St Hugh's College w Oxfordzie, gdzie uzyskała dyplom z filozofii, polityki i ekonomii.

Kiedy Robin Day przedstawił Rachel Fisher Benowi Franwellowi na przyjęciu w Blackpool, Benowi momentalnie wydała się pociągająca: była kobietą, która zajdzie daleko w polityce, poznał to, kiedy tylko na nią spojrział.

Miesiąc po konferencji zwolnił swą dotychczasową asystentkę w „Ramparcie”: nigdy nie czuł się w pełni swobodnie w jej towarzystwie, chociaż sprawdziła się jako organizatorka przemeblowywania ich sąsiadujących gabinetów. Jej miejsce zajęła Rachel Fisher. Póki co, ta sytuacja odpowiadała obojgu.

Kiedy Daisy wróciła do biurka od półki z gazetami, zadzwonił telefon.

- Redaktor chciałby zamienić z tobą dwa słowa - oznajmiła Rachel. - Czy mogłabyś przyjść teraz? Daisy podchodząc do drzwi z napisem „Prywatne” była podenerwowana. Czy poprosi ją o te nieistniejące wycinki z prasy? Nie znała go jeszcze na tyle dobrze, by wiedzieć, że dawno przestały go interesować.

Wewnętrzne drzwi do gabinetu Bena były już otwarte. Rachel zaprosiła ją gestem do środka.

- Zamknij za sobą drzwi - polecił Ben.

Nie wstał od biurka. . .

- Usiądź. - Wskazał Daisy proste krzesło stojące po **jej** stronie biurka. - Jak ci się powodzi?

Daisy miała pogodną, radosną minę, ale wciąż czuła się

nieswojo. Ogromny stalowy kwadrat z wygrawerowaną powiększoną mapą Brytanii wydawał się jej jeszcze większy niż zazwyczaj. Chociaż wisiał przymocowany do ściany za krzesłem Bena, miała dziś wrażenie, że stanowi jego część: jakby Franwell był potężnym, stalowym olbrzymem.

— Zaczynam się oswajać z pracą — odparła.

— Podobał mi się twój artykuł w zeszłym tygodniu o stosunku Anglików do amerykańskich akcentów, tak jakby Anglicy sami nie mieli wielu dziwacznych akcentów. Niestety, artykuł nie mógł się ukazać, bo nie miał związku z żadnymi wiadomościami.

— A gdyby miał, czy wtedy moglibyście go wykorzystać? — spytała.

— Owszem. — Ta dziewczyna pracuje tu dopiero od dwóch tygodni. Wkrótce zrozumie, że kiedy pisał na artykule: „James Allen. Dobry kawałek. Do magazynu. BF”, oznaczało to, że nie ukaże się nigdy, chyba że w sobotę połowa materiałów do numeru okaże się bezużyteczna.

— Co piszesz w tym tygodniu, Daisy?

— Nie jestem pewna. Masz jakąś propozycję?

— Twoja praca częściowo polega na proponowaniu tematów artykułów. — Jego głos brzmiał szorstko, oczy patrzyły surowo. — Każdy potrafi napisać artykuł redakcyjny.

Daisy poczuła, że jej twarz zalewa fala gorąca. Przygryzła wargę. Gdyby ją spytać, nie odpowiedziałaby, bo nie wiedziała, czy ta druga reakcja była wywołana przez instynkt czy zdenerwowanie.

Daisy wyrosła w domu, którym zarządzała matka, a mimo to ojciec wydawał się głową rodziny: pani Brewster traktowała męża jak postać centralną, a mimo to Daisy zauważała najczęściej, że matka stawiała na swoim. W gruncie rzeczy, Daisy dawno to rozumiała, rodzice byli sobie równi i tak też się nawzajem widzieli. A jednak przykład matki podsunął jej myśl, że łatwiej można osiągnąć cel, jeśli podchodzi się do tego z pewną subtelnością. W tym punkcie, jak i w kilku innych, Daisy różniła się od dogmatycznych feministek w Radcliffe. Kiedy przygryzła dolną wargę, Ben odczytał to jako

oznakę zdenerwowania: rumieniec poruszył opiekuńczą stronę jego natury.

- Nie chcę powiedzieć dosłownie, że każdy potrafi pisać, Daisy. Gdyby tak było, nie przyjmowałbym cię do pracy po tym, jak przysłałaś swój pierwszy dobry artykuł. Nie możesz jednak oczekiwać, że będziemy tu w ciebie pompować pomysły. Pomyśl sama: o czym ludzie chcieliby przeczytać w tym tygodniu? Czy Jeremy Thorpe utrzyma się na stanowisku szefa Partii Liberalnej? Co czuje jego żona w związku z tym, że jej mąż-łachmyta musi wyłożyć karty na stół? Dlaczego jej o to nie zapytasz?

- Dlaczego żona Jeremy'ego Thorpe'a miałyby na tym etapie swego życia rozmawiać z dziennikarką, o której nigdy nie słyszała? Przypuszczalnie nigdy nie słyszała - poprawiła się Daisy. Angela radziła, żeby nigdy nie umniejszać się w oczach Bena.

- Zorganizuj to. Thorpe'owie mieszkają o dwie minuty drogi od Notting Hill Gate. Kręć się w okolicy Bootsa i najdroższego sklepu mięsnego. Ona musi się pojawić w jednym z tych miejsc. Potem się przedstaw. Masz doskonałą prezencję. Troszczysz się o to, żeby jej mąż mógł przedstawić własną wersję wydarzeń. Możliwe, że wtedy ona zaprosi cię na herbatę. To zawsze jest ruletka. Ale co masz do stracenia? Jeśli ci się uda, twój artykuł będzie reklamowany na stoiskach z gazetami w całym kraju. W jego ustach brzmiało to tak prosto.

- Nie sądzę, żebym była dobra w takich podchodach -stwierdziła Daisy. - Co innego, gdybym mogła się z nią z góry umówić. Wtedy mogłabym przeprowadzić świetny wywiad.

- Podobnie jak wielu innych - odparł Ben, a niebieskie oczy znowu patrzyły surowo. - Lepiej będzie, do cholery, jeśli coś wymyślisz, skoro masz zamiar zarabiać na życie w „Ramparcie”.

Nie kazał jej wyjść, ale to było oczywiste, więc sama wyszła. W gabinecie zewnętrznym Rachel nie podniosła wzroku znad maszyny.

Wróciwszy do głównego pomieszczenia, Daisy ujrzała,

że Frances siedzi u siebie, zaznaczając fragmenty w książce, którą czytała.

— Mogę wejść na chwilę?

— Oczywiście. Zestaw książki z krzesła na podłogę.

— Zachowują się tak, że człowiek ma wrażenie, jakby miał pięć lat — poskarżyła się Daisy. Ku jej wściekłości, łzy napłynęły jej do oczu.

— Pozwól, że zgadnę; właśnie złożyłaś wizytę tuż obok. Wszyscy przez to przeszliśmy. Im właśnie o to chodzi, żebyś tak się czuła — tłumaczyła Frances. — To część obsesji władzy. Teraz Ben powie ci pewnie jakiś komplement. Tak właśnie postępuje z kobietami, chociaż nie ze mną, ponieważ dowiedział się, że nie jestem kimś, kogo on nazywa kobietą.

Daisy, zbyt pochłonięta własnym upokorzeniem, nie zastanowiła się nad tą uwagą Frances.

— Ale dlaczego Rachel Fisher musi traktować mnie jak głupie dziecko? — spytała.

— Doszłam do wniosku, że Rachel naprawdę ma się za kogoś lepszego od reszty z nas, chociaż nie jestem pewna, na jakiej podstawie tak uważa. Co powiedział Ben?

— Że powinnam pójść do Notting Hill Gate, kupować Alka-Seltzer albo kurze wątróbki, aż nadejdzie żona Jere-my'ego Thorpe'a, żeby zrobić to samo. Potem powinnam ją złapać i spytać, czy plotki o jej okropnym mężu są prawdziwe. Frances wybuchnęła śmiechem.

Łzy Daisy cofnęły się, zariim, co powitała z radością, zdążyły jej spłynąć po twarzy.

— Ben tylko się z tobą droczy, Daisy. To, o co cię prosił, należy do obowiązków reportera. W „Ramparcie” jest ich aż czterdziestu, ponieważ ich praca jest tak okropna, że połowę czasu poświęcają na zalewanie się w trupa. Albo przechodzą załamania nerwowe. Od dziennikarzy od artykułów wiodących nie oczekuje się, że będą wsuwali nogę w drzwi i zajmowali się takimi bzdetami. Dlatego jest was tylko siedmioro czy ośmioro. Co odpowiedziałaś Benowi?

— Że to nie moja specjalność. Na to on odpowiedział, że powinnam jakoś zapracować na swoją pensję. Później

zostałam odprawiona, a Królowa Rachel nie raczyła na mnie spojrzeć, kiedy przechodziłam obok jej biurka. Jak, na Boga, wymyśla się temat artykułu?

- Przypuśćmy, że spalił się hotel Savoy. Mogłabyś podzwonić do różnych ważnych ludzi, którzy mają zwyczaj jadań lunchu w Savoyu i oto spotyka ich katastrofa. Nie . mogą już wyglądać na nabrzeże, napychając kałduny i załatwiając interesy. Mogłabyś ich spytać, jak przeżyją tę potworną stratę.

- Ale jak się dowiedzieć, które znane osobistości mają zwyczaj jadań lunchu w Savoyu?

- Angela i jej ludzie od brudnej roboty wiedzą takie rzeczy. Giles umawia się tam na lunch z politykami. Stale opowiada o najwyższych urzędnikach państwowych, których tam widuje, o wszystkich tych sekretarzach zbliżających się do sześćdziesiątki, jedzących lunch z rekinami przemysłu, załatwiających sobie ciepłe posadki dyrektorów na czas emerytury, kiedy odejdą ze służby państwowej z tytułem szlacheckim albo tytułem para, jeśli byli naprawdę grzeczni.

Daisy uśmiechnęła się słabo

- Idź porozmawiać z Jamesem Allenem - poradziła Frances. - Między innymi dlatego jest redaktorem od artykułów wiodących. Mimo że dzisiaj ani ty, ani on nie potraficie wymyślić nic poza takim sobie tematem, zrób to, żeby wykazać inicjatywę. W przyszłym tygodniu Ben albo ktoś inny poczuje natchnienie, zleci ci napisanie artykułu, zrobisz to dobrze i będziesz mogła się rozluźnić na parę tygodni. Byle tylko twoja praca była widoczna. Nikt nie oczekuje od ciebie pisania czterdziestu ośmiu artykułów do publikacji w ciągu roku.

Daisy wytarła nos.

- I nie zapominaj - ciągnęła Frances - że kiedy już zaprezentujesz się jako dobry pracownik, Ben Franwell będzie cię darzył szacunkiem, jeśli nie będziesz gotowa zaprzedać duszy dla artykułu. Nie dlatego, że interesuje go twoja dusza. Po prostu kiedy ją zaprzedasz, wieści rozejdą się szybko i nikt nie zechce ci udzielić wywiadu. To właśnie spotkało Daveya Jonesa, dziennikarza, którego miejsce

zajęłaś. Davey to równy chłop. Ale Ben zaczął go przyciskać i Davey pomyślał, że jeśli chce nadal spłacać hipotekę, powinien szybko coś napisać. Dlatego posłużył się prywatną rozmową z pewną agentką literacką, by napisać kilka seksualnych aluzji dotyczących jednego z jej autorów, a tak się złożyło, że był to minister handlu. Większość posłów z Partii Pracy znalazła niezdrową frajdę w publicznej kompromitacji swego lubieżnego kolegi. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że teraz Davey mógłby zrobić to samo z nimi. Dlatego natychmiast po tym, jak jego artykuł stał się tegoroczną rewelacją „Ramparta” — Giles mówi, że trzeba było widzieć twarz Bena tamtej soboty, jak czerwony z radości nie mógł się nachwalić Daveya — żaden polityk nie chciał już rozmawiać z Daveyem. A były to właśnie te kontakty, dzięki którym stał się tak użyteczny dla gazety. Dlatego Ben go zwolnił.

— O rany — westchnęła Daisy.

— Tak. Morał tej historii jest taki, że kiedy się ugniesz i, pragnąc sprawić przyjemność szefowi, napiszesz coś, co kłóci się z twoim własnym poczuciem przyzwoitości, tydzień później możesz zauważyć, że wszystko przegrałaś.

— Sądzisz, że to samo dotyczy większości związków? Frances milczała przez chwilę, a jej blade oczy patrzyły bez wyrazu.

— Często sama zadaję sobie to pytanie — odparła w końcu. Nie znam odpowiedzi. Może ty mi to kiedyś powiesz.

6

Niewiele rzeczy podnieca Anglików tak bardzo jak skandal seksualny połączony ze skandalem politycznym. W połowie marca, na sali sądowej w Exeter zeznania mężczyzny-modela przeciwko Jeremy'emu Thorpe'owi dostały się do wiadomości publicznej. Stawało się coraz mniej prawdopodobne, by Thorpe wyszedł cało z burzy i utrzymał się na stanowisku szefa Partii Liberalnej. Angela wydała przyjęcie we wtorek, ponieważ w pierwszej połowie tygodnia można było liczyć na obecność większości zaproszonych. W czwartkowy wieczór dziennikarze pracujący dla gazet niedzielnych stają się nerwowi i pracują do późnych godzin. Między poniedziałkiem a czwartkiem poseł może zostać zatrzymany w parlamencie pilną kurendą złożoną z trzech linijek; przy odrobinie szczęścia we wtorek może to być kurenda jedno- lub dwulinijkowa, a wtedy może się umówić z przeciwnikiem politycznym i obaj nie przyjdą na głosowanie. Tak czy inaczej, Pimlico znajdowało się tak blisko Westminsteru, że gdyby kolega partyjny odpowiedzialny za dyscyplinę parlamentarną zadzwonił do któregoś z posłów zaproszonego do Angeli, ten zdążyłby jeszcze wrócić na głosowanie: od zarządzenia głosowania według partii do zamknięcia drzwi dla liczących głosy pozostawało dziesięć minut.

Angela starała się zapraszać na swe przyjęcia przedstawicieli obydwu partii, ale znała znacznie więcej torysów. Wielka szkoda, że znajdowali się w opozycji. Zapraszając

wpływowym dziennikarzem starała się zwabić kilku ministrów z partii pracy. Choć liberałowie ją nudzili, to typowe, myślała, że ich główny poseł odpowiedzialny za dyscyplinę swego klubu, ten syn pastora, David Steele, nadal nie chciał uwierzyć w oskarżenia skierowane przeciw Thorpe'owi, nawet oni stali się interesujący, kiedy sprawa Thorpe'a osiągała stan wrzenia.

Jej dom był typowy dla tych tarasowych budynków w Pimlico, dwa piętra w dół, dwa w górę, modnych wśród bezdziejnej londyńskiej inteligencji. Islington, a nawet Kentish Town cieszyły się popularnością wśród młodych małżeństw z rodzinami. Ale Pimlico, pięć minut drogi od Westminsteru i West Endu, dziesięć minut w nocy od Chelsea i South Kensington, było wymarzone miejsce dla Angeli. Podpisała krótkoterminową umowę wynajmu, a czynsz opłacała z funduszu powierniczego, założonego przez jednego z jej dziadków w celu uniknięcia podatków.

Przyjęcie — wyłącznie drinki, jeśli nie liczyć greckiej pasty taramasalata i wędzonego łososia na trójkątnych kromkach chleba — rozpoczęło się o siódmej w obu pokojach na parterze, służących Angeli za salon. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by w jednym z nich urządzić jadalnię: nigdy nie jadła w domu.

Goście wchodzili z mroźnego, marcowego wiatru i szli na górę, by zostawić płaszcze na eleganckim łóżku w stylu Ludwika^{XIV}. Wszyscy spieszyli na dół, by przedyskutować nadzwyczajne wydarzenia mijającego dnia, ponieważ sensacyjne zeznania złożone w sądzie w Exeter nie były jedynymi nowinami: pałac Buckingham ogłosił właśnie, że „wewnątrz rodziny królewskiej omawiano separację między księżniczką Małgorzatą a hrabią Snowdown”. Lada moment spodziewano się oświadczenia. Jednak najbardziej oszałamiające oświadczenie wyszło z domu przy Downing Street 10: Harold Wilson złożył rezygnację ze stanowiska premiera.

— Jego koledzy dowiedzieli się o tym dopiero dziś rano, na posiedzeniu gabinetu. Bez słowa wstępu Harold oznajmił, że odchodzi. Cały gabinet oniemiał — mówił redaktor

polityczny „Timesa” do sekretarza spraw zagranicznych w gabinecie cieni torysów.

- Jak sądzisz, kto zostanie następnym premierem? - spytał felietonista „Daily Mail” pewnego posła partii pracy, zasiadającego w dalszych ławach. Każdy z obecnych mający jakie takie wyrobienie polityczne wiedział, że poseł ten nie odegra żadnej roli w zbliżającej się walce o przywództwo, ponieważ we wtorkowy wieczór czołowi parlamentarzyści Partii Pracy poszukiwali sposobów skłonienia kolegów do głosowania na ich człowieka, i żaden z nich nie miał czasu na przyjęcie u Angeli. W sąsiednim pokoju Giles odpoczywał od tego tematu. Zmęczyło go nagle wałkowanie tej kwestii, jako że nikt z obecnych nie miał choćby mglistego pojęcia, dlaczego premier złożył dymisję ani który z ministrów mógłby go zastąpić. Daisy przyłączyła się do Gilesa. Nie zdziwiło jej, że pomagał przy drinkach: wiedziała od Angeli, że zapoznał się już z łóżkiem w stylu Ludwika XIV.

- Tam w kącie jest kanapa, Tuiipanku. Usiądźmy. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie chcą rozmawiać na stojąco.

- Spójrz, z kim przyszedł Ben Franwell - powiedziała Daisy.

Giles zerknął w stronę drzwi.

- Od czasu do czasu nasz redaktor i Rachel Fisher pokazują się razem publicznie - stwierdził. - Może wkrótce wreszcie rozstrzygnę, które z nich jest twardsze. Przypuszczalnie Rachel Fisher. Podobnie jak wielu ludzi lubiących tyranizować otoczenie, Ben jest bardzo podatny na sentymentalizm. U Rachel nikt jeszcze nie wykrył takiej słabości.

- Czy ona tyranizuje otoczenie? Sądziłam, że to potrzeba dominacji — zauważyła Daisy.

- Może masz rację. Jej największe pragnienie to mówić innym, co mają robić. Dlatego wybrała karierę polityczną.

- Rachel?

- Nie wiedziałaś? Ta cała historia pod tytułem Prawa Ręka Wielkiego Redaktora to tylko przystanek.

Inni mogli-

by to nazwać odskocznią, ale ja się nie zgadzam: nawet bez pomocy Bena Franwella Rachel Fisher zostałaby posłanką. Oczywiście kiedy zostanie wybrana do parlamentu, wsparcie Bena jej się przyda.

— Czy ona ma odpowiednie kwalifikacje na posłankę? Krótki śmiech Gilesa zabrzmiał jak szczeknięcie.

— Drogi, kochany Tulipanku. Skąd, u Boga, przyszło ci do głowy, że Izba Gmin wymaga innych kwalifikacji niż arogancka pewność siebie i nienasycone pragnienie, by mówić innym, jak mają żyć?

— No cóż, mogę tylko powiedzieć, że większość ludzi, których tu poznałam, wyraża się grzeczniej o angielskich politykach niż Amerykanie o swoich. Gdzie ona zamierza zostać wybrana?

— Przy odrobinie szczęścia, w Bedfordshire, gdzie konserwatyści mają silne poparcie. Rachel stamtąd pochodzi. Ponieważ ubiegała się już o dwa beznadziejne mandaty, uważa, że zasłużyła na ten bezpieczny okręg. W tym celu trzeba jeszcze przekonać tamtejszego starzejącego się bufona, żeby przeszedł na emeryturę.

— Ile lat ma Rachel Fisher? Wygląda na kobietę bez wieku — zauważyła Daisy.

— Trzydzieści. Znałem ją trochę w Oxfordzie. Mieliśmy wspólnego opiekuna na ekonomii. Potem zaczęła pisać przemówienia w Biurze Centralnym.

-V Co to jest Biuro Centralne?

— Zadajesz sensowne pytania. To główna siedziba Partii Konserwatywnej, Potem, zeszłej jesieni, została nagle osobistą asystentką Bena Franwella. To wszystko bardzo użyteczne dla kogoś, kto pragnie zostać posłem z ramienia Partii Konserwatywnej.

— Czy ona spotyka się z innymi mężczyznami?

— O, tak. Oni są bardzo spragnieni wszelkich kar. Ale podejrzewam, że to Ben Franwell potrafi dotrzeć do czegoś, co można w przybliżeniu nazwać jej sercem.

— Czy Ben kiedykolwiek był żonaty?

— Nie. Przypuszczam, że nie miał czasu. Próbował cię podrywać?

- Nie.

- Zrobi to. Co sądzisz o najnowszej miłości Frances? Daisy rozejrzała się wokół. Do pokoju wchodziła właśnie Frances w towarzystwie dziewczyny o włosach tak rudych jak Gilesa i tak krótko przyciętych jak Angeli.

- Gdzie? - spytała Daisy.

- Tam. Obok Frances. - W głosie Gilesa brzmiały dziwne tony.

- Masz na myśli tę krótko obciętą, rudą dziewczynę? Och!

Przez chwilę Daisy przyglądała się obu kobietom, rozmyślając o tym, czego się właśnie dowiedziała.

- Jest bardzo ładna. Czy wiesz, że znam Frances od miesiąca, a ona nigdy nie powiedziała mi nic o swoim życiu prywatnym? - Mówiąc to, Daisy przypomniała sobie coś, na co wtedy nie zwróciła uwagi, uwagę Frances, że nie jest kimś, kogo Ben „uważa za kobietę”.

- Jedną z rzeczy, która intryguje mnie we Frances, jest fakt, że nie ukrywa swojego biseksualizmu, a jednak nie zanudza wszystkich dookoła swynii skłonnościami - powiedział Giles. - Zresztą, mówiąc o biseksualizmie, opieram się tylko na plotkach z okresu studiów w Oxfordzie. Nigdy nie widziałem nic erotycznego w jej przyjaźniach z mężczyznami. Czy ona próbowała cię poderwać?

- Nie. Nie przyszło mi do głowy, że mogłaby to zrobić.

- A czy sprawiłoby ci przyjemność, gdyby spróbowała?

- Nie sądzę. Nigdy tego nie robiłam.

- Nie wiem, czy Frances znajduje dreszczyk w podniecaniu drugiej kobiety. Szczerze mówiąc, bardzo chętnie bym się dowiedział. Jego głos zabrzmiał dziwnie; Daisy zastanawiała się, czy mogło to być podniecenie. - W Stanach mam przyjaciela, który twierdzi, że to dla niego największa przyjemność, ale chodzi mu o podniecanie intelektualne - powiedziała. - Podejrzewam jednak, że kiedy to robi, podnieca też słuchaczy seksualnie. Mam na myśli, heteroseksualnie.

Przyszło jej na myśl, że za dużo wypła. Zauważyła już

dawniej, że kiedy się wstawiała, nie mogła się oprzeć wspomnianiu Carla. Dzięki temu stawał się jakby bliższy. Giles uśmiechnął się, tak jak to on potrafił, kwaśno, nie otwierając ust.

— Mam nadzieję, że nie mówisz o swym przyjacielu Carlu. Doprawdy nie możemy dopuścić, żeby wszyscy wykładowcy uniwersyteccy podniecali seksualnie swoje studentki.

Daisy wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem i dopiero po chwili zdołała się opanować.

— Nie sugerowałam, że profesor Carl Myer podnieca każdą kobietę, którą spotka.

— Carl Myer? Ależ ty masz znajomych — zdumiał się Giles. - Nigdy dotąd nie wymieniłaś jego nazwiska. Ponieważ, jak sądzę, żadne z was nie pochodzi z Anglii, nikomu z nas nie przyszło na myśl, żeby pytać. Słyszałem wykłady Carla Myera dwa lata temu, kiedy byłem na stypendium w Princeton. Może i jest błyskotliwy, ale, mój Boże, napędza mi strachu. Gdyby postawił na swoim, prezydent Stanów Zjednoczonych naprawdę nacisnąłby guzik, żeby tylko pokazać, że był na to przygotowany. To prawda, poczekałby, aż wiatr powieje we właściwą stronę, wystrzeliłby tylko maciupeńki pocisk, wymierzony w wyspę zamieszkaną wyłącznie przez brązowoskórych. Dlatego reszta z nas nie powinna się zbytnio martwić ani niepokoić odwetem. Jeśli to jest twój kumpel, Tulipanku, muszę ponownie rozważyć propozycję, którą zamierzałem ci złożyć.

Podniósł wzrok.

— Oto nadchodzi torys mający pewne znamiona podobieństwa do istoty ludzkiej - oznajmił - chociaż, sądząc po twojej uwadze na temat brata - nadętego prawnika, możesz się rozczarować. Ten człowiek także jest prawnikiem.

Giles wstał.

— Witaj, Andrew. To Daisy Brewster. Właśnie przyłączyła się do-naszego znakomitego towarzystwa w „Rampar-cie”. Tulipanku, to Andrew Harwood. Wydaje mi się, że ta dama odnosi się z podejrzliwością do prawników.

Na kanapie było miejsce tylko dla dwóch osób. Daisy wstała.

- Dlaczego do nich w szczególności? - spytał Andrew Harwood.

Daisy zmarszczyła nos.

- Nie podoba mi się ich nieuczciwe postępowanie. -Nadała słowom brzmienie bardziej wyzywające, nawet zalotne, niż obraźliwe. Andrew Harwood był rozbawiony.

- Musisz wieść bardzo bezpieczne życie, skoro sądzisz, że tylko prawnicy są zdolni do niesprawiedliwości.

- Ja sama stale postępuję nieuczciwie, ale najczęściej przypadkiem - odparła Daisy. - Wygląda na to, że prawnicy robią na tym karierę. Gdyby patrzyła ostro i sprawiała wrażenie osoby zadowolonej z siebie, Andrew by odszedł. Został jednak, patrząc na Daisy. W szpilkach brakowało jej zaledwie kilku centymetrów do jego metra osiemdziesięciu. Daisy przyglądała się jego piaskowym włosom, piwnym oczom i jasnej piegowanej skórze przypominającej jej własną. Była pewna, że, po zdjęciu prążkowanego, londyńskiego ubrania, ten sam kolor skóry miałby na całym ciele. Był przystojny, ale nie przesadnie. Ilekroć spotykała naprawdę pięknego mężczyznę, przekonywała się, że jego narcyzm pozwalał mu na związek wyłącznie z samym sobą.

- Powinienem ci powiedzieć, Tulipanku - mówił Giles -że od ostatnich wyborów ten prawnik jest także posłem. Pewnego dnia możemy go zobaczyć galopującego na czele tych wszystkich podłych torysów. Zakładając, Andrew, że nie zostaniesz wyprzedzony przez Rachel Fisher, kiedy tylko wskoczy na siodło.

- Co sądzisz o odejściu Harolda, Giles? - spytał Andrew.

- Nadzwyczajne. Można niemal pomyśleć, że miał do spłacenia jakiś dług Jimowi Callaghanowi.

- Dlaczego tak mówisz?

- Cóż, gdyby Harold pozostał do końca kadencji, Callaghan byłby za stary, żeby przyjść na jego miejsce. Odchodząc teraz, Harold czyni Jima swoim najbardziej prawdopodobnym następcą. Cześć, Bron. Znasz wszystkich.

Poza Daisy Brewster. Tulipanku, to Auberon Waugh. Przy rzeczach, które wypisuje o politykach, moje felietony są słodkie jak wata cukrowa. Jak myślisz, Bron, dlaczego Harold to zrobił?

— Andrew. Kochanie.

Z gęstniejącego tłumu wyłoniła się wysoka, mocno umalowana kobieta w obcisłej, eleganckiej wełnianej sukni. Gestem właścicielki ujęła pod ramię Andrew Harwooda, posyłając promienny uśmiech każdej z dobrze znanych osób, ignorując przy tym Daisy.

— Obiecałam sekretarzowi skarbu z gabinetu cieni, że cię znajdę. Jest w sąsiednim pokoju. Potwornie pragnie cię o coś zapytać. Angela powiedziała, że tu jesteś. Szukałam cię wszędzie.

— Co za męka. Całe dwa pokoje do przeszukania — zauważył Andrew. — Znasz wszystkich pozostałych. To jest Daisy. — Nie zapamiętał nazwiska.

— Jak miło cię poznać. Andrew, kochanie, obiecałam, że przyprowadzę cię do Goeffreya. — Nie puszczała jego ramienia.

— Dobrze. Chodźmy. Mam nadzieję, że się później zobaczymy, Giles, Bron. I z tobą, Daisy. Powinniśmy porozmawiać. — Andrew oddalił się z kobietą w bieli.

— Kim ona jest?

— Aktorką — odparł Giles. — Ostatnio przylepioną do Andrew, jak mogłaś zauważyć. Odniosłem wrażenie, że musi go mocno trzymać. Jeśli dopisze jej szczęście, może utrzyma się przez tydzień albo coś koło tego.

Andrew Harwood nie wrócił, żeby porozmawiać z Daisy. Nie chciała też iść na kolację z żadnym z dwóch mężczyzn, których poznała później. Kiedy przyjęcie koło dziewiątej trzydzieści zaczęło zamierać, wyszła sama i wróciła taksówką do małego mieszkania, które znalazła w wiktoriańskim domu przy Lower Sloane. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze od frontu. Pod oknami rozlegał się nieprzerwany warkot silników samochodów i ciężarówek, czekających, aż stojące przed nimi pojazdy miną przejście dla pieszych na Sloane

Square. Zdecydowanie wypła za dużo i zdecydowanie nie miała zamiaru zawracać sobie głowy jedzeniem. Chciała pójść do łóżka.

Kiedy się tam znalazła, poczuła się całkowicie rozbudzona i niespokojna. Sięgnęła do szuflady w kulawym stoliku nocnym, skąd wyjęła duży liniowany blok i długopis. Oparła się na poduszkach.

Najdroższy Carlu...

Ssała kciuk, zastanawiając się, co napisać dalej.

Dziś wieczorem ktoś, kto słyszał kiedyś wykład Myera, powiedział mi, że jesteś niedobry. To prawda, opinię tę wygłosił ten sam Giles, na którego już się skarżyłeś z powodu jego ponurych poglądów na temat amerykańskich baz lotniczych. (Odpowiadając na Twoje pytanie: nie, nie wygłasza tych śmieciarskich kazań na łamach „Ramparta”. Giles przeprowadza w felietonach sekcję charakterów polityków, ale kierunki polityki popierane przez redaktora wolno mu atakować tylko aluzyjnie. Dlatego Giles odejdzie stosunkowo szybko.) Będziesz zadowolony: on przyznaje, że jesteś błyskotliwy. Nie, nie zauważyłam tu żadnego antysemityzmu. Piszesz, że ma tu on pewnie formę bardziej dyskretną, więc może dlatego nie zwróciłam na niego uwagi. Kiedy opowiedziałam Angeli i Gilesowi o nastawieniu moich rodziców, Angela stwierdziła, że nigdy nie rozumiała mentalności białych protestantów. Powiedziała, że angielscy rodzice nie żywią żadnych uprzedzeń do Żydów, póki ci są bogaci. Ale kiedy powiedziałam, że nie jesteś bogaty, odparła „Och”.

Nie mówiłam jej jeszcze, że już jesteś fetowany pośród tęgich głów jako Jastrząb Intelktualny, chociaż nie jestem pewna, czy wywarłoby to na niej takie wrażenie jak na Gilesie. Na mnie początkowo też nie wywarło. To Twój wygląd fizyczny zwałił mnie z nóg. W tym względzie moi rodzice mają rację. Mylą się jednak, sądząc, że tylko to mnie w Tobie pociąga i dlatego „mi to minie”. Ilekroć moja matka pytała płaczliwie, dlaczego nie mogłam się zakochać w innym akade-

53

miku, zawsze irytowała ją moja odpowiedź. Oczywiście podobał mi się szef wydziału rzeźby w Radcliffe, ale mogło tu grać rolę połączenie jego natury macho z tymi wszystkimi nagimi modelami, wywołującymi we mnie myśli bynajmniej nie duchowe.

Macho. Nagi. Domyślisz się, w którą stronę płyną moje myśli. Chciałabym, żeby w tym pokoju był telefon; mogłabym powiększyć Twój rachunek telefoniczny, chociaż twierdzisz, że wolisz listy.

Kiedy kochamy się w dzień albo przy zapalonym świetle, reaguję na to, co ze mną robisz, a jednocześnie Ci się przyglądam. Ostatnio zastanawiałam się, co wolę: obserwować Twoje dłonie czy skupioną twarz.

Myśli Daisy przerwał ostry łomot i odgłos rozbijanego szkła.

Daisy wyszła z łóżka, odsunęła jedną z zasłon i zbliżyła twarz do szyby. Jakiś mężczyzna wysiadał z samochodu, którym najechał na inny, zaparkowany przy krawężniku. Mężczyzna oglądał rozmiary uszkodzenia. Daisy dostrzegła z okna rozbite tylne światło drugiego samochodu. Kiedy kierowca stał, z rękami na biodrach, oglądając stłuczkę, latarnia uliczna oświetliła jego piaskowe włosy.

W głowie Daisy momentalnie zaświtała myśl, że to może Andrew Harwood, który dowiedział się, gdzie mieszkała, wypił za dużo i postanowił zadzwonić do jej drzwi.

Mężczyzna o piaskowych włosach podszedł do schodów sąsiedniego domu, zadzwonił i po chwili zniknął w środku. Daisy poczuła ukłucie zawodu.

Odchodząc od okna przywołała się do porządku: to komiczne. Dzieje się tak tylko dlatego, że czuje się samotna.

Schowała nie dokończony list do Carla do szuflady, zgaszyła lampę i wróciła do łóżka. Leżała na boku, patrząc na blade światło latarni sączące się przez zaciągnięte zasłony.

Tej samej nocy konserwatysta z dalszych ławek, którego wcześniej tego wieczoru Giles nazwał „starzejącym się bufonem”, poseł z okręgu Bedford Forge, umarł na zawał serca.

7

Następnego dnia po południu Giles pchnął w stronę Daisy numer „Evening Standard”.

— Oto polityka — powiedział.

Na pierwszej stronie widniały dwa krótkie akapity na temat nagłej śmierci posła z Bedfordshire. Mała fotografia pochodziła zapewne sprzed dwudziestu lat. Artykuł składał się głównie ze spekulacji na temat następcy zmarłego.

— Na drugiej stronie — oznajmił Giles — znajdziesz większe i bardziej aktualne zdjęcia.

Daisy przewróciła stronę.

Większe zdjęcia twarzy przedstawiały sześciu konserwatywnych kandydatów na stanowisko posła z Bedfordshire. Najbardziej rzucała się w oczy fotografia całej twarzy Rachel Fisher.

Następnego ranka, marszcząc brwi nad maszyną do pisania, Daisy roztargnionym ruchem podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu.

— Tu Andrew Harwood. Mam nadzieję, że przypominasz mnie sobie z przedwczorajszego przyjęcia.

Giles mówił, że jego biurko stoi naprzeciwko twojego. Czy on tam teraz siedzi?

Daisy podniosła wzrok.

— Nie.

— Ponieważ jest czwartek i Giles myśli o swoim felieto-

53

nie, poszedł pewnie do apteki po sodę kaustyczną. Czy wszyscy ludzie w twojej redakcji zakładają się o to, kto zostanie następnym premierem?

— O niczym innym nie mówią — potwierdziła Daisy. — Żałuję, że nie wiem więcej o Partii Pracy.

— Masz dobrego nauczyciela w osobie Gilesa. Ciekaw jestem, czy zechcesz zjeść ze mną kolację i wyjaśnić trochę dokładniej, dlaczego nie lubisz prawników?

— Dobrze.

Brzmiało to zuchwale, była przez telefon niezobowiązująco zadowolona, ale kiedy odłożyła słuchawkę, zdumiała ją nagła fala rozkoszy. Czy nie powinna odczuwać winy, tak bardzo ciesząc się na wieczór z kimś innym niż Carl? Wytłumaczyła sobie jednak, że całe to podniecenie jest pewnie częścią nowej przygody związanej z życiem w obcym kraju.

Spotkali się w poniedziałkowy wieczór w Langan Brasserie na tyłach Piccadilly. Daisy była tam po raz pierwszy. Podobały jej się wolno obracające się wentylatory z lat dwudziestych, lustra na kolumnach i atmosfera *belle epoque*.

Główny kelner zaprowadził ją na tyły sali, gdzie Andrew siedział przy stoliku pod oknem i wyglądał na ulicę Strattóh. Wstał, żeby ją przywitać.

Zastanawiała się, dlaczego na przyjęciu u Angeli pomyślała, że Andrew jest cały w jednym kolorze.

Jego piwne oczy miały bez wątpienia inną barwę niż piaskowe włosy. A jego skóra, ładna skóra, zauważyła to już wcześniej, była lekko zarumieniona pod piegami. To zabawne, że jego wygląd tak ją pociągał — przecież była uzależniona od kontrastu między jasną skórą a ciemnymi włosami.

— Ponieważ jesteś Amerykanką, może wypijesz koktajl z wytrawnego martini. Potrafią go tu przyrządzać. Czysty — polecił wymuskanemu kelnerowi we francuskiej kamizelce — z dwiema oliwkami i odrobiną cytryny.

Odwracając się do Daisy, Andrew zapytał:

- Jak się pracuje dla Bena Franwella?
- Jeszcze za wcześnie, żeby to ocenić. Wygląda na tyrana, który także potrafi być opiekuńczy.
- Czy zmusza cię do przyjmowania w artykułach jego punktu widzenia?
- Nie. Ale może nie napisałam jeszcze nic takiego, co by wywołało jego uprzedzenia.
- Nie ma na świecie rzeczy, która nie wzbudzałaby uprzedzeń Benjamina Franwella.
- Co sądzisz o jego felietonach? Słyszałam, że czytają je wszyscy politycy.
- Włos jeżyłby się od nich na głowie, gdyby Franwell nie był również mistrzem rozrywki. Pisze o ludziach tak okropne rzeczy, że chce mi się śmiać. Jak na razie — dodał Andrew. Wskazał na „Evening Standard”, który położył na podłodze. Czytał go czekając na Daisy. Na pierwszej stronie wydrukowano fotografie pięciu osób, które włączyły się do wyścigu po przywództwo partii pracy i urząd premiera.
- Ciekawi cię to wszystko?
- Naturalnie. Ale jestem tu zbyt krótko, żeby wiedzieć, wiele o tych ludziach, których nazwiska spotykam codziennie w prasie. Nie rozumiem też namiętności Partii Pracy do wojny domowej.
- My również trochę wojujemy, tyle że niepublicznie. Powinnaś usłyszeć niektóre z jadowitych opinii, jakie torysi wygłaszają o Margaret Thatcher za zamkniętymi drzwiami. A przecież jest naszą szefową dopiero od roku. To trochę za krótko. Czy w Stanach angażowałaś się w politykę?
- Nie. Moje uczucia w stosunku do pokonanych są niejasne. Lubię wtykać szpilki swoim konserwatywnym „wielbicielom”. Ale w przeciwieństwie do wielu ludzi w Rad-cliffe, nie zaangażowałam się w politykę. - Czy tam właśnie studiowałaś?
- Tak, chociaż ostatnie dwa lata spędziłam na Columbii, gdzie studiowałam rzeźbę. Chcę rzeźbić posągi. Smakowało jej czyste martini, szczypiące lekko w język. Nie lubiła martini z lodem, który rozwadniał drinka, przez

co stawał się on mniej ekscytujący, a poza tym nie czuło się jego mocy.

— Jakie rzeźby chcesz tworzyć?

— Portrety: głowy. A także ptaki, konie. Gdybym rzeźbiła je teraz, chciałabym, żeby wyrażały to, jak ptak czy koń się czuje, a nie jak je widzimy.

Andrew uśmiechnął się lekko, zarówno do niej jak i do siebie.

— Jakim materiałem się posługujesz?

— Gliną. Chciałabym kiedyś pracować w marmurze, jeśli będzie mnie na to stać.

— Dlaczego nie kontynuujesz w Londynie studiów rzeźbiarskich, zamiast pracować dla „Ramparta”?

A może prowadzisz przygotowania do wykonania popiersia Benjamina Franwella?

Ta myśl ją rozśmieszyła.

— Nie mogłabym się utrzymać z rzeźbienia. W każdym razie nie jako całkowita nowicjuszka.

„Rampart” płaci przyzwoite pieniądze, nawet jeśli nie ma się dużego doświadczenia. Poza tym to frajda. Świetny sposób na zawieranie przyjaźni w obcym mieście.

— Dlaczego chciałaś tu przyjechać? Połowa znanych mi ludzi poszukuje stypendiów, dzięki którym mogliby spędzić rok w Ameryce. Daisy nie chciała go okłamywać. Z drugiej strony, nie istniało prawo, które zmuszałoby ją do opowiadania historii swego życia każdej napotkanej osobie. Czasami podejrzewała, że naturalna zalotność mogła mieć związek z niechęcią opowiadania mężczyźnie o jej miłości do innego. W milczeniu przyjrzała się resztkom martini.

Andrew roześmiał się.

— Przyznaję, że to nie mój interes. Złożmy zamówienie. Nad *croustade d'oeufs de caille* sama zadała kilka pytań. Dowiedziała się, że Andrew ma trzydzieści lat. Domyślał się, że został splotzony niemal natychmiast po powrocie ojca z drugiej wojny światowej. Kształcił się w Marlborough i tam poznał Gilesa. Potem Oxford, w Balliol. Jego rodzice lubili się nawzajem. (— Moi też. Bardzo. Są razem uroczy

— powiedziała Daisy.) Harwoodowie mieli spory kawał ziemi w Shropshire. Ojciec Andrew nazywał siebie farmerem, chociaż inni mogliby go nazwać ziemianinem. Miał tytuł baroneta.

— Nadal nie wiem, co to jest baronet - przyznała Daisy.

— A czemu niby miałabyś to wiedzieć? — odparł ze śmiechem Andrew. - Nikt, kto nie pochodzi z tego kraju, nie pojmuje naszych dziwacznych tytułów.

— Ale czy to coś takiego jak szlachcic? — nalegała Daisy. - Obu tytułuje się „Sir Jakiśtam Jones”, prawda?

— Absolutnie. Różnica polega na tym, że szlachectwo umiera razem z tobą. Tytuł baroneta jest dziedziczny. Mój ojciec został siedemnastym baronetem. Któregoś dnia zostanę pewnie osiemnastym, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Mogę wcześniej wpaść pod autobus.

— Czy to, że jesteś baronetem, sprawia, że czujesz się kimś ważnym?

— Niezbyt. Powinienem ci powiedzieć, Daisy, że jest to najniższy z tytułów dziedzicznych. Jego dobra strona polega na tym, że można go nosić, a przy tym nadal zasiadać w Izbie Gmin. Dlatego kiedy ktoś chce zostać premierem, nie musi przechodzić przez tę całą szopkę ze zrzekaniem się tytułu, jak to musieli zrobić Tony Benn i Lord Hailsham.

— Masz rodzeństwo? — spytała Daisy.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że się zawahał.

— Mam brata.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś nie był pewien - stwierdziła ze śmiechem.

Andrew zmarszczył brwi.

— Nie zgadzacie się ze sobą? — zapytała.

— Zgadzamy się bardzo.

Zmarszczenie czoła nie uszło jej uwagi. Żałowała, że spytała go o coś, o czym najwyraźniej nie chciał mówić.

Spojrzała na liczne obrazy na przeciwległej ścianie. Podobało jej się, że między francuskimi plakatami z lat dwudziestych powieszono obrazy Davida Hockneya.

Kiedy ponownie spojrzała na siedzącego naprzeciw

58

mężczyznę, Andrew patrzył na nią przyjaźnie, a jednocześnie z rezerwą.

— Dlaczego chciałeś zostać prawnikiem? — spytała. Musieli w końcu o czymś rozmawiać, a ponadto była ciekawa.

— Zgoda, możesz pytać. Najpierw jednak wytłumacz, dlaczego powiedziałaś to wtedy u Angeli. Chociaż myślę, że potrafię zgadnąć. Powiedziałaś, że prawnicy robią kariery na niesprawiedliwości.

— Zawsze uważałam mojego brata za uczciwego człowieka. Kiedy wygrał pierwszą sprawę jako adwokat i przyszedł do domu taki dumny, okazało się, że wybronił przestępcę, a ukarana została niewinna strona pozywająca.

— Jaka. to była sprawa?

— Żaden gwałt ani nic w tym rodzaju. Chodziło o pieniądze. Mój brat wybronił klienta, opierając się na jakimś kruczku prawnym, a wdowa, która dochodziła sprawiedliwości, została zrujnowana. Według mnie to odrażające.

— Według mnie również. Szczerze mówiąc, trudno mi teraz sobie przypomnieć, kto namówił mnie na studia prawnicze. — Znowu lekkie wahanie w głosie. Dalej mówił tak, jakby opowiadał o kimś innym. — Od czasów Oxfordu sądziłem, że zajmę się polityką, chociaż długo tego nie robiłem. Może po prostu dlatego, że chciałem zarobić trochę pieniędzy.

Zastanawiała się, dlaczego mimo śmiechu jest taki spięty. Czowała też lekkie rozczarowanie.

Wychowana wśród wyższych sfer w Filadelfii nabrała lekkiej pogardy do ludzi, których podstawowym celem było zarabianie pieniędzy. Andrew uśmiechnął się na widok zawodu, jaki odmalował się na twarzy Daisy. — Może ci się to wydać wulgarne — powiedział — ale w tym kraju pensje polityków są o niebo niższe niż to, co płacicie swoim prawodawcom w Stanach. Nie widzę też powodu, dla którego prawnik nie miałby czasami poszukiwać także sprawiedliwości. Nie wziąłem natomiast pod uwagę nudy związanej z przystąpieniem do korporacji prawniczej i obowiązku pokazywania się na ustalonej liczbie

kolacji w ciągu roku. Szalony angielski rytuał. Może chciałabyś kiedyś przyjść i obejrzeć sąd? - Uśmiechnął się, znowu rozluźniony. - Zobaczysz moich kolegów, przechadzających się w drogich perukach z drugiej ręki, robiących sobie nawzajem dowcipy niepojęte dla nikogo spoza tego środowiska.

- W jaki sposób znajdujesz czas na zajmowanie się prawem i polityką?

- Nie mógłbym tego robić, gdybym był ministrem. Jest to możliwe, jeśli ktoś jest w opozycji, tak jak my. Obrady w Izbie Gmin rozpoczynają się dopiero o drugiej trzydzieści.

- Jakimi sprawami się zajmujesz?

- Różnymi. Jutro bronie dwóch gości, których nie stać na własnego adwokata, więc przydzielono im go z urzędu. Taka praca nie jest dobrze płatna, ale odpowiada mi. Nie jestem stuprocentowym sknerą. Na początku długiego pomieszczenia rozległ się potworny łoskot. Andrew odwrócił się na krześle, Daisy także spojrzała w tamtą stronę. Żadne z nich nie zauważyło trzech osób, które się tam pojawiły przed dziesięcioma minutami. Dwa stołki barowe były teraz puste, a trzeci przewrócony. Dostrzegli dwie nachylające się nad kimś głowy, jedną o włosach koloru marchwi, drugą srebrnoblond. Giles Alexander i Frances podnosili z podłogi swego towarzysza, a kelner stawiał wysoki stółek.

- No, tak - powiedział ponuro Andrew, chociaż kiedy wstał, zaczął się śmiać. - Zostań tu. Zaraz wracam. Daisy obserwowała, jak podchodzi do trio przy barze, stanowiącego nadal centrum uwagi gości. Ujrzała, że młody człowiek otrzepujący nogawki spodni, miał piaskowe włosy jak Andrew, który teraz położył tamtemu rękę na ramieniu. Cała czwórka ruszyła od baru do wyjścia; Frances podpieraa chwiejącego się towarzysza z jednej strony, Andrew z drugiej, a Giles zamykał pochód. Po kilku minutach Andrew wrócił do stolika.

- To był Nelly - oświadczył.

- Kim jest Nelly?

— Nelson Harwood. Mój brat. Nie zdaje sobie sprawy, że w wieku dwudziestu ośmiu lat powinien trochę wydorosnąć.

Niedługo przed północą Andrew zaparkował Scimitara SE6 przed domem przy Lower Sloane. W sprawach kobiet był dość rozpieszczony, jak to często dzieje się z kawalerami będącymi dobrą partią. Zastanawiał się, czy Daisy pociągała go między innymi dlatego, że nie zachowywała się tak, jakby była w nim zakochana. Przy kolacji zabawili dłużej, ciesząc się rozmową o ich odmiennych widzeniach świata; zapoznawali się nawzajem ze swymi sposobami myślenia, mówiąc jednak niewiele o życiu osobistym. Nie powiedziała mu, dlaczego przyjechała do Londynu. Uznał, że dalsze naciskanie byłoby tego wieczoru niewłaściwe.

Odprowadził ją pod drzwi jej domu, gdzie nachylił się i pocałował Daisy lekko w policzek: można było zinterpretować ten gest jako zwykłą uprzejmość.

— Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

Weszła na piętro i przekręcając klucz w zamku poczuła ulgę, że nie zapytał, czy może wejść na pożegnalnego drinka przed snem. Mieszkanie było tak małe: jeden pokój w kształcie litery L, z kuchnią i łazienką tuż obok, że dwie osoby siedzące w dwóch fotelach musiały czuć intymną bliskość, bez względu na faktycznie panujące między nimi stosunki. Przekonała się o tym, kiedy ihny mężczyzna, z którym umówiła się na kolację, wstąpił na drinka. Wyproszenie takiego gościa mogło się też okazać kłopotliwe. Dlatego była zadowolona, że Andrew pożegnał się na zewnątrz.

Jednocześnie czuła lekki niepokój. Może mu się nie spodobała? Ale jakie to miało znaczenie, skoro przecież była w pełni zaangażowana w związek z Carlem? Powiedziała sobie wesoło, że jedynym powodem, dla którego obchodziło ją, co Andrew Harwood sądził na jej temat, była jej próżność.

Prawie jej się udało przekonać samą siebie.

8

Kiedy ktoś siedział z Benem Franwellem na tylnym siedzeniu Jaguara, szofer zawsze zamykał szybę działową. Aby uniknąć klaustrofobii, Angela przycisnęła guzik, opuszczając boczne okno o kilka centymetrów. Powietrze w tę marcową noc było raczej rześkie niż zimne. Uśmiechnęła się, kiedy samochód okrążył zachodnią stronę Parliament Square.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że w tym momencie cały rząd spieszy pod Numer Dziesiąty na pożegnalną kolację premiera? Jak myślisz, o czym będą rozmawiać?

Ben uśmiechnął się szeroko.

- Sześciu kandydatów będzie udawać, że nie mają pojęcia, że tuż po przeciwnej stronie ulicy ich fagasi zakładają pętle na szyję wszystkim niezdecydowanym posłom partii pracy.

Angela odwróciła się od okna.

- Rozwazałeś możliwość poślubienia Rachel?

- Tak. Jest bardzo atrakcyjna. Lubię jej igrę. Ale nie jest kimś, kogo chciałbym mieć za żonę.

Chciałbym, żeby moja żona stawiała mnie, a to oznacza moją karierę, na pierwszym miejscu. Rachel potrzebuje męża, który będzie stawiał ją, czyli jej karierę, na pierwszym miejscu. Podziwiamy w sobie nawzajem tę cechę, która nas łączy, ale jednocześnie wyklucza możliwość małżeństwa.

Trzymał dłoń na kolanie Angeli. Był zadowolony, że włożyła spódnice. Pamiętał swoje zakłopotanie, kiedy, jadąc

z nią pewnego dnia na lunch, położył jej dłoń na kolanie, a Angela miała na sobie spodnie dżentelmena z City.

Zaczął pieścić jej kolano. Nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie kobiet. Lubił Rachel między innymi dlatego, że podchodziła do seksu niemal tak, jakby była kumpelką. Nigdy nie uciekała się do tego, co uważał za kobiece sztuczki, jak Angela, która robiła z siebie pół chłopca, pół dziewczynę. Musiał jednak przyznać, że bardzo go pociągała. Poza tym lubił pokazywać się w towarzystwie różnych kobiet. W tych czasach, kiedy się było kawalerem po trzydziestce, należało pokazać, że to nie dlatego, że się jest jakąś pieprzoną ciotą.

Szofer zatrzymał samochód przed Annabel's. Odźwierny uniósł kapelusz.

— Dzień dobry, panie Franwell.

Lokaj, który otworzył wysadzane mosiądzem drzwi, powiedział:

— Witamy, panie Franwell. Czy mogę wziąć od pani płaszcz?

Do przodu wystąpił kierownik sali.

— Ten sam stolik, co zawsze, sir?

Kelner wysunął do przodu stolik, żeby Angela mogła się precyzyjnie i usiąść na kanapie przylegającej do ściany, a Ben obok niej. Lubiła widzieć innych gości, będąc od nich jednocześnie odgradzona masywnymi kolumnami pełnymi luster, wspierającymi sklepiony sufit. Jednak przyzwyczajenie się do półmroku Annabel's sprawiało jej kłopot.

— Gdybym wiedziała, że wybieramy się tutaj, zjadłabym wcześniej garść marchewek. Nic nie widzę, do cholery. Czy dorastając w Hull, wyobrażałeś sobie, że pewnego dnia wszyscy ci sługusi będą mówić: „Czy życzy pan sobie czegoś, panie Franwell? Czy chciałby pan, żebym oczyścił pańskie buty z gówna, panie Franwell? Czy zechciałby pan kopnąć mnie w zęby, panie Franwell?”

— Wyobrażałem to sobie. Wyobrażałem sobie też, że będzie mi towarzyszyć piękna kobieta, która cieszyła się w młodości przywilejami, jakie mnie zostały odmówione. Czego się napijesz?

Pijąc wódkę, Angela wróciła do tematu Rachel Fisher.

— Nie chodzi o to, że ona jest wobec nas grubiańska. Ona nas po prostu nie widzi, chyba że prosimy o spotkanie z tobą.

— Dlatego jest taką dobrą prywatną asystentką. W istocie Rachel widzi więcej, niż przypuszczasz. Będzie mi jej brakować, kiedy odejdzie.

— Dlaczego nie może dalej dla nas pracować, zanim faktycznie wybiorą ją do Izby Gmin?

— Mam zamiar wspierać jej karierę polityczną. Lepiej, żeby zerwała formalne więzy z „Rampartem”, kiedy tylko wytypują ją na kandydatkę.

— Dlaczego uważasz, że ci torysi z Bedfordshire ją wytypują? Nigdy dotąd nie mieli posłanki.

— W polityce nie ma nic pewnego. Rachel ma ich w garści. Pisała przemówienia dla ich byłego bohatera. Odrobiła pańszczyznę, ubiegając się w wyborach o beznadziejne mandaty. Pół roku pracy w „Ramparcie” jej nie zaszkodziło, a w tym samym czasie wygłaszała przemówienia w Bedfordshire i hrabstwach wokół Londynu. Rachel reprezentuje wartości przyzwoitych, ciężko pracujących ludzi, które wielu konserwatystów woli w głębi serca od afektacji tych ciołków z wyższych sfer, z ich pieprzeniem współczuciu. Wygłaszać kazania o cholernym współczuciu potrafi każdy, kto nigdy nie musiał pracować. Jeśli ją odrzucą, to dlatego, że jest kobietą, a odkąd Margaret Thatcher została przewodniczącą partii, nawet komitet torysów złożony z samych męskich szowinistów zawaha się przed publicznym oświadczeniem, że jakaś kobieta się nie nadaje. Myślę, że Rachel potrafi się im sprzedać. A kiedy ją już wybiorą na kandydatkę, nikt jej nie ruszy. Bedfordshire to okręg wyborczy, w którym żaden niekonserwatysta nie zostanie wybrany na posła.

Kilka sekund po tym, jak Angela zgasła papierosa w onyksowej popielniczce, pojawił się kelner i ją sprzątnął, a inny natychmiast przyniósł czystą. Angela zapaliła kolejnego papierosa.

Zwróciła się do Bena.

— Wkrótce po moim przyjsciu do „Ramparta” powiedziales mi: „Ludzie twierdza, ze wladza korumpuje, pieniadze korumpuja. Powiem ci, co korumpuje: Przyjazn”.

Ben zaasmial sie z zadowoleniem.

— Alez bylem sprytny! Wyobraz sobie, ze krytyk teatralny ma napisac recenzje ze zlej sztuki napisanej przez jego przyjaciela. Czy sadzisz, ze ten krytyk moze pisac szczerze? Nie chce utrzymywac wielu przyjazni, miedzy innymi dlatego, ze przez nie stalbym sie miekki: nie moglbym wlasciwie wykonywac swojej pracy.

Angela palila. .

— Wiem, co sobie myslisz - mowil Ben. - Ale Rachel juz jest moja przyjaciolka. „Rampart” nigdy jej nie zaatakuj. Po co, do cholery, ma sie wladze, jezli nie mozna z niej korzystac wedle wlasnej woli? Twarz Angeli pozostala bez wyrazu.

— Sadzisz, ze Giles jeszcze dlugo u nas zostanie?

— Znasz tych lewicowcow, lejacych lzy nad uciwnionymi. Dopoki Giles Alexander bedzie dostawal ladna pensje i mial zapewniona eksponowana pozycje, dopoty uda mu sie pokonywac wlasne sumienie. Powiem ci dokladnie, jak on to widzi: poniewaz zadna przyzwoita lewicowa gazeta nie moze mu zapewnic tak szerokiej grupy czytelnikow jego jadowitych napaści na torysow, to w interesie partii pracy jest jego praca dla „Ramparta”. Jego interesy doskonale zgadzaja sie z moimi: lubie trzymac oswojona lewicowa kobre.

— Frances twierdzi, ze w zeszlym tygodniu kazales jej usunac z recenzji ton antytorysowski.

— Dlatego, ze nie mial on zadnego zwiazku z ksiazka. Najczesciej pozwalam, zeby takie numery uchodzily jej na sucho, bo pisze bardzo dobre felietony. Zreszta to nie poglady Frances staja mi koscia w gardle, tylko jej zboczenie. Rachel mowila mi, ze Frances sie tym nie afiszuje w redakcji i lepiej, zeby tego nie robila. Jezli sprubuje swoich numerow z moimi dziewczynami, wylatuje.

Główna część ich rozmowy przy kolacji dotyczyła plotek. Adwokaci „Ramparta” byli niezwykle czuli na punkcie zniesławienia, toteż artykuły Angeli często poddawano zmianom. Ben zawsze chciał usłyszeć pieprzne historie, które nie mogły się ukazać drukiem. Angela była kopalnią informacji o tym, kto był czyim kochankiem, które małżeństwa były nimi wyłącznie z nazwy, które znane osobistości wołały sypiać we troje. Lubieżność Bena wynikała z faktu, że jego życie seksualne nie było zadowolające. Angelę mniej ekscytowały te wszystkie sprośne szczegóły, ale z przyjemnością zaspokajała jego ciekawość.

Przy kawie powiedział:

- Widujesz się często z Daisy Brewster. Jaka ona jest?

— To zabawna, miła, inteligentna dziewczyna, zakochana w amerykańskim akademiku, którego jej rodzice nie akceptują. Ciekawe, czy pozostanie w nim zakochana. Wczoraj wieczorem Frances widziała ją w Langan's z Andrew Harwoodem. Frances nie mogła obserwować rozwoju wydarzeń, bo ktoś spadł ze stołka barowego i wymagał jej pomocy.

— Jedna z jej odpychających młodych dam?

— Tak się składa, że Frances była w towarzystwie dwóch znanych ci mężczyzn, Nelly'ego Harwooda i Gilesa.

- Rozumiem, że Nelly Harwood może mieć coś wspólnego z Frances, ale skąd do nich Giles?

- Wybacz Ben, ale nie wszyscy traktują homoseksualistów jak trędowatych. Giles i Nelly przyjaźnią się od czasów Marlborough. Nie zdziwiłabym się, gdyby Frances interesowała Gilesa więcej niż platonicznie. - No, kurwa, chyba zwariował!

— Zakładając, że mówisz metaforycznie, dlaczego tak uważasz? Frances ma kilku przyjaciół wśród mężczyzn. W Oxfordzie miała podobno kilka romansów z mężczyznami.

— I kobietami. Niedobrze mi się robi. Angela wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

- Kfcry spadł ze stołka w Langan's? Nelly Harwood czy Gilel?

— Nelly. On sporo pije.

— Jak wszystkie pedały. W ten sposób unikają zastanawiania się nad sobą. Co się potem stało?

— Frances mówiła, że Andrew przyłączył się do nich na dostatecznie długi czas, by pomóc w godnym wyprowadzeniu Nelly'ego.

— Mogę się o coś z tobą założyć, Angelo. Pewnego dnia, kiedy będą się ważyć losy politycznych ambicji Andrew Harwooda, ten jego zboczony braciszek wywoła skandal publiczny, który raz na zawsze pogrzebie karierę pana Harwooda. — Czemu Andrew tak cię interesuje?

Ben miał niezły refleks, jednak tym razem nie znalazł gotowej odpowiedzi. Intensywne, niebieskie oczy rozglądały się po mrocznej sali, zatrzymując się na moment na dobrze odżywionych, znanych twarzach, ledwo dostrzegalnych przy kilku sąsiednich stolikach.

W końcu powiedział:

— Rzygać mi się chce od tych jego bredni o współczuciu. Nie cierpię pierdolonych arystokratów z tym ich *noblesse oblige*, odnoszących się do reszty świata protekcyjnie, tylko dlatego, że stać ich na wielkoduszność i „troskę”. — Słowo to opatrzył pogardliwym cudzysłowem. — Imponuje mi ikra Rachel Fisher, która sama musiała do wszystkiego dojść. Chcesz tu zostać?

— Niekoniecznie — odparła Angela.

Kiedy Jaguar zatrzymał się przed domem Angeli w Pim-lico, Ben położył dłoń na jej kolanie.

— Może wejść na drinka? — spytał z uśmiechem.

— Nie dzisiaj — odparła. — Mam okres. Chcę się położyć dość wcześnie. Jestem pewna, że jutro mój redaktor będzie wymagał ode mnie pełnej jasności umysłu.

Kiedy tylko wspomniała o menstruacji, Ben cofnął dłoń. Pilnowała jednak, żeby nie-zranić jego uczuć. Domyślała się, że był dość mocno zablokowany seksualnie. W każdym razie brakowało mu pewności siebie w osobistych relacjach z kobietami.

Zresztą naprawdę miała okres. A gdyby nawet nie

miała, zastanawiała się, zdejmując ubranie przed długim lustrem na drzwiach sypialni, to nie była pewna, czy chciałaby się zaangażować w związek z szefem. Może najprościej będzie nie dopuszczać, by jego dłoń posuwała się ponad kolano.

W mieszkaniu w Barbican, gdzie książki do recenzji piętrzyły się bezładnie na większości płaskich powierzchni, Frances przyglądała się bladymi oczami Gilesowi, kiedy położył dłoń na jej udzie.

— Widzę, że nie tracisz czasu na wstępy — zauważyła. Minutę wcześniej siedział po drugiej stronie pokoju, popijał szkocką z wodą sodową i rozprawiał o następcy Harolda Wilsona na stanowisku premiera. Giles wyjaśnił, dlaczego czterech kandydatów nie ma szans.

— Zostaje więc Michael Foot i Jim Callaghan. Posłowie z partii pracy są w naturalny sposób zainteresowani kimś, kto da pracę swoim zwolennikom. Jim działa od trzydziestu lat. Jim da im to, czego oczekują. To powiedziawszy, Giles odstawił szkocką, podszedł do kanapy, na której siedziała Frances, usiadł obok i podwinął jej spódnicę nad kolana.

— Wstęp trwał kilka tygodni - powiedział. - Bez względu na to, czy rozmawiamy o Iris Murdoch czy o Haroldzie Wilsonie, zawsze staram ci się przekazać, że interesuje mnie zarówno twoje ciało jak i umysł.

— Ostatnio zaczęło to do mnie docierać.

— Podoba ci się to?

— Informacja, którą mi przekazywałeś? Czy sposób, w jaki dotykasz tego, co moja matka nazwałaby intymnymi częściami ciała?

— Och, Frances, chodźmy do sypialni.

Kiedy się tam znaleźli, Giles ją rozebrał. Początkowo został w ubraniu, rozpinając tylko spodnie.

Położył się przy Frances, wciąż jeszcze jej nie całując, po czym dotknął obu sutek. Sterczały wyprężone na krągłych, pulchnych piersiach. Potem przesunął dłoń tam, gdzie spoczywała wcześniej, ale

tym razem ją zatrzymał, obejmując włosy, tak samo srebrne, jak proste włosy opadające jej na ramiona.

— Powiedz mi, jak to jest, kiedy idziesz do łóżka z kobietą — poprosił. — Czy robisz jej to, co ja teraz tobie, czy ona robi to tobie?

— Różnie — odparła, patrząc mu w oczy. Tylko jej sutki zdradzały jakąkolwiek reakcję na jego pieśczoć. — Zazwyczaj się zmieniamy.

— Kto zaczyna?

— Ja lubię to robić.

— Czy lubisz uwodzić takie, które nigdy nie kochały się z kobietami?

— Tak. — Odpowiedziała na pytanie poważnie i prosto. Giles kochał ją za to.

— Co robisz najpierw?

— Czasami to samo, co zrobiłaś w drugim pokoju. Czasem zaczynam tutaj, w ubraniu albo bez. — Przesunęła sobie jego dłoń na pierś. — Jeśli jest ubrana, a na początku tak zazwyczaj jest, mogę rozpiąć jej bluzkę i wsunąć rękę. Jeśli nosi stanik, mogę wsunąć palce pod spód. Uwielbiam, kiedy sutki nagle twardnieją. — Masz na myśli jej sutki? — spytał Giles.

— Tak. — Giles poczuł, jak sutka pręży się pod jego dłonią. Zaczął zataczać palcem wokół niej kręgi.

— Wspaniała w drugiej kobiecie jest jej identyczność — mówiła — dotyk jej piersi na moich.

Zastanawiam się czasem, czy to forma narcyzmu, bo istotą najbardziej do mnie podobną jest druga kobieta. Czasami myślę, że może chodzi o współodczuwanie, o wzajemne rozumienie swoich ciał, skłanianie ich do reagowania. Mężczyźni wyobrażają sobie podobno, że lesbijki postępują ze sobą bardzo szorstko, wpychają w siebie wibratory, że ich przemoc jest podobna do męskiej. My tego nie robimy, przynajmniej nie ja. Nasz erotyzm jest bardziej czuły i umiejętny, bo dokładnie wiemy, co czuje druga osoba. Z drugą kobietą mogę przedłużać rozkosz bardziej, niż się śni któremukolwiek mężczyźnie. — Lepiej przerwij na chwilę ten opis - powstrzymał ją

Giles - albo tu i teraz doprowadzisz mnie do orgazmu, chociaż jeszcze tego nie chcę. Zdejmę lepiej ubranie.

- Nie rób tego - powstrzymała go Frances. - Ciekawe, co by się stało, gdybym udawała, że jesteś kobietą przebraną za mężczyznę?

— Będziesz miała drobny problem — zauważył Giles, ujmując jej dłoń i kładąc sobie na członku. - Sprawdźmy, czy uda nam się wymyślić coś czułego i umiejętnego, czego jednak nie mogłabyś robić z żadną ze swoich przyjaciółek, nawet z tą rudą, krótko ostrzyżoną.

9

W pierwszym tygodniu kwietnia posłowie z Partii Pracy wybrali Jima Callaghana, sekretarza spraw zagranicznych, na swojego nowego przywódcę. W ciągu godziny opuścił oficjalną rezydencję sekretarza spraw zagranicznych w Carlton Gardens i wsiadł do rządowego samochodu. W St James Palace strażnicy w czerwonych mundurach i czarnych futrzanych czapach zaprezentowali broń przed przejeżdżającym Roverem, a policjanci pilnowali, żeby droga była wolna. W pałacu Buckingham jedna z misternie kutych żelaznych bram stała już otworem, kiedy zbliżał się samochód sekretarza spraw zagranicznych. Strażnicy zaprezentowali broń.

Pół godziny później, kiedy James Callaghan opuszczał pałac Buckingham, był już premierem.

Zamiast wracać przez Mail, drogą, którą przyjechali, jego kierowca okrążył Victoria Memorial i skręcił w Birdcage Walk: tędy wiodła najkrótsza droga do Numeru Dziesiątego.

tego samego wieczoru w Bedford Forge toczyły się obrady Partii Konserwatywnej. Premierzy mogli składać rezygnację bez zapowiedzi, rządy mogły powstawać i upadać, ale polityczne wichry, zdolne przewracać do góry nogami inne części kraju, w najmniejszym stopniu nie mogły wstrząsnąć tym wiejskim bastionem torysów w Bedfordshire.

Lokalna siedziba partii mieściła się w Klubie Konser-

watywnym, ceglanej posiadłości zbudowanej na przełomie wieków przy ulicy biegnącej przez najlepiej prosperującą część tego ruchliwego miasta. Lipy łączyły się ponad szeroką drogą, a za nimi stateczne domy stały niewzruszenie pośród starannie wypielegnowanych ogrodów. W tych zamożnych domach mieszkały lokalne osobistości: kupiec drewnem, dyrektor domu handlowego, radca prawny, makler giełdowy; tak jak dawniej mieszkali w nich podobni obywatele.

Biurowa część Klubu Konserwatywnego mieściła się na parterze. Przestronny hall z tapetą w regencyjne pasy, polerowanym parkietem i olbrzymią, mosiężną misą najeżoną suchymi kwiatami wychodził na małą poczekalnię, a za nią, w dużym pomieszczeniu, ustawiono dziś dla zebranych piętnaście rzędów składanych krzeseł.

W minionych tygodniach komitet partyjny zawęził liczbę kandydatów do trojga. Członkowie partii zasiadający teraz w krzesłach czuli się niezwykle ważni: to do nich należał ostateczny wybór kandydata na przyszłego posła z okręgu Bedford Forge.

Przed zebranymi siedział przy stole przewodniczący, a po jego obu stronach stały puste krzesła: jedno dla przesłuchiwanego kandydata, drugie dla jego żony. (Członkowie Partii Konserwatywnej przywiązywali wielką wagę do tego, kto będzie otwierał ich przyjęcia w ogrodzie: znany jest przypadek żony kandydata, która wstała, by odpowiadać na drobne pytania, i poproszono ją, żeby się odwróciła.) Zmarły poseł był dobrze ułożonym facetem, kompetentnym w pracy dla wyborców, ale nie napawał lokalnej partii wielką dumą, ponieważ uczucia wyborców mają dwojaki charakter: chcą, żeby poseł stawiał na pierwszym miejscu ich lokalne interesy, a jednocześnie pragną, by stał się osobistością znaną w skali kraju. Żadna kamera telewizyjna nie zrobiła nigdy zbliżenia biednego, starego Archiego. Może tym razem, mówili między sobą członkowie partii zasiadający w metalowych krzesłach, powinno się wybrać kogoś bardziej spektakularnego.

Drzwi do sali zamknięto.

Na zewnątrz, w małej poczekalni, trójka kandydatów

prowadziła chaotyczną rozmowę; każdy starał się wyglądać beztrosko, zerkając od czasu do czasu na zamknięte, obite skórą drzwi. Dwóm kandydatom towarzyszyły zdenerwowane żony.

Nagle drzwi się otworzyły. Poważny mężczyzna w średnim wieku wywołał pierwsze nazwisko w porządku alfabetycznym.

Jedna z par wstała i zniknęła za drzwiami. Po półgodzinie wrócili. Twarz kandydata nie zdradzała żadnych uczuć, ale żona pobladła z napięcia.

Następne nazwisko brzmiało Fisher. Wezwano Rachel.

Stanąła wyprostowana, skłoniła się rzędem metalowych krzeseł, po czym usiadła po prawej ręce przewodniczącego. — Wiemy już — powiedział — o usługach, jakie gdzie indziej świadczyła pani partii, panno Fisher. Czy zechciałaby pani powiedzieć, jak mogłaby pani służyć nam?

Rachel wstała.

— Panie przewodniczący, panie i panowie. — Z dumnym wyrazem twarzy zwracała się do swoich sędziów. — Jestem gotowa zrobić dla Bedford Forge wszystko co w mojej mocy i pomagać każdemu wyborcy, który na to zasługuje. Z własnego doświadczenia w tej części Bedfordshire, tutaj się wychowałam, wiem, że większość mężczyzn i kobiet w tym okręgu wyborczym to ludzie porządni, przedsiębiorczy zasłużeni. — Przyglądała się uważnie kolejnym twarzom słuchaczy. — Nie mogę udawać, że zrobiłabym wiele, aby pomóc ludziom całkowicie nie przygotowanym na pomoc samym sobie. — Ton Rachel sugerował, że miała na myśli zwolnionych z pracy, korzystających z pomocy społecznej, a nie kogokolwiek z obecnych, dostatecznie zamożnych, by nie musieli pracować. — Nie można oczekiwać, że pozostała część społeczności przez czas nieokreślony będzie płacić za tych, którzy po prostu chcą się przejechać na gapę.

Przerwała, aby sędziowie mogli zastanowić się nad doniosłością jej słów.

— Co więcej, uważam, że to niezdrowe sądzić, że ludzie nie potrafią dać sobie rady. Nie powinniśmy się odnosić do

innych protekcjonalnie. Ciężka praca, oszczędność, zdolność przewidywania, oto cechy mogące charakteryzować zarówno mniej uprzywilejowanych jak i nas pozostałych. Jeżeli zamiast uważać biedniejszych członków społeczeństwa za nieudolnych, zachęcimy ich do praktykowania tych doczesnych cnót, przekonają się szybko, że i oni mogą spłacić hipotekę na dom, że i oni mogą w pewien sposób decydować o edukacji swoich dzieci, a także cieszyć się innymi owocami własnej pracy. Musiała uważać, żeby nie odebrano jej wystąpienia jako ataku na paternalistyczną filozofię torysów Jednego Narodu: niektórzy spośród sędziów mogli wyznawać takie poglądy. Wybierała słowa tak, aby zinterpretowano je jako atak na politykę pomocy społecznej proponowaną przez rząd partii pracy.

- Według mnie bardzo obraźliwe jest sugerowanie, że ludzie w tym kraju, Brytyjczycy, nie są zdolni do wyznawania prostych wartości, które umożliwiłyby im troszczenie się o samych siebie, a tym samym przyniosłyby im wyzwolenie.

Usiadła.

Zręczne wystąpienie zostało wzmocnione niezrównaną cechą Rachel: jej niekłamana wiara w propagowane przez nią cnoty.

Kobieta siedząca w drugim rzędzie odchrząknęła.

— Panno Fisher. Jestem przekonana, że nie powiem tylko w swoim imieniu, kiedy zapewnię panią, jak bardzo zgadzam się z pani oświadczeniem. Dlatego smutno mi, że muszę powiedzieć także i to: faktem jest, że kobiety dysponują słabszą siłą polityczną niż mężczyźni. — Z zadowoleniem użyła słowa „siła” w tym kontekście. Podchwyciła je całkiem niedawno w telewizyjnym wywiadzie Robina Daya z ministrem skarbu. - Czy może nam pani powiedzieć, dlaczego według pani powinniśmy wybrać kogoś, kto, mając mniejszą siłę, będzie reprezentował nasze interesy mniej skutecznie niż... Kobieta zawahała się w pół zdania i oblała się rumieńcem. Wiedziała, tak jak wszyscy, że zamierzała powiedzieć „mniej skutecznie niż mężczyzna”. Była to prawda, ale

w tych czasach niezręcznie było się do tego przyznawać. Kobieta wybrnęła z sytuacji, kończąc:
— ...mniej skutecznie niż kto inny. Rachel wstała, żeby odpowiedzieć.
— Mam nadzieję, że będziecie się kierować tymi samymi przesłankami co nasi posłowie w Izbie Gmin, kiedy uznali, że zdecydowany rozsądek Margaret Thatcher pozwoli jej pokonać wszelkie trudności, przed jakimi kobieta może stawać częściej niż mężczyzna. Wasze interesy leżą mi na sercu, a kiedy obdarzycie mnie swoim zaufaniem, nigdy was nie zawiodę.
— Panno Fisher — odezwał się mężczyzna z pierwszego rzędu, po czym pozwolił sobie na ważką przerwę, jakby wygłosił już zdanie o niezwyklej doniosłości. — Jeśli wybierzemy panią na kandydatkę, zostanie pani oczywiście wybrana do parlamentu. Czy ten okręg wyborczy będzie miał dla pani pierwszorzędne znaczenie? Czy też zamierza pani odgrywać ważną rolę w skali całego kraju?
— Połączyłabym te dwie sprawy. Wpływając na politykę krajową rządu, będę wpływać na życie w tym okręgu wyborczym. — Rachel nieświadomie przestała używać trybu warunkowego.
Kolejne pytanie zadał mężczyzna z jednego z dalszych rzędów.
— Panno Fisher, w pani życiorysie czytamy, że w dni roboczejnieszka pani w Londynie, a pani rodzice mieszkają tuż poza granicami naszego okręgu. Czy chciałaby pani mieć własny dom w okręgu wyborczym Bedfordshire?
— Oczywiście. Zamierzałam kupić coś małego w mieście. Naturalnie mieszkanie w Londynie nadal będzie mi potrzebne, na wypadek toczących się do późna obrad w Izbie Gmin.
Mężczyzna odchrząknął, po czym ciągnął dalej.
— Zazwyczaj żona pośła wspomaga go w pełnieniu obowiązków obywatelskich... - Nie pot/afiać gramatycznie dokończyć pytania, przerwał, zakładając, że wszyscy zrozumieli, o co mu chodzi.
Przyglądał się Rachel z uwagą.
— Pewnego dnia mam nadzieję wyjść korzystnie za mąż.

Musiałby to być rzecz jasna ktoś, kto zrozumie moje nadrzędne zobowiązania wobec wyborców. Proszę mi wybaczyć, że w tej chwili nie mogę rzucić więcej światła na tę część mojej przyszłości.'- Zachowywała się tak, jakby zakładała dobrą wolę słuchaczy.

- Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania do panny Fisher? -zapytał przewodniczący, rozglądając się po sali wzrokiem sędziego. - Nie? Dziękuję, panno Fisher.

Rachel wstała z tronu obok i skłoniła się lekko z kordialnym uśmiechem. Następnie odwróciła się i wyszła z sali.

Kiedy wróciła na miejsce w poczekalni, druga para zniknęła za drzwiami. Pozornie Rachel była opanowana, ale serce biło jej tak głośno, że musiała sobie powtarzać, że siedzący obok kandydat nie mógł tego usłyszeć.

Pół godziny po powrocie trzeciego kandydata i jego bladej żony obite skórą drzwi otworzyły się po raz kolejny. Przewodniczący, który stanął w nich z powagą, patrzył tylko na jednego z kandydatów.

— Panno Fisher, proszę wrócić ze mną na salę.

Stała po jego prawej ręce, kiedy oznajmił rzędem metalowych krzeseł:

- Jako przewodniczący Partii Konserwatywnej w Bedford Forge mam zaszczyt prosić pannę Rachel Fisher, aby kandydowała z naszego ramienia do Izby Gmin.

Świecił półksiężyc, kiedy jechała do odległej o dziesięć kilometrów ubogiej miejsciny założonej w latach trzydziestych. Podobnie jak większość domów z tego okresu, schludna ceglana „willa” jej rodziców została solidnie zbudowana. Niedawno, ku wielkiemu zadowoleniu jej ojca, dom został ozdobiony od frontu klasyczną werandą oraz oknem wykuszowym w stylu króla Jerzego. Tuż przed północą Rachel przekreśliła klucz w nowych drzwiach.

Rodzice czekali na nią w dość zatłoczonym pokoju, zapchanym fotelami z zielonej imitacji skóry, który ojciec lubił nazywać swoją „jaskinią”.

— Dostałam — oznajmiła.

Pomarszczona twarz matki rozjaśniła się nagle. Potem zalała się łzami.

Pan Fisher wstał z fotela i potrząsnął ręką córki, pompując nią w górę i w dół, promieniejąc zadowoleniem i dumą.

— No, no, no — powiedział w końcu, puszczając rękę Rachel. Potem ujął ją znowu i powrócił do pompowania. Oboje się zaśmiali. — No, no, no. Uczymy to kieliszkiem porto?

— Szczerze mówiąc, tato, nie miałabym nic przeciwko whisky.

Podszedł to sekretarzyka naśladowującego styl Tudorów i zaczął się krzątać przy butelkach.

— O mały włos byłbym zapomniał — powiedział, porzucając barek, podszedł do stolika z telefonem i wziął kartkę z wiadomością, którą zapisał wcześniej.

Rachel obserwowała ojca nie zdradzając najmniejszego zainteresowania treścią kartki.

Ojciec założył okulary, jakby wiadomość miała tak doniosłe znaczenie, że nie mógł ryzykować, przekazując ją z pamięci.

— Pan Franwell dzwonił o dziesiątej. Powiedział, że niezależnie od tego, o której wrócisz, prosi o telefon. Mówił, że znasz numer.

— Wybaczycie mi na moment? - spytała Rachel. — Załatwię ten telefon. Czy mogę wziąć whisky ze sobą, tato? To taka okazja, że może napełnisz mi szklaneczkę jeszcze raz, kiedy wrócę.

Promieniejąc, wyszła do swej sypialni. Wkrótce po tym, jak zaczęła pracować dla Bena Franwella, kazała zainstalować u rodziców linię telefoniczną z jej numerem wewnętrznym.

Zapaliła światło, zamknęła drzwi, zrzuciła buty i położyła się na łóżku płasko na plecach. Potem podniosła słuchawkę i nakręciła numer londyński.

10

Angela siedziała przy swoim biurku w redakcji „Ramparta”. Z daleka mogła wyglądać na zblazowaną z tym wspaniałym makijażem, krótką grzywką i w jednym z jej garniturów w stylu dżentelmenów z City. Patrząc z bliska można było dostrzec, z jakim skupieniem trzymała w jednej dłoni słuchawkę, a drugą pisała. Rozmawiała z żoną nowo mianowanego sekretarza spraw zagranicznych.

- Ale czy nie leży w zwyczaju, by sekretarz spraw zagranicznych przeprowadzał się z rodziną do oficjalnej rezydencji w Carlton Gardens?... Słyszeliśmy, że pani mąż oświadczył Ministerstwu Spraw Zagranicznych, że się nie przeprowadzi, ponieważ ma własny dom, spełniający w pełni jego wymagania. Czy to prawda? - Usłyszawszy odpowiedź, Angela zaczęła się śmiać, zapisując już drugą kartkę. -Dobrze. Dziękuję pani bardzo za poświęcenie mi czasu... Do widzenia. Cześć, Daisy. Pozwól tylko, że skończę robić notatki z tej rozmowy.

Daisy przycupnęła w rogu biurka.

- Dobra — powiedziała Angela. — Co nowego?

- Z kim rozmawiałaś o Carlton Gardens?

- Z żoną nowego sekretarza spraw zagranicznych.

- Zastanawiałam się, czy to może ona. Ben chce, żebym spróbowała przeprowadzić z nią wywiad.

- Niezbyt chętnie przystała na te kilka minut rozmowy telefonicznej. Ale przecież większość żon polityków ma się

na baczności, kiedy zwracają się do nich dziennikarze od plotek towarzyskich. Dziennikarze „Ramparta” nie są tu bynajmniej wyjątkiem.

— Ben poradził, żebym wykorzystała fakt, że ona jest amerykańską dziennikarką, która wyszła za brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, a ja inną amerykańską dziennikarką, która dopiero od niedawna jest w tym kraju. Czy powinnam do niej napisać, czy może zadzwonić?

— Musisz przeprowadzić wywiad w tym tygodniu?

— Niekoniecznie.

— W takim razie napisz do niej, wyjaśniając, o co ci chodzi. Napisz, że zadzwonisz za kilka dni, by zapytać, czy się zgadza. Zasada jest taka: im ktoś jest grzeczniejszy, tym niezręczniejszy mu odmówić, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę historię o amerykańskich dziennikarkach.

Po trwającym godzinę i kwadrans wywiadzie z żoną sekretarza spraw zagranicznych, przeprowadzonym w domu w Holland Park, którego sekretarz nie chciał opuścić, Daisy pojechała linią metra Circle z Notting Hill Gate do Black-friars. W barze obok „Ramparta” kupiła kanapkę, którą chciała zjeść przy biurku.

Jej nadzieje się spełniły: pozostałe biurka świeciły pustkami: była czternasta trzydzieści. Nalała sobie kawy z automatu, rozpakowała kanapkę i zaczęła czytać liczne notatki z wywiadu, tłumacząc najmniej wyraźne fragmenty, póki pamiętała, co znaczyły. Odkryła, że ludzie, z którymi robiła wywiady, mówili swobodniej, kiedy notowała, zamiast nagrywać na magnetofon. Czy dlatego, że bawił ich widok pracownicy notującej młodej kobiety, która najwyraźniej była w szkole pilną uczennicą? Czy też może wierzyli, że słowa zapisane miały mniejszą szansę przedostania się do wiadomości publicznej niż nagrane? Tak czy inaczej, przekonała się, że ludzie rozmawiali z nią całkiem swobodnie.

Chciała przepisać najlepsze fragmenty wywiadu na maszynie, a potem pisać na czysto, ale dopiero wtedy, gdy

wszyscy wrócą o trzeciej. Jak umilić sobie czas, wykorzystując chwilę prywatności? Uczciwa w relacjach z ludźmi, Daisy nie była wolna od kompulsywnej przyjemności, charakterystycznej dla większości ludzi pracujących dla dużych instytucji: uwielbiała korzystać z biurowego telefonu i służby pocztowej w sprawach nie mających nic wspólnego z pracą. Zauważyła, że kiedy mężczyźni wychodzili na lunch, wracając zazwyczaj z rachunkiem, na podstawie którego domagali się zwrotu kosztów, jedna lub dwie kobiety często zostawały przy biurkach, załatwiając, telefony albo pisząc listy, by w ten sposób skrócić listę zaplanowanych na ten dzień obowiązków. Pewna reporterka z działu wiadomości, świeżo upieczona mężatka, spożytkowała dwa tygodnie przerw na lunch, by napisać sto listów z podziękowaniami za prezenty ślubne; koperty oznaczała napisem „Pilne” i dołączała do korespondencji „Ramparta”.

— Wszyscy to robią — zapewniła zdziwioną Daisy.

Z pewnością siebie, wynikającą z faktu, że pisze na papierze z nadrukiem RAMPART, Daisy wystukała na maszynie surowy list do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego, oznajmiając, że w jej mieszkaniu wciąż nie zainstalowano telefonu, który był jej pilnie potrzebny do pracy. Nie wspomniała, że w hallu na parterze przy Lower Sloane Street znajdował się automat, z którego mieszkańcy mogli dzwonić i odbierać telefony. W lewym, dolnym rogu listu napisała „DB/ek”. To powinno wywrzeć na nich wrażenie; wyglądało tak, jakby Daisy Brewster podyktowała list sekretarce o inicjałach „ek”. Daisy nie miała sekretarki.

Co pewien czas zerkała na wiszący na ścianie elektryczny zegar z księżycowym cyferblatem. O czternastej trzydzieści nakręciła numer w Princeton w New Jersey. Frances powiedziała jej kiedyś, że istniał projekt założenia podsłuchu na telefony, żeby pracownicy nie mogli dzwonić do ukochanych na całym świecie. Jak dotąd jednak groźba ta nie została zrealizowana.

Telefon w Princeton dzwonił i dzwonił. Daisy znowu obliczyła różnicę czasu. Powinno tam być wpół do dziesiątej

rano. Dlaczego Carla nie było w biurze wydziału nauk politycznych? Może pracował do późna minionej nocy. Nigdy nie wspominał o spotykaniu się z innymi kobietami. Daisy spotykała się z innymi mężczyznami, ale to było czymś innym, bo mieszkała w innym kraju. Nie musiało to oznaczać, że mniej kochała Carla.

Znowu nakręciła numer i odczekała, aż sygnał zabrzmiał dwadzieścia trzy razy, ponieważ tyle miała lat i ta liczba mogła jej przynieść szczęście. Podczas całej drogi w metrze, nareszcie wolna od niepokoju związanego z wywiadem, myślała o sprawieniu Carlowi niespodzianki po tym, jak przejrzał korespondencję tego ranka w biurze. Ich cotygodniowa wymiana listów stała się ostatnio nieco mniej regularna. Musiała usłyszeć jego głos.

— Dobrze się czujesz, Daisy? Wyglądasz na trochę przygnębioną.

Frances wcześniej wróciła z lunchu.

— Myślałam, że porozmawiam z Carlem, ale nikt nie odbiera.

— Jaka szkoda. Może telefon nie jest najlepszym środkiem komunikacji, jaki wymyśliłaś. Co robisz dziś wieczorem?

— Nic.

— Pójdziemy po pracy na drinka, a potem na wczesną kolację?

Pojechały autobusem linii jednaście do Trafalgar Square, skąd poszły St Martin's Lane do trattorii.

Kwadrans przed siódmą tylko jeden stolik był zajęty.

— Gdyby towarzyszył nam Giles, przyjechałybyśmy taksówką — stwierdziła Frances. — Jak dostałaś się na swój wywiad dziś rano?

— Poszłam prosto z domu, a ponieważ miałam mnóstwo czasu, pojechałam metrem.

— Moje domysły były słuszne. I metrem wróciłaś do „Ramparta”. Obie podróże wpiszesz na koszt wydatków jako kursy taksówką. Zapytałam Gilesa, dlaczego tego nie

robi. Powiedział, że kiedy jedzie na wywiad, jest tak spięty, że musi sobie dodać pewności, przyjeżdżając taksówką. Potem czuje taką ulgę, jeśli wywiad się powiedzie, albo takie przygnębienie, jeśli okaże się fiaskiem, że tak czy inaczej musi się znowu zagłębić w miękkie siedzenie taksówki.

— Wydaje mi się, że sporo reporterów „Ramparta”, więcej niż kobiet, korzysta z tej metody dodawania sobie pewności.

— Wkurza mnie, że kiedy któryś z żonatych reporterów zabiera jedną z nas na miły lunch i wpisuje to na koszt wydatków związanych z podejmowaniem ważnego źródła informacji, w tym samym czasie żona wlecze do pralni jego gacie, a za nią drepczą dzieciaki. Jestem pewna, że gdyby to jego żona siedziała tutaj, znalazłaby sposób na zaoszczędzenie wydatków na takie kolacje i powiększenie swych zarobków. Tak bardzo mnie to irytuje, że przestałam chodzić na lunch z żonatymi facetami. Co nie oznacza, że tak wielu mnie zaprasza. Przy dżinie z wytrawnym wermutem Frances zapytała:

— Czy przed Carlem miałaś dużo romansów?

— Tylko jeden, który się liczył. Ze studentem ostatniego roku na Harvardzie. Ale to było inaczej niż z Carlem. Z tamtym chłopakiem lubiałam chodzić do łóżka. Podobał mi się. Ale przed poznaniem Carla nie doznałam żadnego z tych zdumiewających odczuć. Te doświadczenia umacniają wszystkie inne uczucia, jakie do niego żywię. Spotykam się z innymi mężczyznami, ale nie chcę się z nimi wiązać fizycznie. Najwyraźniej mogę pożądać seksualnie tylko jednego mężczyzny. Zawsze tak ze mną było. Kiedy chodziłam do szkoły i wolno mi było się umawiać na randki w weekendy, zakochiwałam się żarliwie w jakimś pryszczatym chłopaku, żeby po tygodniu zakochać się na przyjęciu w kimś innym i czuć momentalną odrazę do pryszczulca.

— Doktor Eustace Chesser nazywa to „monoerotycznością”.

— Zgrabne słówko.

— Twierdzi, że ludzie nadużywają słowa „monogamiczny”, ponieważ można chcieć pozostawać w związkach

mażeńskich z jedną osobą, a jednocześnie lubić wskakiwać do łóżka z innymi. Powiedział, że tacy są „polierotyczni”. Ludzie tacy jak ty są „monoerotyczni”.

— Kto to jest doktor Eustace Chesser?

— Psychoanalityk z Harley Street. Tuż przed burzliwymi latami sześćdziesiątymi Brytyjskie Stowarzyszenie Lekarzy o mały włos go nie wyrzuciło, ponieważ napisał rozprawkę zatytułowaną „Czy dziewictwo wyszło z mody?”, w której odpowiedział, że owszem. Wszystkie te niewiarygodne typy, które kierują BSL, twierdziły, że są głęboko wstrząśnięte, tak jak sędziowie sądu najwyższego. To absurdalni faceci. Jasne oczy Frances wpatrywały się w otwartą twarz Daisy z jej jasnoszarymi tęczęwkami. Tworzyły uderzającą parę. Kilkoro innych gości nie przestawało im się przyglądać.

— Czy między bezgranicznym oddaniem Carlowi a jego poprzednikami zdarzyło ci się czuć pociąg seksualny do innej kobiety? — spytała Frances.

— Cóż, oczywiście nie mogę się wypowiadać w imieniu swojej podświadomości. Jednak o ile mi wiadomo, nie. Chyba że weźmiesz pod uwagę te przypadki ze szkoły podstawowej, kiedy baraszkowałam ze swoją najlepszą przyjaciółką. Czy uważasz, że te dwie dziewczynki, łaskocząc się nawzajem, w istocie doprowadzały się do miniorgazmów? Obie wybuchnęły śmiechem.

— Zamówmy jedzenie — powiedziała Frances.

Przez minutę studiowała menu. Potem nachyliła się nad stołem i położyła dłoń na ramieniu Daisy.

— Doszłam do wniosku, że próba uwiedzenia cię byłaby błędem — powiedziała cicho. — Różnimy się od siebie. Ale to nie znaczy, że nie możemy się przyjaźnić.

Cofnęła rękę i znowu podniosła menu. Ujrzała, że Daisy nie okazywała zmieszania tym, co zostało powiedziane.

— Czy zauważyłaś — spytała Frances — jak niewielu mężczyzn rozumie się nawzajem, kiedy różnią się upodobaniami seksualnymi? Nie mówię tu tylko o Benach Fęanwellach tego świata. Mówię o większości mężczyzn. Zacznę od smażonych rybek, a ty?

11

Chodziła wokół cokołu, na którym pogodnie kopulowała para ptaków z szarego marmuru. Uwielbiała gołębie. W końcu odwróciła się od nich, skinęła głową staremu portierowi, który przyglądał się jej z obrotowego krzesła pod ścianą, ruszyła do drzwi i wyszła na zewnątrz.

Było to jedno z tych niemal balsamicznych popołudni, które kwiecień darowuje nagle jako prawdziwy przedsmak wiosny. Siedząc na najwyższym stopniu wysokich, stromych schodów, tworzących ogromne proscenium wokół Tate Gallery, patrzyła na przesuwane się stalowe, ciche wody Tamizy. Daisy czuła się żywa do szpiku kości i tak świadoma trójwymiarowości otaczającego ją świata, że przypominało jej to doświadczenia z meskaliną, którą wzięła parę razy w Radcliffe. Kilka lat temu przeczytała książkę o grzybach halucynogennych. Napisał ją ten dziwaczny angielski archeolog, który utrzymywał, że ludy prymitywne widziały czerwone, okrągłe słońce jako czubek penisa boga słońca, który odjeżdżał po niebie w noc. Daisy z niecierpliwością czekała na wieczór. Znowu mieli się spotkać w Langan's Brasserie. Andrew powiedział, że chce jej udowodnić, że może tam zjeść kolację bez jednego ze swych krewnych, spadającego ze stołka.

Wstała, otrzepała dzinsy na siedzeniu i ruszyła w dół schodów, wymachując torbą. Poniedziałek był jej ulubionym dniem. Uwielbiała to przedłużenie weekendu, kiedy wszyscy

rozpoczynali tydzień pracy. Mogłaby rzucić okiem na rzeźbę Rodina w tym ogrodzie przed Parlamentem. Zastanawiała się, czy właśnie w tej chwili Andrew znajdował się gdzieś w Izbie Gmin. Wciąż nie widziała jej w środku, mimo że była w Londynie już trzy i pół miesiąca. To zdumiewające, jak czas szybko płynie. „Czas jak nieprzerwany strumień zabiera swoich synów w dal; odchodzą w zapomnienie jak sen o świcie.” Nigdy nie przepadała za tym hymnem. Przypuśćmy, że Carl nagle by umarł. Nie zostałby zapomniany o świcie. Podobnie jej rodzice. I dzieci, które umarły; te wszystkie niepojęte zgony. Nie odejdą w zapomnienie. Tak nie mogło być. Jakie to dziwne, że Tamiza nadal będzie płynąć, może zawsze. „Czas jak nieprzerwany strumień...” Podczas kąpieli będzie musiała pilnować, żeby nie zamoczyć włosów, bo wtedy zawsze kręciły jej się na skroniach. Nie cierpiała tych dwóch loków. Dlaczego nie mogły rosnąć prosto, tak jak włosy Frances? Kasztanowe włosy wyglądały naprawdę ślicznie, kiedy rosły prosto.

Dlaczego tak bardzo podoba ci się ta rzeźba Epsteina? -spytał Andrew.

Daisy wypła kolejny łyk martini z dwiema oliwkami i odrobiną cytryny.

- Jest tak namacalna. Chce się położyć dłoń na grzbiecie gołębia, który jest na górze. Moja reakcja nie ogranicza się tylko do rąk: czuję podniecenie głęboko w środku.... -Zawahała się, po czym dodała: - Ogólnie. - Zdziwił ją ten brak dokładności. Zazwyczaj mówiła bardzo otwarcie. Dlaczego czuła onieśmienie w stosunku do Andrew Har-wooda? - Zawsze się przekonuję, że kiedy porusza mnie piękno jakiegoś obrazu czy rzeźby, czuję też seksualne podniecenie - mówiła. - Zgoda, gołębie Epsteina miały być erotyczne. Ale jest w nich też ta zdumiewająca pogodność, mimo że się pieprzą. Czy wiesz, że miał trzydzieści kilka lat, kiedy wyrzeźbił cztery różne wersje tych gołębi, a potem już nigdy nie stworzył nic tej miary?

— Co robisz, kiedy jakaś rzeźba podnieca cię seksualnie? — Bawiła go otwartość Daisy.

— Cóż, nie wychodzę od razu i nie rzucam się natychmiast w ramiona pierwszego lepszego matoła - odparła. — Zauważyłam jednak, że czasem mężczyźni próbują mnie poderwać zaraz po tym, jak wychodzę z galerii, więc może mam coś w wyrazie twarzy, co ich wprowadza w błąd.

Andrew uśmiechnął się do siebie. Zapalił papierosa.

— Dlaczego nie spróbujesz znaleźć studia, póki jesteś w Londynie, żeby zająć się w wolnych chwilach rzeźbą? — spytał.

— Wygląda na to, że nie mam żadnych wolnych chwil. W diy wolne od pracy w „Ramparcie” lubię zwiedzać, chociaż przyznaję, że bywają dni, kiedy tylko się wyleguję, robię sobie makijaż i czytam.

— Podobał mi się twój wywiad z żoną sekretarza spraw zagranicznych. Zwłaszcza ten fragment o doktorze Kissingerze w specjalnie przystosowanym 707, jak leci z historyczną misją do południowej Afryki i musi wstąpić po drodze do angielskiego miasteczka rybackiego, o którym nigdy nie słyszał, ponieważ brytyjski sekretarz spraw zagranicznych nie chce przerywać weekendu, spędzanego w swoim okręgu wyborczym. - Andrew pomyślał o własnym okręgu i wybuchnął śmiechem.

— Czy spotykacie się na gruncie towarzyskim z posłami z partii pracy, czy politycy przebywają bez przerwy w gronie własnej partii? - spytała Daisy, która właśnie skończyła jeść pierwszą z nasiąkniętych dżinem oliwek, zgrabnie ogryzając pestkę.

— Większość polityków robi to drugie.

— Czy to nie nudne, kiedy wszyscy się ze wszystkimi zgadzają?

— Wzajemne obwinianie się wewnątrz partii politycznej jest znacznie bardziej ekscytujące niż rytualny konflikt pomiędzy rywalizującymi partiami. W rzeczywistości większość posłów unika poza Westminsterem swego towarzystwa: podczas obrad w Izbie mamy dość okazji, żeby się sobą nasycić. Kiedy jednak mam zjeść kolację z posłem,

wolę, żeby był torysem: wtedy przynajmniej możemy odbyć ciekawą dyskusję na temat Margaret Thatcher i jej kolegów.

Przypatrywał się ustom Daisy, która ogryzała pestkę drugiej nasiąkniętej dżinem oliwki.

— W zeszłym tygodniu — ciągnął — znalazłem się na kolacji, na którą pani domu zaprosiła też posła z Partii Pracy, z nadzieją, że zabawimy gości, walcząc między sobą. To zbyt ohydne. Odmówiliśmy.

Dlaczego, na Boga, miałbym pełnić rolę gladiatora i zabawiać gości pani z towarzystwa?

Druga pestka oliwki leżała w popielniczce obok papierosa Andrew.

— Nie uważasz, że powinniśmy zamówić trochę ostryg? Wkrótce kończy się sezon — zaproponował.

Przy kawie przyglądał się jej przez wydmuchiwany dym, mrużąc piwne oczy. Czują, że ją oceniał, co wprawiało ją w stan przyjemnego napięcia. Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek.

— Giles mówił, że znasz Carla Myera. Zarumieniła się, zadowolona, bo czuła się niezwykle dumna z tego, że Carl ją kochał, i jednocześnie niezbyt zadowolona.

— Tak. Dlaczego pytasz? Znasz go?

— Nie. Ale jeśli ktoś interesuje się sprawami międzynarodowymi i jest względnie czytany, musiał słyszeć o Carlu Myerze. Ma dość jaśniepański stosunek do starej, biednej Europy.

Daisy poczuła, że w tym momencie nie ma ochoty rozmawiać o Carlu.

Andrew zapłacił i wstali od stołu.

Ruszyli Stratton Street do zakrętu, gdzie zaparkował brązowy kabriolet Scimitar. Otworzył drzwi od strony pasażera. Właśnie wsiadała, kiedy przyciągnął ją ku sobie.

Stali w milczeniu, patrząc sobie w oczy, z dziwnie podobnymi wyrazami twarzy: częściowo pytającymi, częściowo wyzywającymi. Nachylił się i pocałował ją w usta. Odsunęła się, ale niezbyt daleko. Objął ją, przeciągnął do

siebie, przyciskając wargi do jej ust. Zaczęła go odpychać. Przycisnął ją mocniej, nie przerywając pocałunku.

Stali tak przez kilka minut, oparci o drzwiczki samochodu, po czym Daisy wyzwoliła się z jego objęć.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała. - Chyba martini uderzyło mi do głowy.

- Nie jestem taki pewien - odparł, znowu ją przyciągając. Odwróciła twarz.

Andrew momentalnie ją puścił, obszedł samochód, otworzył drzwiczki i wszedł. Daisy zajęła miejsce obok kierowcy. Andrew włączył silnik. Mógł się domyślić, że była jedną z tych amerykańskich panienek, które drocą się z facetami. Jechali na Lower Sloane Street w milczeniu.

Odprowadził ją do drzwi wejściowych, ale lekki pocałunek w policzek był tym razem gestem wzgardliwej uprzejmości. Nie wspomniał też, że zadzwoni w przyszłym tygodniu.

Daisy wcześniej położyła się do łóżka. Wyjęła z szuflady bloczek i długopis. Wahając się przed napisaniem daty, uzmysłowiła sobie, że minęły dwa tygodnie, odkąd napisała do Carla.

Najdroższy Carlu, zaczęła.

Wybuchnęła płaczem.

Dwa dni później Ben Franwell zaprosił Daisy na lunch. Poleciał kierowcy wysadzić ich na rogu Greek Street, która była jednokierunkowa z przeciwnej strony. Przeszli dwadzieścia metrów do L'Escargot. Daisy czuła się ważna, kiedy ludzie w restauracji spoglądali od stolików, najpierw na Franwella, potem na nią i znowu na Franwella. Zatrzymał się przy jednym ze stolików, gdzie siedziało dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie.

— Daję Jeremy'emu Thorpe'owi jeszcze dziesięć dni jako waszemu przywódcy — oświadczył. — Potem wylatuje. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Jeden z mężczyzn uśmiechnął się dyplomatycznie, a drugi machnął jowialnie ręką, kiwając palcami w sposób trudny do zinterpretowania. Zazwyczaj politycy odnosili się przyjaźnie do Bena Franwella, bez względu na to, co o nim mówili między sobą.

Zresztą Bena nie obchodziły ich prywatne opinie na jego temat. Liczyło się to, że się go bali.

— To parlamentarni naganiacze liberałów — wyjaśnił Daisy.

Kiedy usiadła obok swego szefa przy małym stoliku, poczuła się niezręcznie. Jego czerwona twarz przywodziła na myśl podnieconego uczniaka, a sztuczna konwersacja składała się na razie z prawionych jej komplementów, na które nie miała co odpowiedzieć.

- Założę się, że przed twoimi drzwiami zawsze stała kolejka dyszących mężczyzn. Czy sądzisz, że powinienem się przepchać na początek kolejki? - spytał w samochodzie. Wołała go w redakcji, w roli cesarza wtrącającego się do spraw pracowników. Kiedy tylko wyszli z „Ramparta”, zaczął zdradzać zakłopotanie. Daisy stwierdziła, że uczucie to jest zaraźliwe.

Sytuacja uległa poprawie, kiedy zamówili jedzenie i wypili nieco klaretu. Ben poprosił, by opowiedziała mu o wywiadzie, jaki zeszłego dnia przeprowadziła z pewnym młodym wiceministrem.

- Niezależnie od tego, co ci powiedział, Daisy, nie może -znieść, że jeszcze nie wszedł do rządu Callaghana. Zaprosił cię już na lunch, czy czeka, żeby zobaczyć, co o nim napisałaś?

- Nie sądzę, żeby zainteresował się mną inaczej niż jako dziennikarką.

- Daj spokój, Daisy. To jeden ze słynnych dziwkarzy w Izbie Gmin.

Zaczął ją pytać o środowisko, w jakim wyrosła, ale ponieważ wiedziała, że nic go to nie obchodzi, odpowiadała zwięźle.

- Podobało mi się, Daisy, kiedy przysłaś do mnie po raz pierwszy i udawałaś, że masz wielkie doświadczenie w dziennikarstwie. Nie wierzyłem ci wtedy i nie wierzę teraz. Ale dla mnie liczy się tylko to, żebyś dostarczała mi takich artykułów, jak te najlepsze, które dotąd napisałaś. Wygląda na to, że jako Amerykanka jesteś skuteczniejsza w rozbrajaniu polityków niż brytyjscy dziennikarze, z którymi mieli więcej do czynienia. Podoba mi się, że nie komentujesz wypowiedzi ludzi, ale pozwalasz, żeby ich ośle uwagi mówiły same za siebie. Co myślisz o Andrew Harwoodzie?

Nieoczekiwana zmiana tematu sprawiła, że Daisy zaczęła się mieć na baczności.

- Prawie go nie znam — odparła.

- Widziałem, jak z nim rozmawiałaś na przyjęciu u Angeli. Czy wtedy widziałaś go po raz pierwszy?

- Tak.

— Założę się, że się do ciebie pali. Nasz Andrew to zawołany kobieciarz. Problem w tym, że każda panienka, z którą idzie do łóżka, zaczyna go nudzić i Andrew rusza dalej. Przypuszczam, że to rodzaj rekompensaty za braciszka—ciotę.

Daisy milczała. Poczwała lekkie mdłości. Ben Franwell nie spuszczał z niej wzroku.

— Założę się, że już masz słabość do Andrew Harwooda. Mógłby zejść daleko, gdyby przestał beczeć o tym, że powinniśmy namaścić perfumami każdego zwolnionego z pracy, mordercę i czarnego, cały ten stek bzdur, od których większości Brytyjczyków chce się rzygać. Andrew Harwood nie przyłączył się do liberałów tylko dlatego, że chce zejść na sam szczyt, a nie tylko prawić nam kazania.

— Skąd wiesz, że chce dojść na sam szczyt? — spytała Daisy.

— Wszystkie wigowskie głąby wierzą, że to ich naturalne prawo. Paplają o równości szans, o Jednym Narodzie, ale na samym początku zakładają, że każdy chce, żeby wszyscy mieli takie szanse jak oni. W ich małych mózdkach jest niewiele miejsca na wątpliwości, czy rzeczywiście są od urodzenia lepsi od innych. Cóż, zobaczymy, czy córka sklepikarza zdoła ich pokonać w ich własnej grze. Przyjechałaś w ciekawym momencie w historii Partii Konserwatywnej. Margaret Thatcher jest liderem dopiero od roku. Poczekaj, aż usadowi się mocno w siodle.

Wychylił kieliszek wina, napełnił go ponownie, a potem dolał Daisy. Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Teraz, kiedy Rachel Fisher ma zapewniony udział w wyborach z okręgu Bedford Forge, mogę się z tobą o coś założyć, Daisy. Kiedy torysi wrócą do władzy, każda posada, która zostanie zaproponowana Andrew Harwoodowi, -zostanie wcześniej odrzucona przez Rachel Fisher.

Ben dostrzegł przelotną zmarszczkę na czole Daisy.

— Co sądzisz o artykule Dempstera o Nellym Harwoodzie w dziesięjszym „Mail”? — spytał.

— Nie czytałam go. O czym jest?

— Adwokaci „Mail” nakazali ostrożność, więc trzeba

czytać między wierszami. Nelly Harwood dostał w nos od jakiegoś frajera przed jednym z tych klubów dla zboczeńców. Obu rodzajów. Męskich i żeńskich, jak to się mówi. Boże, rzygać się chce od tego.

Daisy bawiła się kieliszkiem wina.

Poczuła ulgę, kiedy Ben zwrócił uwagę na potężnego mężczyznę, który podszedł do ich stolika; był to redaktor „Mirror”. Daisy została przedstawiona, po czym obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać o sprawie Jeremy'ego Thorpe'a. Ponownie uderzyło ją, że Ben zachowywał się o wiele swobodniej, kiedy nie był z nią sam na sam.

W drodze powrotnej na Fleet siedziała w prawym kącie Jaguara, paplając swobodniej, niż się faktycznie czuła, patrząc przez szklaną szybę działową na tył głowy kierowcy. Kątem oka widziała, że Ben Franwell patrzy na jej kolana; spódnica kończyła się tuż ponad nimi. Kiedy spojrzała na niego, odwrócił wzrok. Znowu popatrzyła przed siebie, czując na kolanach jego wzrok, co wprawiło ją w zakłopotanie. Poczuła jeszcze większe zakłopotanie, kiedy położył jej rękę na kolanach. Gdyby mu powiedziała, żeby ją zabrał, zabrzmiałoby to okropnie niezręcznie, jak gdyby sugerowała, że zamierzał ją zgwałcić czy coś w tym rodzaju. Może najlepiej udać, że nic nie zauważyła? Ale jak on by to wtedy zinterpretował? Przecież oboje wiedzieli, że musiała zauważyć.

— Czy zechciałabyś zjeść kiedyś ze mną kolację? — spytał. — Moglibyśmy pójść do Annabel's. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Patrzył na jej kolana, które zaczął pieścić z ostrożną niezdarnością.

— Kłopot w tym, Ben, że ja nie wychodzę zbyt często wieczorami. Jestem związana z kimś w Ameryce. Znowu spojrzała przed siebie, na tył głowy kierowcy, mając nadzieję, że Ben zabierze rękę. Zamiast tego, podwinął jej nieco wyżej spódnice. Czuła jego dłoń na wewnętrznej stronie uda. Odtrąciła rękę Bena krótkim uderzeniem.

Miał wrażenie, jakby się oparzył. Odtrąciła go w sposób

automatyczny, tak jak odgania się muchę, ot, nic wielkiego. Ben miał minę skrzywdzonego dziecka, zaciskał mocno duże wargi, a rumiana twarz pociemniała do szkarłatu.

Tylko przez chwilę dawał poznać po sobie, że poczuł się zraniony. Potem uśmiechnął się szyderczo. — Może twój amerykański kochaś powinien się dowiedzieć, że jego mała Daisy przesiaduje w Langan's z jednym z najbardziej znanych łózkowych zawodników w Londynie?

Daisy nie miała na to nic do powiedzenia. Kiedy w sztywnym milczeniu okrążali St Mary-le-Strand, modliła się w duchu, żeby dojechali na drugi koniec Fleet. Czy Ben ukarze ją w jakiś sposób po powrocie do biura? Czy zaprosi ją gdzieś znowu?

Gdyby go lepiej знаła, wiedziałaby, że Ben Franwell już jej nigdy nie zaprosi: nie chciałby ryzykować kolejnej odmowy. Jednak nigdy nie zapomni, że odtrąciła go jak muchę, nie poświęcając temu żadnej myśli, a nie, jak udawała, z powodu jakiegoś faceta w Ameryce. Franwell był pewien, że postąpiła tak, ponieważ zakochała się w Harwoodzie. Tym bardziej świadczy to o jej głupocie, skoro woli jednego z tych przeklętych lalusiów od niego. Franwell był zbyt dumny, by karać ją bezpośrednio. Znajdzie inny sposób, żeby się odegrać.

Po powrocie do „Ramparta” zaczął sobie wyniośle podkpiwać z dyrektora, który jechał z nimi windą; znalazł się z powrotem na swoim terytorium.

Dwadzieścia minut później Giles Alexander został wezwany do gabinetu naczelnego.

Uaisy nie udzielało się piątkowe napięcie panujące w pomieszczeniu redakcyjnym: w tym tygodniu nie musiała pisać artykułu. Stała przy półce z gazetami i zajrzała na stronę Nigela Dempstera.

Mrugnęła na widok zgrabnie napisanej notatki opisującej upokorzenie, jakiego doznał Nelly Harwood ze strony mężczyzny, którego chciał poderwać: aluzja, ale nie zniesławienie.

Wróciwszy do biurka poczuła się przygnębiona. To

głupie, przecież nawet nie znała Nelly'ego Harwooda. Chciała, żeby odezwał się do niej jego brat, którego znała. Minęły dwa dni od chwili, gdy pocałował ją drwiąco w policzek przed drzwiami jej domu. Co ją to właściwie obchodziło? A jednak obchodziło.

Coraz bardziej uświadamiała sobie panujące wokół niej napięcie. Giles tak nisko pochylał się nad maszyną, że widziała tylko jego pomarańczowe włosy. Grzmocił w maszynę, jak gdyby chciał ją roznieść na kawałki. Nagle wyszarpnął kartkę z wałka z taką gwałtownością, że Daisy dziwiła się, że papier się nie przedarł. Giles zerwał się z krzesła i swoim niezbornym krokiem ruszył w stronę gabinetu redaktora.

Rachel Fisher siedziała za swym biurkiem.

- Czy naczelny jest w środku? - spytał Giles. Jego twarz miała kolor papieru.

- Dowiem się. Czy chcesz się z nim widzieć?

- Tak.

Rachel nacisnęła brzęczyk.

- Jest tu Giles Alexander. Chciałby z tobą mówić. Mówiła tonem, który był tak . modulowany, że aż obraźliwy, chociaż Giles nie był pewien, kogo miał obrażać. Pewnie jego.

- Redaktor mówi, że przyjmie cię teraz.

Ben Franwell podniósł wzrok znad biurka i z uśmiechem przyjął od Gilesa pojedynczą kartkę papieru.

- Poczekaj, aż to przeczytam — powiedział. Na grubo ciosanej twarzy odmalowało się skupienie.

Kiedy skończył, odłożył kartkę i podniósł wzrok. Niebieskie oczy były jak lód; w uśmiechu rysowała się nieskrywana groźba. - Dzięki za rozrywkę, Giles. Zawsze twierdziłem, że zabawny z ciebie facet. Myślę jednak, że nadszedł czas, żebyś sprzedał swoje wdzięki innemu pracodawcy. Mam nadzieję, że nie będzie ci go trudno znaleźć. Giles odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Kiedy mijał biurko Rachel, nie podniosła wzroku. Kiedy wrócił do swego biurka, Daisy spojrzała niespokojnie na jego twarz w kolorze kitu.

- Co się dzieje, na Boga? — spytała.

- Wiesz, co ten drań Franwell polecił mi zamieścić w felietonie?

Daisy czekała.

- Od jednego z fagasów Angeli wyciągnął kilka dalszych szczegółów jakieś trywialnej szarpaniny, w którą Nelly Harwood wdał się wczoraj w nocy. Ben oświadczył, że w gazecie jest miejsce na rozwinięcie notatki Dempstera, że mógłbym skontrastować styl życia Nelly'ego z „bardziej wyrachowanymi ambicjami” jego starszego brata.

Ostatnie słowa Giles wypowiedział z charakterystycznym dla Bena akcentem Yorkshire.

- Odpowiedziałem, że mam ważniejsze tematy do poruszania w felietonach niż pozbawione znaczenia plotki o moich znajomych. Wyszczierzona gęba Franwella odparła, że właśnie dzięki tym znajomościom mam odpowiednie kwalifikacje, by spekulować na temat „kłopotów, jakich Nelly Harwood przysparza karierze swego brata jako urzędnika państwowego”.

Daisy zauważyła, że przedrzeźnianie akcentu Yorkshire dodatkowo wzmagало gniew Gilesa.

- Mam pisać felietony polityczne, a nie jakieś cholerne plotki towarzyskie.

- Co w takim razie napisałeś na tej kartce, nad którą tak się znęcałeś?

- Dodałem kilka nowych postaci. Napisałem, że rozróżba przed klubem dla homoseksualistów to niewątpliwie drobny kłopot dla brata Nelly'ego Harwooda, którego ambicje polityczne są tak aroganckie. Takie tam bzdety. Potem dodałem, że w czwartki ten klub organizuje „mieszane wieczorki dla homoseksualistów obojga płci”. Resztę zmyśliłem. — Stwierdziłem, że dla pewnej kobiety, która spodziewa się zostać wkrótce wybrana do parlamentu, rozróżba także mogłaby się okazać niefortunna, gdyby wyszło na jaw, „jak twierdzi jeden z naocznych świadków”, tak pisze się w tej szmacie, kiedy zmyśla się całą historię, że podczas gdy Nelly szarpał się przed klubem dla homoseksualistów, widziano tę kobietę wychodzącą w towarzystwie innej kobiety. Kan-

dydatka do parlamentu, pisałem dalej, jest obecnie bardzo bliską przyjaciółką i „osobistą asystentką” znanego redaktora na ulicy Fleet, tak więc należy poczekać i zobaczyć, czy cała sprawa zostanie poruszona na łamach jego wspaniałej, walczącej gazety.

Daisy wstrzymała oddech.

— Nie mogłem się oprzeć chęci napisania tego, ponieważ cała sprawa była tak komiczna.

— Co powiedział Ben, kiedy to przeczytał?

Giles odpowiedział swoim krótkim śmiechem. Kolory wracały mu na twarz.

— Podziękował mi sarkastycznie, po czym mnie wylał.

— jOch, Giles. Czy on kiedykolwiek zmienia zdanie?

— Tylko wtedy, gdy to mu się opłaca. Ale nawet gdyby zmienił, ja mam dość. Może dlatego tak postąpiłem. Nie chcę być więcej jego dłużnikiem.

— Co teraz zrobisz?

— Nie wiem.

13

Ben Franwell prawie się nie pomylił: dwanaście dni później, dziesiątego maja, Jeremy Thorpe złożył rezygnację, skompromitowany przez eks-stajennego i eks-modela. W wieku czterdziestu sześciu lat Thorpe miał za sobą dziewięcioletni okres kierowania Partią Liberalną. Kampania mająca wyłonić jego następcę już się rozpoczęła.

Chociaż skandal wywoływał u wszystkich dreszcz podniecenia, spora grupa ludzi czuła się niezręcznie. Niektórych wstydem napawała myśl, że homoseksualizm osoby publicznej może z niej uczynić ofiarę szantażu; inni brali udział w życiu publicznym i wiedzieli, że zawdzięczają to tylko łasce boskiej.

Pod koniec tygodnia w dziale wiadomości „Ramparta” wrzało, od nowin: David Steel i John Pardoe obrzucali się nawzajem błotem, walcząc o stanowisko przywódcy liberałów. To prawda, że żaden z kandydatów nie kalał sobie rąk brudną robotą; robili to za nich ich ludzie. Pardoe, który prowadził kampanię pod sztandarem stuprocentowej męskości, poczuł silne zakłopotanie, kiedy odkrył, dlaczego kamery telewizyjne zaczęły go filmować z góry: obóz Steela podał do publicznej wiadomości, że Pardoe nosi perukę.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia redakcyjnego Frances była zaprzątnięta czymś innym niż walka o stanowisko przywódcy. Przechyliła krzesło do tyłu, tak że jej głowa przylegała do ściany oddzielającej jej pokój od gabinetu Rachel. Wszyscy wiedzieli, że był to ostatni dzień pracy

Rachel w charakterze osobistej asystentki Bena. Wstępne wybory w Bedford Forge miały się odbyć za trzy tygodnie.

Typowa dla Frances pokerowa mina uległa zmianie. Przygryzła dolną wargę. Po minucie ustawiła krzesło z powrotem przy biurku.

Frances milczała, idąc z Angelą i Daisy w kierunku Blackfriars na lunch. Lubiły lekkie jedzenie w barze sałatkowym, gdzie rzadko panował tłok: właściciel nie otrzymał pozwolenia na alkohol. Trzy kobiety nigdy nie widziały tam . żadnego znanego im dziennikarza i podejrzewały, że nieliczna grupa bywalców to urzędnicy bankowi. Dzisiaj przy dwóch stolikach po przeciwnych stronach sali siedziało dwóch chudzielców, obaj spięci, z ramionami podciągniętymi wysoko pod uszy.

— O co się założycie, że obaj zamówili sałatkę wegetariańską? - spytała Angela. - Ekologowie i świry na punkcie zdrowia zawsze wyglądają tak, jakby mieli zszargane nerwy.

Zapaliła papierosa i leniwie wypuściła dym. Kiedy złożyły zamówienie, Frances powiedziała:

— Wydaje mi się, że coś strasznego dzieje się z Rachel. Nigdy jej nie przypisywałam ludzkich cech, ale się myliłam.

— Co masz na myśli? — spytała Daisy.

— W przeszłości zdarzało mi się ją podsłuchiwać, kiedy podnosiła głos w sąsiednim pokoju, chociaż nawet wtedy starała się zachować tę swoją modulację. Jednak dziś rano była chyba bliska hysterii. Nie wiem, czy rozmawiała przez telefon, czy korzystała z tego wewnętrznego połączenia z Benem, czy może stała w progu między ich pokojami. Słyszałam tylko jej słowa. To było okropne.

— Co mówiła? — zapytała Angela.

— Powtarzała ciągle: „Nie obchodzi mnie, że mówią, że jeśli mam to zrobić, muszę to zrobić jak najszybciej. Nie pozwolę, żeby to zrobiono wcześniej niż w ostatniej chwili”. Mówiła też inne rzeczy, ale to powtórzyła trzykrotnie. Mówiła jak ktoś całkowicie załamany.

— O czym ona, na Boga, mówiła? — spytała Daisy.

— Nie wiem, ale to nic dobrego. Dziwne, ale jej współczuję. To chyba pierwszy raz, kiedy dopuszczam do siebie myśl, że Rachel może mieć zmartwienie.

Cała trójka milczała przez pewien czas.

— Ciekawe, czy uda mi się coś wyciągnąć od Bena — powiedziała w końcu Angela. — On tak bardzo ochrania Rachel, że będę się chyba musiała uciec do moich specjalnych sztuczek.

Każda z kobiet uśmiechnęła się znacząco.

Rachel mieszkała w Morpeth Terrace, dziesięć minut drogi od Westminsteru. Wynajęła to mieszkanie rok wcześniej: wiedziała, że wkrótce będzie musiała znaleźć się blisko Izby Gmin. Wiedziała też, że kiedy zostanie wybrana do parlamentu, wizyty Bena w tym mieszkaniu będą musiały ulec ograniczeniu. Nawet teraz kazał kierowcy wysadzać się przy Victoria Street, skąd resztę drogi przemierzał piechotą, mijając kilka identycznych, ponurych budynków, których cegły pokrywał stuletni brud.

Dotychczas miał szczęście: nie spotkał się nigdy z żadnym z dwóch ministrów z partii pracy, którzy także składali regularne wizyty w tych posępnych z wyglądu domach przylegających do Katedry Westminsterskiej. Ben wiedział o nich: tbn nie wiedzieli o nim. Wiedział, że jeden odwiedzał dom na końcu przecznicy Rachel. Drugi składał wizyty po przeciwnej stronie katedry. Obu ministrom udawało się ukrywać kochanki przed prasą. Żony wiedziały i, jak to zwykle bywa, ani one, ani kochanki nie chciały, by sprawa wyszła na forum publiczne. W prywatnych biurach obu ministrów także o wszystkim wiedziano. Wiedzieli o tym niektórzy posłowie i ich sekretarki. Wiedzieli dziennikarze zajmujący się polityką. Jednak wyborcy ministrów nie wiedzieli.

Żadna z gazet nie znalazła jak dotąd sposobu, by ujawnić całą sprawę i przedstawić dowody w sądzie w razie procesu o zniesławienie.

Przechodząc obok katedry, Ben lubił przyglądać się tej majestatycznej budowli, stojącej spokojnie na dziedzińcu. Nie oznaczało to, że architektura neobizantyjska interesowała go choćby w najmniejszym stopniu. Musiał jednak przyznać, że ceglana kopuła i pojedyncza dzwonnica wyglądały wzniosłe na tle różowego nocnego nieba nad Londynem; lubił potężne pasy kamienia zdobiące ceglane ściany, świecące niesamowicie w blasku latarni ulicznych. Najbardziej jednak podobał mu się fakt, że była to melina arcybiskupa kościoła rzymskokatolickiego. Ben nie lubił katolików. Śmiał się na myśl o tym, co powiedziałby kardynał Hume, gdyby się dowiedział, co się działo w tych domach, tuż pod jego nosem. Chelerni papistowscy księża. Czytał gdzieś, że czterdzieści procent z nich to pedały. Skreślił gwałtownie, wspiał się na schody, prowadzące do zamykanych elektronicznie drzwi, gdzie zadzwonił pod numer dwunasty.

Ponieważ mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze, sufity nie były wysokie. Korytarz prowadził do dużego pokoju od frontu, którego okna wychodziły na katedrę. Był to jednocześnie jej salon, studio i jadalnia. Biurko stało po jednej stronie gazowego kominka, a po drugiej mały, okrągły stół jadalny. Stół był wiktoriański, z orzechową okleiną powycinaną jak kawałki tortu, ale pozostałe meble były podróbkami lub przedmiotami współczesnymi, zakupionymi od wojska i marynarki wojennej lub Petera Jonesa. Wybrała rozmaite odcienie niebieskiego i poduszki w jasne wzory. Na dużym dywanie od ściany do ściany leżał nowy perski dywanik: czerwień wina dominowała nad błękitem, bielą i żółcią. Dostała go na gwiazdkę od rodziców, którzy z dumą demonstrowali, że znają się na wysokiej jakości. Pokój nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale był przytulny. Wracając do domu Rachel czuła zazwyczaj ciepłą falę zadowolenia; szła do dużego pokoju, żeby sobie tylko na niego popatrzeć, a dopiero potem szła się przebrać do sypialni.

Do sypialni wchodziło się z korytarza, podobnie jak do łazienki, za którą znajdowała się kuchnia. Sypialnię urządziła w różnych odcieniach niebieskiego. Matka spytała, po co jej

podwójne łóżko, na co Rachel odparła, że jest to zwykły standardowy model, szerokości stu trzydziestu pięciu centymetrów, uważany obecnie za niewiele szerszy niż łóżko pojedyncze. Lubiła mieć miejsce na rozkładanie gazet, kiedy czytała w łóżku. Owalne lustro od Petera Jonesa wisiało nad toaletką okoloną niebieskim, prążkowanym perkalem. Tym samym perkalem obito mały fotel, podobnie jak rzeźbione wezglowie łóżka. Jak zwykle leżeli na niebieskiej kapie łóżka, popijając whisky i rozmawiając. W niektóre noce odrzucali kapę, rozbierali się i kochali. Jednak równie często pozostawali w ubraniach, Rachel w nie zobowiązującej spódnicy i swetrze, Ben przewieszał marynarkę i krawat na oparciu małego fotela; od czasu do czasu jedno z nich wstawało z łóżka, żeby przynieść drinka z frontowego pokoju. Dla postronnego obserwatora mogli sprawiać wrażenie towarzyszy, a nie kochanków. I obserwator ten miałby rację. Dzisiaj ich rozmowa nie przebiegała swobodnie. — Pozwolę im to zrobić dopiero w ostatniej chwili — powiedziała Rachel.

— Nie sądziłem, że tak bardzo cię to będzie obchodzić — odparł Ben.

— Ja też nie sądziłam.

— Czy nie powinniśmy jeszcze raz omówić kwestii małżeństwa?

- Nie.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego. To nie jest odpowiednie dla żadnego z nas. Wyjdę tylko za kogoś, kto będzie gotów przyznać mojej karierze pierwszorzędną pozycję. Ty ożenisz się z kimś, kto będzie się zajmował dziećmi i domem w jednym z hrabstw wokół Londynu, a ty skoncentrujesz się na własnej karierze. Podziwiam to w tobie.

— Tak.

Zamilkli. Ben oparł sobie kieliszek na brzuchu.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o której mówiliśmy - powiedział. - Gdybyś została moją żoną, „Rampart” nie mógłby udzielać twojej karierze takiego poparcia, jak wtedy, kiedy

wyszłabyś za jakieś anonimowe zero. Ale, na Boga, lepiej, żeby był naprawdę anonimowy, bez względu na to, kim będzie. Wiesz, Rachel, gdyby nie fakt, że wyborcy odnoszą się z podejrzliwością do niezamężnej posłanki, wolałbym, żebyś w ogóle nie wychodziła za męża. Ja też nie miałbym nic przeciwko życiu w stanie wolnym, w wygodnym mieszkanku z pełną obsługą. W sumie jednak masz rację: przystanę na układ z małą żonką czekającą w domu. Gdybym miał dzieci, mógłbym się nimi nawet zainteresować. Wygląda na to, że tak się dzieje z większością ludzi.

Rachel krzyknęła. Odwróciła się gwałtownie i położyła się na boku, twarzą do ściany. Zamilkła równie nagle, jak krzyknęła.

Ben odstawił kieliszek na stolik i odwrócił się do Rachel. Czuł się niezręcznie, kładąc jej rękę na ramieniu. Potem pogładził jej ciemne włosy, chociaż i to robił nieśmiało. Przypomnił sobie, jak w dzieciństwie stawał przy łóżku, na którym matka, kiedy zachorowała, kładła się kilka razy w ciągu dnia. Kiedyś pogłaskał ją po włosach. Lubił jej kasztanowe włosy przetykane siwizną: było w nich coś, co dodawało otuchy. „Przestań”, powiedziała wtedy matka.

- Przestań - powiedziała Rachel. Ben cofnął rękę.

- Po czternastu tygodniach będą mogli stwierdzić, czy to chłopiec czy dziewczynka - oświadczyła.

- Nie powinnaś tak długo zwlekać. To niebezpieczne.

- Chcę to mieć w sobie, dopóki się nie dowiem, jakiej jest płci. Nie masz pojęcia, co to za uczucie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę się tak czuła. Zgoda, wiem, że nie mogę zwlekać bez końca.

„Posłanka zostaje samotną matką.”

- Na miłość boską, Rachel. Porozmawiajmy jeszcze raz o małżeństwie.

- To nie ma sensu.

Odwróciła się na plecy. W jej oczach ani na moment nie pojawiły się łzy.

- Ale nie mogą tego zrobić, dopóki się nie dowiem, czy noszę małą dziewczynkę czy chłopca. Myślę, że to dziewczynka. Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć, co wyrzucam na zawsze.

Później w nocy, kiedy Ben Franwell siedł obok katedry, żeby znaleźć taksówkę na Victoria Street, Rachel się rozebrała. Zgasła światło i wślizgnęła się do łóżka. Leżała na plecach, z jedną ręką wyciągniętą na bok, a drugą na łonie.

Jedynym dźwiękiem było „kap-kap” na poszewkę poduszki, chociaż większość łez spływała bezgłośnie na wargi, gardło, w uszy i dalej, cicho, na poduszkę.

Po pewnym czasie odwróciła poduszkę, żeby przemoczona część znalazła się pod spodem.

14

Sobota — 17 maja Najdroższy Carlu,

Tak, życie w Londynie wciąga mnie coraz bardziej. Nie oznacza to, że nie tęsknię za Tobą każdego dnia - i oczywiście każdej nocy. Tęsknię. Potwornie.

Daisy odłożyła długopis i wyrzała na platany. Tak ustawiła meble, żeby leżąc w łóżku, mogła wyglądać przez okno. Właścicielka nie chciała się początkowo zgodzić, żeby Daisy wstawiła zwykłe, pojedyncze łóżko zamiast rozkładanej sofy-łóżka, którą szczycił się pokój, kiedy się wprowadziła. Było jednak coś przygnębiającego w pracach konstrukcyjnych, jakie musiała wykonać, ilekroć chciała pójść do łóżka. A kiedy sofa-łóżko stała rozłożona w ciągu dnia, zajmowała dwie trzecie pokoju. W końcu Daisy przekonała właścicielkę, że zwykłe łóżko również może wyglądać godnie.

Jednym z powodów, dla których wynajęła to mieszkanie, był fakt, że tuż po drugiej stronie ruchliwej ulicy znajdował się Sloane Gardens - nieco ponury, wąski skwerek, otoczony tak wysokimi domami, że słońce rzadko tam docierało. Ale Daisy lubiła ten placyk, bo rosły na nim drzewa, które widziała z dwóch frontowych okien. Rano lubiła brać do łóżka kawę i sok; otwierała i czytała nieliczną korespondencję, wyglądając na korony platanów i marząc. Nigdy nie

rozumiała, dlaczego ludzie szaleją za drzewami tylko wiosną i latem. Zimowa surowość także jej się podobała, zwłaszcza platanów, z ich wielkimi płatami dwubarwnej kory i gałęziami rozczapierzonymi jak palce czarownic.

W ciągu tych pierwszych zimowych miesięcy śniła na jawie o Carlu. Czasami wspominała ich wspólne życie w Nowym Jorku, czasem wyobrażała sobie dramatyczną przyszłość, kiedy Carl, sławny w całych Stanach i Europie (jego sława nierzadko rozciągała się na cały świat) ratował ją z przepaści, gdzie jakimś trafem utknęła i groził jej śmiertelny upadek (logistyka zmieniała się w zależność od przypadku), kiedy indziej rozpatrywała możliwość jego planowanej wizyty w Londynie. Czy zobaczyliby się po jego wyjściu z odprawy celnej na Heathrow? Czy może czekałaby w domu, aż zadzwoni domofon; wtedy wpuściłaby go, zamknęła za nim drzwi i stanęła w małym pokoju w jego objęciach? Pewnie wynająłby dla nich pokój w hotelu; oboje planowali wspólne spędzenie dwóch tygodni w lipcu, w połowie rocznej próby, „żeby dopilnować, by londyńskie przygody nie zaprzętnęły zanadto umysłu pięknej Daisy”, napisał wkrótce po tym, jak zaczęła pracować dla „Ramparta”. Jej rodzice także planowali spędzenie w lecie dwóch tygodni w Londynie. Nie widząc powodu, żeby zawiadamiać ich o wizycie Carla, Daisy zasugerowała, żeby przyjechali w sierpniu; wyjaśniała szczegółowo, że w tym miesiącu wielu londyńczyków wyjeżdża i życie w stolicy staje się mniej gorączkowe. Czuła się tylko trochę nie w porządku, podając to jako powód, dla którego rodzice powinni zaplanować wizytę po lipcu. Zdecydowanie po lipcu.

Teraz, wyglądając przez okno na delikatną zieleń liści, które przemieniły palce czarownic we wdzięczne, ozdobione koronkami ramiona, musiała sobie przypominać, żeby marzyć o Carlu. Czy to naturalne, że po czterech miesiącach rozłąki — liczyła na palcach, żeby się upewnić — myślała o nim mniej? To nie musiało znaczyć, że mniej go kochała.

„Rozstanie sprawia, że w sercu rośnie czułość.” Przypomniała sobie, jak matka powiedziała kiedyś, że to nieprawda.

Daisy próbowała sobie przypomnieć powód. Ponieważ czasami, kiedy służąca miała wolne, Daisy pomagała ścielić duże, podwójne łóżko rodziców, miała pewność, że ich małżeństwo nadal było „pełne”, jak mawiała matka, kiedy musiała wspominać o tych sprawach. Skrytość matki w poruszaniu kwestii seksualnych przejawiała się w dwuznaczności wypowiedzianych ściszym głosem stwierdzeń. Daisy sądziła, że matka chciała powiedzieć, że kiedy rozstawało się na zbyt długo z kochaną osobą, o ile nie chciało się pograżyć w beznadziejnym żalu, należało zacząć myśleć

O innych rzeczach, które nieoczekiwanie mogły wymazać miłość do nieobecnego kochanka.

Ale kiedy będzie z Carlem, na powrót w jego ramionach, czy jej uczucia do niego nie odnowią się, dodatkowo wzbogacone przez zdobyte doświadczenia? Minęły dwa tygodnie, dwa tygodnie i pięć dni, od tej drugiej kolacji z Andrew. Nie oddzwonił. Zmarszczyła brwi i znowu podniosła długopis i blok.

Ale jest tyle rzeczy, które chciałabym robić, kiedy mam wolne. (Czy pisałam Ci, że prawie nigdy nie muszę pracować w soboty? Zazwyczaj mam więc trzy dni wolnego w tygodniu.) W zeszłą niedzielę poszłam do Muzeum Wiktorii i Alberta, a kiedy miałam już dość, poszłam do Ogrodów Kensington I usiadłam na stopniach tego dziwnego pomnika księcia Alberta. W poniedziałek wzięłam Niebieski Przewodnik i poszłam do Sądów i Korporacji Prawniczych, bo chociaż są blisko „Ramparta”, nie miałam dotąd czasu, żeby je zwiedzić. Adwokaci w Sądach Sprawiedliwości — użyła ich poprawnej nazwy, którą posłużył się Andrew, kiedy się z nich naśmiewał — są dokładnie tacy, jak mówił mój znajomy: nadęci, przechadzają się w perukach po przestronnych gotyckich korytarzach i robią sobie nawzajem kawały.

Znowu wyjrzała przez okno. Dokończy list później. Musi postanowić, dokąd dzisiaj zabierze swój Niebieski Przewodnik.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Całe szczęście, że usłyszałam, jak dzwoni telefon. Ktoś do ciebie! — zawołała właścicielka.

Narzuciwszy szlafrok na piżamę, Daisy zbiegła na dół do hallu, myśląc o nielicznych osobach, które mogły zadzwonić do niej do domu; większość dzwoniła do pracy. Podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Jesteś bardzo trudno uchwytna. Momentalnie rozpoznała ten głos.

— Musiałem zadzwonić do Gilesa, żeby zdobyć ten numer. Nie jestem pewien, czy był tym zachwycony. Zapytał, czy nie wiem, że odkąd nie pracuje dla niedzielnej gazety, o dziesiątej rano w sobotę śpi. Tu Andrew Harwood.

Poczuła się niebotycznie szczęśliwa. Musi uważać, żeby nie dać tego po sobie poznać.

— Czy istnieje jakakolwiek szansa, że jesteś wolna wieczorem w najbliższy poniedziałek? Wiem, że zostało już niewiele czasu, ale mówiłaś, że najbardziej lubisz poniedziałki, więc pomyślałem, że to dobry wieczór na kolację. Czy jesteś wolna?

— Tak się składa, że owszem.

— Hura. O której po ciebie przyjść?

— O ósmej?

— W takim razie, do zobaczenia. Do widzenia. — Odłożył słuchawkę.

Po powrocie na górę zrobiła sobie kolejną filiżankę kawy, którą wzięła do łóżka, kładąc się na wielobarwnej hinduskiej kapie, którą kupiła na targu przy King's Road.

Czy mówiąc, że była trudno uchwytna, próbował przekreślić fakt, że wcześniej nie starał się z nią skontaktować? Bo gdyby dzwonił do „Ramparta”, nawet podczas jej nieobecności, ktoś na pewno by jej to powtórzył. Czy nie dzwonił dlatego, żeby jej pokazać, że nie da się wodzić za nos? A może po prostu był zajęty kimś innym? Ta druga ewentualność wywołała to samo ukłucie, które czuła, ilekroć dopuszczała tę możliwość w ciągu minionych dwóch tygodni i pięciu dni.

Przez kilka minut patrzyła pustym wzrokiem na korony platanów. Uświadamiając je sobie w pełni, pomyślała, że to najcudowniejsze drzewa, jakie widziała w życiu.

Nachyliła się nad nim, żeby zgasić papierosa w kryształowej misie na **stoliku** obok łóżka.

Położywszy się znowu u jego boku, patrzyła leniwie na papierosa, którego palił: jeśli nie zachowa ostrożności, popiół spadnie mu na pierś.

— Jeśli spadnie i wysmaruję ci nim te marchewkowe włosy, czy myślisz, że staną się siwe? — spytała.

— Przez chwilę mógłbyś wyglądać tak jak za trzydzieści lat.

— Już wcześniej zauważyłem, że wcześniej czy później chorobliwa część twojej natury dojdzie do głosu — zauważył pogodnie.

Angela pamiętała, że ilekroć szła z kimś do łóżka, była świadoma głównie własnej osoby. Zauważyła, że miała jeszcze jaśniejszą skórę niż Giles. Była zadowolona, że leżeli w jej łóżku: przedkładała je nad wszystkie inne. Drewniana framuga w stylu Ludwika XIV, dawno temu pomalowana delikatną akwamaryną, ozdobioną brązowoszarymi i szał-wiowozielonymi kwiatami, pasowała do Angeli — śliczna i elegancka jak ona. Jedwabne zasłony na dwóch oknach, w tym samym wyblakłym niebieskim kolorze co łóżko, opadające kilka centymetrów na, gruby, brązowoszary dywan, były zaciągnięte, a szałwiowozielone sznury zwisały luźno. Angeli podobał się sposób, w jaki zasłony ściągnięto w górne fałdy jedwabnymi sznurami tej samej szałwiowozie-lonej barwy co kwiaty na łóżku.

Oprócz bardziej oczywistych przyjemności łóżkowych lubiła nieskrępowane plotkowanie, jakie zawsze - no, prawie zawsze - następowało po spółkowaniu. Czasami myślała, że tę część lubi najbardziej.

To dziwne: uwielbiała się rozbierać, uwielbiała się kochać, a jednak z żadnym z partnerów nie przeżyła tej wielkiej ekstazy, o której mówili ludzie. Podejrzewała czasem, że sypiała z tyloma mężczyznami, ponieważ lubiła, kiedy podziwiano jej ciało. Nie myliłby się psychiatra, który

określiłby ją jako klasyczny przypadek narcyzmu. Miała małe piersi. Położyła prawą dłoń na prawej piersi, ciesząc się widokiem karminowo pomalowanych paznokci, dotykając jednym z nich sutki.

Później, po wyjściu Gilesa, użyje tej ręki na swój własny sposób. Nie ma pośpiechu.

— Czy Frances opowiada ci o swoich kobietach? — spytała.

— Czasami.

Giles wsparł się na łokciu na tyle, by zgasić papierosa w kryształowej misie.

— Czy robisz się wtedy zazdrosny? — zapytała Angela.

— Przypuszczam, że powinienem — odparł Giles. — Ale z drugiej strony, one przecież nie są moimi konkurentkami. To inna dyscyplina. Frances twierdzi, że biseksualizm wzbogaca jej odczucia erotyczne w ogólności. Całkiem możliwe, że mnie to też podnieca, ta świadomość, że ona sypia z kobietami. Nigdy nie znałem kobiety, która tak jak Frances umiałaby mi pokazać, jak jej dawać rozkosz. Mówi, że to kobiety nauczyły ją cieszyć się seksem.

Angela pomyślała o implikacjach tego stwierdzenia. Jednak orgazmy, do których doprowadzała się sama, dawały jej pełne zadowolenie. — Czy ona ma przyjaciółkę, czy spotyka się z wieloma?

— Frances i ja dopiero niedawno nawiązaliśmy intymną znajomość, jak to się mówi. Nie posunęliśmy się jeszcze aż tak daleko w naszych zwierzeniach. Całkiem możliwe, że powiedziała ci więcej o swoich związkach niż mnie.

— To zabawne we Frances. Jest taka bezpośrednia, pozornie otwarta. Ale kiedy wspominasz rozmowy z nią, uzmysławiasz sobie, że nie wyjawiała ci najważniejszych rzeczy. Czy myślisz, że Daisy jej się podoba? — Być może. Ale Frances wie o jej wielkiej namiętności do Carla Myera. Myślę, że nie chciałaby ryzykować utraty przyjaźni z Daisy.

— Czy brakuje ci czasem „Ramparta”?

— W pewnym sensie. Między mną a Benem zawsze odbywała się próba sił: jak dużo ujdzie mi na sucho? Teraz pracuję dla „Statesmana”, gdzie wszyscy biczą prawicę

i moje artykuły nie kłócą się już z linią gazety, co oznacza, że w mniejszym stopniu mogę się popisać brawurą, a czytelnicy mogą liczyć na słabszy dreszczyk. Zbadam kiedyś psychologiczne powody, dla których czytelnicy chcą wpadać we wściekłość.

— A tymczasem możesz się napawać własną uczciwością: nie pracujesz dla wroga — stwierdziła Angela. - Chociaż, dzięki Bogu, ty się z tym nie obnosisz. Gdybyś mnie spytał, co mnie najbardziej odpycha w lewicowych dziennikarzach, to ich przekonanie o własnej świętości, zresztą panienki są w tym jeszcze gorsze niż faceci. Jedną z rzeczy, jaka podoba mi się u faszystowskich buldogów, jest to, że przynajmniej nie są obłudni.

— Chyba masz rację. Bez względu na to, co mam do powiedzenia o Benie Franwellu, tego bym mu nie zarzucił. Obłuda to coś innego niż ta jego cholerna pewność, że zawsze ma rację.

Giles wsparł się na łokciu. Poczęstował Angelę papierosem z paczki wypełnionej do połowy, sam wziął jednego i zapalił oba liliową zapalniczką Dunhilla, którą dostał od Nelly'ego Harwooda przy okazji któregoś pijaństwa.

Trzy, może cztery minuty leżeli obok siebie, pogrążeni we własnych myślach. Potem Giles zgasił papierosa w kryształowej misie, wstał z łóżka i poszedł do łazienki z akwa-marynowymi kafelkami i ręcznikami.

Umył się i wrócił do sypialni, gdzie Angela wciąż leżała wsparta na poduszkach. Zapaliła kolejnego papierosa. Kiedy Giles podnosił ubranie z podłogi, pomyślała, że bardzo się jej podobają kwiaty zdobiące łóżko.

15

Wejść na górę i poczekać? - spytał Andrew przez domofon.

— Nie, jestem już prawie gotowa.

To komiczne. Obudziła się rano niesłychanie podniecona faktem, że to już poniedziałek. W ciągu całego dnia nie miała żadnych obowiązków, a mimo to, proszę: jest ósma, a ona wciąż nie była gotowa. W istocie było kilka minut po ósmej. Dzięki Bogu nie należał do ludzi, którzy przychodzą punktualnie co do minuty.

Tego wieczoru winą za swoją opieszałość obarczała awersję właścicielki mieszkania do przyzwoitej lampy. Daisy nigdy nie potrafiła zrozumieć angielskiej namiętności do adamszkowych abażurów z frędzlami. Mimo że stała z dużym lusterkiem w dłoni tuż przy lampie, światło było tak słabe, że wsadziła sobie szczoteczkę do tuszu w lewe oko. Nie martwił jej ból; martwiło ją, że musiała zacisnąć powiekę, zanim rzęsy wyschły i teraz pod oczami widniały czarne smugi. Ostrożnymi, szybkimi ruchami nakładała pod oczami krem do zmywania makijażu. Co za katastrofa. Nie powinna się tak śpieszyć, na miłość boską. Tym razem udało jej się dokonać ostatnich upiększeń bez wypadku.

Wyjrzała przez okno. Brązowy Scimitar wciąż stał przy krawężniku. Chwyciła żakiet, zatrzęsnęła za sobą drzwi i zbiegła po schodach.

Samochód był pusty.

Wtedy zobaczyła go, jak szedł po drugiej stronie Lower

Sloane Street. Przeszedł przez jezdnię, otworzył jej z uśmiechem drzwiczki i, zerkając figlarnie na zegarek, powiedział:

— Dobry wieczór.

Restauracja znajdowała się na tyłach Pimlico Road, mała, ale z dostateczną ilością miejsca między stolikami. Prowadziło ją włoskie małżeństwo w średnim wieku; dwaj synowie pracowali jako kelnerzy. Cała czwórka ciepło pozdrowiła Andrew.

— Nie przyrządzą ich tutaj tak dobrze jak w Langan's, ale może zaryzykujemy koktajle martini? — zaproponował Daisy. Udzielił dokładnych instrukcji, a po kilku minutach Luigi zamaszystym gestem zaprezentował swoje dzieło. Oprócz skórki cytrynowej w każdym kieliszku leżały trzy oliwki.

— Od przybytku głowa nie boli — oświadczył Luigi z promiennym uśmiechem.

Przy małżach Andrew powrócił do tematu rzeźb, które, jak mu kiedyś opowiadała, chciałyby wyrzeźbić. — Jesteś pewna, że nie powinnaś wynająć studia, póki jesteś w Londynie? Można znaleźć naprawdę tanie, na przykład na weekendy. Nelly należy do Klubu Artystycznego w Chelsea. Mógłby ci doradzić.

Daisy popijała chianti, jej szare oczy lśniły. Wyglądało na to, że Andrew jest szczerze zainteresowany jej losem.

— Myślę, że z tym poczekam, aż wrócę do domu — odparła. — Ten rok mija tak szybko. Poza pobliskimi miejscami, wiesz, Kew, Chiswick House, Hampton Court, prawie nie ruszałam się z Londynu. W zeszłym tygodniu popłynęliśmy z Frances jednym z tych statków z nabrzeża Westminster do Greenwich. W drodze powrotnej padało, deszcz spływał po szybach, a pod nami płynęła Tamiza. Było cudownie. W Filadelfii i Nowym Jorku jest bez przerwy tak upalnie i wilgotno że ludzie wciąż mają nadzieję, że zacznie padać. Dla londyńczyków deszcz to coś przykrego, ale mnie się kojarzy z ulgą, więc go lubię. Poza tym, ładnie wygląda.

Andrew uśmiechnął się, częściowo do siebie, częściowo do Daisy.

Dopiero kiedy kończyli cielejące eskalopki, poruszyła temat, który nie dawał jej spokoju.

— Kilka osób w „Ramparcie” rozmawiało o politykach i ich różnych ambicjach. — Nie pamiętała dokładnie, co mówił Ben podczas napiętego lunchu w L'Escargot, coś o torysach z wyższych klas, uważających, że mają naturalne prawo do rządzenia krajem. — Jaka jest twoja najwyższa ambicja polityczna? Zapalił papierosa, wydmuchnął dym z dala od Daisy, spojrzął w głąb sali, nie koncentrując wzroku na niczym w szczególności. Wreszcie odwrócił się z powrotem do Daisy.

— Myślę, że najbardziej chciałbym zostać sekretarzem spraw zagranicznych. Uderzyło mnie jednak to, co napisał kiedyś Iain Macleod: polityk, który twierdzi, że nie chce zostać premierem, kłamie. Nie jestem pewien, czy miał rację, ale wiem, co miał na myśli.

— Dlaczego nie chciałbyś zostać kiedyś premierem?

— Może to objaw folgowania sobie? W życiu jest wiele innych rzeczy poza polityką, a nie wydaje się, żeby premier miał czas na cokolwiek oprócz polityki. Czy możesz sobie wyobrazić poślubienie Numeru Dziesiątego przy Downing Street? Bo tak właśnie wyglądałaby sytuacja dla żony albo męża, jak przekona się pewnego dnia Denis Thatcher.

— Ale ponieważ nie masz żony, ten problem jest czysto akademicki.

— A' kto powiedział, że się nie ożenię, kiedy spotkam właściwą osobę?

— Cóż, Ben Franwell mówi, że lubisz tylko krótkotrwałe związki. — Wreszcie to powiedziała. Momentalnie poczuła się lepiej, chociaż nie na długo.

— Doprawdy? — spytał zimno Andrew.

Nie miała całkowitej pewności, że to właśnie powiedział Ben, ale w przybliżeniu taki był sens jego słów.

— Muszę przyznać — mówił Andrew — że można odnieść wrażenie, jakby pracownicy „Ramparta” poświęcali zdumiewająco mało czasu na faktyczne redagowanie tej cholernej gazety. Dlaczego posłaś do nich, a nie do jakiegoś innego pisma na Fleet?

Daisy z irytacji zaróżowiła się pod piegami. Krytykując go, nawet jeśli zrobiła to tylko pośrednio, sama stała się obiektem krytyki.

— Ponieważ usłyszałam o „Ramparcie”. Wygląda też na to, że to jedyna gazeta, gdzie można zacząć pracę, nie należąc do związku. „Rampart” płaci też wystarczająco dobrze, żebym mogła się utrzymać przez rok w Londynie. Irytuje mnie, kiedy gazeta, lub ktokolwiek inny, uważa się za coś tak cudownego, że może płacić za mało pracownikom. Jeśli „Rampart” jest dla ciebie zbyt prawicowy, trudno, mało mnie to obchodzi. Nie pasjonuję się aż tak bardzo tym, kto jest w którym miejscu politycznego spektrum. - Andrew wybuchnął śmiechem.

— Bardzo rozsądnie. Tylko politycy interesują się polityką.

To rozbroiło Daisy. Jej uraza natychmiast się ulotniła.

— Dlaczego w takim razie gazety i telewizja bez przerwy o niej trąbią? — spytała.

— Ponieważ widzą polityków jako zabawiaczy publiczności. Poza tym środki przekazu chcą zademonstrować własną *gravitas*, więc paplają o polityce. Prawda jest taka, że z wyjątkiem kilku zwariowanych działaczy partyjnych, szczegóły polityczne nikogo nie obchodzą, oczywiście poza przypadkami, kiedy ludzie widzą bezpośredni wpływ polityki na swoje życie. Szkoły. Opieka społeczna. Podatki. — Czemu więc zwracasz sobie głowę polityką? Andrew się zaśmiał.

— Cóż, niezależnie od nudy, decyzje polityczne naprawdę wpływają na życie ludzi w tym kraju. Spojrzał na zegarek. Polityka nie zajmowała pierwszoplanowej pozycji w jego myślach. Poleciał Luigiemu przynieść rachunek.

Andrew wpuścił Daisy do Scimitara i kiedy patrzyła, jak obchodzi samochód od frontu, podniecenie prawie odebrało jej oddech.

Włączył silnik, potem go zgasił i odwrócił się do niej.

— Nie jest późno. Mieszkam tuż za rogiem. Masz może ochotę na brandy, zanim odwiozę cię do domu? Sądząc po

twoim opisie, moje mieszkanie jest większe od twojego. Będziemy mogli siedzieć spokojnie po przeciwnych stronach salonu, w odległości co najmniej pięciu metrów od siebie.

Daisy wyobraziła sobie tę sytuację i zaśmiała się, dzięki czemu mogła się zgodzić, nie dając mu jednocześnie nic do zrozumienia.

— Dobrze.

Znowu włączył silnik.

Mieszkał na drugim piętrze w Eaton Place. Nie było windy. Wchodziła przed nim po marmurowych schodach ze zdobnymi poręczami z kutego żelaza pomalowanymi na czarno. Świadoma szpilek i kołysania biodrami, kiedy wchodziła na kolejne stopnie, zastanawiała się, o czym myślał, idąc za nią. Jeśli szedł cztery stopnie za nią, jego twarz musiała się znajdować niemal na wysokości jej bioder. Co czuł? Miała wrażenie, że zbiera jej się na mdłości. Na pewno nie miało to związku z niczym, co jadła. To było panujące między nimi napięcie seksualne. Carl powiedział jej kiedyś, że napięcie oznacza zarówno przyciąganie jak i naprężenie między dwoma biegunami. W ciągu całego wieczoru, chociaż myśleli o innych sprawach, Daisy wyczuwała, że Andrew nie daje spokoju myśl, jak się to wszystko skończy. Może najlepiej byłoby poinformować go mimochodem, że ma okres — żeby pozbyć się niepewności i móc myśleć o czym innym. Nie mógłby sprawdzić, czy kłaniała.

Na drugim piętrze otworzył obite skórą drzwi. Weszli do hallu, a Andrew ruszył przodem, żeby zapalić światło w salonie.

Trzy duże okna wychodziły na Eaton Place. Daisy spojrzała na żyrandol. Pokój miał ze cztery metry wysokości. Nad kominkiem wisiało eleganckie złożone lustro. Późny wiek osiemnasty? Wielki perski dywan w koralowych różach i zblakłym turkusie przykrywał większą część podłogi. Sofę typu Chesterfield obito zielonym pluszem, a dwa sfatygowane, bryłowate fotele sprawiały wrażenie wygodnych. Dwa inne fotele wiktoriańskie pasowały do reszty. Portret kobiety rozpoznała jako dzieło Augustusa Johna; lubiła romantyczny

polot jego wczesnych prac. Pokój miał silny charakter, był jak wykuty z jednej bryły.

— Czy to ty wybrałaś te rzeczy?

— Większość z nich. Różne drobiazgi pochodzą z Long Green, to nasz dom w Shropshire. Jest tam znacznie więcej rzeczy niż potrzeba. Jeśli chcesz się odświeżyć, na drugim końcu korytarza jest łazienka. Nie chcę przez to powiedzieć, że twój wygląd wymaga odświeżenia.

Z korytarza, zanim dotarła do łazienki, zajrzała do kuchenki, potem do pomieszczenia wyglądającego na małe studio. Otwarte drzwi tuż za łazienką prowadziły do pokoju, który mimo mroku rozpoznała jako sypialnię. Zamknawszy za sobą drzwi łazienki, spojrzała na atramentowoniebieskie kafelki i ręczniki koloru czerwonego wina. Miała stuprocentową pewność, że wybrała je kobieta. Natychmiast poczuła znajome ukłucie, którego kilkakrotnie doświadczała w ciągu minionych dwóch tygodni. Jak to powiedział Ben? „Nasz Andrew to zawołany kobieciarz. Problem w tym, że każda panienska, z którą idzie do łóżka, zaczyna go nudzić i Andrew rusza dalej.” Daisy odkręciła zimną wodę. To głupie, wstydzić się odgłosu sikania, ale była dojmująco świadoma przebywania sam na sam z Andrew w tym cichym mieszkaniu. Potem wyrzuciła zawartość małej torebki na blat obok umywalki i zaczęła poprawiać makijaż. Miło było nie musieć się śpieszyć. Zauważyła, że wewnętrzny dygot przeszedł niemal w rwanie. Wypije brandy jak osoba doskonale wychowana, po czym Andrew odwiezie ją do domu. Kiedy wróciła do salonu, wstał z jednego z foteli stojących po obu stronach kominka.

— Brandy? Whisky?

Stała przy nim, obok stołu z alkoholami, przyglądając się butelkom.

— Czy mogę dostać whisky z wodą sodową? Przed przyjazdem do Anglii nigdy nie widziałam takich syfonów.

— Są wygodne. Tyle wystarczy? — spytał.

— Tak.

Zamiast wręczyć jej szklanekę, zaniósł ją na drugą stronę

pokoju, gdzie stała sofa, a przed nią marmurowy stolik do kawy.

— Postawię ją tutaj — oświadczył. — Mówiłem ci, że możemy siedzieć w odległości pięciu metrów od siebie. Czy tu będziesz się czuła bezpiecznie?

Daisy odpowiedziała śmiechem. Mocno podniecona usiadła na sofie, a Andrew wrócił na fotel, faktycznie oddalony o pięć metrów.

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy jestem w stanie kontynuować tę zabawę. Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli usiądę obok ciebie?

Znalazła się w dobrze sobie znanym, kłopotliwym położeniu; była pewna, że właśnie dlatego zadał to pytanie. Jeśli powie, że owszem, będzie miała coś przeciwko temu, przyzna się natychmiast, że oczekiwała zalotów ze strony mężczyzny, co świadczyłoby o jej zarozumiałstwie. Jeśli powie, że nie miałaby nic przeciwko temu, w ciągu pięciu minut mężczyzna zacznie się do niej zalecać. A tego wieczoru chciała, żeby Andrew usiadł obok niej. Nie odpowiedziała na zadane pytanie.

Postawił swojego drinka na stoliku obok szklanki Daisy i usiadł na drugim końcu sofy. Odchylił się do tyłu, zapalił papierosa i zaczął wydmuchiwać dym krótkimi obłoczkami: puff, puff, w przeciwną stronę pokoju. Żadne z nich nie było przygotowane do wyboru tematu konwersacji. Andrew odwrócił się i spojrzał na Daisy.

Wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem. Stojący na kominku zegar w kształcie powozu zadzwonił jeden raz. Jest wpół do dwunastej, pomyślała. Nie przychodziło jej do głowy nic, o czym mogliby rozmawiać. Nie chodziło o to, że wyczerpali interesujące ich tematy: po prostu teraz była równie niecierpliwa jak on. Wewnętrzny dygot stał się niemal nieznośnie rozkoszny.

Sięgnął do popielniczki i zgasił wypalonego do połowy papierosa. Potem wstał, obszedł stolik i stanął przed Daisy. Wyjął jej szklankę z dłoni, odstawił na stolik, potem nachylił się, opierając kolano na sofie obok jej uda. Pocałował ją delikatnie w policzek. Mógł to być pozornie ten sam

wzgardliwy gest uprzejmości, jakim pożegnał ją chłodno tamtej nocy, ale żar, jaki objął jej lędźwie, uświadomił Daisy, że różnica jest zasadnicza. Andrew ujął jej twarz w dłonie i złożył na jej ustach kilka leciutkich pocałunków. Potem się cofnął i stanął, patrząc na nią.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Przyciągnął ją do siebie. Kiedy tak stali, patrząc sobie w oczy, ich twarze wyrażały coś zupełnie odmiennego niż wtedy na chodniku przed Langan's. Tu, w mieszkaniu Andrew, nie było zapytywania czy rywalizacji, ale mieszanina porozumienia, ostrożnej czułości i silnego pożądania. Umieścił kolano między jej nogami, rozsunął je szerzej, obejmując Daisy i przyciskając usta do jej warg. Tym razem się nie wyrwała.

Ruch w godzinie lunchu zdążył osiągnąć apogeum, zanim jej taksówka dotarła do końca ulicy Fleet. Wszyscy znali fenomen angielskiego weekendu, ale to było szaleństwo: nie było jeszcze pierwszej po południu w piątek.

Zerkając przez okno, mogła dostrzec St Mary-le-Strand w Aldwych; czubek wieży rysował się na tle szafirowego nieba. Przesunęła się do prawego okna, żeby wyrzeć na mijane Sady pokryte lekkim złudzeniem śniegu, a może to pleśń, bielącego szare, kamienne ściany. Zawsze, kiedy je mijala, wyobrażała sobie próżnych kolegów Andrew.

Ile tygodni minęło od tamtej pierwszej kolacji? Bez trudu przypomniała sobie datę: 21 marca. Dziś był 27 maja. Po powrocie z lunchu do „Ramparta” policzy tygodnie na kalendarzu. To chyba najwolniejsza w historii podróż taksówką. Nie ma sensu patrzeć na licznik. Zresztą dziś był dzień wypłaty, a nikt nie oczekiwał od Daisy, żeby płaciła za lunch. Mogła się najeść do syta, a wieczorem, po powrocie do domu, zje tylko jajko. Do tego sprowadzała się zawartość najmniejszej lodówki świata.

Była z Andrew na kolacji dwukrotnie od tamtej nocy spędzonej u niego, czyli jedenaście dni temu; nie mógł chyba spędzić wielu wieczorów z kim innym, na przykład z tą okropną aktorką, całą w bieli. Nie miał zbyt wiele czasu na sypianie z nią, skoro, jak twierdził, wiele wieczorów spędzał w Izbie Gmin. Poza tym odwiedzał swój okręg wyborczy.

Miał tam być dzisiaj i jutro, w zachodnich hrabstwach środkowej Anglii, jak je teraz z dumą nazywała. Dwa tygodnie temu nie miała zielonego pojęcia, gdzie znajdowały się zachodnie hrabstwa środkowej Anglii, chociaż na dobrą sprawę powinno to być oczywiste. Pożyczyła od Angeli atlas samochodowy. Waymere wydrukowano takimi drobnymi literami, że szkło powiększające było nieodzowne. W końcu jednak znalazła, na lewo od Crewe, obok białej plamy o nazwie Peckforton Hills. Jadąc dalej, docierało się do północnej Walii. Myśląc o Andrew odwiedzającym swój okręg wyborczy, wyobrażała sobie te drobne literki obok białej plamy.

Ich drugą noc „razem”, jak o tym myślała, spędzili u niej po kolacji: chciał zobaczyć, gdzie mieszkała. Był to jednak naprawdę mały pokój i Daisy przypuszczała, że kiedy wyszedł po godzinie, oboje odczuli ulgę.

Trzeciego wieczoru poszli do niego. Uwielbiała Eaton Place. Ponadto Andrew miał przyzwoite, duże podwójne łóżko. Nigdy nie została tam na całą noc; kierując się instynktem i taktyką, sądziła, że nie Chciałby jej tam widzieć rano, a Andrew nigdy nie nalegał, by została. Lubiła leżeć w jego łóżku i patrzeć, jak się ubierał, żeby ją odwieźć do domu. O takiej porze nie zawracał sobie głowy krawatem. Widok męskiej koszuli rozpiętej pod szyją zawsze ją porywał; podniecał ją nawet wtedy, kiedy była nasycona. Andrew wrócił z salonu z dwiema szklankami campari z wodą sodową, a Daisy wtuliła twarz w rozpięty kołnierz jego koszuli. Uwielbiała kontrast między szorstką skórą męskiej twarzy, a delikatną skórą szyi. Uwielbiała zapach Andrew. Uwielbiała zapach Carla, ale szybko odrzuciła tę myśl.

Cieszyła się, że Giles zaproponował spotkanie w L'Escargot, miło będzie zobaczyć to miejsce, nie musząc wysłuchiwać niczym nie uzasadnionych, wrednych uwag Bena pod adresem Andrew.

Cieszyła się na spotkanie z Nellym Harwoodem. Giles powiedział, że Nelly wyraził chęć poznania jej. Daisy wiedziała, że przyjaźnili się od czasów szkolnych i ta przyjaźń przetrwała mimo różnic światopoglądowych. Nelly był najwyraźniej tym, co określa

się jako szycha w City; ktoś mógłby powiedzieć, że taka znajomość pozostaje w sprzeczności z troską Gilesa o ludzi z nizin społecznych. Giles rozmawiał z nią kiedyś o szerokiej przepaści społecznej, wynikającej z różnic klasowych, zarobkowych, różnic w dostępie do bogactw. Oświadczył wtedy, że nie oznacza to tylko mniejszej wolności dla tych, którzy nie mają, ale także to, że od pewnego punktu wolność tych, co mają, wcale nie rośnie.

— John Paul Getty nie konsumuje swojej fortuny. To ona konsumuje jego. — Wtedy po raz pierwszy Daisy usłyszała tę koncepcję. Schowała ją w jednym z zakamarków umysłu, skąd wyjmowała ją czasem, żeby rozważyć.

— Wsiądę tutaj i przejdę resztę drogi — powiedziała. Przez ostatnie pięć minut taksówka praktycznie stała w miejscu na Charing Cross Road. Stukając szpilkami przeszła pozostałe sto metrów dzielące ją od Cambridge Circus, gdzie poszła skrótem zgodnie z instrukcjami taksówkarza. I rzeczywiście, po minucie ujrzała szyld ze ślimakiem, ciągnący się wzdłuż Greek Street przez niemal dwadzieścia metrów. Siedzący przy narożnym stoliku na pierwszym piętrze Giles i mężczyzna z włosami koloru piasku wstali na jej powitanie.

— Witaj, Tulipanku. To jest Nelly Harwood.

Miał coś z Andrew, ale wyglądał młodo jak na swój wiek, o dwa lata młodszy niż brat. W kącikach piwnych oczu, pojawiły się zmarszczki przyjaznego uśmiechu.

— Czego się napijesz? — spytał Giles.

— Jeśli zamawiacie wino do lunchu, poczekam. Kiedy zamówili jedzenie, Giles powiedział:

— Rozmawialiśmy o tym, jak zwyczajni stali się nasi królowie, kiedy zabrakło im koron. W tym wypadku chodzi o premierów. Dziś rano w Izbie Gmin minąłem się z Haroldem Wilsonem na Dziedzińcu Przewodniczącego. Był sam i nikt nie próbował podejść i z nim porozmawiać, a przecież zaledwie dwa miesiące temu był premierem. Wyglądał jak mały, szary, zredukowany człowiek, i tak jest w istocie. Przy mewich jajkach Daisy spytała Nelly'ego, co naprawdę robił w City.

— Oto jedno z moich ulubionych amerykańskich powiedzeń — odparł Nelly. — Prosto z mostu: „Co robisz?”, pyta dama. W moim przypadku jest to szczególnie trafne pytanie. Giles, co ja, na Boga, robię? — On jest jednym z pasożytów społecznych — wyjaśnił Giles. — Pieprzy wszystko, a następnie zgarnia owoce pracy innych.

— To prawda, Daisy — przyznał ze śmiechem Nelly. — To Andrew działa opierając się na zasadzie, że jesteśmy zobowiązani zwrócić społeczeństwu część tego, co dostaliśmy za darmo. Zgadzam się z tą zasadą w stu procentach, ale jakoś nie mogę wcielić jej w swoje życie.

— Dlaczego? — spytała Daisy.

— O Boże. Niech pomyślę. Musi istnieć jakiś powód, oprócz lenistwa. Czy przychodzi ci coś do głowy, Giles? Giles obdarzył ich swym ulotnym uśmiechem.

— Czy Andrew kiedykolwiek się lenił? — dopytywała się Daisy.

Giles spojrzał na Nelly'ego, który przez chwilę milczał.

— Andrew zawsze sporo figlował — odparł wreszcie Nelly. — Jednak nigdy nie stracił zdolności do ciężkiej pracy. Zrobił wysiłek, zaangażował się w sprawy, do których ja nigdy nie byłbym zdolny.

Działalność polityczna na studiach. Biegi długodystansowe. Ja byłem tym jedynym lekkoduchem z całej trójki. — Uśmiechnął się do Gilesa. — W Marlborough Giles studiował na roku między Andrew a mną. Zaprzyjaźnił się ze mną, ponieważ ma słabość do słabeuszy. Ale Andrew też potrafił się lenić

— Nelly zapewnił Daisy. — I często to robił. Myślę, że wypadek trochę to zmienił.

— Jaki wypadek? — spytała Daisy.

— Och. — Nelly rzucił Gilesowi szybkie spojrzenie. — Może ci o tym nie wspominał.

— Nie mówił nic o żadnym wypadku.

Nelly skoncentrował się na dolewaniu im klaretu. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

— Chyba wiesz, że był jeszcze jeden brat, o pięć lat starszy od Andrew — powiedział Giles.

— Myślałam, że jest was tylko dwóch — powiedziała

Daisy do Nelly'ego. W jego oczach rozpoznawała teraz oczy Andrew.

— Nie. Był jeszcze Donald, złoty chłopiec. Stwierdzenie to wydało się Daisy dziwne: dla niej złotym chłopcem był Andrew.

Niemal czytając w jej myślach, Nelly wyjaśnił:

— Donaldowi wszystko łatwo przychodziło. W szkole zdobywał wszystkie możliwe nagrody. Nasi rodzice sądzili, że zajdzie na sam szczyt, bez względu na to, czym się postanowi zajmować. Wszyscy oczekiwali, że zostanie czołowym politykiem. Wkrótce miał się ubiegać o pewien mandat z ramienia partii torysów. On i Andrew jechali do Shropshire późno w nocy. Rodzice nie wiedzieli jeszcze o kandydaturze Donalda. W jakiś sposób samochód zjechał z drogi. Donald zginął. Andrew w żaden sposób nie mógł go uratować. Obawiam się, że nie jest to najprzyjemniejsza rozmowa podczas lunchu. Nelly opróżnił kieliszek i wyjął papierosa.

— Kto prowadził?

Odpowiadając Daisy, Nelly wpatrywał się w pusty kieliszek.

— Andrew, na swoje nieszczęście.

Tego wieczoru, kiedy przyrządzała sobie omlet, poczuła nieuzasadnione przygnębienie. Andrew nie miał powodu, żeby jej o tym mówić. Bóg jeden wie, że nie powiedział jej o mnóstwie rzeczy. Mimo to czuła obawę. Miała wrażenie, że jest odizolowana od jego najgłębszych uczuć. Podskoczyła, kiedy w sąsiednim mieszkaniu trzasnęły nagle drzwi. Może powinna napisać do Carla? Wciąż nie odpowiedziała na jego dwa ostatnie listy. Ale co miała napisać?

Następnego wieczoru w środę w Izbie Gmin nie było głosowania według partii. Miała się spotkać z Andrew w restauracji, leżącej w połowie drogi między jej mieszkaniem a Westminsterem. Wróciła do domu z „Ramparta” auto-

busem numer jedenaście, który wolała od metra, jeśli tylko miała czas; kiedy inni pasażerowie zagłębiali się w lekturze, Daisy lubiła wyglądać przez okno. Czasami obserwowała mijane domy i przechodniów. Najczęściej jednak oddawała się marzeniom. Wskoczyła na przystanku przed Sloane Square, zatrzymała się, żeby podziwiać płatany przystrojone świeżymi liśćmi, po czym przypomniała sobie, że nie zostało jej wiele czasu na kąpiel i zmianę ubrania.

Było już po ósmej, kiedy gestem dłoni zatrzymała taksówkę; lekki, późnowiosenny deszcz ledwo skrapiał przednią szybę. Uwielbiała sposób, w jaki deszcz zamieniał chodniki w lśniącą czerń.

Sprawiał też, że włosy na skroniach skręcały jej się w loki, których nie lubiła, ale co tam! Wysiadłszy przy Pimlico Road, położyła dłonie na uszach i przytrzymując niesforne kosmyki, pobiegła do drzwi restauracji. O tyle spraw chciała spytać Andrew, tyle mu miała do powiedzenia o rzeczach i myślach, jakie jej się przydarzyły od ostatniego spotkania sześć nocy wcześniej, że dość łatwo przyszło jej powstrzymanie się z tym pytaniem aż do kawy.

- Nelly mówi, że mieliście starszego brata. Dlaczego o nim nigdy nie wspominałeś?

- Może byś się zajęła własnymi cholernymi sprawami? Powiedział to takim cichym, równym głosem, że ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach nie usłyszeli nic niestosownego.

Poczuła się tak, jakby ją spoliczkowano. Spojrzała na swoje dłonie, leżące na obrusie w biało-czerwonej kratce. Po mniej więcej minucie milczenia Andrew powiedział:

- To było dość ordynarne z mojej strony. Przepraszam, Daisy. Po prostu nie chcę o tym mówić.

- W porządku — odparła zgaszonym głosem i po raz pierwszy, odkąd się poznali, ich rozmowa stała się chaotyczna.

W drodze powrotnej do jej mieszkania milczeli.

Wokół Sloane Square panował niewielki ruch, kiedy zatrzymał się przy krawężniku przed W. H. Smith, nie gasząc silnika.

- Słuchaj. Tak nie można kończyć wieczoru. Pojedźmy

do mnie na drinka i spróbujmy uratować tę sytuację. Czy wolisz raczej pójść wcześniej spać?

— Wolę wersję ratunkową - odparła cicho. Sprawiała wrażenie wyczerpanej.

Cofnął samochód od krawężnika, okrążył plac i ruszył w stronę Eaton Place. Na przedniej szybie pojawiły się smugi deszczu. Ulica znowu czarno załśniła.

Tym razem spostrzegła, że jej niepokój zdusił czar wysokiego salonu. Andrew nalał im whisky z wodą sodową.

— Usiądźmy — powiedział.

Usiedli naprzeciwko siebie w fotelach przed kominkiem.

— Chcesz wiedzieć. Dobrze. Powiem. Moja matka ubóstwiała Donalda. Musiał zostać poczęty wtedy, gdy mój ojciec wyszedł na przepustkę we wczesnej fazie wojny. Nie chodziło o to, że Donald był pierworodny: przez pięć lat był tylko on, jeśli wliczyć dziewięć miesięcy ciąży, prawie sześć lat. Ojca wysłano do Birmy, gdzie wylądował w jednym z japońskich obozów. Wyszedł, najwyraźniej mniej poszkodowany niż wielu innych. Po powrocie do Shropshire stwierdził, że jego żona i nieznany syn są sobie bardzo bliscy. Początkowo nie było to dla niego łatwe.

Ale potem i on zakochał się w Donaldzie. To pewnie dziwne określenie, ale wszyscy zakochiwali się w Donaldzie. Miał wszystko. Inteligencję. Urok. Siłę fizyczną. Miał ciemne włosy, jak moja matka. Był uderzająco przystojny. W jakiś wyjątkowy sposób, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak jest przystojny. Sądzę, że od najwcześniejszego dzieciństwa wielbiłem Donalda.

Andrew zamilkł.

Daisy milczała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Zapalił kolejnego papierosa.

— Kiedy tylko zaangażowałem się w politykę podczas studiów w Oxfordzie, zacząłem myśleć o zostaniu posłem, ale było oczywiste, że to rola Donalda. Zostałem więc adwokatem. Zdumiewające było tylko to, jak wiele czasu upłynęło, zanim Donald mógł kandydować w korzystnym okręgu. To absurdalne, że nie wybrano go do parlamentu w 1972 roku, kiedy torysi doszli do władzy.

Wtedy, w 1972 roku, umarł nagle poseł torysów z bezpiecznego okręgu i Donalda mianowano na jego miejsce. Wkrótce miał się żenić z kobietą, z którą od dawna miał romans. Miła kobieta. Mieli jednak kłopoty z jej rozwodem. Tej nocy, kiedy go mianowano, Donald, w typowy dla siebie sposób, postanowił pojechać do Long Green, żeby powiadomić rodziców.

Andrew zgasił papierosa. Wypił łyk whisky.

Mimo że beznamiętny wyraz nie schodził z jego twarzy, Daisy pomyślała, że niewiele razy widziała kogoś równie smutnego.

Zapalił następnego papierosa.

— W wieczór mianowania pojechałem razem z nim dla zabawy. Siedziałem w hallu miejscowego hotelu, wypilem parę piw, przejrzałem tygodniki, oglądałem telewizję, podczas gdy Donald i inni kandydaci byli przesłuchiwani. Kiedy tylko wszedł do hallu, wiedziałem, że wygrał. Uczciliśmy to whisky, a potem ruszyliśmy do Shropshire. Padał deszcz.

Mówił nieco urywanymi zdaniami.

- Przypuszczam, że Nelly ci powiedział, że to ja prowadziłem. Na wzgórzach Shropshire wyjechaliśmy z za zakrętu prosto na drzewo, które zważyło się na drogę. Donald powiedział: „Uważaj, Andrew”. Jeszcze teraz słyszę jego głos, spokojny i intensywny. Skreśliłem, żeby wyminąć drzewo. Drzewiczki po stronie Donalda się otworzyły. Wyrzuciło go. Samochód dachował. Wysiadłem i zobaczyłem, że leży przygnieciony samochodem. Uśmiechnął się lekko. Próbowałem zdjąć z niego samochód. Mówi się, że w momentach kryzysowych człowiek jest zdolny do czynów, których w normalnych sytuacjach nigdy by nie dokonał. Mimo to nie mogłem zdjąć z niego tego samochodu. „Daj spokój, Andrew”, powiedział. Usłyszałem nadjeżdżający samochód. Podbiegłem na szosę i zatrzymałem go. Wysiedli dwaj mężczyźni, którzy pomogli mi zdjąć z Donalda samochód. Umarł, kiedy to robiliśmy. Najwyraźniej miał krwotok wewnętrzny. — Andrew zgasił papierosa.

Po minucie zapalił kolejnego. Daisy wstała i podeszła do niego. Usiadła obok na

podłódze, podciągnęła nogi, obejmując je rękami, położyła policzek na kolanach. Opierała się o jego lewą nogę; poza tym go nie dotykała. Po pięciu czy sześciu minutach położył jej na szyi lewą dłoń. Później, w sypialni, powiedziała, że nie chciała, żeby dotykał ją tak jak zwykle, nie chciała się podniecać, a tylko go przyjać. Podczas ich ostatniej wspólnej nocy zaczęła się przyzwyczajać do odgłosów, jakie wydawał, był to jakiś przeciągły zduszony krzyk w chwili orgazmu. Tym razem milczał, a jego ostatni spazm przypominał dreszcz. Zasnął jeszcze tkwiąc w niej. Po chwili wysunęła się spod niego, naciągnęła kołdrę i położyła się, obejmując Andrew ramieniem. Leżała tak, póki nie odwrócił się przez sen i nie objął jej. Wtedy i ona zasnęła.

następny poniedziałek poznała Matkę Parlamentów.

Andrew kupił jej bilet do Izby, tak bowiem, jak już wiedziała, nazywała się sala, gdzie odbywały się najważniejsze posiedzenia. Kwadrans po drugiej stała podniecona pośród innych uprzywilejowanych gości w Centralnym Lobby, wykastrowanej wersji wiktoriańskiego gotyku sir Gilesa Gilberta Scotta, wznoszącej się zimno nad nimi. Czekali na wydarzenie, określane w programie jako Procesję Przewodniczącego. Punktualnie dwadzieścia po drugiej policjant krzyknął:

— Czapki z głów, obcy!

Rozległ się odgłos marszowych kroków; twarde podeszwy uderzały o marmurową posadzkę z wojskową precyzją. Grupę „obcych” minęła postać w peruce i czarnych, sięgających kolan bryczesach z lśniącymi sprzączkami; na ramieniu opierała ogromną, złożoną buławę. Dalej kroczyła inna postać, w nieco przekrzywionej peruce. Po czarnej szacie powiewającej nad bryczesami oraz po sprzączkach Daisy domyśliła się, że musi to być przewodniczący. Pochód zamykało jeszcze dwóch ludzi. Przetarła oczy. Po wejściu na galerię Izby i zajęciu miejsca wskazanego jej przez kogoś w ponurym, czarnym jak smoła stroju, z wielkim mosiężnym dyskiem na szyi, spojrzała w dół na kolejną rozczarowującą scenę. Po przeciwnej stronie sali siedziała postać w przekrzywionej peruce. Po obu stronach centralnego przejścia

znajdowały się ławki obite zieloną skórą. Siedziała tam grupa mężczyzn i bardzo niewiele kobiet, z których większość rozmawiała między sobą, mimo że członek rządu odpowiadał z mównicy na pytania. Ludzie siedzący za nim co pewien czas wołali:

— Słuchajcie, słuchajcie. — Te słowa, wypowiedane basem, bardzo przypominały Daisy bekanie. Na próżno rozglądała się za Andrew. Powiedział jej wcześniej, że spróbuje „złapać wzrok przewodniczącego” — Daisy pyszniła się skrycie znajomością tego powiedzenia — i zabrać głos w debacie handlowej; drobny przemysł wełniany w jego okręgu wyborczym był zainteresowany jedną z klauzul ustawy.

Próbowała ustalić, czy dżentelmenów bardziej przypominają torysi czy posłowie Partii Pracy zasiadający w ławach rządowych. Pomijając fakt, że torysi mieli bardziej spiczaste klapy i wyraźniejsze prążki garniturów, obie grupy były do siebie dość podobne pod względem wyglądu. Daisy pomyślała, że każde zgromadzenie ludzi tej samej profesji wygląda zazwyczaj mało frapująco, chociażby dziennikarze. No, ale jednak.

Tuż przed trzecią trzydzieści, kiedy przewidywano zakończenie pytań i początek debaty, dalsi posłowie zaczęli wchodzić zza Prezydium Przewodniczącego. Daisy żałowała, że wśród tych, którzy zasiedli w ławach rządowych, nie było nowego premiera, Jamesa Callaghana.

Nagle spoza Prezydium Przewodniczącego wyszła Rachel. Daisy patrzyła zafascynowana, jak Rachel, sprawiająca wrażenie pewnej i rozluźnionej w doskonale skrojonym kostiumie oksfordzkim, śmieje się z jakiejś uwagi zrobionej przez kolegę. Weszła na schody prowadzące do najwyższego rzędu ławek opozycji.

Wtedy pojawił się Andrew. Zatrzymując się po drodze, żeby zamienić parę słów z tym i owym, dotarł do trzeciej ławy. Dla Daisy atmosfera była teraz naładowana.

Kiedy po raz pierwszy wstał i pomachał kartką, by zwrócić uwagę przewodniczącego, głosu udzielono komuś innemu. Za drugim razem przewodniczący krzyknął:

— Pan Harwood. — Daisy nie wiedziała jeszcze, że przewodniczący był jedyną osobą w Izbie, która zwracała się do posłów po nazwisku, nie używając ich parlamentarnych tytułów.

Nie dotarło do niej ani jedno słowo z przemowy Andrew o przemyśle wełnianym w Waymere - była całkowicie pochłonięta jego pełną wdziękiem, ale i pewnością postawą i sposobem mówienia. Był niewątpliwie najbardziej pociągającą osobą na sali.

Usiadł i spojrzał na galerię. Kiedy ją dostrzegł, napisał coś na kartce, którą wręczył woźnemu. Po chwili Daisy doręczono zwiniętą kartkę. „Czy możemy się spotkać w Centralnym Lobby za piętnaście piąta?”

Kiedy Andrew podniósł wzrok, skinęła głową twierdząco.

Wspaniałymi, szerokimi schodami o wypolerowanych poręczach z ciemnego dębu zeszli piętro niżej na taras wychodzący na Tamizę. Tu nie czekały jej żadne rozczarowujące wrażenia; patrzyła na barki sunące cicho po granatowoniebieskiej wodzie, migoczącej we wczesnoczerwcowym słońcu, a potem na wznoszące się nad nią zdobione gotyckie kolumny. Kilku posłów podeszło do ich stolika, żeby powiedzieć coś Andrew i zostać przedstawionymi Daisy. Czowała dumę.

Po herbacie ruszyli przez ciemny labirynt Izby Gmin, przeszli przez New Pałace Yard i Bridge Street. Podobnie jak większość nowych posłów Andrew miał pokój w budynku Normana Shawa, o kilka minut drogi od Pałacu Westminster.

— Amerykanie są zawsze zaszokowani widokiem naszych tak zwanych gabinetów - ostrzegł ją. - Niektórzy posłowie muszą dzielić pokoje z innymi, więc wierz mi lub nie, ale mam szczęście, że dostałem własną klitkę.

Niewiele przesadzał: jego pokój był tak ciasny, że biurko, trzy krzesła i szafka całkowicie go wypełniały. Sekretarka Andrew, pracująca też dla innego posła z partii torysów,

musiała wędrować z jakiejś odległej części budynku. Kiedy przyszła, Daisy się wycofała.

Jakkolwiek skromne mogło się wydać życie posła zasiadającego w dalszych ławach, dla Daisy było olśniewające: stanowiło część Andrew.

Wkrótce będziesz musiała mu coś powiedzieć — zauważyła Angela.

- Wiem — odparła Daisy.

Był czwartek; jadły lunch w swoim barze sałatkowym.

- Zdajesz sobie sprawę, że stało się to, na co liczyli moi rodzice?

- Przecież ich lubisz. W przeciwnym razie wyszłabyś za Carla, żeby im zrobić na złość, mimo że twoje zaślepione serce zwróciło się teraz ku innemu. Ponieważ nie jesteś największą aktorką świata, przypuszczam, że Carl zauważył już zmianę tonu twoich listów.

- Ale co mam napisać? „Najdroższy Carlu. W końcu jednak nie chcę za ciebie wychodzić, ponieważ zakochałam się w Angliku imieniem Andrew. Moja przyjaciółka Frances poinformowała mnie, że jestem monoerotyczna, toteż nie chcę się więcej z tobą kochać.” Tymczasem nie mam zielonego pojęcia, czy za miesiąc Andrew będzie mnie jeszcze pożywał.

Daisy spojrzała posepnie na sałatkę z kurczaka. Angela uśmiechnęła się w duchu do przyjaciółki.

- Kiedy mu o tym napiszesz, przynajmniej poczujesz się lepiej. Napisz szkic listu na maszynie; coś w fizycznej odrębności tego urządzenia pomaga w uzyskaniu dystansu. W każdym razie ja to tak odczuwam, co nie znaczy, że mam duży problem w osiągnięciu dystansu. Jeśli chodzi o Andrew, jest rzeczywiście typem człowieka, który chce zapuścić korzenie. Przypuśćmy, że postanowiłby to zrobić z tobą. Wyszłabyś za niego?

- To takie obrzydliwe - stwierdziła Daisy, marszcząc brwi. - Najpierw mówię o tym, jakie cudowne dzieci mogłabym mieć z Carlem Myerem, a chwilę potem to samo

opowiadam o Andrew Harwoodzie. Ale właśnie w ten sposób sprawdzałam zawsze, jak poważnie traktuję mężczyznę: czy chcę mieć z nim dziecko? Nie myśl jednak, że widzę siebie jako wielką maciore, karmiącą prosiaki przez pół życia. Ale zawsze myślę o dziecku, kiedy zastanawiam się, jak bardzo kocham mężczyznę. Czy kiedykolwiek myślisz w tych kategoriach?

- Nic takiego sobie nie przypominam. W każdym razie nie jest to przypadek mojego obecnego lekkiego romansu.

- To znaczy?

Daisy z radością powitała możliwość oderwania się od własnych problemów.

- Jeśli wyjdę za mąż, to głównie dla rozrywki - oświadczyła Angela. - Ben Franwell jest jednym z możliwych kandydatów.

- Co?

- Nie można tego wykluczać. Lubię znajdować się na marginesie spraw. Wątpię, czy w ogóle jestem zdolna do wielkiej namiętności. Wcale nie chcę przeżyć czegoś takiego, ten cały nieunikniony ból...

- Zgoda, Angelo, ale w ten sposób tracisz też wielkie szczęście, które równoważy ból. Jestem przekonana, że te rzeczy się równoważą.

- Myślisz, że nasz sąsiad miałby coś przeciwko temu, gdybym zapaliła jeszcze jednego papierosa?

Zrobiwszy to, powiedziała: - Przypuszczam, że masz rację co do równowagi. Jednak, w przeciwieństwie do ciebie, wolę, żeby moja równowaga została zachowana na niskim poziomie. Wolę utracić twoje wzloty emocjonalne niż ryzykować, że znajdę się u kogoś w kieszeni. Chcę sama panować nad własnymi uczuciami, choćby w konsekwencji ich skala była mała. Nie chcę nadmiernie zaprzętać sobie głowy tym, czy Andrew, Ben albo ktokolwiek inny będzie we mnie jeszcze zakochany na zabój w przyszłym miesiącu. Sądzę, że jestem stworzona do małżeństwa z rozsądku.

- Czy Ben poprosił cię o rękę?

- Nie. Ale myślę, że to rozważa. On także żyje na

marginesie własnych uczuć. Lubię obserwować grę władzy, i to wszędzie, nie tylko w Westminsterze czy na ulicy Fleet: grę władzy w świecie sztuki, biznesu, w małżeństwach innych ludzi, w dziedzinie seksu. Ben lubi sprawować władzę. Moja siatka mogłaby dostarczać użytecznych informacji. Mogłabym się okazać przydatna w życiu towarzyskim, które odpowiadałoby jego celom. Nie zrzędziłabym o jego braku zainteresowania życiem rodzinnym, bo ono mnie też nie interesuje. Ben i ja moglibyśmy świetnie do siebie pasować. Zobaczymy.

18

W czwartkowy wieczór Daisy znowu odwiedziła Izbę Gmin. Ona, Frances i Giles byli gośćmi Andrew na kolacji w stołówce poselskiej. Siedzieli w sali równie wysokiej jak szerokiej, ze ścianami pokrytymi elegancką tapetą koloru klaretu ze złotym nadrukiem: ten wzór Daisy widziała już w innych miejscach Izby.

— Naprawdę lubię tapety Pugina i wszystkie te wymyślne ozdoby - powiedziała Frances. - Szkoda, że większość jego prac spłonęła podczas bombardowań w 1914 roku. Już samo to wystarczy, żeby się zrazić do Niemców. Jak się czujesz, Daisy, otoczona naszymi szacownymi prawodawcami?

Wyglądasz na lekko otumanioną.

Większość prawodawców była nieobecna; podobnie jak Andrew, porzucili swoich gości, kiedy rozległ się wyjątkowo głośny dzwonek, a donośny głos zawołał: „Głosowanie według partii!”

— Myślę, że są w porządku.

— Dlaczego nie powiesz otwarcie, Tulipanku: wyglądają jak banda fiutów.

Daisy wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.

— Nie o to chodzi. Ale środki masowego przekazu mówią o nich tak wzniośle. Ty, Giles, stale o nich piszesz. A kiedy się ich widzi, wyglądają tak zwyczajnie, a przy tym sprawiają wrażenie zadowolonych z samych siebie.

— Właśnie to powiedziałem, nawet jeśli dosadniej niż ty.

— Ale chyba nie myślisz w ten sposób o Andrew.

- Takich jak Andrew jest tu na lekarstwo, bez względu na przynależność partyjną. Większość tych typów to naciągacze: powiedzą ci, że chcą służyć społeczności, polepszać los społeczeństwa, wszystkie te świątobliwe brednie. Ilu z nich przyzna, że zależy im na władzy dla samej władzy?
- Nie wszyscy tacy są — zaprotestowała Frances. — Mogę wymienić polityków, którzy naprawdę zrobili coś dla społeczeństwa.
- Zgoda, więc masz kilku szczerych faszystów, takich jak Mosley.
- Doprawdy, Giles. Po co stale prawisz nam kazania, że najpierw rządowi Wilsona, a teraz Callaghana brak prawdziwej krwi socjalizmu, skoro w istocie deprecjonujesz wszystkich polityków jako maniaków na punkcie własnego ja?
- A co z Rooseveltem? — Od pewnego czasu Daisy starała się podać przykład polityka, o którym słyszała, że szczerze interesowały go zmiany społeczne.
- Przyznaję, że był kimś wyjątkowym - odparł Giles. -Mogę się zgodzić, że mamy dziś dwóch czy trzech gości, którzy nie są całkowitymi oportunistami. Andrew naprawdę wierzy, że mógłby w minimalnym stopniu poprawić los swoich rodaków, gdyby udało mu się osiągnąć odpowiednio silną pozycję. Ale przecież wszyscy inni mówią sobie to samo i, co dziwne, większość w to wierzy. Kolejny dowód na to, że są wariatami.
- Uważasz Andrew za wariata? — Daisy łatwiej przychodziło rozmawiać na przykładzie konkretnej osoby, a ponadto uwielbiała mówić o Andrew.
- Znam jego i Nelly'ego od czasów Marlborough. Andrew jest inteligentny, hojny, ambitny. Może ma nieco zbyt silną obsesję, że musi dawać za dwóch ludzi: za siebie i Donalda. Ale wariat? Nie.
- Musi być trochę stuknięty, skoro zaprosił cię tu dziś na kolację — zauważyła Frances. — Po tym, co w zeszłym tygodniu napisałeś o błogosławionej przywódczyni torysów, większość posłów z tej partii wolałaby się nie afiszować znajomością z tobą.

Zwróciła się do Daisy:

— Posłowie stale spotykają się z dziennikarzami w barze Annie's albo w innych miejscach uważanych za stosowne. Unikają jednak zapraszania tutaj na kolację ludzi, którzy zaatakowali ich przywódcę, niezależnie od tego, jak bardzo zgadzają się z atakiem.

— Istnieje jeszcze inny powód, dla którego lubię Andrew, mimo że jest torysem — powiedział Giles.

— Nie ogląda się bez przerwy za siebie. Chociaż jeśli ma zamiar zejść dokądkolwiek w tej grze, powinien od czasu do czasu zerknąć przez ramię. Spojrzał nad głowami swoich towarzyszek.

— Nasi prawodawcy powracają. Andrew właśnie wrócił do stolika, kiedy w drzwiach pojawiła się Rachel. Rozglądała się po sali, aż dostrzegła posła opozycji, odpowiedzialnego za sprawy budownictwa i podeszła do niego, żeby porozmawiać. Giles odprowadził ją wzrokiem. — Wkrótce zacznę zajmować się poważnymi sprawami — oznajmił Andrew. — Mają mnie przyjąć do opozycyjnej komisji do spraw budownictwa. Cześć, Rachel. Skończywszy rozmowę z posłem od budownictwa, podeszła prosto do ich stolika. — Cześć wszystkim — przywitała siedzących. — Byłam w Izbie dziś po południu, kiedy udzielono ci głosu, Andrew. Dobre przemówienie.

— Dzięki. Chcesz się do nas przyłączyć?

— Dzięki. Nie mogę. Jak życie w „Ramparcie”?

— Bez większych zmian — odparła Frances. Podniosła rękę. — Spójrz na ten siniak. Tu właśnie wielki biały wódz uderzył mnie batem, bo do recenzji autobiografii Macmillana włączyłam nieuzasadnioną aluzję do twardego serca pani Thatcher.

Rachel skwitowała ten żart śmiechem.

— Przekaż ode mnie Benowi wyrazy miłości. Do zobaczenia, Andrew. — Pomachała im i ruszyła do drzwi. — Niczym błogosławieństwo — stwierdził Giles.

— Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby zachowywała się tak przyjaźnie — zauważyła Daisy.

— To dlatego, że należy teraz do jednego klubu z Andrew — wyjaśnił Giles. — Zawsze rozmawia się z gośćmi kolegi pośła. Nawet jeśli kopiecie pod sobą doły.

Daisy pomyślała o pośle, który w poniedziałek po południu podszedł do jej stolika na tarasie. Andrew roześmiał się.

— Nie ma najmniejszych dowodów na to, że Rachel kopie pode mną doły — powiedział.

— Tylko poczekaj. Zrobi to — zapewnił Giles. — O ile chcesz się założyć?

19

Odkąd Daisy przeprowadziła wywiad z żoną sekretarza spraw zagranicznych, łatwiej udawało jej się nakłaniać inne ważne osobistości do spotkań.

W piątek napisała do ministra zdrowia list z prośbą o wywiad, dodając, że za kilka dni zadzwoni do jego biura, żeby się dowiedzieć, czy to możliwe.

— Nie dawaj jego sekretarce szansy na odmówienie ci drogą listowną — doradził Ben.

Sloane Square wyglądał w niedzielę spokojnie i radośnie, kiedy poszła po gazetę do stoiska obok stacji metra, a potem wróciła do domu z „Rampartem” pod pachą. Zrobiwszy sobie kawę, wyciągnęła się wygodnie na wielobarwnej hinduskiej kapie, wyjrzała przez okno na płatany, wreszcie otworzyła gazetę.

Najpierw zajrzała na stronę z jej wywiadem z żoną ministra skarbu. W piątkowy wieczór, przed wyjściem z pracy, widziała wersję roboczą. (Większość artykułów wiodących szła do drukarni w piątek w nocy, żeby drukarze mieli czas w sobotę na nieuniknione zmiany w wiadomościach.) Jednak podobnie jak większość dziennikarzy Daisy żyła w strachu, że błąd drukarski przeinaczy sens jej słów — „nie próbuje podkopać pozycji premiera” zamienia się na przykład w „że próbuje podkopać pozycję premiera”. Gdyby się okazało, że żenująca pomyłka była dziełem korektora, Ben wylałby go natychmiast. (Jeśli błąd popełnił celowo drukarz, Ben nie mógłby go tak od razu wyrzucić: wśród drukarzy panuje iście mafijna lojalność.)

Z ulgą i całkiem zadowolona z końcowego rezultatu, przewróciła gazetę na pierwszą stronę, by czytać po kolei. Po dobrych dziesięciu minutach doszła do artykułu redakcyjnego. Jej wzrok natychmiast przykuło nazwisko pojawiające się kilkakrotnie w felietonie Bena.

W ten niedzielny poranek nowy blask nadziei opromienia oczy posła z okręgu Waymere. Przez dwa lata pan Andrew Harwood wylegiwał się, opuszczony, na tylnych lawach torysów.

I oto anioł ma go wkrótce przenieść na stanowisko względnej chwały: młodszego mówcy opozycji do spraw budownictwa. Ale czy anioł nie powinien najpierw zapytać, czy syn baroneta ma jakiegokolwiek pojęcie o problemach budownictwa w naszym kraju?

Pan Harwood może sądzić, że nikt nie rozumie lepiej dążenia biedaka do posiadania toalety w domu niż elegant, który wychował się w domu o dwunastu sypialniach w Long Green w Shropshire. Proszę sobie wyobrazić miejscowego sklepikarza, który dostarcza do tylnych drzwi cotygodniową partię papieru toaletowego; możecie się założyć o ostatni grosz, że papier ten nie zostanie użyty w wygodce na tyłach domu.

* * *

Nie mam nic przeciw temu, by poseł uczciwie zarabiał w wolnych chwilach. Nie ulega wątpliwości, że pan Harwood może być najsprawniejszym adwokatem.

Kiedy zaś udaje mu się oderwać od bardziej prywatnych zajęć, czasami zaszczyca nawet Izbę Gmin swoją obecnością.

* * *

Czy nie byłoby jednak rozsądniej dołączyć do komisji budownictwa posła, który zna życie zwykłych ludzi, posła, który gotów jest sumiennie wykonywać obowiązki parlamentarne? Dlaczego nie mianować na to stanowiska posła z Bedford Forge, Rachel Fisher?

Ten nowy nabytek klubu poselskiego torysów wie, że wszyscy Brytyjczycy muszą zakasać rękawy, jeśli pragną

wyzwolić się od niechlubnej ugody zawartej między biurokratami z Partii Pracy a torysowskimi patrycjuszami.

Czy interesy Partii Konserwatywnej i całego kraju nie byłyby lepiej reprezentowane, gdyby to Rachel Fisher została członkiem komisji budownictwa, a pan Harwood mógł zajmować się prywatnymi sprawami poza Izbą?

Z twarzą płonąca z wściekłości Daisy rzuciła „Rampar-ta” na podłogę.

Co takiego powiedział Andrew o felietonach Bena? „Pisze o ludziach tak okropne rzeczy, że chce mi się śmiać. Jak na razie.” Podniosła gazetę i ponownie przeczytała artykuł.

Dziesięć minut później sięgnęła po niedawno zainstalowany telefon i nakręciła numer Frances w Barbican. Nikt nie odbierał.

Nakręciła numer Angeli.

— Sądziłam, że możesz zadzwonić. Przede wszystkim, Daisy, to nie ma znaczenia.

— Jeśli nie ma znaczenia, to czemu Ben zawraca sobie tym głowę?

— No, dobrze: tak naprawdę, to nie ma znaczenia. Nie wywrze to żadnego wpływu na karierę Andrew. W artykule nie można wyczytać najdrobniejszej aluzji do tego, że Andrew jest skorumpowany.

— Ale to takie ohydne.

— Masz zupełną rację.

— Czytelnik odnosi wrażenie, że Andrew jest idiotą. I o jakich „prywatnych sprawach” on pisze?

— A, to jedna ze słynnych metod Franwella. Czy ma na myśli robienie pieniędzy na boku? Czy ma na myśli romans Andrew z tobą? Czy ma na myśli to, że Andrew bije własną matkę? o

Ostatnia koncepcja tak rozśmieszyła Daisy, że cała uraza momentalnie się ulotniła.

— Każdy, kto zna Andrew, zrozumie, że Ben się wygłupia. Każdy, kto nie zna Andrew, zapomni o artykule po dziesięciu minutach.

Daisy wierzyła w to tylko połowicznie.

— Czy mówiłam ci, Angelo, co mi powiedział Ben, kiedy zabrał mnie kiedyś na lunch do L'Escargot? Oświadczył, że kiedy torysi wrócą do władzy, każda posada, jaką zaproponują Andrew, zostanie wcześniej odrzucona przez Rachel.

Usłyszała pstryknięcie zapalniczki. Potem Angela powiedziała:

— Nie ma wątpliwości, że Ben zrobi wszystko, żeby promować Rachel. Polityka jest polityką: jeśli chcesz kogoś wywindować, musisz kogoś zrzucić ze stołka.

Daisy czekała, aż Angela zaciągnie się papierosem.

— Poza tym obie wiemy, że Ben jest cięty na Andrew.

— Dlaczego?

— Daisy, Ben myśli o wszystkim w kategoriach osobistych. Kiedy dałaś mu jasno do zrozumienia, że nie jest w twoim typie, musiał zwalić na kogoś winę za twój brak seksualnego zainteresowania.

Andrew był idealnym chłopcem do bicia, ponieważ bez względu na to, jak wielkie Ben będzie odnosił sukcesy, nigdy nie straci awersji do torysowskich arystokratów. Zabierze ją ze sobą do grobu.

— Czy jego wendeta nigdy się nie kończy?

— Obawiam się, że tak właśnie jest. Nawet jeśli nie uda mu się dosłownie zniszczyć ofiary, to wie, że nie kończące się próby mogą ją w końcu zdemoralizować.

— I co się wtedy dzieje?

Ofiara traci równowagę i spada z liny, po której kroczy. Daisy milczała.

— A jeśli chodzi o Andrew — ciągnęła Angela — jestem pewna, że ty się martwisz dzisiejszym artykułem znacznie bardziej niż on, chociaż i jemu to się nie spodoba. Komu by się podobał? Może powinnaś się zastanowić, czy chcesz się wiązać z politykiem, Daisy.

Odłożywszy słuchawkę, Daisy wyjrzała przez okno na platany, ale widziała tylko wyszczerzoną w uśmiechu twarz Bena Franwella.

20

W połowie czerwca Brytyjczycy uskarżali się na niezwykłą pogodę: o dziewiątej rano temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, a wilgoć przypominała Daisy mokry koc upału okrywający Filadelfię każdego długiego lata.

Mimo że był poniedziałek, obudziła się wcześniej. Leżała nago na łóżku, nie mogła znieść przykrycia choćby prześcieradłem; zostawiła na noc rozsunięte zasłony, by wpuścić każdy powiew, ale zwisały luźno, a w pokoju panował upał — odgarnęła włosy z szyi, rozkładając wilgotne loki na poduszce.

Wtedy przypomniała sobie, jaki to dzień. Podniosła się, wsparta na łokciu, by spojrzeć na zegar tykający na nocnym stoliku. Prawie siódma. O Boże. Była tak zaskoczona, kiedy zadzwonił w zeszłym tygodniu i oznajmił, że nie chce czekać na dwutygodniową wizytę, którą zaplanowali na koniec lipca: przyjeżdżał na dodatkowe trzy dni w czerwcu.

Kiedy tak leżała, rozgrzana, niespokojna, pełna wyrzutów (a musiała sobie przypominać, że to nie ona powinna odczuwać wyrzuty) — samolot z Nowego Jorku właśnie zbliżał się do Heathrow.

Przez okno Carl widział jedynie grubą, zbitą warstwę wilgotnych chmur. Potem otworzyła się postrzępiona szczelina i rozpoznał bajkowe, zwieńczone blankami mury zamku w Windsorze. Po chwili rzednące krawędzie chmur, pozornie uciekających w stronę przeciwną do samolotu, zamknęły się znowu.

Niewiele ponad godzinę później taksówka dowiozła go do hotelu Brown's. Poza neseserem miał tylko jedną, pełną rzeczy torbę.

O pierwszej Daisy wyskoczyła z autobusu numer jedenaście na Piccadilly, mniej żwawo niż zazwyczaj, kiedy znajdowała się blisko Green Park. Przy innych okazjach poruszał ją widok ludzi leżących na trawie, chwytających każdą chwilę słońca jak rzadki dar. Dzisiaj ledwo ich zauważyła. Przechodząc połowę przecznicy dzielącej ją od Albemarle Street, zdała sobie sprawę, że jest potwornie zdenerwowana.

Recepcjonista w hotelu Brown's zadzwonił do pokoju profesora Myera.

- Mówi, że zarezerwował dla państwa stolik na lunch na pierwszą trzydzieści. Pyta, czy zechce pani wejść na chwilę na górę. To pokój 242 na piątym piętrze.

- Proszę powiedzieć profesorowi Myerowi, że poczekam w hallu.

Usiadła na obitej adamaszkiem sofie i rozejrzała się po ludziach siedzących w tym dużym, eleganckim, pozbawionym wszelkich cech indywidualnych pomieszczeniu. To naprawdę okropne ze strony Carla, że postawił ją w głupiej sytuacji, skoro nie chciała pójść do jego pokoju. Przywołała się do porządku: dlaczego właściwie nie mogła pójść do jego pokoju? Nie zamierzał jej zgwałcić.

- Witaj, Daisy. Czy myślałaś, że zamierzam cię zgwałcić? Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo był przystojny. Uśmiechał się pogodnie, wpatrzone w nią brązowe oczy migotały. Spozstrzegła, że cieszy się na jego widok. Podobały jej się. dwie pionowe bruzdy przecinające wąskie policzki.

- Jesteśmy trochę wcześniej, ale sądzę, że przygotowali już stolik. O ile uważasz, że to bezpieczne, żeby dzielił nas tylko obrus. Poprosiłem w recepcji, żeby zarezerwowali nam stolik w restauracji, którą, zdaje się, bardzo lubisz. Langan's. Powiedzieli, że to tylko pięć minut drogi stąd. Siedziałem w samolocie przez siedem godzin. Może pójdziemy piechotą?

Usiedli kilka stolików od drzwi; nad ich głowami wisiały trzy gwasze Hockneya przedstawiające basen. Kiedy Carl już złożył zamówienie, powiedział:

- Wyglądasz oszałamiająco. Ale to przecież nic nowego. - Przyglądał jej się z uwagą.

- Kocham Londyn - powiedziała Daisy.

— Zauważyłem. Twój ostatni list niezbyt mi się podobał. Szczerze mówiąc, nie podobał mi się żaden z listów w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Stwierdziłem jednak, że powinnaś wyrzucić jakoś z siebie te nowe ekscytujące wrażenia. Czy nie miałem racji?

Daisy patrzyła mu w oczy. Nigdy nie czuła fizycznego pociągu do dwóch mężczyzn jednocześnie. Czy doświadczała tego teraz? Czy była to tylko nostalgia? A może po prostu tak bardzo go lubiła?

— Poznałam kogoś na początku tego roku. Wszystko to jest raczej dziwne. Zaangażowałam się dość mocno.

— Czy znam go może?

— On wie, kim jesteś. Jest posłem z partii torysów. Wybrali go w 1974 roku. Czy wiesz, że w 1974 roku wybory odbyły się dwukrotnie?

Carl Myer roześmiał się.

— Rozpolitykowana panna Daisy Brewster nie zwalnia kroku. Przypuszczam, że ten człowiek ma nazwisko?

Daisy poczuła się rozdarta między uczuciem niezręczności a pragnieniem, by wymówić jego nazwisko.

— Andrew Harwood. Jest także adwokatem.

— Nigdy o nim nie słyszałem. Co więc zamierza pan Harwood?

— Co masz na myśli?

— Wiesz doskonale, co mam na myśli.

Zaczęła delikatnie zwijać serwetkę w długi stożek. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, co zamierza Andrew.

— Nie wiem, co masz na myśli. Wiem tylko, że stało się coś, co wydawało się niemożliwe sześć miesięcy temu, kiedy odprowadziłeś mnie na lotnisko. On bardzo mi się podoba.

— Czy mówisz, że nie chcesz za mnie wyjść?

— Nie wiem, co mówię. — Czuła się fatalnie. — Chyba to właśnie mówię.

— Czy powiedziałaś panu Harwoodowi, że to ja nauczyłem twoje ciało doświadczać uczuć, jakich wcześniej nie znało, że otworzyłem twój umysł na myśli, idee, o których istnieniu nie miałaś pojęcia?

— Och, Carl, przestań.

145

— Dlaczego? Nie możesz iść przez życie, Daisy, wyobrażając sobie, że wolno ci brać i odkładać serca innych ludzi, jak gdyby to były cukierki.

— Robisz ze mnie Daisy z „Wielkiego Gatsby'ego”.

— Nie jesteś tak pochłonięta własną osobą jak ona. Istnieje jednak wyraźne podobieństwo między jej frywolnym stosunkiem do życia a, co pewien czas, twoim.

W przypadku innego mężczyzny oburzyłaby się na zarzut frywolności, wysunięty tylko dlatego, że jej uczucia uległy zmianie. W tym przypadku przyznała, że słowa Carla były uzasadnione.

— Nie sądziłam, że może mnie pociągać kto inny niż ty. Nie chciałam, żeby tak się stało.

— Dlaczego więc nie potraktujesz swobodniej tego, co się stało? Słuchaj, Daisy, już dawniej trochę o tym rozmawialiśmy. Odkąd wyjechałaś, sprawy posunęły się trochę naprzód. Jeśli w listopadzie Ford zostanie ponownie wybrany, jest wysoce prawdopodobne, że przed końcem roku ruszę do

Waszyngtonu, chociaż nie mógłbym właściwie wziąć rocznego urlopu w Princeton przed początkiem przyszłego roku. Może zacząłbym jako doradca w Departamencie Obrony. Może w Departamencie Stanu, chociaż Henry K. może nie chce towarzystwa drugiego intelektualisty. Kiedy po raz pierwszy wziął roczny urlop z Harvardu i pojechał do Waszyngtonu, tamtejsi intelektualiści czuli, zagrożenie z jego strony i mieli rację: w ciągu roku skupił w swoich rękach władzę niepomierne wyższą niż oni.

— A ty masz zamiar pójść jego śladem?

— Dlaczego nie?

Daisy przypominała sobie, że miewała nastroje, w których jego arogancja ją wściekała. Teraz jednak przyznawała, że miał powody do bycia aroganckim. Była dumna z intelektualnej waleczności Carla. Intrygowała ją władza polityczna, po którą sięgał. Uśmiechnęła się na widok zuchwałych, brązowych oczu, obserwujących jej reakcję.

— Pomyśl o życiu, jakie moglibyśmy prowadzić w Waszyngtonie - ciągnął. - Ja działałbym na arenie politycznej, a ty rzeźbiłabyś popiersia. Senatorowie i kongresmeni

ustawialiby się w kolejce do twoich drzwi. Jedno jest pewne: nigdy nie znudzilibyśmy się sobą nawzajem. Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

— Zgoda, ty, i może ja, moglibyśmy czasami pragnąć nadać swoim doznaniom nowy wymiar, jak ten twój rok w Londynie. Twoja teoryjka o tym, że jesteś „monoerotycz-na” — drwiąco opuścił kąciki ust, wypowiadając słowo, którego się niedawno nauczyła - to brednie. Każdy, kto twierdzi, że jest monoerotyczny, jest po prostu stłumiony. A ty nie jesteś stłumiona. Ja powinienem to wiedzieć: to ja rozwinąłem twój seksualizm.

Zauważył, że Daisy patrzy na swe dłonie, leżące na obrusie. Pilnował się, by jej nie dotknąć. Spojrzał na jej usta, miękkie, pełne wargi, potem przeniósł wzrok na oczy Daisy i powiedział:

— Dlaczego masz przez całe życie chodzić w gorsecie? Istnieje cała gama doznań, które w istocie mogą wzmocnić małżeństwo i sprawić, że stanie się bardziej atrakcyjne. Przy założeniu, oczywiście, że chodzi o dobre, interesujące małżeństwo, a nasze takim by było. Przeżyj swoją przygodę, a potem wróć do mnie.

Widział, że Daisy rozważa tę propozycję.

— Rozluźnij się i ciesz się swym londyńskim romanssem. I wtedy przesadził:

— O wiele lepiej traktować to jako przelotną przyjemność niż wyrzucać to, co ci oferuję. Nie możesz pragnąć założenia rodziny z jakimś marnym posłem, w kraju, który schodzi na psy.

Daisy zarumieniła się z gniewu.

Jednak Carlowi często dopisywało szczęście. W tym momencie od strony baru nadeszła jakaś para. Prawdopodobnie jedli lunch na górze. Młoda kobieta miała na sobie kwiecistą jedwabną sukienkę bez halki, więc można było dostrzec całą długość wspaniałych, pełnych nóg. Towarzyszył jej Andrew. W tym samym momencie, kiedy Daisy zdała sobie z tego sprawę, Andrew ją zauważył.

Odezwał się do towarzyszącego mu zjawiska i kobieta ruszyła do drzwi. Nie była tą aktorką w bieli, przez co wszystko stało się jeszcze gorsze.

Najwyraźniej nieporuszony, podszedł do ich stolika pod basenami Hockneya.

— Cześć, Daisy.

— Cześć.

Miała nadzieję, że jej głos brzmiał pogodnie i szczebiotliwie.

— To jest Carl Myer. To Andrew Harwood.

Carl wstał i dwaj mężczyźni podali sobie ręce. Byli tego samego wzrostu, ale poza tym różnili się wyglądem: jeden z włosami koloru piasku, krępej budowy, drugi chudy, o bladej skórze kontrastującej z czarnymi włosami. Patrzyli na siebie z nie skrywanym zaciekawieniem. Obaj uśmiechali się nieznacznie. — Daisy mówiła o panu - powiedział Andrew. — Czytałem kilka pańskich prac, z dużym zainteresowaniem.

— Tak. — Carl nie chciał odwzajemniać konwencjonalnej grzeczności.

— Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu, Daisy. Do widzenia, profesorze Myer.

— Do widzenia, panie Harwood. Daisy nic nie powiedziała.

Andrew odwrócił się i ruszył do drzwi.

Carl usiadł. Spojrzał na Daisy. Oczy mu migotały.

— Zgadza się, że to bardzo przystojny młody człowiek. Daisy nadal milczała.

Carl wezwał kelnera, a po zapłaceniu rachunku powiedział: ' Słuchaj, nie możemy pograć się w milczeniu tylko dlatego, że twój młodzieniec pokazał się tu z inną damą. Zarezerwowałem dla nas bilety do Teatru Narodowego na dzisiejszy wieczór, grają „Otella”. Zechcesz pewnie wrócić do siebie i odświeżyć się, jakby powiedziała twoja matka. Najpierw jednak wróćmy na pół godziny do Brown's. Chcę ci pokazać artykuł, jaki napisałem do „New York Timesa”. Jest o czymś, o czym rozmawialiśmy przed twoim wyjazdem. Daisy w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana artykułem w „New York Times”, ale mimo to postanowiła wrócić z nim do hotelu. Kiedy skręcili w ulicę Albermarle, Carl zaczął przechodzić na zalany słońcem chodnik po drugiej stronie.

— Nie lubię chodzić w słońcu, kiedy jest tak gorąco i jestem ubrana — powiedziała Daisy.

Była rozdrażniona.

Szli po zacienionej stronie i przeszli dopiero wtedy, kiedy znaleźli się naprzeciwko hotelu.

Chociaż miała nadzieję, że nie było tego po niej widać, znajdowała się w stanie wewnętrznego wzburzenia, była zła i przygnębiona. Nie miała powodu, by sądzić, że Andrew nie spotyka się z innymi kobietami. Nie pytała go o to, bo nie chciała, żeby czuł się klaustrofobicznie. Zresztą ona chodziła na randki z innymi, czemu więc on miał tego nie robić? Chodziło jednak o to, że randki Daisy miały charakter czysto platoniczny. Przypomniała sobie słowa Bena: „Andrew nudzi się każdą panienką, z którą idzie do łóżka, więc rusza dalej”. Daisy czuła się chora.

Pokój 242 był duży, z dwoma łózkami szerszymi niż większość podwójnych łóżek. Usiadła w fotelu pod oknem, czytając wycinek z „New York Timesa”. Próbowwała się skoncentrować. Część wpływu, jaki miał na nią Carl, wynikała z jego umiejętności doboru lektury, która ją zaciekawiała i uczyła czegoś nowego. Do diabła, do diabła z Andrew i jego olśniewającą kobietą. Pewnie właśnie w tej chwili leżeli w jego łóżku.

Carl stanął przed fotelem. Wziął od niej gazetę i położył na stole. Potem ujął Daisy pod pachami i przyciągnął do siebie. Chwytał ją mocno za ramiona, nie spuszczać z niej oczu.

— Mylisz się, wiesz? — powiedział. - Nie przestałaś mnie kochać. Po prostu zbyt długo byliśmy rozdzieleni. Może powinienem przyjechać wcześniej? Chciałem chyba zademonstrować, że moja obecność nie jest niezbędna, by cię utrzymać przy sobie. Teraz cię trzymam.

Puścił jej ramiona, żeby rozpiąć maleńkie perłowe guziki jej jedwabnej koszulki. Odepchnęła jego rękę.

— Nie chcę — powiedziała.

— Owszem, chcesz.

— Nie.

149

— Chcesz.

Postanowił nie wspominać o tym, co w tej chwili mógł robić Andrew Harwood. Po co ryzykować? Ona i tak teraz o tym myślała; nie musiał zwracać na to jej uwagi. Jego duma została zraniona. Nie musiał robić nic innego ponad to, co robił.

Znowu zaczął rozpinąć małe perłowe guziki.

Tym razem odepchnęła jego rękę w sposób mniej zdecydowany. Carl ujął dłonie Daisy i przycisnął do jej ud.

Puścił jej ręce i dalej rozpinął jedwabną koszulkę.

Potem odwróciła się od niego i położyła się na boku, wyglądając przez okno na niebieskie niebo ponad szarym domem. Na dachu siedziały dwa ogromne gołębie.

Carl pociągnął ją tak, żeby odwróciła się twarzą do niego. Teraz nie lubiła już leżeć z twarzą przytuloną do jego piersi; nie szalała już tak na punkcie tych wszystkich czarnych kędziorów.

Znajomy zapach jego skóry nie zalewał jej już falą miłości. Nie chodziło o to, że był nieprzyjemny: po prostu jego skóra nie pachniała tak jak Andrew. Carl sprawiał, że jej ciało robiło te wszystkie rzeczy. Ale podczas gdy dawniej go za to uwielbiała, teraz nie czuła nic. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego: jej ciało reagowało oddzielnie od umysłu. Może to właśnie czuły kobiety[^] które sypiały z wieloma mężczyznami? Może Angela doznawała tych fantastycznych wrażeń bez żadnego związku z uczuciami? Chociaż Daisy pamiętała, że Angela powiedziała jej kiedyś, że sam akt płciowy nie wywołuje u niej silnych doznań. Możliwe, że obce jej były uczucia, jakich Daisy doświadczała przed samym stosunkiem, kiedy Carl delikatnie zdejmował z niej warstwę za warstwą, aż powodował obezwładniający przyptyk pożądania. Żałowała, że tak się dawniej czuła. Teraz nie czuła nic.

- Nie ruszaj się. Zamówię dla nas herbatę.

- Nie chcę herbaty, Carl. Mam zamiar się ubrać.

- Dlaczego? Przez chwilę milczała.

— Możesz sprawić, że będę to tak czuła. Ale pod innymi względami nie czuję się tak samo jak dawniej.

— Mylisz się.

— Jak możesz tak mówić? To ja muszę wiedzieć, jak się czuję.

Teraz nie było powodu, by nie wspomnieć o Andrew Harwoodzie. Carl trzymał mocniejsze karty niż trzydzieści minut wcześniej.

— Daisy, kiedy cię poznałem, nie śniło ci się o drzemających w tobie rozkoszach, czekających na rozwinięcie. Teraz jednak je znasz. Nie oczekuję od ciebie, że zamkniesz się w seksualnym więzieniu na czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

Jaki miałyby to sens? Kiedy twój pan Harwood i jego dama zaznają wspólnej rozkoszy, może zechcesz znowu spróbować szczęścia w jego łóżku. W porządku. Poczuję ukłucie zazdrości, ale zrozumiem. Rzecz w tym, że to w żaden sposób nie zmniejszy tego, co mogę ci zaoferować. Podoba ci się mój wizerunek jako nauczyciela, poza łóżkiem jak i w nim. Dopiero zacząłem cię uczyć. Przed końcem przyszłego roku znajdziesz się ze mną w Waszyngtonie. Będziesz to uwielbiać. A to dopiero początek.

— Muszę iść do łazienki.

Po powrocie do sypialni zaczęła się ubierać. Carl leżał nago, wsparty na łokciu, przyglądając się Daisy.

Po wyjściu z chłodnego hallu hotelu Brown's zauważyła, że całą ulicę Albemarle skrywał teraz cień. Kiedy jednak dotarła do Piccadilly, białe słońce nadal lało skwar na Londyn.

W Green Park leżało całkiem sporo obejmujących się par. Czuła dystans nie tylko w stosunku do nich: czuła dystans do tego, co się wydarzyło w pokoju 242. Nie było to miłe uczucie.

21

Carl Myer spędził w Londynie trzy dni i nocę. We wtorek i środę Daisy musiała być w „Ramparcie”, ale wszystkie trzy noce spędziła w pokoju 242. Możliwe, że jej uczucia nie były tak od siebie oddzielone, jak przypuszczała. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo lubiła towarzystwo Carla - chociaż trudno było stwierdzić, jak duża część tego zadowolenia brała się z jej postanowienia, by nie być zależną od kaprysu Andrew. Czuła, że buntowała się przeciwko Andrew.

Podczas przykrego spotkania w Langan's powiedział, że zadzwoni w przyszłym tygodniu, jednak miała nadzieję, że zadzwoni następnego dnia do „Ramparta”. Zamierzała odnosić się do niego z chłodną rezerwą, ale nie dano jej szansy: nie zadzwonił. Każdego wieczoru, wchodząc do pokoju 242, myślała:

— Andrew będzie miał nauczkę.

Carl lubił igrać z jej ciałem, doprowadzając ją na skraj orgazmu, a potem nagle wycofując się i obserwując Daisy. Po chwili zaczynał znowu od początku, przerywał i odwracał jej twarz ku sobie. Kiedy tylko puszczał jej twarz, odwracała ją na brzeg poduszki, zamykała oczy, a Carl skupiał uwagę na jej sutkach, najpierw jednej, potem zajmując się drugą. Nawet nie wsuwając ręki między jej nogi, doprowadzał Daisy niemal do szaleńczego pożądania.

Jednak zaraz potem pojawiała się uczucie dystansu. Z wyjątkiem doznań seksualnych nie doświadczała już tego zachwyty, co dawniej. Przeniosła go na Andrew. Chciałaby

umieć znowu obdarzyć nim Carla. Może udałoby jej się to, gdyby już nigdy nie spotkała się z Andrew. Żałowała, że kocha Andrew, skoro on potrafił o niej zapomnieć.

W następny wtorek, w chwilę po przyjściu Daisy do „Ramparta”, zadzwonił jej telefon.

— Nie wiem, czy nadal jesteś zajęta, ale pomyślałem, że zadzwonię, żeby się przywitać — powiedział Andrew. Postanowiła zachować chłodny ton.

— O, cześć.

Nastąpiła chwila ciszy, której Daisy w żaden sposób nie starała się przerwać.

— Czy jest szansa, że znajdziesz jutro czas na kolację? Są tylko dwa głosowania, więc mogę się wyrwać z Izby. — Problem w tym, że jutro wieczorem jestem zajęta — skłamała.

— A w piątek wieczorem?

— Nie mogę, Andrew. Przykro mi. Po chwili przerwy zapytał:

— Czy profesor Myer nadal przebywa w Londynie?

— Nie. Wyjechał w zeszłym tygodniu.

— Rozumiem.

Znowu nie zrobiła nic, żeby przerwać milczenie.

— Gdybyś znalazła wolny wieczór w tym tygodniu, zaproponowałbym ci na przyszły tydzień coś, co by cię chyba ucieszyło. Daisy milczała.

— W czwartek, za dziewięć dni, będzie ostatni wieczór oficjalnej wizyty prezydenta Giscarda. W ambasadzie francuskiej ma się odbyć przyjęcie po kolacji. Miałem nadzieję, że zechcesz ze mną pójść. Przedtem moglibyśmy zjeść cichą kolację.

Po krótkiej pauzie Daisy odparła:

— To bardzo przyjemna propozycja.

— Dobrze. Czy jesteś absolutnie pewna, że nie masz czasu na kolację jutro albo w piątek?

— Żałuję, jestem zajęta. Ale cieszę się na przyszły tydzień.

— Przypuszczam, że nie masz czasu na kolację w poniedziałek? Sądzę, że już dawno się nie widzieliśmy tak jak należy.

Na jednej szali położyła pożądanie, na drugiej taktykę i stwierdziła, że odmawianie mu przez tydzień wystarczy.

— Zgoda.

Odłożywszy słuchawkę, poczuła niemal ekstazę: była wniebowzięta faktem, że zadzwonił, dumna, że opanowanie pozwoliło jej odmawiać mu spotkania przez sześć dni, uradowana perspektywą poniedziałku i czwartku. Czy zaproszenie jej do francuskiej ambasady oznaczało, że umieszczał ją w innej kategorii niż kobietę, z którą był w Langan's?

Postanowili spotkać się w Walton's. Kiedy kierownik sali prowadził ją między stolikami, kątem oka rozpoznała pięć czy sześć twarzy: Walton's cieszył się popularnością wśród londyńskiej inteligencji i branży rozrywkowej. Kilku gości podniosło wzrok na Daisy.

Andrew zerknął sponad karty win, którą studiował, a jego twarz rozjaśniła się na widok Daisy. Pomimo postanowienia, by przynajmniej na początku zachować dystans, jej twarz promieniała radością ponownego spotkania z Andrew. Pierwszy łyk martini wywołał mrowienie na języku. Wszędzie czuła mrowienie. — Wyglądasz oszałamiająco.

Fakt, że Carl użył tych słów przed tygodniem, w żadnym stopniu nie zmniejszył przyjemności usłyszenia ich z ust Andrew.

— Dziękuję.

Uśmiechając się, nie spuszczał oczu z jej twarzy.

Daisy opuściła wzrok. Nie chciała łamać powziętego postanowienia: nie mogli zacząć wszystkiego od nowa, bez pewnych wyjaśnień z jego strony. Przekonała sama siebie, że to, co robiła z Carlem, stanowiło konsekwencję niewierności Andrew, karę dla niego.

— Co robiłaś od naszego ostatniego spotkania? — zapytał.

— Och, różne rzeczy.

— Rozumiem.

Zapalił papierosa, wydmuchnął dym z dala od Daisy i spojrzał na nią. Nie miał pewności, w jaki sposób kontynuować.

— Powinniśmy pomówić o kilku rzeczach — oświadczył. Daisy rzuciła mu przelotne spojrzenie, po czym przeniosła

uwagę na martini. Jedna z oliwek została przebita wykałaczką, którą wcześniej wyjęła, ale teraz wbiła znowu, by podnieść nasiąkniętą dżinem oliwkę i zacząć ogryzać pestkę. Andrew obserwował ją i oboje czuli narastanie miłego napięcia.

— Bardzo jesteś głodna?

— Nie bardzo.

— Jest tak gorąco, że może zamówimy *gazpacho* albo talerz wędzonego łososia? Moglibyśmy do tego wypić po kieliszku szampana. Potem moglibyśmy zrobić przerwę, wyjść stąd i pójść gdzieś, żeby odbyć naszą poważną rozmowę, do Eaton Place albo do ciebie, jak wolisz. Nie sposób prowadzić tu poważnej rozmowy, pośród tych spoconych gości. Moglibyśmy poprosić, żeby zatrzymano dla nas stół na drugie danie. Mimo postanowienia, że zachowa dystans, Daisy wybuchnęła śmiechem. To był tak uroczy pomysł. I naprawdę było zbyt gorąco, żeby jeść dwa dania, jedno natychmiast po drugim. **Podobnie** jak za pierwszym razem, kiedy wchodziła na marmurowe schody, była dojmująco świadoma jego obecności kilka stopni za nią, jego twarzy na wysokości jej rozkołysanych bioder. Zgodzili się, że w Eaton Place będzie chłodniej. Andrew nie próbował jej dotknąć.

W salonie otworzył szeroko okna.

— To prawie najdłuższy dzień w roku - powiedział. - Jeśli nie chcesz więcej światła, nie będę jeszcze zapalał. — W domu nigdy nie zapalamy w lecie świec, bo dodatkowo zwiększają upał.

— Pozwolisz, że zdejmę marynarkę i krawat?

Daisy patrzyła, jak odpina pierwszy guzik koszuli. Coś się w niej poruszyło. Odwróciła wzrok.

- Mam w lodówce szampana. Czy myślisz, że byłby to miły akompaniament do naszej poważnej rozmowy? Usiedli naprzeciwko siebie w fotelach przed kominkiem.

— Kto zaczyna? — spytał.

— Myślę, że ty powinienesz.

- Z jednej strony szkoda, że wpadliśmy tak na siebie w Langan's. Z drugiej strony cieszę się, że poznałem Carla Myera. Zachowywałaś dużą powściągliwość na jego temat. Możesz powiedzieć, że to nie była moja sprawa. Giles oczywiście mi powiedział, że jesteś poważnie związana z Myerem. Skoro odwiedził cię w Londynie, przypuszczam, że jest tak nadal.

- Przypuszczam, że jesteś związany z wieloma kobietami - odparła szorstko Daisy, jeżąc się na samą tę myśl. Czowała żal, że to ona znalazła się w defensywie.

- Nie określiłbym swoich pobocznych zajęć jako związku - zauważył Andrew. - Raczej folgowanie sobie. Przejawiał niczym nie skrepowaną otwartość.

- Nigdy ci nie mówiłem, że nie spotykam się z innymi kobietami, ponieważ się spotykam, chociaż mogę ci powiedzieć, że coraz mniej. Jest to jednak przede wszystkim przyjemny zwyczaj. Nie ma on żadnego związku z moimi uczuciami do ciebie. Tak się składa, że cię kocham.

Daisy patrzyła mu prosto w oczy. — Nigdy tego nie mówiłeś.

— Mówię teraz.

Po minucie odwrócili od siebie wzrok i oboje wypili po łyku szampana.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć o twoim życiu z Carlem Myerem. Ale muszę wiedzieć jedno: czy kochasz go teraz? — Nie — odpowiedziała cicho.

— Czy kochasz mnie?

— Tak. — Wciąż cicho.

- Czy położysz się na moim łóżku?

Po chwili wahania odparła:

— Dobrze.

Wilgotny skwar pokoju przywiódł jej na myśl Nowy Orlean i „Tramwaj zwany pożądaniem”. A może obraz ten wywołał płynny, melodyjny głos Elli Fitzgerald, napływający przez otwarte okno; w sąsiednim domu w Belgravii ktoś słuchał „Basin Street Blues”. Daisy poczuła rozkoszny dreszcz natężonej świadomości, że oto jest sama w obcym kraju, w sypialni tego mężczyzny.

Kiedy tak stała, patrząc na niego, Andrew odrzucił z łóżka kapę i wierzchnie prześcieradło. Uklęknął i zdjął jej sandały na wysokim obcasie, potem drugi. Było zbyt gorąco na rajstopy. Opuścił jej koronkowe majtki, a Daisy z nich wyszła. Andrew wyprostował się i spojrzał na jej twarz.

— Dlaczego się uśmiechasz? — spytała.

— Z przyjemności.

Jedwabna bluzka bez rękawów była związana z przodu sześcioma wstążkami. Twarz Andrew, na której nadal igrał lekki uśmiech, nabrała skupionego wyrazu, kiedy zaczął rozwiązywać wstążki, poczynając od góry.

Odrzucił mały kawałek materiału na dywan, objął Daisy, żeby rozpiąć koronkowy stanik, tej samej barwy szampana co jedwab leżący na podłodze. Jego wilgotne od upału dłonie przesuwają się po ciele Daisy, by zdjąć tę ostatnią część garderoby.

Cofnął się i spojrzał na Daisy.

— A zatem... — powiedział.

Położył ją na łóżku, na plecach; patrzyła, jak się rozbierał.

Umieścił dłonie płasko na wewnętrznych stronach jej ud i rozsunął je. Klękając na łóżku, z kolanem między jej udami, położył jej rękę prawie pod kątem prostym do ciała, odwracając ją czułą stroną ku górze.

— Myślę, że zacznę tutaj — oświadczył.

Kiedy z opuszków palców popłynęła omdlewająca rozkosz, Daisy poczuła równomierny napór kolana między udami, a jej całe ciało ożyło. Andrew się nie śpieszył.
— Mamy całą wieczność — powiedział.

22

Prezydent Giscard d'Estaing rozpoczął oficjalną wizytę w czwartym tygodniu lipca. Wraz z żoną i osobami towarzyszącymi wylądowali na lotnisku Gatwick, skąd złapali pociąg do Victoria Station, gdzie wysiedli punktualnie o dwunastej trzydzieści. Wszyscy wiedzieli, że królowa angielska ma obsesję na punkcie rozkładów jazdy. Konne powozy musiały przywieźć gości do pałacu Buckingham dokładnie o pierwszej; w przeciwnym razie lunch zostałby opóźniony.

Prezydent musiał przyznać, że Brytyjczycy mogli się równać z Francuzami pod względem uroczystej pompy i przepychu. Z podziwem patrzył na kasztanowe boki czterech koni ciągnących powóz, w którym siedział obok brytyjskiej monarchini; zarówno prezydent jak i królowa łaskawjfi podnosili rękę, pozdrawiając tłumy zgromadzone wzdłuż trasy przejazdu. Obie wielkie osobistości żałowały, że w tym upale nie zwolniono ich od noszenia uroczystych strojów. Lato należało do najgorętszych, jakie zanotowano w Brytanii.

Bardzo wcześnie stało się jasne, że ta wizyta będzie czymś więcej niż tylko zwykłą serią udruk. Prezydent nigdy wcześniej nie spotkał się z tak nieodpowiednimi środkami bezpieczeństwa, jakie zapewniono jemu i osobom mu towarzyszącym w pałacu Buckingham. Zdumiało go też niepomiernie, że poproszono go o odznaczenie królewskiego szambelana oraz damy dworu najwyższymi francuskimi orderami zasługi.

Musiał jednak przyznać, że przyjęcie wydane pierwszego wieczoru w pałacu było wspaniałe; orkiestra Królewskiej Piechoty Morskiej grała na przemian francuskie i brytyjskie melodie i marsze. Nawet w tym kraju, którego skrycie nie cierpiał, przekonywał się, że stojąc tak na centralnym miejscu przy stole, przed tymi oczarowanymi ludźmi, rozkoszował się poczuciem własnej boskości. Żywiolowe wykonanie „Marsylianki” zawsze wywierało na nim ten efekt.

Jednak zasadniczy brytyjski brak ogłady ujawnił się już następnego dnia przy Downing Street. Podczas lunchu, jego, Giscarda d'Estaing, prezydenta Francji, posadzono naprzeciwko portretu księcia Wellington. Gdyby brytyjski premier został uhonorowany lunchem w Pałacu Elizejskim, portret Napoleona zakryto by zasłoną. Półtora wieku po Waterloo Anglicy wciąż jeszcze nie pojmowali tych fundamentalnych zasad grzeczności.

Lunch przy Downing Street następnego dnia był mniej przykry. Ludzie towarzyszący prezydentowi przekazali gospodarzom jego niezadowolenie. Tym razem układ miejsc siedzących odwrócono: prezydent siedział plecami do księcia Wellington.

Teraz oto rewanzował się brytyjskiej monarchini przyjęciem w swej własnej ambasadzie, która równie dobrze mogła się znajdować na równiku. Temperatura wynosiła chyba trzydzieści siedem stopni. To karygodne, że ambasador był tak zajęty różnymi odmianami burżuazyjnego snobizmu, że nigdy nie wpadł na zainstalowanie klimatyzacji. Prezydentowi wydało się też dziwne, że w biały dzień zaciągnięto zasłony, tylko dlatego, że dekorator wewnątrz powiedział ambasadorowej, że w ten sposób niedawno odnowione pokoje wypadną korzystniej. Duszny salon należał do najprzykrzejszych pomieszczeń, w jakich prezydent kiedykolwiek został uwięziony przez obowiązki. Wachlujące się kobiety miały przynajmniej to szczęście, że mogły nosić głęboko wycięte suknie. Niektórzy z mężczyzn powbijanych w krawaty i fraki budzili wątpliwości co do zdolności przetrwania; pot lał się im nieprzerwanie na białe, krochmalone gorsy.

Większą część ogrodu zajął duży namiot. Podczas gdy zamknięci w domu honorowi goście walczyli z *framboises frappes*, pod namiotem zgromadzili się zwykli śmiertelnicy, z których przynajmniej jedną czwartą stanowiły znane postaci. Politycy, dziennikarze, prezenterzy telewizyjni, znani aktorzy, a wraz z nimi tradycyjny tłum wysokich urzędników państwowych, ambasadorów z żonami. Popijali szampana i, pocąc się od upału, zerkali przez ramię rozmówców.

Wewnątrz ambasady królewska dama dworu marszczyła brwi nad dyskretnym platynowym zegarkiem. Francuzi byli niemożliwi: żadnego wycucia czasu.

Jedenaście minut po ustalonej godzinie dziesiątej zebrani pod namiotem podnieśli wzrok, kiedy otwarto na oścież centralne drzwi wychodzące na szerokie, kamienne schody do ogrodu. W drzwiach pojawiła się królowa w migoczącej tiarze, a obok niej francuski prezydent, władczy i majestatyczny.

- Och, spójrz! - krzyknęła Daisy. - Ta kobieta schodząca ze schodów tuż za królową, ta w różowej sukni. Robiłam z nią wywiad. Pamiętasz? Czy myślisz, że moglibyśmy podejść i się przywitać?

- Do zobaczenia później - powiedział Andrew do właściciela stacji radiowej i jego żony, z którymi rozmawiał, kiedy otworzyły się drzwi.

- Dobry wieczór. W zeszłym miesiącu przeprowadzałam z panią wywiad. Jestem Daisy Brewster - przedstawiła się Daisy.

- Oczywiście, że panią pamiętam. To mój mąż. - Kobieta w różowej sukni zwróciła się do sekretarza spraw zagranicznych. - To jest moja rodaczka, Amerykanka, która zrobiła ten wywiad dla „Ramparta”. On ci się nawet podobał.

Sekretarz spraw zagranicznych spojrzał na Daisy figlarnie ponad krótkim cygarem, które trzymał w zębach, wypuszczając małe obłoczki dymu. Potem wyjął je i powiedział:

- Moja żona myliła się mówiąc pani, że jestem uparty. Nie znam bardziej zgodnego męża. Witaj, Andrew. Oba-

wiam się — powiedział przyjaznym tonem do żony — że Andrew Harwood jest torysem. Takie rzeczy się zdarzają.

Po dwóch minutach pogawędki sekretarz spraw zagranicznych spojrzął na zegarek.

— Musimy iść — powiedział do żony. Posłał Daisy przyjazny uśmiech. — Dobranoc. Dobranoc, Andrew.

— Nie wiedziałam, że się znacie — zdziwiła się Daisy.

— Nie znamy się. Ale posłowie znają swoje twarze i nazwiska. Kiedy spotykamy się poza salą obrad, zazwyczaj jesteśmy uprzejmi, a już na pewno w obecności żony, dziecka czy — Andrew się zawahał — osoby towarzyszącej.

Punktualnie o jedenastej trzydzieści królewscy goście odjechali.

Do północy namiot prawie opustoszał.

Telefon dzwonił natarczywie. Andrew zapalił lampkę przy łóżku i spojrzął na zegarek. Kwadrans po drugiej. Pół godziny temu odwiózł Daisy do domu.

Podniósł słuchawkę.

— Tak.

— Tu Nelly. Mam kłopoty.

Słowa brzmiały niewyraźnie. Co było w nich takiego dziwnego? Zrozumiał: Nelly mówił z niezwykłą dla siebie ostrożnością. Andrew momentalnie się rozbudził.

— Gdzie jesteś?

— Na starym, dobrym posterunku policji w Chelsea. Pomyślałem, że najlepiej będzie zawiadomić mego adwokata. Pewnie nie mógłbyś przyjechać?

— Przyjadę. Ale najpierw mi powiedz, co się stało.

— Według nich nie prowadziłem tak jak trzeba. Wbili też sobie do głów, że używałem nielegalnych środków.

— Zatrzymali cię tylko na podstawie podejrzenia?

— Tak. Chcą mi zrobić próbę krwi i śliny. Nie zgodziłem się.

— Rozumiem. — Nie mówił ani krytycznie, ani współczująco. Domyślał się, że policja słucha po drugiej stronie.

— Oni się mylą co do narkotyków, Andrew.

162

— To dlaczego nie dasz sobie zrobić próby krwi i śliny?

— To takie upokarzające.

Andrew uśmiechnął się po raz pierwszy, choć słabo.

— Przyjadę najszybciej, jak dam radę. Minał już prawie rok, odkąd odwiedzałem cię na posterunku w Chelsea. Nie powinienem wyjść z wprawy.

Ponieważ muszą mieć w aktach ślad ostatniego przypadku, najlepiej będzie się na niego powołać, pomyślał odkładając słuchawkę. Lepiej będzie, jeśli się ogoli.

O czwartej nad ranem Nelly zgodził się na pobranie próbki krwi; chociaż nie pamiętał przeliczeń procentowych, wiedział, że poziom alkoholu musiał do tego czasu spaść. Kwadrans po czwartej bracia Harwood opuścili posterunek policji i wsiedli do samochodu Andrew. Nelly sprawiał wrażenie całkowicie trzeźwego.

— No więc, czy test wykaże, że brałeś narkotyki?

— Nie, zakładając, że nie masz na myśli drinka-demon. To prawda, mogłem palić substancję jeszcze bardziej naganną niż nikotyna. Tak się składa, że nie paliłem.

— Dlaczego w takim razie myśleli, że to robiłeś?

— Och, Andrew, wiesz, jacy oni są. Prochy i trawa. Każdy, kto chodzi do tego gejowskiego klubu, wie, że są tam tajniacy. Szukają jakiegokolwiek pretekstu, żeby zgarnąć naćpanego geja, rzekomo po to, żeby odkryć, czy ma przy sobie kilogram prochów albo cały arsenał ukryty za jajami. -

Przepraszam, że cię w to wplątałem - mówił Nelly. - Chyba lepiej będzie, jeśli znajdę sobie wkrótce innego adwokata. Jeśli jednak dopisze nam szczęście, żaden reporter nie sprawdzi dziś rejestrów na tym posterunku, z nadzieją, że natrafi na jakieś znane nazwisko.

Andrew nic nie odpowiedział.

— Jak myślisz, kiedy gliniarz sam kontaktuje się z prasą i da im cynk, ile za to może dostać? — zapytał Nelly.

— Skrzynkę whisky? Nie wiem. Zapytaj Gilesa. On to nazywa „zinstytucjonalizowaną korupcją na małą skalę”.

— Cóż, jeśli dopisało nam szczęście, chłopcy w niebieskich mundurkach cię nie rozpoznali.

Andrew nic nie odpowiedział.

164

Co sądzisz o ostatniej eskapadzie młodego panicza Nelly'ego?

Daisy podskoczyła. Kiedy Ben podchodził tak do jej krzesła i obwieszczał swą obecność, miała wrażenie, że objawił się Jehowa. Odwróciła się i zobaczyła go za plecami, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Rzucił jej na biurko „Evening Standard”, złożony tak, że na górze zamiast żegnającego się prezydenta widniała fotografia Nelsona Harwooda. *Brat posła przekracza dozwoloną prędkość.*

— Spodoba ci się to, co można wyczytać między wierszami - mówił Ben. - Zwłaszcza informacja o tym, że zatrzymano go, kiedy wracał z tej speluny zboczeńców.

— Napiszesz o tym w niedzielnym „Ramparcie”? Ben zaśmiał się arogancko.

— Martwisz się o starszego braciszka? Niepotrzebnie, tym razem. Oskarżenie Nelly'ego o prowadzenie po pijanemu nie przedstawia wartości prasowej, póki sprawa nie trafi do sądu. I szczerze mówiąc, Daisy, nie mogę robić Andrew Harwoodowi darmowej reklamy w moim felietonie, skoro tak niedawno spotkał go ten zaszczyt.

Twarz Daisy pozostała bez wyrazu.

— Ale możesz mu coś powiedzieć, Daisy, kiedy go zobaczysz. Jeśli chce zająć w polityce choćby w połowie tak daleko, jak zamierza, to niech uważa, bo ma przy sobie bombę zegarową. Zanim Nelly Harwood pokaże wszystko, co potrafi, wysadzi w powietrze podstawy kariery politycznej brata. Zapamiętaj moje słowa.

23

Pan i pani Brewster przylecieli do Londynu na pierwsze dwanaście dni sierpnia. Oni także zatrzymali się w hotelu Brown's, miało to przypuszczalnie związek z jego dyskretnie drogą solidnością. Daisy czuła przynajmniej wdzięczność, że nie wybrali pokoju 242.

Czekała na tej samej adamaszkowej sofie, co sześć tygodni wcześniej. Przypomniała sobie, jak pisała do rodziców, żeby nie przyjeżdżali wcześniej niż w sierpniu, ponieważ sądziła, że lipiec spędzi z Carlem. Tymczasem napisała Carlowi, żeby nie wracał w lipcu, choć nie nazwała tego ostatecznym rozstaniem. Carl nie widział powodu, dla którego po powrocie Daisy do Stanów nie mieliby podjąć romansu w punkcie, w którym przerwali go w styczniu. Daisy wiedziała, że tak się nie stanie.

- Dobry wieczór, kochanie - przywitała ją matka.

— Cześć, malutka — powiedział ojciec.

Byli elegancką parą i coś w ich zachowaniu dawało obcym natychmiast do zrozumienia, że lubili swoje towarzystwo. Daisy czuła dumę, ilekroć przebywała razem z nimi,

Jednak tego wieczoru towarzyszył jej niepokój. Czy bardziej martwiła się tym, co pomyślą o Andrew, czy tym, jak on ich odbierze? Tak czy inaczej, po tym, co mówili o Carlu, nie doszukają się chyba w Andrew wielu wad.

Wysiedli z taksówki przy wejściu St Stephen's. Państwo Brewster tylko raz jedli kolację w Izbie Gmin, w towarzystwie lorda kanclerza w ostatnim rządzie torysów.

— Gdzie mamy się spotkać z twoim młodzieńcem?

Pani Brewster używała tego określenia, kiedy mówiła o konkretnym wielbicielu córki; w przeciwnych wypadkach nazywała ich „kawalerami” (z wyjątkiem profesora Myera, którego udawało jej się w ogóle nie nazywać). Żadna siła nie skłoniłaby jej do mówienia o „chłopcach”.

Chociaż córka nic takiego nie powiedziała, było jasne, że mężczyzna, którego mieli spotkać tego wieczoru, odgrywał w jej życiu ważną rolę. Obojgu rodzicom towarzyszyły te same mieszane uczucia: jeśli to oznaczało, że Carl Myer przeszedł do historii, w porządku; ale byłoby smutne, gdyby się okazało, że jego następca i odpowiednik mieszka po europejskiej stronie Atlantyku.

Kiedy dotarli do Central Lobby, nie trzeba było prosić policjanta o zatelefonowanie do Andrew: już tam stał, rozmawiając z innym posłem, który trzymał dłoń na wielkim bucie Gladstone'a, stojącego na cokole.

Andrew podszedł się z nimi przywitać. Ruszyli wzdłuż prerafaelickich fresków, a pani Brewster zauważyła po cichu, że trzech Cabotów, klękających, by odebrać przywileje od Henryka VII, to przodkowie jej matki. U stóp wielkich, podwójnych schodów, które Daisy tak uwielbiała, wyszli na taras. Tam, z przepływającą w dole rzeką i słońcem, którego czerwień ciemniała, im bardziej zbliżało się do wież i wieżyczek Chelsea, cała czwórka zaczęła się rozluźniać przy drinkach. Państwo Brewster zaczęli oceniać Andrew, a on ich, głęboko świadomy faktu, że stanowią część świata Daisy. Ona sama pełniła rolę mediatora, podsuwając tematy, mogące zainteresować obie strony.

Kiedy przeszli do stołówki poselskiej, cała czwórka miała pewność, że wieczór się uda.

Dzień po tym, jak rodzice Daisy odlecieli z powrotem do Filadelfii, zadowoleni z warunków życia córki, choć niepewni, jak rozwinie się związek z Andrew Harwoodem, w obradach parlamentu wreszcie nastąpiła letnia przerwa.

Dwa dni później Rachel Fisher udała się do małej,

prywatnej kliniki w Surrey: jej ginekolog nie lubił próżniowej metody aborcji czternastotygodniowych płodów.

Została wpisana do kliniki jako pani Sarah Green. Personel odnosił się do niej grzecznie i z dystansem. Następnego dnia wczesnym popołudniem, kilka godzin po tym, jak się zbudziła, w pokoju odwiedził ją chirurg. — Wszystko poszło dobrze, pani Green. Jutro rano może pani wrócić do domu. Chcę, żeby nie przemęczała się pani przez sześć czy siedem dni. Mimo że może pani teraz tego nie odczuwać, te sprawy są jednak szokiem dla organizmu. Chyba ucieszy panią wiadomość, że nie ma żadnych przeciwwskazań, by urodziła pani dziecko w bardziej stosownej sytuacji życiowej.

— Prześwietlenie wykazało, że to była dziewczynka. Chcę się tylko upewnić.

— Nie rozumiem pani.

— To była mała dziewczynka?

— No, cóż, tak.

Chirurg sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nawet kiedy płód był źle ukształtowany, ta operacja nie należała do przyjemnych. A wydawało się, że czternastotygodniowemu płodowi, który właśnie usunął, niczego nie brakowało — z wyjątkiem tego, że matka go nie chciała (chirurg nie myślał o tej żalostnej, ładnie ukształtowanej istotce w kategoriach rodzaju). Był człowiekiem tolerancyjnym: szczerze wierzył, że matce powinno przysługiwać prawo wyboru. Mimo to, kiedy decyzję podejmowano wyłącznie dla wygody, wydało mu się lekką przesadą, by kobieta interesowała się płcią dziecka, które właśnie posłała do kosza na śmieci. Chociaż wpisano ją jako panią Green, chirurg doskonale znał jej nazwisko. Lekarz, który ją przysłał do kliniki, miał obowiązek wyjawić chirurgowi, że w rzeczywistości nazywała się Rachel Fisher. Potem, przez przypadek, czytając „Daily Telegraph”, ujrzał wzmiankę o nowej posłance o tym nazwisku, niezamężnej, i małe zdjęcie pośród innych posłów. Spojrzał na leżącą przed nim kobietę, z bladą, pełną bólu twarzą, otoczoną wilgotnymi, ciemnymi włosami

rozrzuconymi bezładnie na poduszce. Nigdy w swojej karierze nie widział, żeby kobieta zbudziła się po narkozie, a jej włosy zachowały świeży wygląd.

— Proszę dać mi znać, jeśli będzie się pani martwić skutkami ubocznymi. Nie spodziewam się żadnych. Wszystko poszło normalnie.

Otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je mocno za sobą.

Rachel leżała z rękami na pustym teraz brzuchu, z zamkniętymi oczyma, a łzy spływały jej spod powiek. Miała pewność, że strata byłaby mniejsza w przypadku chłopca. Dziewczynka jest o tyle bardziej bezbronna, nawet, czuła to, w łonie. Na długo przed prześwietleniem odgadła, że to mała dziewczynka. Zawsze myślała o niej nie jako o dziewczynce, ale jako o małej dziewczynce.

Kiedy godzinę później pielęgniarka przyszła zmierzyć jej ciśnienie krwi, Rachel nie otworzyła oczu. Nikt jej nie odwiedzał, nikt nie dzwonił. Przez pozostałą część tego dnia i wieczoru nie odzywała się do nikogo z personelu.

Nigdy więcej nie mówiła też o córce, której się pozbyła, chociaż raz, znacznie później, uczyniła aluzję w liście do Andrew Harwooda.

II

W SWIATLACH RAMPY

Potraskane ciało Jamesona, wciąż przyczepione do podartego spadochronu, zostało znalezione dziś wczesnym wieczorem w górach północnej Walii przez pasterza, pana Elwyna Martina. Pan Martin zawiadomił policję, która przybyła natychmiast i zabezpieczyła miejsce katastrofy. Pilot dokonywał końcowych testów myśliwca typu Raider, który w przyszłym tygodniu miał zostać przekazany Ministerstwu Obrony. Nie znaleziono śladu samego samolotu.

— Chryste.

Na widok sensacyjnej wiadomości Ben poczuł uderzenie adrenaliny. W lewej dłoni trzymał wiadomość z serwisu agencyjnego Press Association, a prawą opierał na pochyłej, drewnianej podpórce, na której leżała lśniąca kopia pierwszej strony gazety. Stał w ogromnej piwnicy, gdzie unosił się ostry zapach farby drukarskiej i którą zawsze nazywano kamienną, mimo że elektryczna metoda drukarska nie miała nic wspólnego z kamieniem używanym przez dawnych linotypistów. Brak okien powodował zaduch, upodabniając pomieszczenie do lochu; Ben jak zwykle zostawił kamizelkę i krawat w gabinecie na górze. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, rękawy zakasane. Wyglądał młodo jak na czterdzieści osiem lat. W niedźwiedziowatej posturze nie zaszły większe zmiany, a chociaż brązowe włosy się przerzedziły, twarz zachowała

tę samą rumianą mięsistość. W najmniejszym stopniu nie zmienił się zbijający z tropu, intensywny błękit oczu.

Dopiero co polecił redaktorowi dokonanie ostatniej zmiany na pierwszej kolumnie, kiedy zastępczyni redaktora działu wiadomości, Joyce Barlow, pojawiła się w kamiennej i wręczyła Benowi kartkę, która wysunęła się z maszyny; bezgłośnie relacjonowała okoliczności gwałtownej śmierci pilota Raidera.

Ben odwrócił się do redaktora.

— Będziesz musiał zatrzymać kolumnę.

Podszedł do redaktora działu wiadomości, Tommy'ego Lowella, który stał przed kopią drugiej kolumny. Ben wręczył kartkę Tommy'emu, który przeczytał ją i natychmiast porzucił drugą stronę gazety. Kiedy cała trójka wsiadła do windy, Ben powiedział do Joyce:

— Napiszesz o tym. Chcę mieć tekst o dziesiątej dwadzieścia pięć. Ma zostać zredagowany o dziesiątej trzydzieści i zejść z kamiennej o dziesiątej czterdzieści pięć. Możesz go poprawić w następnych wydaniach.

Spojrzała na zegar w windzie: pięć po dziesiątej."

— Ty zadzwoń do Harwooda — polecił Ben Tommy'emu. — Mamy jego wszystkie numery telefonów. Jeśli go nie złapiesz, zadzwoń do jednego z wiceministrów.

Wyszli prosto na ogromną salę działu wiadomości. Kiedy „Rampart” przyłączył się do exodusu z ulicy Fleet, architekci wykorzystali nie przedzielone ścianami wnętrze magazynu na East End.

Kiedy Rupert Murdoch przeniósł się cichaczem do Wapping w roku 1986, na zawsze łamiąc siłę związków zawodowych drukarzy, było już tylko kwestią czasu, kiedy inne ogólnokrajowe gazety pójdą w jego ślady. Większość redaktorów — Benjamin Franwell był tu wyraźnym wyjątkiem - zanedo posługiwała się półsłówkami, by wyrazić publicznie swą wdzięczność: Murdoch położył kres tyranii, dzięki której drukarze starej daty o dziesiątej wieczorem

domagali się pieniędzy w nie podpisanych kopertach, jeśli gazeta poranna miała się ukazać. Teraz koszty produkcji mogły zostać zmniejszone do jednej czwartej, pojawiły się możliwości tańszych czynszów. Właściciele gazet nie mieli wkrótce innego wyjścia, niż pozostawić ulicę Fleet duchom: tylko tak mogli konkurować z Murdochem.

Dziennikarze, niezależnie od tego, czy mówili o tym otwarciu, z zadowoleniem powitali fakt, że ich praca nie mogła już zostać zniszczona przez kaprys kilku linotypistów. Jednak zrzędzili na konieczność przenoszenia się ze znajomych zakątków Fleet do obcych doków, ciągnących się na wschód od Tower Bridge, gdzie od dawna już nie cumowały statki. Wspólny lunch z ministrem czy kimkolwiek z West Endu wiązał się teraz z półgodzinną podróżą. Schadzki w dzień nie były sprawą łatwą.

„Rampart” mieścił się w wielkim, czteropiętrowym magazynie, którego ceglany szkielet zbudowano w 1820 roku, a lśniące, białe wnętrza z oświetleniem jarzeniowym pochodziło z roku 1988. Przez okna z jednej strony można było czasem zobaczyć przepływającą barcę. Po drugiej stronie Tamizy, za wiktoriańskimi magazynami przerobionymi na ekskluzywne *pieds-a-terre* dla dyrektorów z City, wznosiły się nowe wysokościowce z drogimi mieszkaniami. Na zachód, za pierwszym zakrętem rzeki, na tle nieba rysował się Tower Bridge, a tuż obok wieżyczki Londons Tower.

Sala wiadomości zajmowała prawie całe najwyższe piętro - w sumie blisko sto biur, każde z klawiaturą i ekranem z bezpośrednim połączeniem. W jednym końcu sali znajdowały się drzwi. Za nimi mieścił się gabinet dwóch osobistych asystentek naczelnego, a za nim pokój Bena.

Była to niemal dokładna kopia jego gabinetu na ulicy Fleet: białe ściany, gruby, czarny dywan z Wilton, czarne meble, z wyjątkiem masywnego, mahoniowego biurka, wielka kanapa Chesterfield, niedawno obita na nowo, czarna skóra dwóch krzeseł Eamesa i otomany, nieco zmatowiałe po piętnastu latach używania. Na ścianie za biurkiem wisiał stalowy kwadrat z powiększoną mapą Brytanii.

O tak późnej porze w sobotni wieczór przy biurkach siedziało nie więcej niż dwudziestu dziennikarzy; prawie wszyscy, z wyjątkiem zastępców, rozmawiali przez telefon. Sekretarki zakończyły już tydzień pracy. Większość czołowych dziennikarzy znajdowała się na dole, przy kamiennej.

Kiedy wysiedli z windy sześć minut po dziesiątej, Joyce Barlow ruszyła prosto do swego biurka z klawiaturą i ekranem. Tommy Lowell zniknął za naczelnym w drzwiach na końcu sali.

W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo: jedna z prywatnych asystentek Bena zazwyczaj wychodziła w sobotę o siódmej, druga o dziesiątej. Drzwi do jego gabinetu były otwarte na oścież.

- Zadzwoń stąd - polecił Tommy'emu. - Jeśli nie znajdziesz Harwooda ani żadnego z wiceministrów, skontaktuj się z kimkolwiek z Ministerstwa Obrony i zmusz go, żeby ci coś powiedział. Zaczę napisć nowy artykuł wstępny!

Felieton Bena z jego podpisem, zabójcza zabawka Franwella, był umieszczony w połowie strony wiodącej. Ponad felietonem, w jednej czwartej kolumny od góry, zamieszczano nie podpisany artykuł wstępny, czasami pisany przez zastępcę według wskazówek Bena, częściej jednak przez samego Bena.

Wszedł do gabinetu, zostawiając otwarte drzwi.

* * *

Daisy leżała na plecach, czekając. Wierzchnie prześcieradło zakrywało ją tylko do pasa, jedną nogę wysunęła na bok. Miała na sobie naszyjnik ze złotej siateczki, nieco przypominający węża. Poza tym była naga.

Przez drzwi oddzielające sypialnię od gabinetu Andrew mogła usłyszeć, gdy otworzy drzwi gabinetu, żeby przejść korytarzem do sypialni. „Przyłączy się do niej”, jak powiedział z żartobliwą oficjalnością, za dziesięć minut. Uwielbiała, kiedy przychodził do łóżka, zanim czuli się tak zmęczeni, że chcieli się tylko objąć i zasnąć. To, co nazywał, z tą samą kpiącą oficjalnością, „wczesnym wieczorem”, stało się nieczęstym luksusem. Nadal intrygowało ją

wszystko, co wiązało się z Andrew. Była dumna z jego stanowiska ministra; czasem jednak patrzyła na czerwone ministerialne nesesery, które przynosił do domu, i nienawidziła ich.

Po kąpieli, kiedy nacierała ciało balsamem, myśli o własnej seksualności wywołały rozkoszną świadomość tego miejsca w lędźwiach, które otwiera się nieco, a potem czeka, podniecone, lekko drżące, by otworzyć się jeszcze bardziej.

Na zewnątrz powiesiła na drzwiach sypialni znak o wymiarach piętnaście na dwadzieścia centymetrów, dość wymięty od częstego używania — prezent, jaki dostała kilka lat temu od Sophie na Gwiazdkę. Chociaż Daisy poprosiła o taki prezent, wzór wymyśliła sama Sophie. Namalowała różnobarwne ptaki, trzepoczące skrzydłami wzdłuż krawędzi tekturowego znaku; serca były jasnoróżowe; wiadomość wypisała dużymi, turkusowymi zawijasami, z których każdy wypełniła różem: NIE PRZESZKADZAĆ. Nie chcąc, by Matty czuł się zaniedbany, Daisy poprosiła, żeby namalował znak na sypialnię rodziców w Waymere. Ponieważ jednak Matty był o półtora roku młodszy i mniej uzdolniony artystycznie, jego znak nie wyszedł tak pięknie, chociaż informacja była ta sama: NIE PRZESZKADZAĆ. Daisy nie lubiła zamykać drzwi przed dziećmi, toteż namalowane przez nich znaki wydawały jej się możliwą do przyjęcia alternatywą. Tylko raz - niedługo po nastaniu znaków - Matty wpadł do sypialni i, chociaż sytuacja nie była zbyt kłopotliwa, Andrew zbeształ go ostro; odtąd Matty respektował znak. Daisy mogła też powiedzieć dzieciom:

— Czy możecie nam przekazać, jeśli zadzwoni ktoś do mnie albo do Andrew? Idziemy do łóżka odpocząć i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano.

Jednak teraz było już po dziesiątej wieczorem, więc nie zawracała tym sobie głowy. Ogólnie rzecz biorąc, dzieci respektowały pragnienie rodziców, by „odpocząć”, chociaż Matty czasami się krzywił. Daisy usłyszała, że otwierają się drzwi gabinetu.

Nagle rozdzwonił się w gabinecie rządowy telefon, wyposażony w urządzenie uniemożliwiające podsłuch.

Ściana tłumiała głos Andrew, toteż nie słyszała, co mówił.

Pięć minut później drzwi sypialni wreszcie się otworzyły.

Spojrzał na czekającą na niego Daisy, zamknął za sobą drzwi, a potem położył się w ubraniu na łóżku, wspierając się na lewym łokciu, prawą ręką dotykając złotego węża.

- Przepraszam, Daisy. Dzwonił urzędnik dyżurny z Ministerstwa Obrony. Coś się stało. Nici z naszego uroczego wczesnego wieczoru. Uśmiechnął się smutno, nachylił się, by pocałować pierś, na której spoczywał wąż, wreszcie wstał. Oboje słyszeli, jak w gabinecie dzwoni zwykły telefon.

- Czy okropnie nie masz ochoty go odebrać, Daisy? Mógłbym się tymczasem zastanowić.

Ponownie włączyła telefon przy łóżku.

- Halo?

- Czy to pani Harwood?

- Tak.

- Tu Tommy Lowell z „Ramparta”. Nie widzieliśmy się już chyba blisko piętnaście lat. Mam nadzieję, że u pani wszystko w porządku.

- Dobry wieczór, Tommy. Tak. A co u ciebie? - Zakryła piersi prześcieradłem.

- Czuję się właściwie bez zmian. Przypuszczam, że to mój wygląd uległ zmianie. Czy zastałem pani męża? Wydarzyło się coś ważnego, o co muszę go zapytać. Daisy się zawahała.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi, Tommy? Spojrzała na Andrew, stojącego w drzwiach.

- Chodzi o ten myśliwiec, który Stockton Air Space miała dostarczyć Ministerstwu Obrony. On zniknął. Znalezione ciało pilota. To trzecie ciało pracownika Stockton, które znalezione w ciągu ostatnich trzech miesięcy. - Och, poczekaj. Andrew wyszedł do gabinetu. Daisy położyła słuchawkę na poduszce, narzuciła koszulę, którą Andrew przewiesił wcześniej na oparciu fotela, i poszła za nim.

- Dzwoni redaktor z „Ramparta”, Tommy Lowell -powiedziała. — Znałam go. Mówi, że znalezione ciało

pilota, który dla was pracował. Powiedział, że to już trzecie w ostatnich trzech miesiącach.

— Dokładnie rzecz biorąc, tamci nieszczęśnicy nie latali samolotami. O jednym wspomniałaś mi, kiedy przeczytałaś o wypadku, bo jego okoliczności były tak dziwne.

Podniósł słuchawkę zwykłego telefonu, stojącego obok czerwonego aparatu rządowego.

— Halo.

Daisy wróciła do sypialni, odłożyła słuchawkę, po czym zmieniła koszulę męża na własną koralową, jedwabną koszulę nocną; kasztanowe loki lśniły ciemniejszym odcieniem niż jedwab. No, trudno.

Wyszła na korytarz i zerknęła na piętro. Nie mogła stwierdzić, czy głosy dobiegały z pokoju Sophie czy Mat-ty'ego — w każdym razie zamknęli drzwi. Oprócz dwóch głosów słyszała dźwięki „Eleanor Rigby”. To zabawne, że dzieci ponownie zakochały się w Beatlesach. Czy nie było zbyt późno na to, by Matty jeszcze urzędował? Właściwie nie. Miał prawie dwanaście lat. Daisy musiała też przyznać, że cieszyła się, że Sophie jest Czymś zajęta w sobotni wieczór. Odkąd skończyła trzynaście lat, kwestia sobotnich wieczorów stała się kością niezgody.

Daisy otworzyła drzwi gabinetu, po czym zamknęła je za sobą. Fotele stojące przed kominkiem sprawiały wrażenie bardziej zniszczonych niż wtedy, kiedy ujrzała je po raz pierwszy w jego mieszkaniu w Eaton Place, bite piętnaście lat temu. Usiadła w fotelu naprzeciwko Andrew.

Wpatrywał się w pustą przestrzeń, koncentrując się na głosie rozmówcy. Daisy obserwowała męża.

— Tak. Wszyscy się martwimy. Ale wie pan, że nie mogę nic powiedzieć, póki komisja Ministerstwa Obrony nie opublikuje raportu. Dopiero niedawno przybyli na miejsce, gdzie znaleziono ciało Jamesona. Na razie będziemy musieli na tym poprzestać.

Tommy Lowell musiał się pogodzić, że nic więcej nie wydobydzie od sekretarza obrony. Podziękował Andrew.

— Do widzenia — pożegnał go Andrew przyjaźnie. Odłożył słuchawkę i spojrzał na żonę.

— Możesz nam zrobić po drinku? Zadzwoił czerwony, rządowy telefon.

— Halo...? Martin. Domyślałem się, że zadzwonisz. Martin Thrower był pierwszym sekretarzem sekretarza

obrony. Kiedy mężczyźni rozmawiali, zadzwonił drugi telefon.

Daisy odstawiła syfon z wodą sodową i poszła do sypialni, żeby tam odebrać.

— Halo?

Dzwonili z „Sunday Times”.

— Rozmawia przez drugi telefon.

— Poczekam - odparł redaktor działu wiadomości „Sunday Times”.

Jak zwykle w niedziele, dzieci obsługiwały się same przy śniadaniu. Andrew spał dotąd, aż Daisy wróciła z dużą tacą i rozstawiła świeży sok, podsmażony bekon i czajniczek z herbatą na stoliku przy oknie: we wczesnej fazie małżeństwa przekonał ją, że nie potrafi jeść w łóżku. Daisy wróciła do łóżka, ułożyła poduszki w stertę, a swoje śniadanie i dzbanuszek z kawą postawiła na stole obok. Dzielili się pięcioma gazetami.

Krótkie relacje prasowe, większość na dole pierwszej strony, były wszystkie mniej więcej jednakowe.

Tylko „Rairipart” zamieścił artykuł wstępny. Tommy Lowell trzymał się faktów.

Nie podpisany artykuł Bena Franwella wykorzystywał fakty dla własnych celów:

Niecałe cztery miesiące temu inżyniera Stockton Air Space znaleziono w jego samochodzie z odciętą głową. Pracował przy „całkowicie konwencjonalnym” tajnym projekcie dla Ministerstwa Obrony.

Śledztwo wykazało, że inżynier sam sobie obciął głowę. Dość dziwny sposób na popełnienie samobójstwa. A poza tym, skoro pracował nad czymś całkowicie konwencjonalnym, dlaczego utrzymywano to w tajemnicy?

Dwa miesiące temu na głębokości czterech metrów w rzece Tees znaleziono samochód naukowca ze Stockton; naukowiec znajdował się w środku. Dowiedzieliśmy się, że było dziełem przypadku, iż naukowiec ten także pracował przy tajnych projektach dla Ministerstwa Obrony.

Wczoraj wieczorem w górach północnej Walii znaleziono ciało pilota oblatywacza, dla którego podarty spadochron stał się całunem. John Jameson dokonywał ostatnich lotów próbnych na myśliwcu Raider wyprodukowanym przez Stockton — pierwszą z siedemdziesięciu dwóch maszyn zamówionych przez Ministerstwo Obrony w ramach programu ES6.

Gdzie dziś rano znajduje się ten samolot? Dlaczego jego ' pilot leży na katafalku w kostnicy w Bristolu?

Wszyscy wiemy, że pana Andrew Harwooda raduje piastowanie wysokiego urzędu. Czy żądamy zbyt wiele od sekretarza obrony, kiedy nawołujemy, by przestał sycić własną próżność i przypomniał sobie o swoich obowiązkach?

A może pan Harwood nie widzi nic dziwnego w fakcie, że trzech ludzi, wszyscy zatrudnieni przy tajnych projektach Ministerstwa Obrony, zginęli w gwałtownych i nie wyjaśnionych okolicznościach?

Kiedy odpoczywa w sypialni w ten niedzielny poranek, sycąc się uczuciem swej żony, czy nie powinien poświęcić myśli żonie — teraz wdowie — Johna Jamesona?

Andrew podał żonie „Ramparta” otwartego na artykule wstępnym i powiedział:

— Ben Franwell wciąż jest w formie.

25

W środę rano trawler z Bridgewater łowił na Atlantyku, na południowy zachód od Irlandii. Bosman zauważył migoczące na falach, szarosrebrne kawałki. Kiedy trawler podpłynął bliżej, bosman dostrzegł, że srebrnoszare skrawki unoszące się na wodzie to kawałki metalu. Większość miała postrzępione brzegi.

Jaką głębokość ma ocean w miejscu, gdzie znaleziono wrak? - spytał Andrew.

— Około siedmuset metrów — odparł Martin Thrower. - Istnieje szansa na wydobycie czarnej skrzynki.

- A kabina pilota? Pokrywa kabiny? Fotel pilota? Jeśli w górach w Walii nie znajdziemy nic więcej, to znaczy, że z samolotu wyleciał tylko Jameśon i jego podarty spadochron.

— Nasi ludzie i ekipa ze Stockton przeczesują góry -zapewnił Martin. - To dziwne, że zanim samolot runął, leciał jeszcze ponad sześćset kilometrów na automatycznym pilocie.

Andrew nic nie odpowiedział. Obaj mężczyźni wyobrażali sobie, co by się stało, gdyby samolot leciał w przeciwną stronę, kiedy John Jameson został z jakiegoś powodu wyrzucony, a Raider leciałby dalej po linii prostej, aż do wyczerpania paliwa i maszyna runęłaby na ziemię. Andrew wyobraził sobie Sophie idącą do szkoły. Natychmiast przełączył umysł na spadochron pilota. Dlaczego został podarty na strzępy?

- Komisja prowadząca dochodzenie twierdzi, że nie ma

podstaw, by sądzić, że Jameson miał skłonności samobójcze — mówił Martin.

— Kiedy możemy się spodziewać wydobycia jakiegokolwiek części wraku?

— Jest zbyt wcześnie, by choćby zgadywać, panie ministrze. Dyrektor firmy, która wyprodukowała myśliwiec, mówi, że w przyszłym tygodniu zaczną negocjacje z prywatnymi firmami.

— Chcę się dzisiaj spotkać z Cartwrightem.

Charles Cartwright był urzędnikiem odpowiedzialnym za sekcję F, zajmującą się prywatnymi kontraktami dla myśliwców.

— Poproś też Barthmore'a, żeby przyszedł o tej samej porze.

Austin Barthmore pełnił funkcję podsekretarza, najwyższe stanowisko urzędnicze w Ministerstwie Obrony.

Ministerstwo Obrony nie miało nic z majestatu Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy biura wspólnoty brytyjskiej, leżących po drugiej stronie Whitehall. Biuro wspólnoty zaprojektowano tak, by wywierać wrażenie na dziewiętnastowiecznych ambasadorach z dalekich krańców imperium: Brytania rządziła na morzach. Ministerstwo Obrony miało charakter czysto użyteczny; zbudowano je w latach trzydziestych naszego wieku. Ludzie urzędujący w nim obecnie nazywali jego styl „wschodnioberlińskim”. Można było przejechać obok jego nudnej fasady w Richmond Terrace, nie zwracając na nią uwagi.

Martin Thrower pracował jako pierwszy sekretarz dla poprzednika Andrew, starego absolwenta szkoły w Harrow, który uważał, że wszystko można osiągnąć krzykiem. Martin wiedział, że metoda Andrew była skuteczniejsza. W ciągu piętnastu miesięcy pracy dla Andrew polubił tego człowieka. Gdyby tak się nie stało, Martin Thrower także byłby lojalny wobec swego ministra — choć w takim wypadku lojalność uległaby podziałowi.

Pozycja urzędników państwowych wchodzących w skład

prywatnego gabinetu ministra jest bowiem dziwaczna: są podwójnymi agentami. Z jednej strony są lojalni, tymczasowo, wobec swych politycznych przełożonych. Z drugiej strony pozostają lojalni, stale, wobec podsekretarza w danym ministerstwie. To, jak osobisty sekretarz wyważa obie te lojalności, zależy w znacznej mierze od jego prywatnych uczuć w stosunku do ministra.

W biurze ministra pracowało czworo sekretarzy niższych rangą od Martina, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Cała piątka miała biurka w pokoju przylegającym bezpośrednio do gabinetu ministra. Ponieważ Martin Thrower zarówno szanował jak i lubił Andrew, zachowywał w rozmowie z ministrem inteligentną dyskrecję, która była nieoceniona dla Andrew; dzięki niej mógł szybko odkryć silne i słabe strony ministerstwa.

Andrew nie był przekonany, czy Charles Cartwright był odpowiednim człowiekiem na swoim stanowisku. Poruszył już tę kwestię w rozmowie z Barthmore'em, odpowiedzialnym za personel departamentu. Barthmore zapewnił, że będzie miał baczenie na dyrektora sekcji F.

Jak sądzisz, Charles, kiedy zatrudnione firmy będą mogły określić termin wydobycia wraku?

- Chciałbym móc udzielić panu odpowiedzi, panie ministrze, ale szczątki Raidera leżą na głębokości siedmiuset metrów na dnie Atlantyku. Mamy bez wątpienia szczęście, że to zaledwie jedna szóstą głębokości „Titanica”. Mimo to wydobycie nie jest sprawą pewną, a na pewno niełatwą.

Andrew nastroszył brwi. Rzeczywiście nie lubił tonu Cartwrighta, przypominającego dyrektora szkoły: jednocześnie służalczego i wszechwiedzącego.

- Podkreślał pan także, panie ministrze, że w przydzielaniu kontraktów istotną rolę gra czynnik finansowy. Kiedy otrzymam oferty, rozpocznę negocjacje.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wydobycie fotela pilota i czarnej skrzynki jest dość pilne? - spytał Andrew. - Do tego czasu cały program ES6 ulega wstrzymaniu. Szczątki

pilota dostarczają nam informacji tylko w ograniczonym zakresie.

Martin Thrower podniósł wzrok znad sporządzanych notatek.

Barthmore patrzył z nieprzeniknioną twarzą na człowieka, któremu powierzył sprawę myśliwca.

- Panie ministrze, dopilnuję, żeby w poniedziałek dostarczono odpowiednim firmom wydobywczym zaproszenia do złożenia ofert.

Andrew zwrócił się do Barthmore'a:

- Czy mam rację, Austin, sądząc, że dzisiaj jej środa?

- Jestem pewien — powiedział podsekretarz do Cartwrighta — że sekcja F jest w stanie zdobyć listę odpowiednich firm wydobywczych na jutro, czyli na dzień pytań do ministra w Izbie Gmin. Ponieważ pytania rozpoczynają się o drugiej trzydzieści, nie widzę powodu, dla którego odpowiednie listy nie miałyby się znaleźć do tego czasu na biurkach właściwych firm. Będziesz je musiał nadać faxem.

Czterech mężczyzn siedziało w olbrzymim gabinecie ministra na szóstym piętrze. Na dwóch ścianach wisiały obrazy wybrane przez Daisy ze zbiorów rządowych, przeznaczonych do wystroju pomieszczeń ministerialnych. Andrew poprosił ją o wybranie obrazów stosownych dla Ministerstwa Obrony. Kustosz zbiorów odmówił wydania dzieł, które wybrała jako pierwsze; oświadczył, że najlepsze obrazy i rzeźby są zastrzeżone dla ambasad w Waszyngtonie i Paryżu. Dzieła sztuki wyższej jakości przysługiwały tylko tym nielicznym ministrom, którzy posiadali oficjalne rezydencje, jak sekretarz spraw zagranicznych czy minister skarbu.

Na długiej ścianie wisiała poruszająca, barwna rycina, przedstawiająca walkę w okopach pierwszej wojny światowej. (Artysta nie przedstawił, co się działo, kiedy generałowie rozkazali oficerom i żołnierzom ruszyć z okopów na pola Sommy, Passchendaele i inne.) Na drugiej ścianie wisiały trzy obrazy olejne artystów z drugiej wojny światowej -dwa Spitfire'y, jeden trafiony, nad Dover; czołgi 8 Armii podpełzające do Dywizji Pancernych Rommla; żołnierz Drugiej Brygady Spadochronowej dokonujący samotnego

rekonesansu pod ruinami klasztoru, w którym mieściła się baza Niemców na szczycie Monte Cassino. Na ścianie za biurkiem przypięto mapy. Czwarta ściana składała się z okien, wychodzących na Nabrzeże i Tamizę, z kopułą św. Pawła wznoszącą się ponad zakrętem rzeki.

Większość gabinetów ministrów miała wspaniały widok z okien, ale całkowicie pospolity zestaw mebli Heala, wybrany przez agencję usług państwowych. Kiedy jednak Michael Heseltine został ministrem obrony, w ciągu dwudziestoczterogodzinnej luki po wyborach 1983 roku jego biuro dokonało rewolty: komplet mebli w stylu króla Jerzego, które kiedyś zdobiły gabinet pierwszego lorda admiralicji, przeniesiono do gabinetu ministra obrony, gdzie pozostały jeszcze długo po tym, jak Heseltine zebrał swoje papiery, opuścił gabinet i stanowisko.

Naprzeciwko drzwi stało eleganckie biurko w stylu króla Jerzego, z otworami na kolana po obu stronach. Tuż obok stała mahoniowa półka na książki, uszkodzona w miejscu, gdzie kopnął ją Churchill, wówczas pierwszy lord admiralicji.

Pod rycinami przedstawiającymi sceny z pierwszej wojny światowej stała kanapa Chesterfield obita niebieską skórą zapinaną na guziki, a po jej obu stronach dwa fotele do kompletu. Pod ścianami stały dwa tuziny krzeseł z niebieskiej skóry, które w każdej chwili można było ustawić w trzech łukach przed sofą, przy okazji posiedzeń ministra obrony z generałami, admirałami i ich personelem. (Dwa z prostych krzeseł miały oparcia na ręce; przeznaczone były dla wyższych urzędników poniżej rangi fotelowej, ale wyższych rangą niż zasiadający na innych prostych krzesłach.)

Pod oknem stał sześciokątny stół przeznaczony do spotkań w mniejszym gronie.

Podczas niektórych spotkań, zwłaszcza ze swymi zastępcami i innymi posłami, Andrew przenosił się na sofę. Tym razem został przy biurku. Naprzeciwko niego siedział podsekretarz na prostym krześle z oparciami, a dyrektor sekcji F na prostym krześle. Krzesło Martina Throwera stało na neutralnym miejscu obok biurka.

- Wyniki sekcji otrzymamy jutro, panie ministrze - poinformował Martin.

— A Stockton?

— Rozbierają na części fotel katapultowy w podobnym samolocie, panie ministrze — odparł Cartwright.

— Zaprośmy lepiej dyrektora Stockton na jutrzejszy wieczór albo piątek rano. Od co najmniej miesiąca nie zaszczyca nas swoją obecnością.

Martin na tyle szybko podniósł wzrok znad notatek, by ujrzeć na twarzy Andrew coś na kształt lekkiego uśmiechu, chociaż bardzo smutnego.

O dwunastej trzydzieści następnego dnia Downing Street była zatłoczona czarnymi Roverami i Jaguarami, których szoferzy czekali na zakończenie posiedzenia rządu. Obok każdego Jaguara z kuloodpornymi szybami stał detektyw ze służb specjalnych. W przeciwieństwie do Rovera, XJ6 był szybki, mimo ciężaru zbrojeń przeciwko minom. Jaguary należały do ministrów klasy A.

Jeden z detektywów, inspektor Denis Spearman, stał przy jedynym Jaguarze, który nie był czarny.

Jego szoferem był Ollie Brown. Kiedy minister zmienia pracę, może zabrać ze sobą szofera. Ollie pracował jako kierowca Andrew, kiedy ów pełnił funkcję sekretarza przemysłu. Teraz Ollie prowadził ciemnoniebieskiego, kuloodpornego Jaguara sekretarza obrony.

Posiedzenie rządu skończyło się tuż przed pierwszą. Kilka minut później otworzyły się drzwi Numeru Dziesiątego, po czym osiemnastu mężczyzn i jedna kobieta ruszyli do swych samochodów.

Andrew wręczył Olliemu swój czerwony neseser.

— Pójdę piechotą — oznajmił.

Z Denistem Spearmanem trzymającym się parę kroków za nim, sekretarz obrony ruszył do Ministerstwa Obrony na kawę i kanapkę.

O drugiej piętnaście wyszedł z ministerstwa i wsiadł do czekającego przed wejściem ciemnoniebieskiego Jaguara. Denis usiadł z przodu obok Olliego, a Martin Thrower z tyłu.

Kiedy jechali do Izby Gmin, Andrew oparł dłoń na obiciu drzwi i Martin zwrócił uwagę na zbielełe kostki u jego dłoni. Ilekroć Martin towarzyszył ministrowi podczas pytań w Izbie Gmin, cieszył się, że nie jest politykiem. Policjanci przy bramie zasalutowali i dali znak, by samochód wjechał na Nowy Dziedziniec Pałacowy: O drugiej dwadzieścia osiem sekretarz obrony pojawił się za prezydium przewodniczącego i zajął miejsce na ławie rządowej. O drugiej trzydzieści przewodniczący zawołał: — Pan Harwood!

Pierwsze, rutynowe pytanie zadał poseł z Partii Pracy, troszczący się o nową bazę na północ od Humber. Drugie pytanie pochodziło od nieznanego torysa z dalszych ławek, który chciał trafić do lokalnej gazety w swoim okręgu wyborczym.

W trzecim pytaniu, zadany przez innego posła z Partii Pracy, po raz pierwszy pojawiło się sformułowanie, użyte przez Bena Franwella w artykule wstępnym:

— Czy Szanowny Dżentelmen może nam powiedzieć, czy podziela troskę całej naszej Izby, wywołaną trzema niedawnymi i całkowicie niekonwencjonalnymi zgonami pracowników Stockton Air Space, zatrudnionych przy „całkowicie konwencjonalnych” projektach dla Ministerstwa Obrony? Chcielibyśmy także usłyszeć, czy Szanowny Dżentelmen zbadał okoliczności śmierci pilota, Johna Jamesona. Andrew, który siadał na czas zadawania pytania, stanął ponownie na mównicy.

— Ponieważ Izba zna już odpowiedź na pierwsze pytanie Szanownego Dżentelmena, pozwolę sobie odpowiedzieć tylko na drugie. Odpowiednie firmy wydobywcze otrzymały od mojego biura listy, w których żądamy, by do poniedziałku rano przedstawiły oferty wydobycia wraku Raidera, spoczywającego na dnie oceanu. Dopóki nie wydobędziemy czarnej skrzynki i fotela katapultowego, jakakolwiek opinia wygłoszona przeze mnie na temat przyczyny śmierci pana Jamesona byłaby nie na miejscu.

Dalsze pytania zadawane przez posłów opozycji poruszały sprawę pod nieco innym kątem, a większość opierała się na aluzji z artykułu Bena Franwella.

Kiedy Ollie skręcił w Cheyne Street, Andrew spojrział na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Denis wyskoczył i otworzył tylne drzwiczki.

Trzymając czerwony neseser w dłoni Andrew spojrział na światło na piętrze: Daisy pewnie czytała w łóżku. W oknach na drugim piętrze nie paliły się światła: Sophie spała. Matty chyba też, chociaż jego okna wychodziły na drugą stronę. Z kluczem w dłoni Andrew wszedł lekkim krokiem na cztery stopnie prowadzące do drzwi frontowych. Boże, jak dobrze wracać do domu.

Ollie cofnął Jaguara od krawężnika. Podwiezie Denisa na stację metra, a potem wróci na parking rządowy i przesiądzie się do własnego Forda. W taką noc powinien dotrzeć do South Norwood w dwadzieścia minut. Wyjechał stamtąd szesnaście godzin temu. Boże, z jaką radością wróci do domu.

Andrew przebrał się w piżamę i szlafrok, po czym przeszli z Daisy do salonu.

— Podjąłem ważną decyzję — oznajmił, nalewając dwie whisky i dolewając dużo wody sodowej. Czekała.

— Dziś wieczorem nie otworzę tego cholernego, czerwonego nesesera.

Daisy poskromiła pragnienie, by zapytać go o dramat Raidera. Opowiedziała Andrew o dyrektorze jednej z największych angielskich galerii sztuki: kiedy przyszedł tego ranka, by pozować jej po raz pierwszy, zapytał, czy musi zostać całkiem ubrany.

— Powiedział, że nie chce mieć tego pozapinanego wyrazu twarzy. Na początek zgodziliśmy się na zdjęcie marynarki i kamizelki oraz rozpięcie koszuli do pasa.

— Jaką część tego gościa masz zamiar wyrzeźbić? — zainteresował się Andrew.

— Planowałam zatrzymać się mniej więcej w okolicy ramion. Mogę zmienić zdanie. To zależy od tego, co zdejmie następnym razem.

Była to pierwsza rzecz, jaka rozśmieszyła tego dnia sekretarza obrony.

Przynależność ministrów klasy A wyznaczał raczej stopień ryzyka bezpieczeństwa niż ranga. I tak premier, sekretarz spraw zagranicznych, sekretarz spraw wewnętrznych, sekretarz obrony i sekretarz do spraw Irlandii Północnej należeli do klasy A, podczas gdy trzeci pod względem ważności członek rządu, minister skarbu, należał do klasy B.

Służby specjalne miały ułatwioną pracę, kiedy detektyw sypiał pod jednym dachem z ministrem, co zdawało egzamin w przypadku dużych domów ze służbą. Mimo że Harwoodowie mieszkali wygodnie i stylowo, cenili sobie prywatność. Woleli, by Denis mieszkał pod innym dachem.

Podobnie jak wiele domów w Chelsea, a zwłaszcza eleganckie domy tarasowe z końca osiemnastego wieku, dom Harwoodów był większy, niż na to wyglądał; po trzy pokoje biegnące w głąb na każdym z trzech pięter, duża kuchnia oraz spory salon w tak zwanej piwnicy ogrodowej. Daisy przeważnie sama gotowała, więc wolałaby, gdyby kuchnia i salon znajdowały się całkowicie nad poziomem ziemi.

Jedyną rzeczą, jakiej brakowało jej w Londynie, była słoneczna przestronność dużego domu, w którym się wychowała. Amerykanie, mawiała, nawet jeśli żyją w mieście, używają piwnic do suszenia bielizny; stoi tam stół do ping-ponga lub zlew do mycia psa. Ale gotuje i je się nad ziemią, na miłość boską.

Mimo to, ponieważ dom zajmował centralną pozycję w życiu Daisy i wolała nie tęsknić za czymś, czego nie miała,

dokonywała drobnych ulepszeń, twierdząc, że nie przepadałaby tak bardzo za ich wiejskim domem w Shropshire, gdyby dom w Londynie był równie jasny.

Wprowadzili się na Cheyne Street na dwa miesiące przed przyjściem na świat Matty'ego. Przedtem, przez pierwsze dwa lata małżeństwa mieszkali bliżej Sloane Square. Mimo że ich dom znajdował się poza zasięgiem dzwonka wzywającego posłów na głosowanie, droga do Izby Gmin zajmowała niecałe dziesięć minut, chyba że panował wyjątkowo duży ruch. Trzy sypialnie zaspokajały ich potrzeby, nawet po przyjściu Sophie na świat. Jednak Andrew narzekał, że jego garderoba zamieniła się w pokój „pomocy do dziecka”, młodej kobiety, pełniącej częściowo obowiązki niańki, a częściowo *au pair*.

- Nie chodzi mi o to - tłumaczył Daisy - że koniecznie potrzebuję oddzielnej sypialni. Chodzi o posiadanie opcji.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego Anglicy stale podkreślają amerykańską potrzebę eufemizmów, skoro oni sami nazywali oddzielną sypialnię męża garderobą.

W domu przy Cheyne Street ich sypialnia, gabinet Andrew i słynna garderoba znajdowały się na pierwszym piętrze. Dzieci i pomoc domowa (później *au pair*) miały pokoje na drugim piętrze. Parter składał się z salonu oraz rzeźbiarskiego atelier Daisy, przy czym mary pokoik przechodni służył modelom za przebieralnię. Okna w atelier były umieszczone wysoko na trzech ścianach; jedyny widok stanowiła połowa jesionu w ogrodzie. Nikt również nie mógł zajrzeć z ogrodu do studia. Dom zbudowano przed dwustu laty dla rzeźbiarza i żaden z późniejszych właścicieli nie zmienił układu atelier.

Makiety na drutach stały wzdłuż ścian niczym duchy. Czasami Daisy używała ich do rzeźbienia ptaków większych niż w rzeczywistości i koni mniejszych niż prawdziwe, ale postanowiła, że pewnego dnia wyrzeźbi konia w skali jeden do jednego, jak dzieła Elisabeth Frink.

Mocną stroną Daisy były portrety. Nie była Epsteinem, ale miała talent w uchwytywaniu podobieństwa i oddawaniu witalności modelu. Modelowała głowy w glinie, po czym

posyłała je do odlewni Fulham, gdzie robiono odlew w brązie. Większość modeli zamawiała głowy do domów lub biur. Daisy wykonała też tuzin szczególnie udanych popiersi, które wystawiono w Oxfordzie i Cambridge, oraz w kilku salach konferencyjnych w City.

W ciągu trzech ostatnich lat Narodowa Galeria Portretów zakupiła od Daisy dwa portrety, z których jeden wszedł w skład stałej wystawy. Ilekroć zwiedzała galerię, zerknęła pośpiesznie na swoje dzieło, znowu myślała, jak dobrze obchodziło się z nią życie, i natychmiast dotykała drewnianego postumentu. Andrew był niezwykle dumny z jej pracy.

Ich dni w środku tygodnia przy Cheyne Street zazwyczaj rozpoczynały się taką samą rutyną. Ingrid, tegoroczna *au pair*, zajmowała się śniadaniem dla dzieci. Dopiero kiedy Daisy przyrządziła śniadanie dla siebie i męża i zaniósła je na górę, z gazetami pod pachą, Andrew uznawał dzień za rozpoczęty. Wkładał szlafrok, sadowił się w fotelu i rozkładał „Timesa”, żeby móc czytać podczas jedzenia. Kiedy wracał po golaniu, Daisy wciąż leżała wsparta na poduszkach, czytając kolejno „Daily Mail”, „Guardiana” i „Independent”. Po czternastu latach małżeństwa nadal lubiła patrzeć, jak się ubierał. — Masz pełno wdzięku — mówiła czasem.

- Dziękuję - odpowiadał zawsze. Dopiero kiedy kończył wiązać krawat, Daisy wstawiała z łóżka. Nikt, kto obserwowałby tę przesyconą spokojem scenę, nie domyśliłby się, że po niej następowało z reguły trzynaście, czternaście, piętnaście godzin intensywnej koncentracji ze strony Andrew oraz mniej systematyczny, krótszy, ale owocny dzień Daisy.

W chwili gdy Jaguar dojeżdżał do końca Cheyne Street i ruszał w stronę Whitehall, Daisy ubrana w dzinsy i koszulkę z krótkimi rękawami skupiała uwagę na swojej twarzy. Chociaż była pewna, że spotka się tylko z Ingrid i panią Salomon, pomocnicą domową, Daisy zawsze nakładała makijaż, zanim schodziła na dół do swego biurka, by zająć się najpilniejszą korespondencją. Wcześniej czy później ktoś

zawsze naciskał na dzwonek, a Daisy miała pewność, że ktokolwiek by to był, zawsze byłoby lepiej, kiedy jej twarz wyglądała przyzwoicie. Pozostała uderzająco piękną kobietą, z szarymi oczami w kształcie migdałów, okolonymi ciemno-kasztanowymi włosami.

Z wyjątkiem pracy - a po wzięciu udziału w sześciu rządowych lunchach klasyfikowała je jako pracę - rzadko wychodziła w ciągu dnia, woląc jak najwięcej skorzystać z samotności przed powrotem dzieci ze szkoły. Sophie i Matty chodzili do prywatnej szkoły, od której dzieliła ich krótka jazda autobusem i oboje głośno obwieszczali swe przybycie, kiedy wracali do domu po czwartej. Wynikało z tego, że miała dla siebie siedem godzin bez rodziny, toteż Daisy często się zastanawiała, dlaczego udawało jej się spędzać w atelier najwyżej cztery godziny, czasem mniej. Pani Salomon zajmowała się domem. Ingrid doglądała dzieci, chociaż im bardziej dorastały, tym mniej *au pair* miała do roboty. Nawet jeśli czasami Ingrid przypominała tylko nastoletnią piastunkę, już ta jedna funkcja okazywała się nieoceniona, kiedy Daisy wyjeżdżała do okręgu wyborczego, udawała się w oficjalną podróż z Andrew albo po prostu szła na kolację czy przyjęcie z Angellą bądź Frances.

Zdumiewało ją, jak wiele czasu zajmowało jej pełnienie obowiązków żony ministra. To prawda, odkąd Andrew został sekretarzem obrony, musiała wydawać więcej lunchów niż podczas dwóch poprzednich lat, kiedy pełnił funkcję sekretarza przemysłu. Ministrowie obrony innych krajów często przyjeżdżali z żonami i chociaż sekcja protokołu organizowała takie wizyty, od Daisy oczekiwano, że będzie pełniła honory pani domu. Stwierdziła, że dwugodzinny oficjalny lunch zabierał jej cztery godziny - musiała wliczyć czas na umycie włosów, ubranie się i podróż w obie strony.

Pełniąc oficjalne obowiązki znajdowała wielką pomoc w możliwości korzystania z samochodu Andrew, chociaż czasem wyczuwała irracjonalną wrogość emanującą z Olliego. Oczywiście Ollie nigdy nie komentował w obecności Daisy jej skłonności do wychodzenia z domu z dziesięciominutowym

opóźnieniem, tak że Ollie musiał gnać na żółtych światłach -kiedyś na Piccadilly wjechał na krawężnik - aby zdążyć na czas. Jednak zwracał uwagę na te mijające minuty, kiedy czekał przed domem przy Cheyne Street i potem skarżył się Denisowi. Daisy wyczuwała to wszystko, kiedy w końcu wsiadała do Jaguara i spoglądała na tył głowy Olliego.

Nie przejmowała się ani trochę, kiedy ktoś inny ponosił winę za jej spóźnienie. Cierpiała na atak paranoi tylko wtedy, gdy ona sama ponosiła odpowiedzialność, a tak było najczęściej. Andrew posiadał armię urzędników, którzy się o niego troszczyli: sekretarzy, kierowcę, detektywów, podczas gdy ona była zdana tylko na siebie. Pod wpływem takich nastrojów, na szczęście krótkotrwałych, pytała siebie, dlaczego nikomu w rządzie nie przyszło do głowy, że także współmałżonkowie mogą się stać celem ataków terrorystycznych. Myślała o żonie ministra, która została zabita w 1984 roku - i o sparaliżowanej Margaret Tebbit - w wyniku wybuchu bomby podłożonej przez IRA na konferencji torysów w Grand Hotelu w Brighton. Musiała jednak przyznać, że obie znajdowały się wtedy w towarzystwie mężów. Andrew pełnił wtedy funkcję wiceministra, toteż pokój jego i Daisy znajdował się daleko w tyle od sypialni, które w chwili wybuchu rozsypały się jak domki z kart; dopisało im szczęście.

Gajeszcze robiła jako żona ministra? Przypuszczała, że bardziej niepokoi się o Andrew niż on sam i zastanawiała się, czy to także zabierało część jej czasu i energii.

Zawsze też czuła się nieswojo, ilekroć umawiała się na drinka z Frances lub Angellą, a potem wracała do domu swym prywatnym Volvo, ponieważ podobnie jak wszystkie żony ministrów, Daisy wiedziała, że stanowi cel ataków prasy. Gdyby czekała cierpliwie na światłach, a jakiś kierowca autobusu najechał na jej „czułe” Volvo, i ona wypiłaby wcześniej kropelkę whisky, wtedy nie tylko kazano by jej dmuchać w balonik, co już samo nie było zbyt przystojną czynnością, ale cała sprawa zostałaby nagłośniona przez prasę brukową. Nie byłoby ważne, że nie przekroczyła

dopuszczalnej ilości alkoholu we krwi: większość ludzi zapamiętałaby fakt, że żonie ministra kazano dmuchać w balonik po tym, jak jej samochód wpadł w karambol.

Jeśli zdarzało się, że już wcześniej miała zły nastrój, drażnił ją fakt pozostawiania pod stałą obserwacją. „Żona Cezara musi być poza wszelkim podejrzeniem.” Kiedy po raz pierwszy przeczytała w szkole to pompatyczne zdanie, poczuła irytację w imieniu żony Cezara. Mimo to nie mogła udawać, że poświęcała czas na naśladowanie jej przykładu. Może po prostu cierpiała na chroniczną niepunktualność? Czy to mogła być choroba?

Ollie minął wreszcie światła w północnej części Parliament Square i skręcił do Whitehall, zatrzymując się przy barierce zagradzającej wjazd na Downing Street. Jeden z policjantów schylił się, żeby obejrzeć ich przepustki. Przyjaźnie skinął Daisy głową i dał znak kierowcy, że może wjechać w uliczkę, której niepozorny wygląd zewnętrzny kontrastował z jej sławą.

Downing Street jest tak wąska, że nie sposób dostrzec w pełni Ministerstwa Spraw Zagranicznych wznoszącego się po prawej. Jednak proste domy wzniesione na jednej pochyłości po prawej, których siedemnastowieczne cegły odnawiano już tyle razy, że ich wiek uległ praktycznie wymazaniu, pasują do ulicy. Tuż przed zaułkiem, gdzie schody Ministerstwa Spraw Zagranicznych opadają ku Paradzie Straży Konnej, Ollie zaparkował przy krawężniku przed Numerem Jedenastym. Spojrzał na elektroniczny zegar nad skrzynią biegów. Pierwsza. Nie najgorzej, biorąc pod uwagę, że wyszła z domu przy Cheyne Street z dwunas-tominutowym opóźnieniem.

Policjant pełniący straż przed Numerem Dziesiątym podszedł kilka kroków i stanął przed schodami Numeru Dziesiątego. Drzwi otworzył wiekowy odźwierny, który uprzejmie powitał Daisy i pokuśtykał przed nią schodami na lewo, ku białym drzwiom prowadzącym do prywatnych apartamentów ministra skarbu. Jego żona wydawała mały lunch na cześć kontrowersyjnej pisarki postfeministycznej, będącej żoną francuskiego ministra finansów.

Po drugiej stronie Whitehall, w ponurym betonowym domu na Richmond Terrace, Andrew pił whisky przy swym biurku. Służący postawił przed nim srebrną tacę z kanapkami i dzbankiem kawy. Cały ranek ministrowi zajęła najpierw angielsko-niemiecka debata na temat demontażu broni konwencjonalnej, potem jego własna taktyka w postępowaniu z brytyjskimi zwolennikami jednostronnego rozbrojenia, wreszcie napięte stosunki z departamentem przemysłu. Powodem napięcia było pytanie, czy komponenty do programu ES7 zamówić u Stockton Air Space czy Bedfordshire High Tech, czy też u firmy ze Stanów Zjednoczonych.

Rachel Fisher była bez wątpienia odpowiednim sekretarzem w Ministerstwie Przemysłu. Andrew pytał sam siebie, czy myśl, że napięcie między ich departamentami było spowodowane osobistym antagonizmem, była jedynie wytworem jego wyobraźni. Nie czuł w stosunku do Rachel żadnej szczególnej wrogości. Może się mylił, przypisując jej osobistą antypatię. Nie sposób było stwierdzić, jak dużą rolę odgrywa tu wykorzystywanie „Ramparta” przez Bena Franwella w celu politycznej promocji Rachel. W aktualnych notowaniach Ministerstwo Obrony stało wyżej niż Przemysłu. Tylko Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Skarbu i Spraw Wewnętrznych przewyższało rangą Ministerstwo Obrony.

Odłożył lunch na później, by zapoznać się ze szczegółami śmierci pilota. Sekcję ukończono wczoraj. Dyrektor Stockton Air Space miał przyjechać razem z głównym projektantem za kwadrans trzecia.

O drugiej służący wrócił i zabrał srebrną tacę.

O drugiej trzydzieści, kiedy Martin, a za nim podsekretarz, weszli do gabinetu, ujrzeli Andrew przemierzającego pokój tam i z powrotem.

Skinął głową Barthmore'owi, a sam usiadł na niebieskiej skórzanej kanapie pod ryciną przedstawiającą samotnego zwiadowcę pod Monte Cassino; Austin Barthmore zajął miejsce w niebieskim skórzanym fotelu w pobliżu okopów Sommy. Martin, z notatnikiem w ręku, usiadł na krześle

pod Spitfire'ami; ten trafiony zaczął spadać ku swemu przeznaczeniu ponad jego lewym ramieniem. Andrew, marszcząc brwi nachylił się do przodu, złączył luźno dłonie między kolanami.

- Widziałeś raport z sekcji, Austin. Biedny drań. Cała trójka milczała.

- Czy sądzisz, że można uznać te trzy śmierci za przypadek? - spytał Andrew.

- Wiem, panie ministrze, że Charles Cartwright gra panu na nerwach, jednak zawsze się przekonywałem, że jego osąd okazywał się słuszny. Cartwright przychyliła się do wniosku naszej komisji dochodzeniowej, że nikt nie maczał palców w poprzednich makabrycznych zgonach. To, czy te trzy zgony ujawniają pewną wadę w doborze personelu przez Stockton, jest innym zagadnieniem. Do tej pory wyniki produkcyjne Stockton w ramach naszych zamówień były wyśmienite, dopiero ta ostatnia zagadka wstrzymała program ES6. Cartwright bada konkurencyjną ofertę Bedfordshire High Tech.

Andrew uśmiechnął się kwaśno.

- Sądzę, że nie powinniśmy zamykać oczu na propozycje Bedfordshire High Tech tylko dlatego, że są promowane przez sekretarza przemysłu. Nie wątpię, że w swoim czasie Cartwright wygłosi nam wykład na ten temat. Nadzwyczajne jest to, że zazwyczaj lubię wykłady. Musi tu chodzić o jakieś reakcje chemiczne zachodzące między Cartwrightem a mną.

W tym momencie do gabinetu weszła sekretarka.

- Czy jest pan gotów przyjąć Cartwrighta, panie ministrze?

- Tak.

- Grupa ze Stockton przyjechała dwie minuty przed czasem.

- Mogą wejść wszyscy razem.

Duże czoło dyrektora Stockton lśniło lekko od potu.

- A więc spotykamy się znowu, panie Manning - powitał go Andrew, ściskając mu dłoń.

- Wolałbym, żeby działo się to w mniej tragicznych okolicznościach — odparł Manning.

Wskazano mu fotel z niebieskiej skóry, a głównego projektanta posadzono na prostym krześle z oparciami.

Andrew otworzył spotkanie, zwracając się do projektanta, Lionela Barkera.

- Jameson przeprowadzał końcowe testy, zanim oddaliście pierwsze Raidery. Jaka, do ostatniej soboty, była pańska opinia o waszym nowym fotelu katapultowym, panie Barker?

- Ma inne komponenty niż poprzednie modele, ale jego niezawodność nie podlega dyskusji.

Manning odchrząknął.

Barker zmodyfikował wypowiedź:

- Wszelkie przesłanki pozwalały nam sądzić, że jego niezawodność nie podlega dyskusji. Niestety nie dysponujemy fotelem ani żadnym innym fragmentem samolotu. Kiedy, jeśli w ogóle, zostaną wydobyte, dowiemy się więcej.

- Sekcja wykazała, że Jameson złamał obydwie stawy barkowe, zanim dotknął ziemi. Jak pan sądzi, panie Barker, co mu się przydarzyło? - Andrew zachowywał pełną kurtuazję.

- Między nami mówiąc, panie ministrze, jestem przekonany, że w odróżnieniu od dwóch poprzednich zgonów inżynierów ze Stockton, Jameson nie popełnił samobójstwa. Twierdzę, że rakieta znajdująca się w podłódku w jakiś sposób wystrzeliła, wybijając nad nim otwór w pokrywie kabiny. W takiej sytuacji ciśnienie wyciągnęłoby go z fotela, zrywając pasy i łamiąc mu barki. Znany jest taki przypadek: cztery lata temu British Aerospace straciła pilota i samolot w podobnych okolicznościach. Wrak znalazł się wtedy na takiej głębokości w oceanie, że wydobywanie okazało się niemożliwe, jednak zanim maszynie skończyło się paliwo, widziano ją, jak leciała bez pilota. Nigdy nie ustalono definitywnie, co spowodowało jego wyrzucenie.

- Może pan pamiętać, panie Barker - wtrącił Cartwright - że komisja Ministerstwa Obrony, prowadząca dochodzenie w sprawie tego tragicznego incydentu, doszła do pewnych wniosków, choć tylko spekulatywnych. - Tak - odparł Barker - i dopóki nie dowiemy się

więcej, moje spekulacje na temat Jamesona będą takie same. Kiedy został wyspany przez pękniętą pokrywę kabiny, jej poszarpane brzegi podarły mu spadochron. Tak więc spadł na ziemię z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Jak państwo wiedzą na podstawie sekcji, nie żył, zanim dotknął ziemi. W każdym razie tak się przypuszcza.

Przez pół minuty panowała kompletna cisza.

- Jakie jest przeznaczenie raketki w podgłówniku? - spytał w końcu Andrew.

- Jest to udoskonalony model, mający zapobiegać sytuacji, w której Raider spada pionowo tak szybko, że zwykły, mały spadochron może się nie otworzyć na czas. Kiedy specjalna raketka umieszczona za fotelem zostaje wystrzelona, może zmusić główny spadochron do szybszego otwarcia. Model ten zakłada, rzecz jasna, że pokrywa kabiny została odrzucona w normalny sposób, nie drąc głównego spadochronu.

Andrew zwrócił się do Manninga:

- Komisja Ministerstwa Obrony, która pracuje w Stockton już od tygodnia, spekuluje podobnie.

Zgadzają się, że nic nie można ustalić przed wydobyciem wraku. A twoim zdaniem, Charles - zapytał Cartwrighta - w jaki sposób ten zastój w programie ES6 wpływa na program ES7?

- Jest wysoce niefortunne - odparł Cartwright z pewnym samozadowoleniem - że nie potrafimy ustalić wpływu zastoju na ostateczny harmonogram programu ES6. Tymczasem - przerwał po mentorsku — Stockton musiałyby przedłożyć bardzo przekonujące argumenty, zanim zlecilibyśmy im produkcję komponentów do programu ES7.

Andrew zwrócił się do Manninga, który z kieszeni prążkowanej marynarki wyjął białą chusteczkę, otarł nią lekko czoło, po czym schował chusteczkę do kieszeni spodni.

- Czy Ministerstwo Obrony musi koniecznie podjąć decyzję w sprawie programu ES7 przed wydobyciem wraku? - spytał Manning.

- Obawiam się, że tak, panie Manning. - Minister musi

się trzymać ścisłego harmonogramu. Operacja wydobywcza może zająć wiele miesięcy.

Nastrój Cartwrighta był niemal euforyczny; wprost nie skrywał swego zadowolenia, oznajmiając Stockton złe nowiny.

Rozmyślając o tym na tylnym siedzeniu Jaguara w drodze powrotnej do domu, Andrew nie potrafił zrozumieć zadowolenia Cartwrighta z przedłużania się tajemnicy Raidera.

Hamowało to ważny program ES6, czego Cartwright na pewno sobie nie życzył.

Likwidowało to praktycznie szanse Stockton w ubieganiu się o kontrakt ES7. Dlaczego Cartwright wyglądał na zainteresowanego tą sprawą?

Ale jak długo on umierał, tato? - Daisy na próżno starała się nakłonić dzieci do nazywania go papą, jak sama zwracała się do swego ojca.

- Nikt nie może tego stwierdzić z pewnością, Sophie. Różnica ciśnień na tej wysokości zabiła go raczej szybko.

- Ale przecież on był pilotem oblatywaczem, tato. -Matty wpatrywał się w ojca z napięciem. - Czy nie uczą ich wstrzymywać oddechu tak długo, aż opadną na wysokość, gdzie powietrze będzie dla nich dobre?

- Już samo uderzenie w pokrywę kabiny mogło mu odebrać przytomność. To się stało tak szybko, Matty, że pewnie nawet nie wiedział, co mu się przydarzyło.

Dzieci czuły prawdopodobnie, że Andrew ponosi osobistą odpowiedzialność za to, co przytrafiało się każdemu, kto pracował bezpośrednio lub pośrednio dla Ministerstwa Obrony.

Cała czwórka siedziała przy dużym stole kuchennym w Stony Farm, w ich wiejskim domu w Shropshire, niedaleko podnóża Peckforton Hills, na skraju wsi Waymere. Zarząd główny partii konserwatywnej w Waymere nie zażądał wprost, by ich poseł miał dom w okręgu wyborczym, jednak rozumiało to się samo przez się.

Było to też wygodne. Andrew poświęcał swoim wyborcom dwa sobotnie poranki w każdym miesiącu. Jego rodzice wciąż mieszkali w posiadłości rodzinnej Long Green, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód od Shropshire.

Daisy z dziećmi spędzała czasem weekendy z lady Harwood i sir Edwardem, a Andrew przyłączał się do nich późnym wieczorem w sobotę. Częściej jednak, po szkole w piątek Daisy odbywała trzygodzinną podróż do Stony Farm, a Andrew dojeżdżał później rządowym samochodem. Kupili właśnie ten dziewiętnastowieczny wiejski dom między innymi dlatego, że wokół niego pozostał najwyżej jeden czy dwa akry ziemi: łatwo ją było utrzymać.

Służby specjalne ulokowały Denisa w najbliższym punkcie, to znaczy w miejscowym pubie w centrum wioski. System alarmowy zainstalowany w domu Harwoodów - „Nacisnąć guzik i nie ruszać się”, powiedział szef policji - został połączony zarówno z pubem jak i posterunkiem policji. Dzieci były niezwykle podniecone, kiedy zamontowano system po przejściu Andrew do obrony. Jak dotąd nikt nie nacisnął guzika przez pomyłkę, nie mówiąc już o użyciu celowym.

Ollie odwoził Jaguara do Londynu, zazwyczaj wracając do Stony Farm w niedzielę po południu i zabierając Andrew i Denisa, żeby minister mógł pracować podczas trzygodzinnej jazdy. Czasami cała czwórka Harwoodów wraz z Denisem wracała Volvo - „dość tłoczno”, zauważał zawsze Andrew, kiedy wszyscy pakowali się do środka.

Lubił dodawać do tych wizyt w Waymere dodatkowe zajęcia, zarówno po to, by utrzymywać kontakt z wyborcami, jak i po to, by widziano, że to robi. Podobnie jak każdy inteligentny poseł, Andrew pilnował, by pozostawać w dobrych stosunkach z lokalną gazetą i stacją radiową, odgrywającymi niebagatelną rolę w codziennym życiu wyborców. Kiedy dziennikarze dzwonili do niego do domu albo do ministerstwa, zawsze z nimi rozmawiał, albo oddzwaniał tak szybko, jak mógł.

Daisy przyglądała się Andrew, kiedy siedzieli przy dużym kuchennym stole, jedząc późny niedzielny lunch. Znajdowała prawdziwą przyjemność w przyglądaniu się mężowi, w ponownym obserwowaniu rysów, w rozkoszowaniu się subtelnymi zmianami wyrazu twarzy. Powodowało nią częściowo zainteresowanie rzeźbiarki, ale też Andrew nigdy nie przestał jej intrygować. Czasami zadawała sobie pytanie, jak wiele kontynuacja ich romansu zawdzięcza ich wspólnym wysił-

kom, by go nie zaprzepaścić. We wczesnej fazie małżeństwa uderzyło ją stwierdzenie Andrew: — Musisz się opiekować miłością. Ona nie zaopiekuje się sama sobą.

Oboje cieszyli się dobrym zdrowiem, co potęgowało ich doskonały wygląd. Denis zauważył w lusterku, że jej skóra nie była odporna na działanie czasu. Czy twarz naprawdę starzeje się nagle, co siedem lat, jak głosiło porzekadło ludowe? Jednak inni patrzyli na Daisy mniej krytycznie i stwierdzali, że się zmieniała niesłychanie mało. Niekiedy obcinała krótko loki. Raz je rozprostowała, ale Andrew oświadczył, że mu ich brakuje, więc nigdy nie ponowiła eksperymentu. Teraz loki sięgały jej do ramion.

Jego piaskowe włosy sprawiały wrażenie jaśniejszych z powodu siwizny. Cieszyła się, że nie był brunetem: widok pierwszych siwych pasemek w czarnych włosach napełniał ją smutkiem. Nie była pewna, czy to na skutek widocznego dowodu śmiertelności, czy też jej żal miał charakter czysto estetyczny.

Patrząc na niego teraz z drugiej strony sosnowego stołu, wiedziała, o czym myślał: niepokój z powodu okoliczności śmierci pilota łączył się z chęcią uspokojenia dzieci, bez jednoczesnego oszukiwania ich. Zarówno Andrew jak i Denis uważali, że naturalna odporność dzieci pozwala im akceptować nieprzyjemne fakty życia bez oddawania się ponurym rozmyślaniom, chociaż Sophie miała tendencję do zastanawiania się nad różnymi sprawami i poruszania ich potem na nowo w rozmowie z rodzicami, ostatnio zwłaszcza z Andrew.

W pewnych okresach swego trzynastoletniego życia Sophie Ignęła do Daisy. Jednak w ciągu ostatnich paru lat zbliżyła się bardziej do Andrew, rozważając wspólnie z nim rozmaite kwestie, jak równy z równym. Daisy to cieszyło: dzieci spędzały tak niewiele czasu z ojcem, że z radością witała każdy dowód na to, że ich związek może być bliski mimo jego nieobecności przez większą część tygodnia, bo nawet gdy wracał do domu na późny obiad, dzieci zazwyczaj tylko schodziły na dół, żeby się przywitać: Andrew lubił

spędzać czas sam na sam z Daisy, a po obiedzie musiał otwierać czerwony neseser. Podczas weekendów usiłowali jednak jeść lunch *en familie*, a czasem nawet główny posiłek, zwłaszcza kiedy byli w Stony Farm. - W „Ramparcie” napisali, że miał złamane barki - powiedziała Sophie.

Wbrew jego woli na twarzy Andrew zagościł smutek. Dzięki Bogu, że żadna z gazet nie opisała dokładnie zwłok, które pasterz znalazł przywiązane do spadochronu.

— Kiedy mały spadochron wysunął się przez pękniętą pokrywę kabiny i się otworzył, musiał go wyciągnąć z taką siłą, że pękły pasy. A także barki - odparł Andrew zgodnie z prawdą, nawet jeśli była to tylko część prawdy. - To wszystko musiało się stać w niecałe trzy sekundy, Sophie.

- Ale to wystarczyło, żeby on wiedział, tato. - Mówiąc to, Sophie wyobraziła sobie, że pilot był jej ojcem. - W „Ramparcie” napisali, że miał dwoje dzieci. - Tak.

— Czy mogłeś coś zrobić, żeby temu zapobiec?

— Nie sądzę, Sophie.

— W „Ramparcie” napisali, że mogłeś wstrzymać zamówienie ES6 po dwóch pierwszych wypadkach w Stockton.

— Sophie, chciałabym, żebyś przestała mówić: w „Ramparcie” napisali. Pracowałam dla „Ramparta” - powiedziała Daisy. - Dla tego samego redaktora, który jest tam do dziś. On nie jest Bogiem. Wiele z tego, co pisze, ma tylko spowodować kłótnie między politykami.

- To nie jest taka prawda jak w Biblii — dodał Matty, nie chcąc przyjmować niższej pozycji tylko z powodu młodszego wieku. Patrząc na syna, Daisy często wyobrażała sobie Andrew w dzieciństwie: te same piwne oczy, ta sama silna budowa ciała, zgrabne dłonie, które, kiedy odpoczywał, pozostawały w połowie złączone, w sposób jednocześnie zrelaksowany i kontrolowany. W salonie lady Harwood w Long Green wisiały oprawione zdjęcia wszystkich jej trzech synów. Daisy i Sophie fascynowały te fotografie. Przyglądając się zdjęciu Andrew, Sophie mówiła nieraz:

- Nie sądzisz, że tata wygląda tak jak teraz Matty?

Często też, kiedy były same, pytała matkę:

— Czy babcia pogodziła się już ze śmiercią wujka Donalda?

Daisy odpowiadała zazwyczaj, że według niej babcia się z tym pogodziła.

Czasami Sophie prosiła, żeby znowu opowiadać jej, jak zginął Donald.

Daisy jej opowiadała, nieodmiennie dodając:

— To takie smutne, że twój ojciec nie chce na ten temat rozmawiać.

— Wiem — odpowiadała Sophie, jak gdyby nie trzeba jej było przypominać, by zachowywała się dorośle.

Sama Sophie tak bardzo przypominała nastoletnią Daisy, że Andrew często wpatrywał się w córkę w osłupieniu. Te same jasne, szare oczy w kształcie migdałów, lekko piegowata skóra, ta sama zuchwała twarz o dużych ustach. Andrew czuł niekiedy taki przypływ miłości do Sophie, że zastanawiał się, czy to coś niezdrowego. Sophie miała we włosach więcej złota niż Daisy; opadały luźnymi lokami, lśniąc jak roztopione toffi, piętnaście albo więcej centymetrów poniżej ramion. Sophie nienawidziła loków. Chciała mieć włosy proste jak druty.

— Ale czy mogłeś wstrzymać to zamówienie, tato, tak że pilot nie musiałby testować samolotu?

— Nie było powodu, żeby to robić, Sophie. Dwaj mężczyźni, którzy zginęli na początku tego roku, pracowali w innych działach Stockton Air Space. Nie mieli związku z programem ES6.

— Ale co teraz? Czy teraz myślisz, że tamte dwa wypadki to nie były samobójstwa?

— Wszyscy ludzie, którzy prowadzili dochodzenie, twierdzili zgodnie, że to były samobójstwa, Sophie.

— Ale jak ktoś mógłby sam sobie obciąć głowę? Dobre pytanie. Andrew zawsze podejrzewał, że tamten inżynier nie popełnił samobójstwa, chociaż to właśnie ustaliły służby specjalne. Jakże niezwykle sposób na odebranie sobie życia: przeprowadzić między drzewami drut, a następnie przejechać z dużą prędkością, wstając po drodze. Na samą myśl poczuł dreszcze.

— Najwyraźniej wyczytałaś w „Ramparcie” wszystkie upiorne szczegóły, Sophie. Cóż, ten człowiek mógł sobie w ten sposób obciąć głowę. Zgadzam się, że to dość niezwykle.

— Przypuśćmy, że ktoś już wcześniej spowodował, że ten człowiek stracił przytomność, a potem napastnik przytrzymał go nad przednią szybą, żeby drut mógł mu obciąć głowę. Czy to mogło tak się stać, tato?

— Absolutnie ostatni raz przygotowałam wam niedzielny lunch — oświadczyła Daisy, odkładając nóż i widelec.

Andrew uśmiechnął się słabo.

— Służby specjalne rozważały taką możliwość, Sophie. Stwierdzili, że jest znacznie bardziej prawdopodobne, że ten gość zrobił to sam.

Cała czwórka zamilkła, myśląc, że musiały istnieć prostsze metody.

— A ten naukowiec ze Stockton, którego znaleźli w rzece Tees, w samochodzie przewróconym do góry kołami? Skąd służby specjalne wiedziały, że sam wjechał do rzeki?

— Oni nie wiedzieli, Matty. Nie potrafili znaleźć dowodów, że stało się inaczej. Jego żona powiedziała, że był .zmartwiony i przygnębiony.

— Ja też bym się martwiła i byłabym przygnębiona, gdybym myślała, że ktoś chce mnie dopaść, tato.

— Ja też, Sophie. Ale żona tego naukowca stwierdziła, że nie potrafił sprecyzować, czym się martwi, tyle tylko, że miało to związek z pracą. Na podobnej zasadzie ja będę tak przygnębiona i zmartwiona, że po powrocie do Londynu dziś wieczorem mogę was odwiedzić na Cheyne Street, a sam wjechać do Tamizy.

Powiedział to pogodnym tonem. Cała czwórka wybuchnęła śmiechem. Daisy spytała Matty'ego o kryzys związany z jednym z jego szkolnych kolegów i rozmowa potoczyła się dalej.

Jednak Andrew czuł lekki wstyd. Zakończył ponure przesłuchanie, nie udzielając odpowiedzi na podstawowe pytanie. Czy w aluzji „Ramparta” tkwiło ziarno prawdy? Czy w jego własnym ministerstwie toczyła się jakaś brudna gra, na przykład w sekcji F, a on był ślepy?

Ben Franwell wybuchnął śmiechem, nie kryjąc zadowolenia.

— Spodziewam się, że śniadanie panicza Andrew zostało popsute, zanim się zaczęło. Nie zapomniał na pewno, że premier jest wiernym czytelnikiem „Ramparta”.

Gdy pisał ten felieton, zdołał przekonać sam siebie, że Andrew Harwood to człowiek zarówno tuzinkowy jak i moralnie podejrzany. Ben użył swych znanych sztuczek: za pomocą wątpliwych dowodów najpierw ośmieszył tego człowieka, a następnie posiał ziarno podejrzania, nie tylko w umysłach przeciętnych czytelników, ale w szczególności na korytarzach Westminsteru i Whitehall. Przeniesienie Andrew ze stanowiska ministra przemysłu na sekretarza obrony spotkało się z powszechnym entuzjazmem. W wyniku redukowania przez supermocarstwa arsenałów nuklearnych wielu Brytyjczyków, którzy dotąd ubolewali nad jednostronnym rozbrojeniem nuklearnym, wyrażało otwarte pragnienie dalszych redukcji zbrojeń. Podczas gdy poprzednik Andrew w ministerstwie obrony podzielał przekonanie generałów, że najlepszą metodą na odstraszenie ataku jest uzbrojenie się aż po zęby, Andrew uważał, że część zbrojeń jest zbędna i doprowadza tylko do zubożenia kraju. Lubił kierować Ministerstwem Przemysłu między innymi dlatego, że dawało mu to możliwość tworzenia strategii gospodarczego rozwoju kraju, wspierania przedsiębiorstw

nie tylko w sferze produktywności, ale także po to, by zapewniały miejsca pracy w nie doinwestowanych, biedniejszych częściach kraju.

Zdolność widzenia spraw poza granicami własnego podwórka, wcale nieczęsta wśród ministrów, zyskała mu grupę zwolenników w Westminsterze i śródkach przekazu. Jednak niektórzy z jego własnych urzędników żalowali, że Andrew nie stawia własnego ministerstwa — ich ministerstwa — na pierwszym miejscu. Nawet Austin Barthmore, który rozumiał jego troskę o całość gospodarki, poczuł irytację, kiedy Andrew zrezygnował z drobnej części budżetu Ministerstwa Obrony, ustalając z ministrem skarbu, że środki te uzupełnią szczupły budżet Ministerstwa Budownictwa.

Sprawa jego osobistych relacji z premierem była okryta tajemnicą. Awansowanie Andrew przez premiera odbyło się bez jakichkolwiek widocznych przejawów przyjaznych uczuć lub chłodu, chociaż premier nie krył zaufania pokładanego w administracyjnych talentach Andrew. Gdyby reputacja Andrew Harwooda jako administratora została nadszarpnięta, nastąpiłby koniec jego politycznej kariery.

Myśląc o tym, Ben uśmiechnął się szeroko, patrząc na własny felieton.

Kiedy sekretarz obrony leniwym gestem położy rękę na teczce, bez wątpienia powie nam znowu o tym, jak bardzo jest szczęśliwy, przekazując pieniądze podatników firmie Stockton Air Space, gdzie w ciągu trzech miesięcy trzech ludzi zatrudnionych przy kontraktach dla Ministerstwa Obrony zginęło w groteskowy sposób, przy czym w jednej sprawie wciąż toczy się dochodzenie.

Czy nie powinniśmy poprosić eleganckiego pana Harwooda, by dopuścił do swej świadomości fakt istnienia innych firm konkurujących w Wielkiej Brytanii na polu wyspecjalizowanych technologii lotniczych, na przykład Bedfordshire High Tech, zanim królewskim gestem przydzielili wart wiele milionów kontrakt dla swego programu ES7?

To w końcu nasze pieniądze rozdaje z zadowoleniem ten

wyniosły administrator. Czy dalibyście kontrakt firmie, która może być winna niekompetencji, graniczącej z kryminalnym zaniedbaniem?

Kiedy Ben poruszał się na granicy zniesławienia, wyrażał aluzję w nieco niejasnych zdaniach, możliwych do obrony przez adwokatów „Ramparta”, a jednocześnie całkowicie czytelnych. Spojrzał na pustą szklanę, którą trzymał między nogami. Siedział wygodnie oparty na jednej z poduszek ułożonych przy podglówku obitym niebieskim materiałem.

— Napijemy się jeszcze po jednej whisky?

Rachel sięgnęła do stolika stojącego przy łóżku i z uśmiechem podała mu pustą szklanę. Po ponad piętnastu latach znajomości, ona i Ben Franwell czuli się ze sobą wygodniej niż z kimkolwiek innym. Nie miała wątpliwości, dlaczego zachowała mieszkanie w Morpeth Terrace jako londyńskie *pied-a-terre*: w oczywisty sposób było za małe nie tylko dla rodziny, ale i dla samego męża. Służyło jej idealnie w ciągu tygodnia, kiedy koncentrowała się nie tylko na pracy ministerialnej, ale także na „pokazywaniu się w Izbie”, co w języku posłów oznaczało demonstrowanie przez ministra jego przyjaźni w Izbie Gmin, przydatnych do formowania grupy popierających go posłów. Morpeth Terrace spełniał też doskonale funkcję miejsca spotkań z Benem. Mimo że nie odbywały się już co tydzień, czasem nawet nie raz na miesiąc, to nadal wokół nich koncentrowało się osobiste życie Rachel.

Kiedy przed dwunastoma laty poślubiła George'a Bishopa, nie łudziła się, że go kocha. Podchodziła do małżeństwa jak do inwestycji. Mówiła sobie, że wszystkie małżeństwa zawierano w duchu interesu; w efekcie wydawało się, że nie są gorsze, może nawet lepsze niż te zawarte na podstawie krótkotrwałego romansu.

Rachel nigdy nie miała zamiaru być upośledzona przez stygmat, jakim naznaczony jest polityk, który nie wszedł

w związku małżeńskie. Początkowo uchodziło jej to na sucho i nie chciała wyzywać losu. Problem polegał na znalezieniu mężczyzny, który byłby odpowiednim mężem dla posłanki z partii torysów, nie będąc przy tym wymagającym. Okazało się, że George Bishop spełnia te warunki.

Był dyrektorem własnej firmy ubezpieczeniowej w Bedford, zaledwie szesnaście kilometrów od okręgu wyborczego Rachel. Kiedy się poznali, zbliżał się do czterdziestki, był o siedem lat starszy od Rachel. Powiedział, że nigdy nie spotkał właściwej kobiety, chociaż kiedyś się zaręczył. Jego ojciec, zwyczajny adwokat, ożenił się nieco ponad stan: jego zadowolona z siebie, apodyktyczna żona lubiła nazywać się „hrabiną”. George'a posłano do państwowej szkoły podstawowej, a następnie do Cambridge. Wyrażał się ładnie, był dość przystojny, inteligentny i godny. Miał zgryźliwe poczucie humoru. Podobnie jak Rachel nie miał rodzeństwa.

Najwyższą wagę przywiązywał do tego samego co Rachel: do jej kariery. George nie wątpił, że mogła i powinna zajść w polityce wysoko, a nawet miał nadzieję, że pewnego dnia na sam szczyt.

Potrzebowała w tle mężczyzny takiego jak on.

Dwaj synowie przyszli na świat stosunkowo szybko: Rachel wiedziała, że jej czas na rodzenie dzieci się kończy. Nie była ani religijna, ani przesadna, a mimo to w jej umyśle czaiła się obawa, że może zostać ukarana za to, co wydarzyło się w prywatnej klinice w Surrey. Chciała mieć dzieci, najlepiej dwoje. Howard urodził się w drugim roku małżeństwa, James półtora roku później. W obu przypadkach George doznał szoku, kiedy Rachel załamała się na wiadomość, że urodziła chłopca. W trakcie porodu zachowywała stoicki spokój, trzeba przyznać, że znajdowała się pod silnym wpływem środków znieczulających, kiedy jednak lekarz podnosił małą istotkę, mówiąc:

— To zdrowy chłopczyk, pani Bishop. — Rachel odwracała głowę.

George nie był obecny przy porodach; ani on, ani Rachel nie widzieli nic frapującego w uczestniczeniu ojca w tym zamieszaniu. Później jednak, kiedy Rachel nie kryła

niesmaku trzymając w ramionach dziecko — nie było mowy o karmieniu piersią — jedna z lekarek podjęła się rozmowy z George'em. Mimo że niektóre pielęgniarki były oburzone chłodnym traktowaniem nowo narodzonego syna przez Rachel, ta bardziej doświadczona kobieta powiedziała George'owi, że niektóre matki zachowują się na początku podobnie, by później polubić dzieci. Prywatna sekretarka George'a odłożyła na bok wszystkie inne obowiązki do chwili, gdy poprzez pewną londyńską agencję znalazła prawdziwy klejnot. Kiedy Rachel opuszczała szpital Bedford wsparta na ramieniu George'a, klejnot szedł za nimi z Howardem na rękach. George zawiózł ich do domu w Bedford Forge, pochodzącej z przełomu wieków ceglanej budowli, stojącej przy szerokiej ulicy porośniętej lipami i ozdobionej posiadłością, w której mieścił się Klub Konserwatystów. Obaj synowie Bishopów zostali wykarmieni przez klejnot, który mieszkał w domu jako niania, a później został na posadzie gospodyni, gdy Rachel zgodziła się na przyjęcie wyspecjalizowanej niańki. Żaden z tych faktów nie sugerował sąsiadom Bishopów, ani matkom innych chłopców uczęszczających do szkoły w Bedford, że Rachel brakuje instynktów macierzyńskich: był to styl życia, do jakiego aspirowało wielu członków Partii Konserwatywnej.

George przepadał za synami. Lubił odwozić ich rano do szkoły, jadąc do Firmy Ubezpieczeniowej Bishopa. Po południu klejnot jechał po chłopców drugim samochodem Bishopów. Wkrótce po dziewiątych urodzinach Howard został posłany do szkoły z internatem. James miał pójść w ślady brata w odpowiednim czasie.

Rachel włączała się w życie rodzinne podczas weekendów oraz w przerwach między zobowiązaniami wobec wyborców, chociaż w ciągu roku szkolnego Howard przebywał poza domem. Lubiła wracać do Londynu w niedzielę wieczorem, by móc zjawiać się w ministerstwie na czas w poniedziałek rano. Ministerstwo Przemysłu znajdowało się zaledwie o dziesięć minut drogi od Morpeth Terrace. Za dziesięć dziewiąta jej szofer parkował Rovera, zajmując dwa miejsca, nie gasząc silnika. Pięć minut przed dziewiątą elektrycznie

zamykane drzwi posepnej posiadłości otwierały się i pani minister wychodziła, trzymając pod pachą torebkę z krokodylej skóry, a w drugiej ręce czerwony ministerialny neser.

Ona także była zdolną administratorką. Karierze Rachel przyglądano się z uwagą, jako że Margaret Thatcher wykazała niezwykle słabe zainteresowanie mianowaniem innych kobiet na stanowiska rządowe. Awansowanie Rachel na stanowisko sekretarza przemysłu uznano za śmiały krok.

Kobiety nadal rzadko przekraczały progi sal konferencyjnych w Ministerstwie Przemysłu; dyrektorami departamentów nadal byli mężczyźni, współzawodniczący między sobą, negocjujący ze związkami zawodowymi. Jak mieli reagować na rządzącą nimi kobietę, kiedy udawali się na Victoria Street numer jeden, by ubiegać się o poparcie rządu dla swej sprawy?

Mieli mieszane uczucia. Większość odczuwała zazdrosny podziw dla Rachel. Ich opór brał się z faktu, że była kobietą, a podziw z tego, że tak bardzo odbiegała od ich wyobrażenia o kobietach:

przedstawiała swoje argumenty z dystansem, bez emocji. Dyrektorzy odwiedzający gabinet ministra musieli przyznać, że kiedy zajmowała centralne miejsce przy długim stole w stylu refektarza, zawsze była odpowiednio przygotowana. Czytała szybko, przed podjęciem decyzji zapoznawała się ze szczegółami każdej sprawy.

Mimo że niewysoka, zawsze była wyraźnie widoczna. Nosiła się bardzo prosto, a ciemne, niemal czarne włosy strzygła na pazia, z którym było jej do twarzy. Najkorzystniej wyglądała w ciemnych kostiumach z wąskimi spódnicami, prążkowanymi jak garnitury jej kolegów, a jednak subtelnie kobiecych. Koszule Rachel zawsze miały równie dobry krój jak koszule jej kolegów-torysów, zamawiających je u krawca na Jermyn Street, ale nosiła je rozpięte pod szyją, co jednocześnie wyglądało swobodnie i korzystnie podkreślało jej twarz. Swoim zachowaniem dawała zawsze do zrozumienia, że wie, co jest słuszne.

Wsparta na poduszce położonej przy niebieskim podglówku, wypija łyk whisky ze szklanki, którą wręczył jej

Ben, i odstawiła ją na nocny stolik. Jego blat pokrywało półcentymetrowe szkło, więc nigdy nie musiała się martwić tymi białymi kólkami, które szklanki zostawiały na drewnie.

W ciągu minionych lat dwukrotnie odnawiała sypialnię; lubiła, by pokój wyglądał świeżo i schludnie. Ben nigdy nie zauważał zmian, ponieważ Rachel uznała, że najprościej użyć tych samych kolorów, które już zdały egzamin. Błękit prążkowanego perkalu, którym obito mały fotel, był tylko o odcień lub dwa ciemniejszy od poprzedniego, a chociaż materiał na toaletce nie zblakł, wymieniła go, by pasował do krzesła.

- Premier nie lubi dokonywać zbyt częstych zmian na stanowiskach — stwierdził Ben.

Oboje leżeli na niebieskiej kapie łóżka, ubrani w wygodne, niezobowiązujące stroje.

- Idealnie byłoby, gdyby Harwooda przeniesiono na niższe stanowisko pod koniec tego roku.

Miałabyś wtedy za sobą blisko dwa lata pracy w Ministerstwie Przemysłu. Moglibyśmy oświadczyć, że wdrożyłaś w życie większość swoich planów i ktoś inny mógłby zająć twoje miejsce, podczas gdy w Ministerstwie Obrony potrzeba człowieka, którego kompetencje nie podlegają dyskusji.

Mówiąc to, wyobrażał sobie, jak w stosownym momencie użyje bardzo podobnych słów w artykule wiodącym.

- Podoba mi się pomysł kierowania Ministerstwem Obrony — powiedziała Rachel.

- To nieodparta pokusa. Te wszystkie nienawidzące mężczyzn harpie w cuchnących anorakach dostaną twarde orzech do zgryzienia. Boże, jak chce mi się na nie rzygać. Gdyby postawiły na swoim, armia brytyjska biegałaby uzbrojona w pistolety-zabawki, a marynarka składałaby się ze statków, które by z trudem przepłynęły wannę. Mianowanie kobiety na stanowisko sekretarza obrony wprawiłoby je w zakłopotanie. Natomiast normalne, przyzwoite kobiety w tym kraju stwierdziłyby, że to wcale niezły pomysł, by obroną kierował ktoś, kto wie, co czują matki.

- Zabawne jest to, że byłabym dobra jako sekretarz obrony.

— Wiem. Czy George mówił coś jeszcze o moim nowym przyjacielu, Charlesie Cartwrightcie? Nie kontaktowałem się z Cartwrightem, odkąd przyjąłem jego linię w napaści na Harwooda, na wypadek gdyby Cartwright powiedział mi, że czekam na niewłaściwą karawanę.

— W sobotę George wpadł na Cartwrighta w klubie. Przy drinku zapytał go, co się, do cholery, dzieje w tym Stockton Air Space.

— I co Cartwright powiedział?

— Obawiam się, że jest przekonany o przypadkowości tych śmierci. Powiedział George'owi, że wrak Raidera będzie mógł zostać wydobyty dopiero za kilka miesięcy, ale przypuszcza, że komisja ustali, że pilot został wyrzucony w wyniku jakiegoś dziwnego wypadku, jak w tamtej sprawie cztery lata temu. — A pozostałe dwa groteskowe zgony?

— Powiedział George'owi, że nie ma mowy o żadnym kamuflażu wewnątrz Ministerstwa Obrony. Służby specjalne są przekonane, że to powtórka z tej serii samobójstw wśród wysoko wyspecjalizowanych naukowców, jaka miała miejsce przed kilkoma laty, i która ponoć spowodowała, że firmy elektroniczne zmniejszyły stresowość warunków pracy. Pamiętasz?

Ben sposepniał. Sączyli whisky. Po kilku minutach powiedział:

—Dobrze. Wobec tego uzyskałem wszystko, czego spodziewałem się po Planie Numer Jeden. Będę musiał porzucić tę linię ataku. Są jednak jeszcze inne możliwości. Przejdziemy do Planu Numer Dwa. Czy Cartwright wie, że George zajmuje się ubezpieczeniami Bedfordshire High Tech?

— Sądzę, że tak.

— Właśnie. Nadszedł czas, żeby znowu pomówić z dyrektorem sekcji F o korzyściach przydzielenia kontraktu ES7 firmie BedHiTe. Jestem pewien, że tym razem uda mi się go przekonać.

Ben uśmiechnął się szeroko na tę myśl.

— George będzie się musiał zwrócić do prezesa BedHiTe -ciągnął. - Jestem pewien, że George wymyśli jakiś powód, dla

którego Nelson Harwood powinien zostać przyjęty do rady nadzorczej. Musimy umieścić tam Nelly'ego, zanim Andrew ogłosi, że przydziela kontrakt BedHiTe. Jednocześnie musimy dopilnować, żeby Nelly Harwood nie dowiedział się, że firma ubiega się o kontrakt, bo wtedy mógłby wspomnieć o tym bratu, a Andrew natychmiast złożyłby publiczne oświadczenie, że z firmą BedHiTe łączą go interesy rodzinne, albo ogłosiłby, że przydziela kontrakt komuś innemu. Ben zachichotał.

- Urok tego planu, Rachel, polega na tym, że możemy wykorzystać kontakt George'a z BedHiTe tylko dlatego, że jeszcze nie jesteś sekretarzem obrony. Kiedy nim zostaniesz, George powinien zerwać wszelkie kontakty z dziedziny ubezpieczeń z firmami, które mają lub ubiegają się o kontrakty Ministerstwa Obrony. Jeśli mamy wmanewrować Andrew Harwooda w sytuację, w której jakoby faworyzuje rodzinę, musimy zachować podwójną ostrożność, żeby tobie nic podobnego nigdy nie mogli zarzucić.

- Rozmawiałam już o tym z George'em. Wyjaśnił mi, że jako agent ubezpieczeniowy BedHiTe nie odniósłby bezpośrednich korzyści, gdyby firma dostała kontrakt Ministerstwa Obrony. Jednocześnie powiedział, że z przyjemnością poniecha zajmowania się jakąkolwiek polisą ubezpieczeniową, która mogłaby zostać wykorzystana przeciwko mnie przez wroga. Sądzę, że kiedy dostanę się do Ministerstwa Obrony, powinniśmy zrobić dużo szumu wokół szlachetności George'a, który osobiście poświęcił niezależny kontrakt, aby opinia publiczna mogła mieć całkowitą pewność, że żaden z członków mojej rodziny nie czerpie zysków — choćby pośrednich — z moich związków z rządem.

- Mąż Cezara musi się znajdować poza wszelkim podejrzeniem - powiedział Ben, śmiejąc się, ponieważ właśnie wpadł na wstęp do nowego artykułu. - Nie powinienem mieć trudności z odmalowaniem kontrastu z rodziną Andrew Harwooda.

- George powiedział coś jeszcze, co cię zainteresuje. Sięgnęła po szklanekę stojącą na stoliku. Jedną z ich

wspólnych przyjemności, kiedy tak rozmawiali leżąc na jej

łóżku, było poczucie, że w tej oazie nie trzeba się śpieszyć. Łyknęła whisky, odstawiła szklanekę i oparła się wygodnie o poduszkę.

- Powiedział, że stanowisko dyrektora zwolni się wcześniej, niż oczekiwano: jeden z dyrektorów chce przejść w czerwcu na emeryturę.

- Chryste, to za niecałe dwa miesiące.

- Kiedy się możesz spotkać z Cartwrightem?

- W tym tygodniu umówię się z nim na lunch. Nie będzie miał aż tylu zajęć, z których nie mógłby zrezygnować, żeby zjeść za darmo w Savoyu z redaktorem „Ramparta”.

- Czy powinnam poprosić George'a, żeby zasugerował prezydentowi BedHiTe, że Nelly Harwood byłby dobrym dyrektorem?

- George mógłby rzucić ten pomysł, pod warunkiem, że prezydent BedHiTe nie zwróci się z tym do Nelly'ego, póki nie będziemy gotowi. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień, w którym zechcę dyskretnie promować ciotę na intratne stanowisko. Ponieważ jednak ta ciota to jeden z największych naiwniaków w kwestiach politycznych, jest dokładnie tym, kogo nam trzeba.

- Zgranie tego wszystkiego w czasie nie będzie proste.

- Wiedzieliśmy o tym od początku.

* * *

Ben zamknął za sobą drzwi, usłyszał szcęk elektrycznego zamka, po czym podniósł wzrok na kopułę katedry Westminster rysującą się na tle nocnego nieba. Błede pasy kamienia lśniły w świetle księżyca, kontrastując z pasami barwy czerwonego wina. Pod latarnią spojrzął na zegarek. Pierwsza trzydzieści. Na Victoria Street zatrzymał taksówkę i podał adres swego londyńskiego *pied-d-terre*. Jego apartament w St James's Place był duży i nowoczesny. Dzisiejszej nocy nie zastanie tam Angeli; miała zostać w Sussex do środy. Kiedy jednak przyjeżdżała do Londynu, lubiła się zabawić z klasą. To należało do układu.

Czy mówisz Benowi? - spytała Daisy.

- To zależy — odparła Angela Franwell.

Zeszłego wieczoru bawiła się z klasą. Dziś wieczorem przyszła na Cheyne Street na cichą kolację z Daisy - krewetki Newburgh przy dużym, wiktoriańskim stole w kuchni. Przed wyjściem rano do pracy Andrew zaproponował, żeby w trójkę wypili drinka, jeśli wróci wcześniej z kolacji z korespondentami od spraw lobby.'

Dwie kobiety wzięły to, co zostało z białego burgunda, do sypialni Daisy i Andrew, której otwierane pionowo okna wychodziły na tarasowe domy po przeciwnej stronie Cheyne Street. Na wąskiej ulicy obowiązywał ruch jednokierunkowy, a niektórzy kierowcy omijali zaparkowane samochody z prędkością przekraczającą ograniczenia miejskie. Kiedy Andrew jadł śniadanie z Daisy, a na zewnątrz rozlegał się pisk hamulców, marszczył brwi i utyskiwał:

- Można by pomyśleć, że to wyścigi. Któregoś dnia zdarzy się tu wypadek.

- Całkiem lubię Bena - mówiła Angela - więc nie wspominam o małym skoku w bok, jeśli wiem, że sprawiłoby mu to przykrość. Z drugiej strony zawsze wiedział, że lubiłam się rozerwać i czasem odczuwa... co? Przyjemność zastępczą? Niewątpliwie go to rajcuje, że jakaś osoba z pierwszych stron gazet ma cichy romans z jego żoneczką, o czym wie tylko on.

- Andrew nie podzielałby tego poglądu. Dlatego lepiej

się składa, że nie mam ochoty pakować się komuś innemu do łóżka. Czasem myślę, że byłoby to interesujące, ale kiedy przychodzi co do czego, wcale nie chcę.

- Może naprawdę jesteś, jak to mówi Frances, „monoerotyczna”.

Daisy się zaśmiała.

- Nie pracowałam długo w „Ramparcie”, nim Frances nauczyła mnie tego słowa. Nigdy wcześniej go nie słyszałam. Doskonała twarz Angeli nie wyrażała żadnych uczuć; zgrabnie wkręciła papierosa w bursztynową firkę.

- Postawiłaś wszystko na jednego konia - powiedziała. - Któregoś dnia musi przegrać. Będziecie mieli szczęście, ty i Andrew, jeśli znajdziecie się w tym samym samolocie, kiedy spadnie. W przeciwnym razie jedno z was czekają ciężkie chwile. Nie chcę doznawać takiego bólu.

Daisy odwróciła wzrok, po czym odpowiedziała: - Zawsze wiedziałam, że emocjonalne wzloty wcześniej czy później muszą zostać zrównoważone przez upadki. Wolę się raczej pogodzić z upadkami, niż stale pozostawać w stanie neutralnym. - Tak.

Obie kobiety zamilkły, pogrążone we własnych myślach.

- Czy Ben nigdy nie zakończy wendety przeciwko Andrew? — spytała w końcu Daisy.

- Bóg jeden wie. Ale mogło być gorzej, Daisy. Spójrz, co zrobił; z tym nieszczęsnym sekretarzem zdrowia. - Wyjęła jedną trzecią papierosa z bursztynowej firkę i delikatnie zgasiła. - Ben nigdy nie przestanie zazdrościć Andrew uprzywilejowanej pozycji na starcie. Ponadto Ben nie zapomniał, że odrzuciłaś jego seksualne zapędy. Czuje żal do Andrew, ponieważ to jego wołałaś.

- Ben nigdy nie okazywał mi wielkiej namiętności.

- Jest zbyt niepewny w stosunku do kobiet, żeby się zalecać. Jednak na swój niezręczny sposób spróbował cię poderwać, a ty go odrzuciłaś. Nigdy tego nie zapomni i woli raczej winić Andrew niż myśleć, że sam może być niedostatecznie pociągający.

Umieściła kolejnego papierosa w bursztynowej firkę.

— Jestem również pewna, że dodatkowo irytuje go fakt, że oprócz sukcesów politycznych Andrew cieszy się też „idealnym małżeństwem”. To śmieszne, kiedy się zastanowić. Po wszystkich tych latach bycia słynnym londyńskim Don Juanem Andrew decyduje się na ciepło rodzinne.

Daisy dotknęła drewnianego stołu.

— Jak gdyby nie było dosyć powodów do wendety Franwella, jest jeszcze Rachel — ciągnęła Angela.

— Ponieważ w związku Bena z nią tkwi element seksualny, Bóg wie, co to dokładnie jest, wszystko łączy się w jego umyśle w jedną całość. Dopisał Rachel do rachunku Andrew.

— Jak myślisz, w jaki sposób Ben by to odreagowywał, gdyby nie był redaktorem „Ramparta”?

— To ciekawe pytanie. Nie wiem. Znowu zamilkły.

— Widziałaś ostatnio Frances? — spytała Daisy.

— Niedawno wpadłam na nią i Gilesa. W barze Green's Champagne. Towarzyszyła im obecna miłość Frances, w każdym razie tak się domyśliłam: atrakcyjna, krótko obcięta na lesbij ski sposób.

Angela uśmiechnęła się z lekką, autoironiczną przyganą. Niedawno obcięła swe prawie czarne włosy tak krótko, jak wtedy, gdy Daisy ujrzała ją po raz pierwszy siedzącą na biurku w redakcji „Ramparta”. Nikt nigdy nie doszukiwał się w parodiach męskich strojów Angeli choćby cienia homoseksualizmu.

— Jakaś młoda pisarka, której nazwisko mi umknęło — ciągnęła Angela. — Frances jest jej agentką literacką. Kiedy wszystkie pracowałyśmy w „Ramparcie”, sądziłam, że ty jej się podobasz.

— Kiedyś odbyłyśmy ogólną rozmowę na ten temat. To było miłe uczucie, móc rozmawiać o swoich odmiennych skłonnościach i, mimo różnic, przyjaźnić się dalej.

— Mogłabyś sobie wyobrazić, że Ben utrzymywałby bliski kontakt z mężczyzną, o którym by wiedział, że jest homoseksualistą?

Angela zaśmiała się na samą myśl. Podobnie jak głos, jej śmiech był niski, ale czasem pobrzmiwały w nim stalowe tony.

— Czy Giles kiedykolwiek napadł w felietonie na Andrew? — spytała Angela. — Zazwyczaj rozdiera torysowskich ministrów na sztuki.

— Nigdy nie posunął się do wycieczek osobistych. Ale kiedy pewnej niedzieli wpadli tu z Frances na drinka, Giles oświadczył, że to już tylko kwestia czasu, kiedy zasady socjalistyczne zobowiążą trybunę ludową do obdarcia ministra obrony ze skóry.

Daisy wybuchnęła śmiechem. Bardzo lubiła najpopularniejszego lewicowego polemistę.

— Sophie siedziała tu, otwierając szeroko oczy, rozdarta między uwielbieniem dla Andrew a fascynacją Gilesem. Zaczęła już wygłaszać ojcu pewne pacyfistyczne poglądy. Widzę, że czeka nas nieprosty okres dojrzewania.

Ześlizgnęła się z łóżka. Odsunawszy jedną z zasłon, wyrzła na niebieskiego Jaguara, który zatrzymał się tuż przed klonem rosnącym po drugiej stronie ulicy. Poznała wcześniej odgłos zwalniającego silnika.

— Zawsze kiedy patrzę na czubek jego głowy, wydaje mi się, że jestem jednym z detektywów. Angela zapaliła nowego papierosa.

— Jeśli Andrew nie będzie miał ochoty na szybkiego drinka, spływam.

— Ktoś jeszcze z nim wysiadł z samochodu. To chyba Giles. Telepatia działa. Pewnie był na tej kolacji. Chodźmy na dół.

Andrew Harwood i Giles Alexander stali jeszcze w korytarzu z detektywem.

— Denis, czy mógłbyś poczekać z Olliem piętnaście minut, a potem podrzucić pana Alexandra do domu? To wam zajmie tylko kilka minut.

— Naturalnie, ministrze. Poczekał z Olliem w samochodzie.

W salonie Andrew nalał drinki. Czwórka przyjaciół była rozbawiona spotkaniem, nieczęstym w ostatnim czasie. Giles sprawiał wrażenie lekko spiętego, chociaż jego niezborny chód mógł to sugerować, gdy był zupełnie trzeźwy. Teraz złożył swój dość wysoki korpus w fotelu, wyciągając

wygodnie nogi. Utył nieco, a marchewkowe włosy trochę się przerzedziły, chociaż wciąż wyglądały agresywnie, stercząc mu na głowie. Dwie głębokie bruzdy przecinające mu twarz, zawsze przypominały Daisy głodnego wilka, kiedy jednak uśmiechał się z zamkniętymi ustami, na twarzy dominował humor.

— Jak się miewa wielki biały wódz, Angelo? — zapytał. -- Jak zwykle najszcześniejszy na świecie.

Wyczekuje od

niedzieli do piątku, żeby w sobotę przystąpić do ataku. Czy wiesz, że kiedy budzi się w niedzielę w zaciszu domowego ogniska w Sussex, nad którym ja tak wdzięcznie czuwam, mam wrażenie, że mógłby umrzeć, gdyby „Rampart” nie leżał na stole.

— Nie czyta już całego numeru od deski do deski, zanim pójdzie do druku? — spytał Giles.

— Owszem, ale lubi jeszcze raz czytać te fragmenty, które przysporzą najwięcej zgryzot jego aktualnemu wrogowi.

— Jak jego artykuł o Andrew w zeszłą niedzielę?

— Widziałam, jak czytał go dwa razy. Mówiłam już Daisy, Andrew, że jednym z silnych uczuć, jakie żywi do ciebie Ben, jest zazdrość o twoje szczęśliwe małżeństwo.

Andrew roześmiał się.

— Ciekawe, Daisy, czy myślałaś kiedyś o odejściu z jakimś facetem, żeby sprawdzić, czy Ben wtedy by się ode mnie odczepił?

Giles zwrócił się do Angeli:

— Czy żenują cię czasem niektóre z ostrzejszych ataków Franwella na męża twojej przyjaciółki?

— Dlaczego miałyby mnie żenować? — odparła Angela ze wzruszeniem ramion. — Wszyscy wiemy, jaki jest Ben. To Daisy i Andrew należałoby spytać: czy kiedykolwiek mają o to do mnie żal. Wiele ludzi by miało.

— Wiesz, o co miałabym do ciebie żal? — spytała Daisy. — Gdybyś powtórzyła Benowi cokolwiek z tego, co ci mówiłam, prosząc o zachowanie tajemnicy. To dotknęłoby mnie do żywego. Ale ty tego nie zrobisz. Oto jedna z różnic w naszych relacjach z mężami. Nawet gdybyś mnie prosiła,

220

żebym nie powtarzała czegoś Andrew, pewnie i tak bym powtórzyła.

Angela posłała jej lekki uśmiech.

— Właśnie dlatego nigdy nie mówię ci nic, o czym nie chcę, żeby Andrew się dowiedział. Muszę iść. Czerwony neser ministra czeka przy drzwiach, aż właściciel się nim zajmie. Może cię podwieźć, Giles?

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległ się głośny pisk hamulców, a po sekundzie zgrzyt metalu i brzęk tłuczonego szkła. Andrew wybiegł na korytarz i otworzył frontowe drzwi.

Czerwony Mini wbił się w prawy, przedni zderzak Jaguara, którego Ollie starannie zaparkował na wąskiej przestrzeni między samochodami. Denis zdążył już wysiąść z Jaguara i wsunąć prawą rękę pod marynarkę. Z jedynych drzwiczek Mini, które nadal funkcjonowały, wysiadł Nelly Harwood. Niedawno kupił Mini w przekonaniu, że, w odróżnieniu od większego samochodu, który miał wcześniej, ten będzie niezniszczalny.

— Na miłość boską, Nelly! — krzyknął Andrew w przypiływie nagłego gniewu jak ktoś, kto został przestraszony, a potem przekonał się, że nie ma powodu do strachu.

Nelly, kołyszac się bardzo nieznacznie, badając rozmiary zniszczenia, zapytał:

— Czy sądzisz, że to moja wina?

Ollie stanął obok Nelly'ego. Denis zdjął dłoń z kabury przypiętej pod marynarką.

— To mój brat, który miał nieco dramatyczne wejście — oznajmił Andrew.

Na Cheyne Street otwierały się okna i pojawiały się głowy sąsiadów.

— Postanowiłem, że zanim wrócę do domu i do ciebie zadzwonię, zobaczę, czy palą się u ciebie światła — powiedział Nelly. Odnosiło się wrażenie, że z trudem formułuje słowa. — Powodem, dla którego chciałem zobaczyć, czy palą się u ciebie światła, była chęć nie przeszkadzania ci, gdybyś poszedł już spać — wyjaśnił.

— Ponieważ, niestety, światła u nas wciąż się palą, lepiej wejdź do środka — odparł Andrew.

Zwrócił się do Olliego i Denisa:

— Władowanie się na Jaguara to jak wjechanie na ścianę. Wątpię, czy Mini jest na chodzie.

— Zostawiłem w środku kluczyki - powiedział Nelly. — Byłbym niezwykle wdzięczny, gdybyście znaleźli wolne miejsce do parkowania, zakładając, że jeszcze jeździ.

— Czy to byłoby możliwe, Ollie? Naprawdę wolałbym nie sprowadzać tu dziś wozu pogotowia.

— Spróbujemy, sir — odparł Ollie.

Po powrocie do domu Daisy poszła do kuchni, żeby zaparzyć szwagrowi czarną kawę. Nelly usiadł posepnie w fotelu w salonie. Jego szczupłe ciało i gładka twarz przywodziły Gilesowi na myśl Dorianą Graya.

— Czy powinniśmy powtórzyć próbę wyjścia? — spytała Angela, a w tym momencie zadzwonił telefon.

Giles zareagował krótkim śmiechem.

— O co się założycie, że to jeden z moich kolegów szakali? Andrew podniósł słuchawkę.

— O, cześć, Ben. Angela jest tutaj. Poczekaj. Chociaż Benjamin Franwell wiedział, że jego żona spędza wieczór u Harwoodów, nie zadzwonił do niej.

— To z tobą chcę rozmawiać, Andrew. Ktoś właśnie zadzwonił do „Ramparta” i powiedział, że jakieś Mini wjechało na samochód sekretarza obrony. Co się dzieje?

Andrew już wcześniej zadał sobie pytanie, czy to komiczne zdarzenie musiało znaleźć odbicie w prasie. Teraz znał odpowiedź.

— Mini należy do mojego ukochanego brata - odparł. — Właśnie wpadł na pogawędkę.

— Nie brzmi to zbyt katastroficznie — stwierdził Ben -ale rozumiesz, że posłałem reportera i fotografa na Cheyne Street. Andrew i Daisy położyli się spać o drugiej. Sześć godzin później otworzyli piątkowe gazety. Zdarzenie z Nellym komentowano na rozmaite sposoby.

Jednak notatka, która zmartwiła Daisy, ukazała się

dopiero dwa dni później. Obok wiodącej kolumny „Ramparta” widniało ogromne zdjęcie, na którym Ollie siedział za kierownicą strzaskanego Mini, podczas gdy Denis spychał samochód z rządowego Jaguara. Wydrukowany grubą czcionką podpis pod zdjęciem głosił: *Czy na to Ministerstwo Obrony zużywa pieniądze podatników?*

Notatka była krótka, napisana w „zdystansowanym” stylu, jakim Ben posługiwał się czasem w swoich nie podpisywanych artykułach wiodących:

W czwartek późnym wieczorem na samochód sekretarza obrony zaparkowany przed jego domem w Chelsea wpadł samochód prowadzony przez brata sekretarza, Nelsona Har-wooda. Nelson Harwood został oskarżony o niebezpieczną jazdę po spożyciu niedopuszczalnej ilości alkoholu. Ponieważ odmówił podejścia do drzwi i porozmawiania z naszym reporterem, jak na razie musimy się skoncentrować wyłącznie na osobie pana Andrew Harwooda.

Potrafiemy odgadnąć myśli Andrew Harwooda, kiedy poleciał swemu detektywowi i kierowcy, obu zatrudnionym w Ministerstwie Obrony, by pomogli mu zatrzeć ślady zajścia na cichej uliczce w Chelsea.

Każdy z nas mógłby mieć brata, który, nie po raz pierwszy, ma stanąć przed sądem. Jednak niewielu z nas jest urzędnikami państwowymi, którzy otrzymują wysokie wynagrodzenie od narodu. Czy rzeczywiście takiemu urzędnikowi państwowemu wolno beztrąsko angażować personel Ministerstwa Obrony do ukrywania czegoś, co jest w końcu przestępstwem?

Kiedy Andrew musiał zostawać wieczorem w Izbie Gmin, lubił wykorzystywać czas między głosowaniami na spokojne przeglądanie zawartości czerwonych neseserów. Pod koniec dnia pracy Martin Thrower pakował je, zamykał i dawał Olliemu, żeby ten dostarczył nesesery do gabinetu ministra w Izbie Gmin.

Kiedy Andrew po raz pierwszy wszedł do rządu jako sekretarz przemysłu, Daisy ledwo wierzyła własnym oczom, widząc kontrast między jego gabinetem w Izbie Gmin a „klitką”, jaką zajmował jako zwykły poseł z dalszych ławek. Gabinet sekretarza obrony był jeszcze wspanialszy. Podobnie jak innych, Daisy również zdumiewała przepaść dzieląca ministra od innych posłów, nie tylko pod względem statusu, ale i komfortu. Zaczynała rozumieć, dlaczego niektórzy politycy trzymają się wysokich stanowisk dla samego tylko splendoru.

Ollie zostawił dwa czerwone nesesery na masywnym, dębowym biurku. Otwierając je, Andrew zdał sobie sprawę, że płonie z ciekawości. Po południu odebrał telefon z Pentagonu, informujący, że prezydent mianował nowego sekretarza obrony i że informacja zostanie podana w wiadomościach wieczornych czasu wschodnioamerykańskiego. Andrew spojrzął na zegarek.

Ze swym amerykańskim odpowiednikiem, który odchodził obecnie ze stanowiska, Andrew spotykał się regularnie; z tym, który przychodził na jego miejsce, będzie podobnie. Oficjalną wizytę w Londynie zaplanowaną na

przyszły tydzień odbędzie prawdopodobnie nowo mianowany sekretarz obrony.

Spośród teczek oznaczonych niebieskimi lizskami wyjął jedną, oznaczoną: „Sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych Ameryki: Dr Carl Myer”.

Na wierzchu leżała kartka z notatką od Martina Throwera: „Ministrze, poniższy tekst jest pobieżny. Oczywiście wkrótce zdobędziemy pełniejszą biografię. M.T.”

Andrew przewrócił stronę. Jedno mógł powiedzieć o stylu Martina Throwera: jeśli nie był elegancki, to przynajmniej konkretny.

Carl Reuben Myer urodził się w roku 1942 w Bostonie jako czwarte z pięciorga dzieci Reubena i Myry Myer, którzy wyemigrowali z Rosji po stalinowskich pogromach w połowie lat trzydziestych. Reuben Myer został krawcem w Bostonie. Carl Myer uczęszczał do bostońskich szkół państwowych, otrzymał stypendium uniwersytetu w Princeton, gdzie uzyskał kolejno absolutorium, tytuł magistra, doktora, zostając wreszcie profesorem nauk międzynarodowych na uniwersytecie w Princeton.

Do roku 1975 jego artykuły w „Commentary” i „New Leader” przyciągały uwagę szerokich rzesz czytelników, a wykłady w Princeton stały się gwoździem programu dla odwiedzających USA intelektualistów i ekspertów od spraw międzynarodowych, a zwłaszcza polityki obronnej. W roku 1976 z ostrymi, radykalnymi poglądami Dr. Myera zapoznano się w Waszyngtonie; mówiło się, że ówczesny sekretarz stanu, Dr Henry Kissinger, jest baczny czytelnikiem artykułów Dr. Myera w „Commentary”.

Kiedy Jimmy Carter objął urząd prezydencki w 1977 roku, pojawiły się powszechne spekulacje, że Dr Myer może zostać mianowany doradcą prezydenckim. Tak się jednak nie stało.

Podczas dwóch kadencji prezydenta Reagana pisma i publiczne wypowiedzi Dr. Myera śledzono w Waszyngtonie z wielką uwagą. Mówi się, że pan Caspar Weinberger, sekretarz obrony w latach 1981-1987, uznawany za najbardziej radykalnego członka ekipy prezydenta Reagana, wcielał w życie niektóre z koncepcji politycznych zalecanych przez Dr. Myera.

Kiedy prezydent Bush objął urząd na początku 1989 roku, ponownie zaczęto przypuszczać, że Dr Myer otrzyma prezydencką nominację. O ile wiadomo, przed dniem dzisiejszym nic takiego nie miało miejsca. Od dawna uznawany za jednego z najmądrzejszych ludzi na amerykańskiej scenie politycznej, dzisiaj Dr Carl Myer zajmuje na niej centralną pozycję.

Aby przenieść się do Waszyngtonu, weźmie w Princeton urlop na czas nieokreślony. Będzie mu towarzyszyć żona. W roku 1983 ożenił się z panną Jocelyn Randall, córką pana Elliota Randalla, potomka nowojorskiej rodziny bankierów. Państwo Myer nie mają dzieci.

Jeśli Andrew chciał być szczerzy wobec siebie, to musiał przyznać, że kiedy poznał Daisy, zrobiło na nim wrażenie, że ta młoda kobieta stanowi obiekt zainteresowań profesora Myera. A gdyby Daisy wyszła za Myera, to byłaby żoną człowieka, który był teraz najważniejszym odpowiednikiem Andrew, a właściwie najważniejszym ministrem obrony na świecie.

Ponownie spojrzął na datę w ostatnim akapicie: 1983 — sześć lat po jego ślubie z Daisy. Carlowi Myerowi trudno chyba było znaleźć zastępczynię.

Uśmiechnął się do siebie. Cieszył się na powiadomienie Daisy o nowej amerykańskiej nominacji. To ją rozbawi. Wysiadając z Jaguara, spojrzął na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Nieźle. Skończył z jednym czerwonym neserem i zostawił go na biurku; Ollie odbierze go rano i zawiezie do Richmond Terrace. Drugi neser Andrew trzymał w dłoni. Podniósłszy wzrok, zobaczył, że pali się tylko światło za zaciągniętymi zasłonami w ich sypialni.

Wszedł na górę, otworzył drzwi sypialni, a Daisy odłożyła książkę i uśmiechnęła się do niego radośnie, patrząc, jak zdejmuje krawat i zamienia buty na miękkie, skórzane kapcie. Wcześniej miała nadzieję, że położy się prosto do łóżka, ale czerwony neser czekał przy drzwiach.

— Napijemy się drinka, zanim się zajmę przygotowaniem do jutrzejszego posiedzenia rządu na temat baz amerykańskich? — zapytał.

Nalał im po drinku w wysokich szklankach i zaczęli dzielić się wydarzeniami dnia.

— Zainteresuje cię nowy amerykański sekretarz obrony. Jutro przeczytasz o tym w prasie. To twój dawny przyjaciel, Carl Myer.

— O — powiedziała Daisy i upiła łyk drinka.

— Myślałem, że cię to rozbawi — zdziwił się Andrew, marszcząc brwi, ponieważ widział, że wcale się tak nie stało. Miał za sobą długi dzień i cieszył się na odpoczynek w towarzystwie Daisy, zanim otworzy ten przeklęty neser.

— To mnie chyba bawi. Po prostu zawsze czuję lekki opór przed tym, by moje amerykańskie życie zazębiało się z tutejszym.

Zdziwiona własną irytacją spojrzała roztargnionym wzrokiem na oparcie fotela; kciukiem i trzecim palcem kręciła jednym z obszytych welwetem guzików, teraz wyblakłym i nieco zabrudzonym. Z sentymentalnych powodów umieścili parę foteli po obu stronach kominka, podobnie jak w mieszkaniu w Eaton Place.

Andrew przyglądał się żonie. Przez piętnaście lat kręciła tym guzikiem, kiedy czuła się zakłopotana. Całe szczęście, że nie czuła zakłopotania częściej, bo dawno urwałaby ten cholerny guzik. Irytowała go jej reakcja na wiadomość, jaką jej przyniósł.

— Przypuszczam, że fakt, iż ty, dzieci i wszyscy moi najważniejsi przyjaciele są związani z moim życiem w Anglii, sprawia mi największą przyjemność. To życie nie ma żadnego związku z na pół zapomnianymi przyjaźniami i tym podobnymi sprawami, które dostaje się jakby w spadku po szkole i rodzinie — zakończyła niezręcznie.

Rozdrażnienie Andrew wynikało z faktu, że jego drobny podarunek nie został doceniony.

— Gdybym wiedział, jak złożone uczucia wywołała ta nowina, przedstawiłbym ci ją mniej bez trosko — oświadczył sucho.

Nie cierpiała, kiedy stawał się taki chłodny.

— Jestem nudziarą — powiedziała. — Zabawne będzie zobaczyć Carla w roli twojego odpowiednika.

Żadne z nich nie lubiło kłótni. Zresztą nie pojmowała swego zakłopotania. To przecież zupełnie irracjonalne. Otrząsnęła się z tego uczucia.

31

Charles Cartwright wysiadł na stacji metra Tempie i spojrzął na zegarek. Za dziesięć pierwsza. Dobrze. Był punktualny jak każdy przyzwoity urzędnik państwowy. Miał zamiar pójść z Richmond Terrace na piechotę, ale posiedzenie trwało dłużej, niż planowano. Zdecydował, że pójście na stację metra Westminster i jazda dowolnym pociągiem w kierunku wschodnim zajmie mniej czasu niż podróż taksówką w godzinie lunchu, mimo że oznaczało to cofnięcie się na piechotę do hotelu Savoy. Tak naprawdę to taksówka nie miałaby żadnych problemów, gdyby pojechała Nabrzeżem, ale Cartwright żałował pieniędzy. Ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka, lubił powtarzać. Oszczędność odziedziczył po matce. Ponownie spojrzął na zegarek i przyśpieszył kroku. Przy wejściu do Savoya od strony Nabrzeża skinął głową odźwiernemu, jakby lunch w tym miejscu był rzeczą normalną dla asystenta sekretarza sekcji F w Ministerstwie Obrony. Kiedy wchodził szybko po spiralnych schodach, jego wąska, blada twarz zachowywała beznamiętny wyraz, sugerując, że po prostu zwykł szybko chodzić, a nie że mógłby się niepokoić ewentualnym spóźnieniem na spotkanie z redaktorem „Ramparta”. Sekretarz Franwella podkreślił, że lunch odbędzie się w restauracji, „nie w Grillu, ponieważ redaktor uważa, że panuje tam zbyt wielki ścisk”. Cartwright przypomniał sobie, jaką przyjemność sprawił mu dwa lata temu pewien

korespondent „Washington Post”, zapraszając go do Grilla w Savoyu. Spośród gości rozpoznał wtedy co najmniej osiem osób. Teraz wiedział, że jądanie w restauracji jest w lepszym tonie, a kiedy dotarł na miejsce, zrozumiał dlaczego: stoły rozstawiono tak daleko od siebie, że w lokalu panowała swobodna atmosfera, a co więcej, podsłuchanie rozmowy przy stoliku było niemożliwe.

— Czy ma pan rezerwację, sir?

Trudno ocenić status tego człowieka w czarnym fraku i czarnej muszce. Cartwright przyjął protekcyjnalny ton, który przychodził mu bez trudu.

— Umówiłem się z panem Franwellem. Momentalnie pojawiła się nowa postać we fraku, z krawatem ze srebrno-czarnego jedwabiu.

— Dzień dobry, sir. Najwyraźniej grabarz był tu szefem.

— Proszę pozwolić, że zaprowadzę pana do stolika pana Franwella.

Dziesięć stolików stojących wzdłuż ściany z oknami wyglądało szczególnie luksusowo; goście mogli rozkoszować się stamtąd bezpośrednim widokiem na Tamizę. Cartwright-towi wskazano stół ustawiony niemal dokładnie w połowie. Nakryto go dla dwóch osób; kieliszki migotały, srebrne sztucce lśniły na różowym, wykrochmalonym obrusie z serwetkami do kompletu. Jedną z nich kelner otworzył zamaszystym trzepnięciem i położył Charlesowi Cartwrightowi na kolanach.

— Czy zechce się pan na początek czegoś napić, sir?

— Na razie nie.

Kiedy szef kelnerów odszedł, Cartwright przyjrzał się bukietowi zdobiącemu środek stołu. Niebieskie chabry i białe róże wyglądały korzystnie na różowym obrusie.

Dłonią o długich palcach zgrabnie wyjął chaber, odłamał łodyżkę i umieścił kwiat w butonierce.

Ułamaną łodyżkę położył obok kieliszków do wina. Podczas lunchu z zastępcą sekretarza Cartwright zaobserwował, jak ten wysoki urzędnik ozdobił sobie butonierkę w tym stylu *grand seigneur*.

Szczególnie duże wrażenie zrobiło na Cartwrightcie to, jak

zbędną łydżkę zostawiono na stole, żeby kelner ją zabrał; oto przejaw prawdziwej pewności siebie i stylu.

- Witaj, Charles. A więc trafiłeś.

Kątem oka Cartwright spojrzął na grabarza, który wskazywał Benowi jego stolik. Czemu Franwell musiał sugerować, że Cartwright nie jest za pan brat z restauracją w Savoyu?

Odpowiedź była prosta: przez te wszystkie lata Ben Franwell nie zrobił najmniejszego wysiłku, by nabrać taktu. Szczycił się tym, że jest nie oszlifowanym diamentem. Oznaczało to, że mógł sobie pozwalać na łagodne terroryzowanie takich mięczaków w prążkowanych spodniach jak Cartwright, którzy robią tyle szumu na temat odpowiedniego postępowania, mimo że są skorumpowani.

Ben obrzucił wzrokiem bukiet kwiatów, butonierkę i łydżkę leżącą na krochmalonym obrusie.

Cwany dupek, pomyślał. Gdzie się nauczył tej sztuczki?

- Czego się napijesz? — spytał.

- Wytrawnej sherry - odparł Cartwright. - Tio Pepe. No proszę. Ben mógł się założyć o dziesięć funtów, że Cartwright poprosi o sherry albo o dżin z tonikiem.

- Jedną Tio Pepe i podwójną whisky — powiedział do kelnera, czekającego usłużnie obok.

Nie mając interesu w wymienianiu się z Cartwrightem błahymi anegdotami, gdy tylko postawiono przed nimi zamówione napoje, Ben przeszedł do sedna.

- Kto dostanie kontrakt na komponenty do ES7? Cartwright nie miał zamiaru dać się poganiać.

Pamiętał, że to on, asystent sekretarza odpowiedzialnego za nowy myśliwiec, ma asa w rozgrywce o przydzielenie wielomilionowego kontraktu na komponenty firmie Bedfordshire High Tech czy jakiegokolwiek innej. - Na mojej liście znajduje się trzech konkurentów.

- Wierzę, że BedHiTe jest jednym z nich. Rozmawialiśmy już o tym.

- O, tak. Wiesz dobrze, Benjaminie, że jestem skłonny poświęcić BedHiTe wiele czasu.

- Czy wykluczyliście Stockton?

- Jeszcze nie. Mają ustaloną reputację jako firma produkująca wyroby najwyższej jakości po rozsądnych cenach. Poza tym, dopóki Raider tkwi na dnie oceanu, nie mamy dowodu, że jakakolwiek wina leży po stronie nowego projektu fotela autorstwa Stockton.

- Czy sądzisz, że tam właśnie leżała wina?

Ben chciał mieć całkowitą pewność, że postąpił słusznie, porzucając Plan Numer Jeden.

- Tak i nie. - Cartwright pociągnął sherry, łykając więcej, niż na to wskazywała jego grymasna mina, po czym zacisnął usta. Ben czekał. Ten człowiek grał mu na nerwach między innymi dlatego, że nigdy nie wychodził z roli dyrektora szkoły, najprostszą odpowiedź przeciągał w nadęty sposób: „Musimy rozważyć wszystkie aspekty tej sprawy”.

- Jesteśmy praktycznie pewni, że to dziwaczny wypadek, a nie złośliwa intencja, spowodował tak nieszczęśliwe konsekwencje dla pilota.

Cartwright przepadał za Tio Pepe. Podniósł kieliszek do światła, by nacieszyć się wspaniałym blaskiem ostatnich kropli bursztynowego płynu.

- Pozostaje jednak możliwość, że nowy projekt fotela autorstwa Stockton odegrał w wypadku decydującą rolę. Musimy poczekać na koniec prac ekip wydobywczych.

Jeżu, jęknął w duchu Ben. Przejdź do rzeczy, na rany Chrystusa.

- Prawie wykluczyłem Stockton, ale nie do końca. -On, Charles Cartwright, pokaże, że nie pozwoli Benjaminowi Franwellowi owinać się wokół małego palca.

Ben spojrzał na kelnera czuwającego nie opodal i elegancko skinął palcem wskazującym na pusty kieliszek Cartwrighta. Kelner skinął głową.

- Kto jest trzeci na twojej liście, Charles?

- Samson z Somerset. Może o nich słyszałeś?

- Wiem, że nasz specjalista od aeronautyki nie wyraża się o Samsonie z entuzjazmem. Twierdzi, że nie można na nich polegać, jeśli chodzi o terminy dostaw. Dlaczego rozważasz Samsona?

- Och, Benjaminie - zaczął Cartwright, po czym odchrząknął lekko, by zmanifestować dyskrecję, kiedy kelner stawiał przed nim drugi kieliszek wypełniony po brzegi Tio Pepe. Upił pierwszy łyk niczym konieser win, kosztujący Haut Brion z 1961 roku, przyniesione specjalnie z piwnic Savoyu.
- Nawet specjaliści z „Ramparta” nie zawsze mają pełne informacje o tych sprawach - ciągnął. - Muszę ci powiedzieć, że ostatnie rezultaty Samsona w sferze terminów dostaw są takie same jak BedHiTe. Przerwał znowu, kiedy dwaj kelnerzy jednocześnie postawili na różowym, krochmalonym obrusie dwa talerze z wędzonym łososiem.
- Podzielam twój pogląd, że BedHiTe może być aeronautyczną firmą przyszłości i wkrótce powinniśmy dać im kontrakt. A jednak... Ściągnął wargi, by podkreślić wagę następnych słów.
- Naciski ze strony innych ministerstw nie są mile widziane. Muszę ci się przyznać, Benjaminie, że Ministerstwo Przemysłu zwracało się do mnie w sprawie przydzielenia kontraktu BedHiTe. Przyszło mi na myśl, że okręg wyborczy szanownej posłanki Rachel Fisher mógłby zyskać na dalszym rozwoju BedHiTe, chociaż sama firma leży poza granicami okręgu. Czy możliwe, by ta dama była osobiście zainteresowana tą sprawą? Naturalnie rumiany kolor twarzy Bena pociemniał. Czekał, wpatrując się w bladą twarz Cartwrighta intensywnymi, niebieskimi oczami.
- Po raz kolejny mogłem się przekonać, że świat jest mały, tym razem w klubie golfowym - mówił Cartwright. - Całkiem niedawno rozmawiałem z jednym z członków nazwiskiem George Bishop. Tak się składa, że jest mężem pani minister przemysłu. Tak się też składa, że wiem, że zajmuje się ubezpieczeniami BedHiTe.
- Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Rachel Fisher ma męża, który ma jakiś związek z ubezpieczeniami. I co z tego?
- Wspominam o tym, Benjaminie, tylko jako o przypadku, niczym więcej.

— Możesz się założyć o swój ostatni awans, że to czysty przypadek. Rachel Fisher jest zainteresowana BedHiTe wyłącznie z jednego powodu, takiego, którego należałoby się spodziewać po każdym pierwszorzędnym ministrze przemysłu. Chce nagradzać te firmy, które na to zasługują. Na tym polega praca rządu. - Ty marny dupku, dodał Ben w myślach.

— Faktycznie.

Cartwright wiedział, że nie powinien był wypijać tak szybko tej drugiej sherry na pusty żołądek. Musi porzucić tę ciernistą konwersację i skupić się na rewelacyjnym szkockim łososiu, pokrojonym tak hojnie, nie jak te cienkie płatki, które podano mu w zeszłym miesiącu w stołówce rządowej. Wszyscy wiedzieli, że łączenie jedzenia z interesami nie było w dobrym tonie. To grubiaństwo ze strony Franwella, że poruszył całą sprawę na samym początku. Dżentelmen poczekałby na kawę i cygara. Cartwright skupił całą uwagę na wędzonym łososiu.

W tym tempie przynajmniej szybko uporamy się z lunchem, pomyślał Ben.

Kiedy Cartwright zjadł ostatni kąsek piersi kurczęcia w śmietanie i wypił brandy, Ben zapytał:

— Kiedy zapadnie decyzja w sprawie kontraktu ES7?

— Spodziewam się, że w maju — odparł Cartwright.

— Zamówimy brandy do kawy? — spytał pogodnie Ben. Kiedy zakończenie wymagało fałszywej jowialności, był gotów ją zaserwować. — Przypuszczam, Charles, że może zainteresowałaby cię drobna praca dla „Ramparta”? Planujemy serię artykułów o modnych kurortach. Proponuję sfinansowanie trzytygodniowych wakacji kilku rozsądnym nie dziennikarzom. Zatrzymaliby się w modnych hotelach w różnych krajach, naturalnie w towarzystwie żon lub przyjaciółek, chyba że woleliby spędzić wakacje sami. Ben rzadko uprawiał tego rodzaju proceder, kiedy już jednak to robił, przejawiał wielką zręczność. Kiedy mówił, że „Rampart” wysyłał trzech niedziennikarzy na te luksusowe wakacje, cała sprawa brzmiała niemal rutynowo.

— Gdyby korespondent „Ramparta” do spraw turystyki

zatrzymał się w jednym z tych pięciogwiazdkowych hoteli, zostałby rozpoznany i otrzymałby wyjątkową obsługę — mówił Ben. — Nie potrafilibyśmy dokonać obiektywnej oceny. Chcemy ustalić, na jaką obsługę może liczyć nieznany turysta za wysoką opłatę. Gdybyś był zainteresowany takimi wakacjami, wszystko, czego byśmy od ciebie oczekiwali, to twoje impresje na temat miejsca, samo tło, żadnych ocen. Oczywiście koniec końców moglibyśmy zrezygnować z tej serii artykułów, ale o to już mnie będzie bolała głowa, nie ciebie. — Rozumiem.

— Kiedy mówię o pokryciu kosztów podróży i trzytygodniowego pobytu w jednym z najbardziej ekskluzywnych kurortów, sam mógłbyś wybrać kraj, mam na myśli sumę pięciocyfrową. Byłbym zachwycony, gdybyś wybadał dla mnie jedno z takich miejsc dla playboyów. Co o tym sądzisz? Cartwright obracał powoli pękatym kieliszkiem brandy. Czuł, że płonie.

— Myśle, że to by mnie interesowało — powiedział.

— Dobrze. Pomyśl, dokąd chciałbyś pojechać. Świat należy do ciebie. Trochę później moglibyśmy dopracować szczegóły twoich wakacji, na przykład w maju czy czerwcu.

Cartwright wypił kolejny łyk brandy.

— A tak przy okazji, Charles. Zadzwoń do mnie przed przekazaniem ministrowi do akceptacji twojej decyzji w sprawie ES7.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Z przyjemnością, Benjaminie, to zwykła przyjacielska przysługa.

— Cieszyłbym się, gdybyś zadzwonił do mnie, zanim zapadnie jakakolwiek decyzja na papierze. Dzięki temu miałbym jasny obraz sytuacji.

— Nic prostszego, drogi przyjacielu. — Cartwright machnął leniwie ręką. Zawsze był dumny ze swych smukłych dłoni.

Ben spojrział na zegarek.

— Za dwie minuty muszę lecieć. Jak ci się układa współpraca z paniczem Andrew?

Cartwright się zawahał. Mimo że jego praca obejmowała komunikowanie się co pewien czas z ministrem, najczęściej porozumiewał się z nim na piśmie. Podobnie jak większość urzędników państwowych nie utrzymywał żadnych osobistych relacji z ministrem. Chciał jednak wyrzucić wrażenie na Benie Franwellu.

— Między nami mówiąc, Benjaminie, to nie jest człowiek, którego chciałbym widzieć na stanowisku ministra obrony. Oddał ministrowi budownictwa część budżetu, której powinien się domagać dla Ministerstwa Obrony. Co go obchodzi, że budownictwu brakuje środków?

Sama myśl o tym wprawiła Cartwrighta w nagłe oburzenie.

— Politycy nie powinni dopuszczać, by emocje wpływały na ich pracę. Byłoby znacznie lepiej, gdyby zachowywali obiektywizm urzędników państwowych. Szczerze mówiąc, nie dbam o Andrew Harwooda. Za kogo on się ma?

Ben nie naciskał na niego. W tej dziedzinie Cartwright nie mógł mu powiedzieć nic ciekawego: znajdował się na peryferiach życia Andrew Harwooda. Przez zwykły przypadek Cartwright stał się użytecznym pionkiem w innej dziedzinie.

Obaj mężczyźni wstali razem od stołu i przeszli przez restaurację. W hallu Ben się zatrzymał.

— Wracasz do Richmond Terrace. Ja udaję się w przeciwną stronę. Mój samochód czeka przed wejściem od Nabrzeża, więc tu się pożegnamy. Miło mi było spotkać się z tobą, Charles. Zadzwońisz do mnie.

Uścisnęli sobie dłonie, Ben skręcił w prawo na spiralne schody, a Cartwright ruszył zdecydowanym krokiem do drzwi frontowych, gdzie odźwierny mógłby przywołać mu taksówkę. Zanim dotarł do drzwi, skręcił do szatni: Wyszedł po kilku minutach, wrócił do hallu i podszedł do spiralnych schodów, których mosiężna poręcz opadała lśniaco aż do wejścia od Nabrzeża.

Po wyjściu obrotowymi drzwiami skinął niedbale głową odźwiernemu i ruszył na piechotę do stacji metra Tempie. Spojrzał na zegarek. Nawet jeśli przyjdzie mu czekać pięć minut na pociąg, zdąży wrócić do biura na trzecią.

Witam, panie sekretarzu.

Andrew zszedł do wejścia Konnej Straży w Ministerstwie Obrony, żeby powitać przybyłego amerykańskiego sekretarza obrony.

Orkiestra grenadierów dęła w trąby i bębniła, gdy gwardia honorowa w pełnym szyku maszerowała aleją Straży Konnej i stanęła na baczność przed dwoma ministrami. Sekretarz Myer zszedł szybko po schodach; by dokonać przeglądu Straży.

Po powrocie do budynku dwaj ministrowie obrony pojechali windą na szóste piętro, zostawiając na parterze większość agentów ochrony sekretarza Myera.

W gabinecie Andrew wskazał na kanapę Chesterfield z niebieskiej skóry i fotele. Obaj mężczyźni rozluźnili się, kiedy Martin Thrower opuścił gabinet. Było wpół do siódmej.

— Napije się pan drinka?

— Nie, dziękuję. Jak się miewa Daisy? — spytał Carl Myer.

— Godzi się filozoficznie na małżeństwo z politykiem. Może pan słyszał, że odnosi sukcesy jako rzeźbiarka popiersi. Jedno można zobaczyć w Narodowej Galerii Portretów — dodał z dumą Andrew.

— Nie omieszkać go obejrzeć, gdy tam będę. Pewnie nie podczas tej wizyty. To mój pierwszy oficjalny pobyt w Anglii, więc program jest dość napięty. Co pan sądzi o amerykańskim ambasadorze?

— Wygląda na kompetentnego gościa. Niewątpliwie bardzo przyjacielski. Nie było powodu, żebyśmy utrzymywali coś więcej ponad efektywne relacje towarzyskie. Jak wygląda życie w Claridge'u?

— Mój Boże. Potrafię zrozumieć, dlaczego przestali na kilka lat podejmować amerykańskiego sekretarza obrony. To dla nich niezłe zamieszanie. Z drugiej strony, dzięki temu utrzymują personel w czujności. Nie jestem pewien, jak można by tam załatwić jakąś tajną sprawę, co nie znaczy, że sekretarz obrony bawiłby się w coś takiego.

Piwnie oczy Carla zamigotały.

— Pełna dyspozycyjność wobec prezydenta ma swoje niewygodne strony, jak na przykład obecność agenta przed drzwiami własnego apartamentu hotelowego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wzruszył ramionami. Andrew zaśmiał się i zapytał:

— Jak znajduje pan Waszyngton po Princeton? Carl Myer zachichotał.

— Wszyscy mówią, że Waszyngton to prowincjonalne miasto. Zgoda. Jednak ta prowincjonalność jest innej kategorii niż miasteczka uniwersyteckiego. Nie sposób wyobrazić sobie większego zaścianka niż Princeton, chociaż wielu znakomitych gości przyjeżdża tam, by wymienić błyskotliwe idee na temat spraw międzynarodowych.

— Rozumiem, że chce pan zwiększyć wydatki na obronę.

— Zgadza się. Domyślam się, że pański stosunek do zagrożenia ze Wschodu jest łagodniejszy niż mój. — I znowu ogniki w piwnych oczach.

Obserwując go, Andrew potrafił zrozumieć, że Daisy uległa czarowi Carla. Kiedy spotkał Myera przelotnie piętnaście lat temu, nie tylko obaj byli na to nie przygotowani: byli rywalami. Andrew pamiętał wyraźnie kontrast między bladą cerą Myera a czarnymi, kręconymi włosami, intensywność, z jaką Myer mu się przyglądał, sposób, w jaki uśmiechali się do siebie, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by okazać choćby cień ciepła.

Mimo to teraz Andrew dostrzegał w sobie przyjazne

uczucia i wydawało mu się, że wyczuwa je w Myerze. Kiedy amerykański sekretarz obrony zbierał się do wyjścia, zwracali się do siebie po imieniu.

— Dobranoc, Andrew. Zobaczysz mnie znowu w tym gabinecie, zanim się obejrzysz.

Brytyjski sekretarz obrony odpowiedział śmiechem.

— Dobranoc, Carl. Przypuszczam, że zaczniemy wspólną pracę o dziesiątej trzydzieści. Wiem, że Daisy chciałaby cię zobaczyć, kiedy będziesz nieco swobodniejszy. Jeśli nie podczas tej wizyty, to przy okazji następnej. Jak on wygląda? — spytała.

Siedzieli w atelier. O dziesiątej odbyło się tylko jedno głosowanie i Andrew dotarł do domu o wpół do jedenastej.

— Spodobał mi się. Kostyczne poczucie humoru. Przypuszczam, że jutro dane mi będzie zobaczyć aspekt intelektualnej arogancji. Cieszę się na to.

— Dlaczego?

— Może to moja ciekawość intelektualna? On jest jednym z najinteligentniejszych ludzi, jacy pojawili się na amerykańskiej scenie politycznej w ciągu minionych piętnastu lat.

— Ale czy zmienił się od czasu, kiedy go widziałeś? Ma prawie pięćdziesiąt lat.

— Czterdzieści dziewięć. - Jak wszyscy politycy, Andrew był dokładny, jeśli chodzi o wiek innego polityka. - Ponieważ na ten weekend zostajemy w Londynie, czy mam go zaprosić, żeby wpadł tu po drodze na lotnisko?

Daisy była zdziwiona własnym podnieceniem.

— Dobrze.

Następnego dnia o dziesiątej trzydzieści rano Martin Throver wprowadził sekretarza Myera i dwóch członków jego ekipy do gabinetu ministra. Austin Barthmore już tam był.

Na stojącym pod oknami sześciokątnym stole w stylu króla Jerzego położono sześć notatników i sześć długopisów.

Z pierwszym punktem programu uporano się w ciągu pięciu minut.

Kolejny punkt dotyczył Satyra. Każdy z obecnych miał przed sobą zgrabne streszczenie, choć nie było potrzeby odwoływania się do niego.

— Jak ci wiadomo, Carl, Wielkiej Brytanii potrzebna jest nowa generacja satelitów Satyr dla celów komunikacji wojskowej. Chcemy, żeby były one całkowicie niezależne od amerykańskiego systemu Sun. — Skoro przeznaczeniem Satyra ma być wyłącznie komunikacja, dlaczego jest tak ważne, żeby nie kontaktował się z naszym systemem Sun? Nie jesteśmy Związkiem Radzieckim. — Carl się uśmiechnął.

— Podjęliśmy decyzję polityczną.

— Rozumiem. Przypuszczam, że nie wyklucza to możliwości, by niektóre z komponentów zostały wykonane w Stanach Zjednoczonych przez jedną z naszych firm, na przykład US Solar Space, w razie gdyby okazali się bardziej efektywni niż jakaś firma brytyjska.

— Chcemy, żeby wszystkie części do Satyra wyprodukowano tutaj.

— Dlatego, że nie ufacie nam, że nie wmontujemy urządzenia umożliwiającego jednostronny kontakt z waszym systemem? Czy z powodów sentymentalnych? — Carl Myer znowu się uśmiechnął. Opierał się na stole na skrzyżowanych rękach.

— Chcemy, żeby Satyr był niezależny pod każdym względem od początku do końca — odparł przyjaźnie Andrew. — Komponenty do satelitów to jedna z naszych najmocniejszych stron. Wiesz, że chcemy ożywić brytyjski przemysł. Satyr stałby się spektakularnym symbolem.

— Zazdroszczę wam budżetu na obronę — zauważył Carl. — Mnie nie byłoby stać na wydanie miliarda dolarów, gdybym miał możliwość wykonania pracy za dwie trzecie tej kwoty. Gdybyście współpracowali z nami przy produkcji, moglibyśmy mieć satelity po niższych cenach.

Andrew rozbawił uprzejmy sposób, w jaki Myer próbował pozyskać lukratywny kontrakt dla amerykańskiej firmy. — Gdyby udało nam się wspólnie wypracować sposób,

w który moglibyście zaoszczędzić pieniądze, czy rozważyłbyś zlecenie US Solar Space wykonania niektórych komponentów do Satyra? — spytał Carl.

Andrew również opierał się na skrzyżowanych rękach.

— Nie wykluczyłbym takiej możliwości.

Dzieci, czy któreś z was mogłoby otworzyć drzwi?

Daisy miała na sobie jasnoniebieski koronkowy stanik i majtki. Przez ramię przewiesiła sobie duży różowy ręcznik. Suszyła włosy.

— Sophie! Matty! — krzyknęła w stronę drugiego piętra. Dźwięki „Eleanor Rigby” Beatlesów, już wcześniej głośnie, nasiliły się, kiedy otworzyły się drzwi. Sophie wychyliła się przez poręcz schodów.

— O co chodzi?

— Ktoś dzwoni do drzwi od pięciu minut. Możesz otworzyć? Carl Myer ma się zjawić nie wcześniej niż za pół godziny.

— Dobra.

Sophie zbiegła na bosaka po schodach, przeskakując ostatnie trzy stopnie i lądując z tupnięciem na pierwszym piętrze. Mijając matkę w korytarzu, spytała:

— Gdzie tata?

— Poszedł po gazety. Gdzie Matty?

— Nie wiem! - odkrzyknęła Sophie, przeskakując ostatnie trzy stopnie i z kolejnym tupnięciem lądując na parterze. Owinąwszy stanik ręcznikiem, Daisy wychyliła się przez poręcz i czekała.

Minutę później czubek głowy Sophie pojawił się znowu; włosy zwisały prosto — musiała spędzić cały poranek na rozprostowywaniu loków. Podnosząc wzrok na matkę, powiedziała:

— To gliny. Amerykańskie. Chcą przeszukać ogród.

— O Boże, zapomniałam o nich. Dzwonili z biura, uprzedzając, że przyjdą.

Na dole pojawiła się teraz głowa mężczyzny, który spojrzał w górę na Daisy.

— Jesteśmy agentami ochrony, proszę pani. Podniósł odznakę, której nie rozpoznawała z tej odległości.

— Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, przed przyjazdem sekretarza Myera chcielibyśmy się rozejrzeć po tym piętrze, piętrze poniżej i ogrodzie.

Daisy wybuchnęła śmiechem.

— Suszę włosy. Sophie, czy mogłabyś ich oprowadzić?

Kiedy Andrew wrócił po kwadransie, agenci ochrony stali przed wejściem.

Wewnątrz domu jedyny dźwięk dobiegał z najwyższego piętra. To dobrze, że Sophie lubi Beatlesów, pomyślał Andrew, wchodząc na pierwsze piętro, gdzie znalazł Daisy stojącą w łazience przed lustrem, z pędzelkiem do makijażu w dłoni. Do białych, jedwabnych spodni włożyła jasnotur-kusową, jedwabną bluzkę o męskim kroju, której trzy górne guziki rozpięła. Paznokcie stóp pomalowała na koralowo. W uszy wpięła perłowe kolczyki, a loki zebrała w szylkretowe grzebyki. Andrew wyobraził sobie, że patrzy na nią oczami Carla Myera. Była bardzo piękną kobietą. Czuł przyjemność mężczyzny pewnego, że jest jedynym obiektem miłości kobiety.

— Od jak dawna kręcą się tu ci dwaj faceci? — spytał.

— Pół godziny? Sprawdzili ogród i dół. Mam nadzieję, że nie uznali za konieczne skosztowanie mojego kurczaka *Diable*, żeby sprawdzić, czy nie spróbuję otruć ich cennego sekretarza obrony.

Dlaczego robią o tyle więcej szumu niż nasi detektywi?

— Wiesz równie dobrze jak ja, że twoi rodacy, kiedy tylko mogą, demonstrują wyjątkowe środki ostrożności. Ostatnie wypadki na Bliskim Wschodzie postawiły Amerykanów w stan pogotowia na całym świecie.

W tym momencie usłyszeli warkot samochodów.

Daisy wyjrzała przez okno sypialni na dwa BMW parkujące pod klonem. Za nimi nadjechał wóz policyjny, z którego wysiadło trzech kolejnych policjantów Metropoli-

tan i jeden agent amerykański, po czym stanęli na chodniku. Rozległ się trzask krótkofalówek. Po drugiej stronie ulicy otwierały się okna; sąsiedzi wychylali się, żeby oglądać przedstawienie.

Sophie stanęła obok matki.

— Co za ruch. To wszystko w związku z Carlem Myerem?

Daisy wybuchnęła śmiechem. Wydało jej się dość absurdatne, że dwa tygodnie temu był profesorem Princeton, a dziś blokowano całą Cheyne Street z jego powodu.

U wylotu ulicy pojawił się samochód otwierający kolumnę. Ledwo stanął, wyskoczyli kolejni policjanci i jeszcze jeden Amerykanin.

W tych czasach względy bezpieczeństwa wymagały, żeby samochód amerykańskiego sekretarza obrony był zarówno nie rzucający się w oczy jak kuloodporny. Za pierwszym samochodem pojawił się jasnoszary Opel Senator, a w ślad za nim czarna limuzyna, której drzwiczki otworzyły się, kiedy tylko stanęła. Wysiedli agenci brytyjscy i jeden amerykański.

— Na chodniku zbiera się prawdziwy tłum — zauważyła Sophie.

Wtedy otworzyły się tylne drzwiczki Opla Senatora. To, co było początkiem łysiny, kiedy widziała go ostatnim razem, zmieniło się w łysy placek, za którym zaczynały się gęste, krótkie loki. Widziała, jak porastają mu nisko kark, gdzie nad kołnierzem jaśniało zaledwie pół centymetra jasnej skóry. „Ta śliczna, czysta część szyi, tak bezbronna, a tuż za nią zaczyna się zbroja.” Te słowa same przemknęły jej przez umysł, wywołując dziwne uczucie.

— Czy znałaś go naprawdę dobrze? — spytała Sophie.

— Chyba tak — odparła Daisy.

Andrew zszedł na chodnik i uściśnął dłoń gościa. Potem pojawiła się niższa, piaskowowłosa postać. Nawet z góry Daisy poznała, że Matty jest dumny z uścisku ręki sekretarza Myera.

— Chodźmy — powiedziała do Sophie.

Kiedy weszły do salonu, Andrew stał przy barku

i nalewał dwie whisky. Matty zniknął. Carl stał plecami do kominka. Ujrzała, że się zarumienił.

— Witaj, Daisy.

— Witaj, Carl.

Zatrzymała się w drzwiach salonu. Nie zdecydowała wcześniej, czy pocałują się w policzek.

Spostrzegła, że woli trzymać się od niego w pewnej odległości.

— To jest Sophie.

— Domyślam się. Cześć, Sophie — powiedział poważnie, przeszedł przez pokój, by uścisnąć dłoń córki i pocałować matkę w policzek.

Cofnął się i spojrzał na twarz Daisy migoczącymi, piwnymi oczami. Andrew stał za nim; Carl opuścił wzrok na rozpiętą bluzkę Daisy, po czym znowu popatrzył na jej twarz.

Zirytowana jego zuchwałością, oblała się rumieńcem. A może to nie była irytacja, tylko przyjemność?

Nie miała pewności. **Lunch** upływał w swobodnej atmosferze. Żeby nie biegać tam i z powrotem do salonu, Daisy nakryła duży, wiktoriański stół w kuchni nakrochmalonym obrusem i lnianymi serwetkami. — Ludzie zawsze wolą jadać w tym pomieszczeniu — mawiał niezmiennie Andrew, kiedy podejmowali tam gości.

Oboje Harwoodowie byli niezwykle ciekawi Carla, a on ich; każde z trojga bacznie obserwowało reakcje pozostałej dwójki.

Ponieważ samolot Carla odlatywał z Heathrow o trzeciej, nie ociągali się przy stole.

Po wejściu na piętro Andrew zapytał:

— Daisy, może pokażesz Carlowi atelier?

— Chcesz je zobaczyć?

— Bardzo. .

— Zawołajcie, kiedy wrócicie — poprosił Andrew. — Idę zadzwonić z gabinetu.

Daisy poszła przodem, mijając mały pokój, gdzie jej

modele czasami się przebierali. Po wejściu do atelier Carl zamknął za sobą drzwi.

Na początku zwrócił uwagę na tak wysokie osadzenie okien, że widać było przez nie tylko wierzchołki drzew. Posiadając umiarkowaną wiedzę o gatunkach drzew, rozpoznał je jako jesiony; podobała mu się jaskrawość ich majowej zieleni, nim jeszcze sadza zaczęła matowić liście.

Przeniósł wzrok na Daisy, która odwróciła się twarzą do niego. Stojąc pośród przypominających zjawy makiet wspartych na drutach, jeszcze bardziej tętniła życiem, niż kiedy obserwował ją przy kuchennym stole.

Stał milczący, plecami do zamkniętych drzwi, przyglądając się jej twarzy. Znowu spojrzął na jedwabną bluzkę rozpiętą tuż nad stanikiem — jeśli go miała; nie był pewien. Była dojmująco świadoma kierunku jego spojrzenia. Popatrzył na jej twarz.

— Jesteś dziś jeszcze bardziej czarująca, Daisy, niż kiedy rozpiąłem ci bluzkę w pokoju 242.

Mówił cicho. Andrew powiedział, że idzie na górę. Grube drzwi atelier obito po obu stronach rypsem. A jednak.

Ruszył od drzwi w głąb studia i zatrzymał się w odległości metra od Daisy.

— Odepchnęłaś moją rękę. Pamiętasz. Powiedziałaś: „Nie chcę”. A ja: „Owszem, chcesz”. Znowu odepchnęłaś moją rękę, tym razem nieco mniej zdecydowanie. Ująłem twoje dłonie i przycisnąłem płasko do twoich ud. Potem dalej rozpiąłem ci bluzkę. Miałem rację. Chciałaś tego.

Daisy nie poruszyła się. Przez myśl przemknęła fala wspomnień tamtego upalnego, lipcowego popołudnia w hotelu Brown's: jej zazdrość o piękną kobietę, którą widziała z Andrew, złość na Andrew, jej oderwana reakcja fizyczna na seksualność Carla, a potem niesmak, ponieważ nie było żadnego połączenia między jej ciałem a uczuciami. Z kryształową przejrzystością ujrzała dwa olbrzymie gołębie, które przycupnęły na dachu domu naprzeciwko okna pokoju 242.

Właśnie ten ostatni obraz przerwał jej wzrokowy kontakt z Carlem. Odwróciła się i przeszła w głąb atelier, gdzie na drewnianym postumencie stał naturalnej wielkości model

dwóch ptaków, z których jeden oplatał szyjkę wokół szyjki drugiego w geście przypominającym uścisk. W ciągu minionego miesiąca, kiedy pracowała nad ptakami, sądziła, że wzięły się częściowo z pary kopulujących marmurowych gołębi Epsteina w galerii Tate. Teraz uzmysłowiła sobie prawdziwe źródło inspiracji: gołębie na dachu, widziane przez okno sypialni, gdzie leżała obok Carla, z uczuciem przesytu i naga. Pamiętała zapach pokoju 242. Nie chodziło o to, że jego sperma i skóra pachniały nieprzyjemnie, ale o to, że nie pachniały jak Andrew.

Położyła dłoń na grzbiecie jednego z gołębi. Poczowała chłodny dotyk jeszcze wilgotnej gliny.

— Miałeś obejrzeć moje prace — powiedziała.

— Zawsze to robiłaś, Daisy.

Nadal stał na środku atelier z opuszczonymi rękami i przyglądał się jej.

— Co masz na myśli?

— Kiedy czułaś zakłopotanie obrotem rozmowy, zawsze zmieniałaś temat, jak gdybyś nie słyszała tego, co zostało powiedziane. Co jest we mnie takiego, co budzi twoje zakłopotanie, Daisy?

Nie zdejmowała dłoni z chłodnej gliny. Dziwna była ta mieszanina uczuć, półirytacji, półfascynacji.

Czy to sytuacja miała większy wpływ na jej podniecenie niż sam człowiek? Czy czułaby to samo, gdyby nie był amerykańskim sekretarzem obrony? Skąd miała wiedzieć. On przecież był sekretarzem obrony. — Może zdejmiesz rękę z tego ptaka i odpowiesz mi, Daisy?

Carl ruszył w jej stronę.

Na korytarzu rozległy się kroki. Carl odwrócił się natychmiast. Drzwi studia otworzyły się i rozległ się śmiech Andrew.

— Jeden z twoich współpracowników czeka w hallu. Uważa chyba, że powinieneś ruszać na Heathrow.

— Oni tak bardzo się denerwują. Sądzę jednak, że muszę jechać. Może dom Harwoodów zezwoli mi jeszcze kiedyś na

wizytę. Nie ma chyba wielu ministrów obrony, których łączy prawdziwe zainteresowanie osobiste. Kiedy cała trójka szła do drzwi, Andrew czuł przyjemność. To prawda: Carl był jedynym z jego odpowiedników, z którym mógł sobie wyobrazić przyjaźń osobistą.

Odwrócił się do żony:

— Może w trakcie jednej z wizyt Carla w Londynie poświęciłabyś parę godzin na zrobienie mu portretu? — zapytał Daisy. — Zanim popiersie zostałyby ukończone, musiałbyś może odbyć kilka oficjalnych wizyt — powiedział do Carla. — Ale mogłoby upiększyć Pentagon, nie sądzisz?

— Doskonały pomysł, ministrze. — Oczy Carla zamigotały.

Zajął miejsce na tylnym siedzeniu szarego Opla Senatora, a ciszę sobotniego popołudnia na Cheyne Street momentalnie rozdarł ryk silników, kiedy kierowcy otwierających kolumnę dwóch BMW nacisnęli na gaz.

Co tak naprawdę tam robisz, wujku Nelly? — spytała Sophie.

— Doskonałe pytanie — odparł Nelly Harwood. — Niech pomyślę.

Zrobiwszy to, wyliczył swoje czynności jako maklera giełdowego Rothburg Investment Trust.

— Przychodzę o dziesiątej i otwieram stanowisko. Wyświetlam na ekranie europejskie ceny giełdowe istotne dla moich transakcji. Decyduję, czy kupować, sprzedawać czy cicho czekać. To bardziej skomplikowane, niż myślisz, Sophie. Pakiet każdego klienta rządzi się własnymi wymaganiami. Naturalnie muszę albo konsultować się z klientem albo kiedy zostawił mi wolną rękę, podyktować list informujący go o tym, co zrobiłem w jego imieniu. Po tym stresującym przedpołudniu udaję się na lunch. Zazwyczaj zajmuje mi to trzy godziny, w zależności od ruchu ulicznego między City a West End. Następnie wracam do biura, a wtedy Wall Street nie śpi już mniej więcej od godziny, więc wyświetlam najnowsze notowania. W całym tym wirze krzątania się wokół interesów klientów muszę poświęcić nieco skupionej uwagi mojemu własnemu pakietowi.

Nelly'emu nie zbywało na inteligencji. Był znacznie bystrzejszy niż wielu pracujących w City.

Przypominał jednak bardziej tradycyjnego gościa z City niż gorliwego *yuppie* lat osiemdziesiątych: jego dominującą cechą było lenistwo. Pracował dla Rothburga od pięciu lat.

Marzył o tym, by zdobyć wystarczająco wiele posad

dyrektorskich i w niezbyt odległej przyszłości zarabiać tyle, żeby nie musieć ciężko pracować więcej niż dwie godziny dziennie. Jak na razie miał tylko jedną posadę dyrektorską -w firmie z Surrey handlującej drewnem, prowadzonej przez jego przyjaciela z Marlborough.

Następnego dnia po rozmowie z Sophie, w jasny, majowy poranek wyszedł ze stacji metra Monument i spojrzał w górę na złoconą, płonąca urnę na szczycie kolumny doryckiej zaprojektowanej przez Wrena. Słońce lśniło na płomieniach, które upamiętniał pomnik. Ilekroć myślał o Wielkim Pożarze Londynu, który 325 lat temu szalał w tym miejscu, doznawał dziwnych uczuć. Nie był pewien, czy było to poczucie własnego przemijania na tym świecie czy też ciągłości. Przypuszczalnie chodziło o jedno i drugie.

Zszedł z krawężnika i przeszedł na drugą stronę Eastcheap, umykając przed kolejną falą samochodów. Na końcu Mincing Lane skręcił w prawo i kiedy dotarł do marmurowych schodów Rothburga, wszedł na nie, przeskakując po dwa stopnie. Czuł się dobrze.

Zawsze było mu lekko na sercu, kiedy Anglia dostawała w maju prezent w postaci takich ciepłych, słonecznych dni. Może nadszedł czas na nową przygodę? Nie odwiedzał Nieba od co najmniej miesiąca. Jakie to dziwne: dziesięć lat temu trzy tysiące mężczyzn krążyło po swym pałacu pod łukami Charing Cross. W zeszłym miesiącu było ich tam zaledwie kilkuset, a do pomieszczenia nawpuszczano kolorowych gazów, by wyglądało na bardziej ożywione. Pamiętał pierwszy raz, kiedy ujrzał informację o Nocy Pozytywnego Ciała: przypuszczał, że chodzi o wieczór siłaczy o naoliwionych i prężących się ciałach. Nie gustował w nich, ale poszedł dla zabawy; kiedy wszedł do Nieba, doznał szoku. Jedno spojrzenie na tych facetów, przygnębionych, niektórych wycieńczonych, wystarczyło, by zrozumiał to, czego by się dowiedział, gdyby właściwie odczytał notatkę: Pozytywne Ciało stanowiło eufemizm pozytywnego wyniku testu na wirus HIV. Boże. Biedni frajerzy. Miał szczęście. Ale przecież zachowywał ostrożność. Poza tym nie miał wielu

partnerów. Nigdy nie polował nieustannie dniem i nocą. Czy można wyobrazić sobie coś nudniejszego niż obsesja? Jego biuro znajdowało się na dwunastym piętrze, drugim od góry. Przechodząc przez przedpokój, zdjął melonik i skłonił się sekretarce. Po wejściu do siebie zgrabnie cisnął melonik na sofę. Znajdował się w połowie lektury korespondencji, kiedy natrafił na list od prezydenta

Bedfordshire High Tech: *Drogi panie Harwood,*

Jak panu wiadomo, BedHiTe należy do najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw inżynieryjnych w Wielkiej Brytanii. Jeden z naszych dwunastu dyrektorów odchodzi na emeryturę wcześniej, niż się spodziewano. Chcemy mianować nowego członka rady nadzorczej najszybciej jak to możliwe.

Dowiedzieliśmy się, że może pan spełniać wymagania, jakie stawiamy naszym dyrektorom. Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mogli się spotkać i omówić charakter takiej pracy.

Jeśli jest pan zainteresowany, a mam nadzieję, że tak, może pańska sekretarka mogłaby zadzwonić do mojego biura w celu ustalenia terminu spotkania. Proponowałbym, żeby nasza rozmowa odbyła się podczas lunchu w wygodnej dla pana restauracji.

BedHiTe pragnęłaby podjąć decyzję w tej sprawie do dwudziestego maja.

Łączę wyrazy szacunku,

List podpisał prezes BedHiTe, Brian Burford.

Gwizdnąwszy cicho przez zęby, Nelly wyrzął przez okno na słońce odbijające się w szklanej dżungli, jaką Richard Rogers zaprojektował dla Lloyd'a. Nigdy nie rozumiał, dlaczego robiono tyle szumu wokół tego, że budynek kłócił się ze swymi starszymi sąsiadami z „Mili Kwadratowej”. Dzieło Rogersa było pełne dramatyzmu, z funkcjonalnymi bebechami wystawionymi na widok publiczny zamiast ukrytymi dyskretnie wewnątrz; zabawne, gdyby ludzie byli zbudowani w ten sposób. Co mogła zaproponować BedHiTe? Piętnaście tysięcy funtów za trzy popołudnia pracy miesięcznie? Dwanaście razy trzy równa się trzydzieści sześć. Wyjął podręczny kalkulator. Wynosiło to 416,66 funtów na godzinę. Nieźle. Kto mógł go polecić

BedHiTe? Jakiś inny kumpel z Marlborough? Ktoś z czasów oksfordzkich? Ludzie zazwyczaj uprzedzali kandydata, którego mieli zarekomendować na intratną posadę, między innymi dlatego, że oczekiwali odwzajemnienia przysługi. Równy gość, obojętnie kto to. Ilu posad dyrektorskich potrzebował, żeby skończyć z tą codzienną harówką w Roth-burgu? Pięciu? Sześciu? Połączył się z sekretarką.

Kiedy w najbliższy poniedziałek spotkali się w restauracji w Claridge'u, Nelly przekonał się, że prezydent BedHiTe był układnym produktem liceum w Manchester i uniwersytetu w Edynburgu. Brian Burford otrzymał dyplom inżyniera. Gdzieś po drodze lekcje wymowy zatarły ślady jego pochodzenia. Dwaj mężczyźni prowadzili bląhą rozmowę, by wreszcie przy kawie przejść do sedna. Nelly miał rację co do godzin pracy, mylił się, jeśli chodziło o pensję: przecenił się o tysiąc funtów. Oferta brzmiała: czternaście tysięcy funtów. Może mógłby podnieść ją do piętnastu tysięcy, ale wydawało mu się to nieco plugawe. Tak czy owak będzie miał jeszcze jedną szansę w przyszłym tygodniu, kiedy miał zwiedzić BedHiTe, „żeby zapoznać się z tym, czego się podejmował”, według słów prezesa.

W hallu, po drodze do wyjścia Nelly spytał:

— A tak przy okazji, kto mnie zarekomendował na stanowisko w radzie nadzorczej?

Brian Burford już wcześniej spodziewał się tego bezceremonialnego pytania. George Bishop wyraził się jasno: w żadnym wypadku Burford nie mógł powiedzieć, że sugestia wyszła od niego. „W żadnym wypadku”, powtórzył George. George wyjaśnił, że nie zna Nelsona Harwooda osobiście, **ale** że został on gorąco polecony przez starego przyjaciela z Cambridge. Dla Briana Burforda była to wystarczająca rekomendacja. George Bishop zajmował się ubezpieczeniami BedHiTe od dziesięciu lat i obaj mężczyźni się lubili. Ponieważ żona George'a mieszkała w ciągu tygodnia w Londynie, wieczorami musiała mu czasem doskwierać samotność. Żona Burforda lubiła George'a i regularnie spotykali się we trójkę **na** kolacji. Solidny gość z tego George'a.

George powiedział:

— O jednym musisz pamiętać: uprzedzono mnie, że Nelson Harwood odrzuci ofertę posady dyrektora, kiedy tylko się dowie, że proponujesz mu ją, ponieważ jego brat jest sekretarzem obrony. Musisz więc z nim postępować ostrożnie. My wiemy, że jego kontakt rodzinny może się przydać BedHiTe: na pewno zna ludzi, którzy wiedzą, co się dzieje w Whitehall i potrafią zdobywać kontrakty. Ale jeśli on się dowie, że interesujemy się nim ze względu na jego brata, umyje ręce. Jeśli z jakiegoś powodu sprawa rodzinnej relacji pojawi się w rozmowie, zachowuj się tak, jakbyś o niczym nie wiedział. A jeśli uważasz, że zabrzmiałoby to zbyt niewiarygodnie, udawaj, że częściowo o tym zapomniałeś. Burford spytał George'a:

— Czy fakt, że Nelson Harwood będzie naszym dyrektorem, nie oznacza, że sekretarz obrony będzie musiał brać pod uwagę interes rodzinny, kiedy przyjdzie mu zdecydować o przyznaniu kontraktu ES7?

— Właśnie dlatego, na wszelki wypadek, jak najwcześniej powinienesz uzyskać od niego słowną zgodę na przyjęcie posady, a sformalizować ją na piśmie zaraz po podpisaniu kontraktu ES7 — wyjaśnił George. — Nie ma powodu, by oczekiwać szczególnie spektakularnego publicznego oświadczenia w żadnej z tych dwóch spraw, ale nigdy nie wiadomo. Mój człowiek w Ministerstwie Obrony mówił mi, że decyzja w sprawie ES7 zapadnie wcześniej, niż oczekiwaliśmy. Twierdzi, że kontrakt może zostać podpisany, zapieczętowany i dostarczony BedHiTe dwudziestego trzeciego maja, czyli już za dziesięć dni. Dlatego musisz się spieszyć.

Kiedy zbliżali się do drzwi obrotowych wychodzących na Brook Street, Brian Burford odpowiedział na pytanie Nelly'ego:

— Twoje nazwisko pojawiło się już wcześniej. Różni ludzie z biznesu mówili, że posiadasz kwalifikacje, jakich szybko rozwijająca się firma inżynierska oczekuje od swych dyrektorów. Ta wczesna emerytura umożliwiła nam wysłanie ci zaproszenia. Ale musimy otrzymać odpowiedź w przyszłym tygodniu. Nelly nie należał do ludzi aroganckich, ale nie był

całkowicie wolny od próżności. Wiedział, że jest opanowany i godny zaufania. Stawi się na każdym z comiesięcznych zebrań, czego nie można było powiedzieć o niektórych z jego znajomych piastujących posady dyrektorskie, którzy chwalili się, że chodzą na zebrania najwyżej cztery czy pięć razy w ciągu roku. Odpowiedź Burforda wydała się Nel-ly'emu zupełnie rozsądna.

Myśl o czternastu — może piętnastu tysiącach — sprawiła, że przyspieszył kroku, idąc w stronę Bond Street w ciepłym popołudniowym słońcu. Zanim wróci taksówką do starego Rothburga, wpadnie do Sulki. Koszule Sulki miały to do siebie, że na swój drogi sposób były krzykliwe, w sam raz na wizytę w Niebie dziś wieczorem. Podchodził do kupowania koszul podobnie jak do Nieba: nie decyduj z góry, jaki chcesz kolor i krój, bo spotka cię niepowodzenie; zawsze kupuj z otwartym umysłem. Doszedłszy do Bond Street, skręcił na południe i szedł szybko dalej, gwizdząc przez zęby „Wiosnę w Górach Skalistych”.

Doskonale. — Uśmiechnął się Ben. — Co jeszcze mówił George?

— Niewiele. Nie odbywamy długich rozmów telefonicznych.

Rachel się uśmiechnęła. Lubiła George'a.

— Ważne, żeby pamiętać, że George nie jest urodzonym konspiratorem — powiedziała. — Jest dżentelmenem. Woli zachowywać się przyzwoicie. On i ja rozmawiamy o tym układzie w konkretny sposób, jakby wszystko było całkiem uczciwe.

Ben zachichotał.

— Urok tej sprawy polega na tym, że jest uczciwa, jeśli chodzi o trzech głównych uczestników. Brian Burford nie zdaje sobie sprawy z implikacji. Bracia Harwoodowie o niczym nie wiedzą. A jednak przy odrobinie umiejętności zrobimy taki smród wokół nepotyzmu, że wszyscy w Ministerstwie Obrony złapią się za maski tlenowe. Gdyby Wielka Brytania była Filipinami, nikt nie zwróciłby uwagi na to, że

jakiś minister przyznał miliardowy kontrakt firmie, z którą związana jest jego rodzina. Ale Wielka Brytania to nie Filipiny. Reagujemy żywiolowo na najdrobniejszy przejaw nepotyzmu w rządzie. — W myślach zaczął układać artykuł, który napisze do „Ramparta”.

Rachel zamyśliła się, popijając whisky.

— Co przeszkodzi Nelly'emu Harwoodowi wspomnieć bratu, że BedHiTe zaproponowała mu posadę dyrektora? Andrew dostrzeże ryzyko i uniknie go.

— Zgoda. Ale czas jest tak krótki, że musielibyśmy mieć wielkiego pecha, by Nelly miał zarówno okazję jak i ochotę rozmawiać ze starszym bratem o swoim najnowszym pomysle. Zawsze rozgrywaj karty tak, jakbyś się spodziewała powodzenia, Rachel. Ale przypuśćmy, że Nelly wypaple. W najgorszym razie Plan Numer Dwa się nie powiedzie. Według mnie jednak, musielibyśmy tylko zmienić taktykę. Roztargnionym wzrokiem spojrzął na pustą szklanekę balansującą na jego kroczu.

— Wyobraźmy sobie, Rachel, co zrobiliby Andrew, gdyby się dowiedział, że Nelly ma zostać dyrektorem BedHiTe. Mógłby polecić Cartwrightowi, by rozejrzał się za inną firmą inżynierską. Mógłby też poprosić Nelly'ego o nieprzyjmowanie posady dyrektora, chociaż takie stanowisko trudno byłoby uzasadnić człowiekowi, który cieszy się własną tłuściutką pensyjką. Albo też wystosowałyby ciche pisemne oświadczenie do Izby Gmin, informujące o kontrakcie oraz o tym, że jego brat ma wejść do BedHiTe. Każdą z tych trzech rzeczy, a ostatnia bynajmniej nie jest mniej wdzięczną okazją od pozostałych, można przedstawić w kompromitującym świetle.

Ben zmienił ton na surowy:

— Przekazanie kłopotliwej dla siebie sytuacji w formie pisemnego zawiadomienia Izby Gmin to tradycyjna metoda ministra, który znalazł się w niezręcznej sytuacji. W ten sposób chroni się przed ewentualną przyszłą krytyką, przy czym nikt tak naprawdę nie zwraca uwagi na to, co minister powiedział. Ale my zwrócimy uwagę. I nie mamy zamiaru dopuścić, by sekretarz obrony wywinął się dzięki tej niezdarnej sztuczce. Rachel wyciągnęła rękę i położyła ją Benowi na udzie.

Zwróciła twarz ku jego grubo ciosanemu profilowi; leżał wsparty na poduszkach po swojej stronie łóżka. Wybuchnęła śmiechem.

— Uwielbiam, kiedy zaczynasz pisać artykuł w samym środku rozmowy.

Ben uśmiechnął się szeroko. Pili whisky.

— Pani premier potrafi być bardzo lojalna, kiedy członek rządu staje się obiektem ataku ze strony prasy — zauważyła Rachel.

— To nie przeszkodziło mi wykopać sekretarza zdrowia z jego ciepłej posadki. — Ben zachichotał na myśl o swej nieszczęsnej ofierze, przeniesionej na dalsze ławki parlamentu. — Kiedy jednego z twoich kolegów przedstawia się ciągle jako przemykającego od jednego podejrzanego epizodu do drugiego, pani premier będzie musiała dojść do wniosku, bez wątpienia niechętnie, że taki minister grozi nieszczęściem i jego użyteczność, w każdym razie na dotychczasowym stanowisku, się wyczerpała.

— Szkoda, że nie możesz udowodnić, że Andrew nadużył swego stanowiska.

— Powiedziałem ci, Rachel: zawsze rozgrywaj karty tak, jakby miało ci dopisać szczęście. BedHiTe to dobra karta. Jeśli nie zdołamy wykazać nadużyć urzędu, mamy w zanadrzu inne sztuczki.

Zobaczysz. Istnieje tyle skórek od bananów, na które może nadepnąć Andrew Harwood, i to nieważne, że „Rampart” rozsypał je na jego drodze, że w końcu ludzie powiedzą: „Na miłość boską, czy naprawdę potrzebujemy sekretarza obrony, który jest tak podatny na wypadki?”

Rachel uśmiechnęła się.

— Przystanę na to, by Andrew Harwooda przeniesiono na mniej odpowiedzialne stanowisko, jeśli tylko usuniemy go z Ministerstwa Obrony i wprowadzimy tam ciebie — oświadczył Ben.

Zauważywszy, że szklanka Bena jest pusta, pani sekretarz przemysłu podniosła ją, spuściła nogi z łóżka, drugą dłonią podnosząc swoją prawie pustą szklankę.

— Moja kolej — powiedziała.

Czy jest pan zadowolony z przedstawionej przez Cart-wrighta rekomendacji BedHiTe do kontraktu ES7? — spytał Austin Barthmore.

Andrew przypalił sobie papierosa i z trzaskiem zamknął zapalniczkę.

— Trudno krytykować jego streszczenie warunków firmy. Zaaprobowałem rekomendację: parafowałem ją przed godziną.

Podsekretarz pił wieczornego drinka z ministrem — cotygodniowy zwyczaj, pozwalający Andrew na pewne pilnowanie urzędników, których opinie docierały do niego codziennie. Zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym.

— Szkoda, że musimy już podejmować decyzję, przed poznaniem, raportu w sprawie Raidera. Do tego ostatniego nieszczęśliwego wydarzenia nasza współpraca ze Stockton układała się wyśmienicie.

— Zgadzam się. Jednak ponieważ program ES6 został wstrzymany do czasu wydobycia Raidera, nie mieliśmy innego wyjścia, jak rozpocząć ES7. Czułeś, podobnie jak ja, że nie możemy go przyznać Stockton, skoro nie wiemy jeszcze, dlaczego ten pilot został żywcem obdarty ze skóry.

Andrew zmarszczył brwi. Kilku korespondentów do spraw obrony dowiedziało się o stanie ciała, które zostało wyrzucone przez poszarpany otwór w wykonanej z włókna szklanego pokrywie kabiny Raidera. Jednak nawet „Rampart”, pełniący funkcję gazety rodzinnej, powstrzymał się

od podania pełnego opisu ciała, które pasterz znalazł przywiązane do poszarpanego spadochronu.

Barthmore mówił znowu w swym tradycyjnym, wyzbytym emocji stylu.

— Najnowsze badania przeprowadzone w BedHiTe wskazują, że ta firma jest w stanie produkować bardziej nowoczesne komponenty, niż ktokolwiek mógł przypuszczać cztery lata temu, kiedy zrodził się cały program.

— Tak.

Swoim zachowaniem Barthmore rzadko dawał do zrozumienia, że zauważył irytację ministra, ale jego słowa wskazywały, że jest jej świadom.

— Tak się składa, panie ministrze, że wolałbym, abyśmy nie przyznawali kontraktu firmie promowanej przez naszych przyjaciół z Ministerstwa Przemysłu. Zawsze odczuwa się opór przed wpływami z innych departamentów. Jak pan wie, Martin Thrower odpowiedział dość ostro na apel ze strony prywatnego biura Rachel Fisher. Niestety Cartwright dowiedział się, że oferta BedHiTe jest przekonująca, a ja nie mogłem znaleźć w jego rozumowaniu żadnych niedociągnięć. Od ośmiu lat jest naszym specjalistą od negocjacji w dziedzinie aeronautyki.

— Tak więc wygląda sprawa.

Zaczęli omawiać zebranie z generałami, które odbyło się tego popołudnia.

W piątek korespondenci do spraw obrony otrzymali z biura prasowego Ministerstwa Obrony rutynową ulotkę informującą, że kontrakt na komponenty do ES7 przyznano Bedfordshire High Tech. Podczas weekendu gazety zamieściły krótkie, rzeczowe relacje. Równie bezosobowa notatka napisana do „Ramparta” przez reportera od spraw obrony przeszła prawdopodobnie nie zauważona przez większość czytelników.

W poniedziałek Nelly Harwood podpisał pięcioletni kontrakt, na mocy którego zostawał dyrektorem BedHiTe, z wynagrodzeniem piętnastu tysięcy funtów rocznie, rewaloryzowanym odpowiednio do inflacji. Z zadowoleniem

spozregł, że kontrakt obowiązuje od zeszłego poniedziałku, kiedy to pod koniec swej wizyty w BedHiTe oświadczył Brianowi Burfordowi, że z radością zostanie dyrektorem. To zawsze dobry znak, kiedy firma robi na początku hojny gest. A blisko trzysta funtów tygodniowo za słodkie nicnierobienie to suma nie do pogardzenia.

Zawsze najbardziej lubiła się kochać po południu.

Uwielbiała wszechogarniającą rozkosz, którą popołudnie pozwalało przeciągać. Uwielbiała sposób, w jaki przyjemność - ich wspólne pragnienie, by podtrzymywać jej intensywność — barwiła wszystko inne w ich życiu, niezależnie od tego, czy inne rzeczy także były wspólne czy nie. Uwielbiała poczucie, że znajdują się w oazie, odcięci od reszty świata.

Wszystkie te doznania wzmacniał fakt, że nie była to noc ani poranek, ale cudne, cudne sobotnie popołudnie.

Rozłożyła nogi, częścią świadomości rejestrując lazurowe niebo za oknem sypialni, kiedy on nachylił się nad nią.

Kiedy Daisy leżała z Andrew w łóżku w Stony Farm, Ben redagował artykuł reportera od spraw obrony. Artykuł miał się znaleźć na zaszczytnym miejscu pod nagłówkiem: *Brat sekretarza obrony może czerpać korzyści z kontraktu przyznanego przez Ministerstwo Obrony.*

„Rampart” jest w posiadaniu fotokopii dwóch dokumentów sugerujących istnienie związku między bratem sekretarza obrony a przyznaniem Bedfordshire High Tech kontraktu Ministerstwa Obrony. Pierwszy dokument ujawnia, że 20 maja pan Nelson Harwood, młodszy brat sekretarza obrony, pana Andrew Harwooda, został mianowany dyrektorem Bedfordshire High Tech, firmy aeronautycznej, której dotychczas nie udało się wejść do pierwszej ligi kontraktów dla obrony. Pan Nelson Harwood otrzyma wynagrodzenie 15000 funtów rocznie za okresowe branie udziału w posiedzeniach rady nadzorczej. O ile można ustalić na podstawie ogólnodostępnych akt, pan

Nelson Harwood nie posiada żadnego doświadczenia w pracy w przemyśle aeronautycznym. Drugi dokument ujawnia, że trzy dni od rozpoczęcia wypłacania wynagrodzenia panu Nelsonowi Harwoodowi, pan Andrew Harwood przyznał BedHiTe kontrakt wartości miliarda funtów na komponenty do programu ES7.

Przyznanie prestiżowego programu ES7 poprawi niewątpliwie pozycję i zwiększy zyski BedHiTe; obie te rzeczy spotkają się z zadowoleniem dyrektorów firmy, w tym dyrektora, którego nominacja zbiegła się z przyznaniem kontraktu.

„Rampart” zamieszczał też zdjęcie kontraktu zawartego między BedHiTe i Nelsonem Harwoodem, datowanego 20 maja i podpisanego przez Nelsona Harwooda. Obok kontraktu zamieszczono fotografię notatki przesłanej z sekcji F na ręce sekretarza obrony. Na marginesie, obok streszczenia Charlesa Cartwrighta Andrew napisał czerwonym atramentem przy nazwie Bedfordshire High Tech: *Myślę, że BedHiTe jest najlepsza.* Dokument, w którym wyrażał zgodę, nosił datę 23 maja.

Upewniwszy się, że artykuł przeznaczony na pierwszą stronę nie zawierał śladów obmowy, naczelny prawnik „Ramparta” go zaaprobował. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że ministrowie wytaczali procesy sądowe tylko wtedy, kiedy następowało przeinaczanie faktów, a nie wtedy, gdy wymowa artykułu wprowadzała czytelników w błąd. Prawnik skupił się na nie podpisanym artykule wiodącym redaktora: Ben Franwell jak zwykle zatrzymał się o cal przed zniesławieniem.

Artykuł pojawił się pod nagłówkiem: *Co mamy myśleć?*

W obliczu niezwykłych zgonów, jakie na początku tego roku miały miejsce w Stockton Air Space, a także niedawnej, okrutnej i nie wyjaśnionej śmierci pilota testującego nowy model Raidera dla programu ES6, „Rampart” sugerował, by lukratywny kontrakt do programu ES7 przyznano innej brytyjskiej firmie specjalizującej się w zaawansowanych technologiach aeronautycznych.

Wymieniliśmy Bedfordshire

High Tech jako firmę, którą należy wziąć pod rozwagę. Jej ostatnie osiągnięcia czyniły ją poważnym konkurentem. Wydawało się nam też, że kontrakty Ministerstwa Obrony przyznawane są zgodnie z interesami tego narodu.

Nie przyszło nam na myśl, że dopiero po mianowaniu brata sekretarza obrony na stanowisko dyrektora BedHiTe sekretarz obrony przyzna kontrakt tej właśnie firmie.

Andrew i Nelsonowi Harwoodom dany był przywilej wychowania angielskich dżentelmenów. W tej elicie zawsze itniała grupa stawiająca interesy własnej klasy ponad dobrem ogółu. Z radością powitalibyśmy oświadczenie Andrew Har-wooda, że ani on, ani jego brat nie należą do tej grupy.

Andrew Harwood jest bowiem ministrem Korony. Jego wysokie wynagrodzenie, armia współpracowników, samochód, podróże międzynarodowe, czasami w towarzystwie żony rzeź-biarki, znaczna część jego rozrywek — wszystko to finansowane jest z kiesy publicznej. A wart miliard funtów kontrakt między Ministerstwem Obrony a BedHiTe? Zostanie sfinansowany z tej samej kiesy publicznej, inaczej mówiąc przez was.

Co mamy myśleć o braciach Harwood?

W Stony Farm dzieci poszły na górę do łóżek. Podobnie jak większość rozsądnych *aupair* Ingrid wolała w weekendy zostawać w Londynie. Daisy i Andrew siedzieli przy ogniu trzaskającym wesoło w kominku w małym gabinecie. Daisy podwinęła nogi; czytała powieść Petera Careya. Jeden z czerwonych neserów stojących na podłodze obok krzesła Andrew był otwarty; relaksowało go wieczorne czytanie, które nazywał „łatwym”. Zadzwoił telefon rządowy.

Daisy spojrzała na Andrew, a on na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Podniósł słuchawkę czerwonego telefonu stojącego obok na stole.

- Tak?

— Tu Martin. Przepraszam, że niepokoję pana tak późno, panie ministrze. Właśnie dzwonił do mnie urzędnik dyżurny. Stowarzyszenie Prasy usiłuje się z panem skontakt-

tować. Na Cheyne Street nikt nie odpowiada. W SP mają pański numer w Waymere, ale najwyraźniej jest zepsuty.

— Godzinę temu odłożyłem na bok słuchawkę, żeby spędzić z żoną spokojny wieczór.

— Przepraszam, panie ministrze. Ale może zechce pan złożyć SP jakieś oświadczenie w sprawie jutrzejszego artykułu w „Ramparcie”. Pierwsze wydanie pojawiło się już na West Endzie. Ludzie z SP przesłali mi artykuł faxem. Czy mam go panu przeczytać?

— O czym on jest?

— O kontrakcie BedHiTe. Najwyraźniej pana brat został w zeszłym tygodniu dyrektorem BedHiTe.

— Co?

— „Rampart” poszedł na całość.

— Lepiej mi to przeczytaj. Czy ten artykuł jest długi? Daisy odłożyła książkę na poręcz krzesła i przyglądała się mężowi, podpierając dłonią podbródek.

— Jest notatka na pierwszej stronie i artykuł redakcyjny — odparł Martin Thrower.

— Lepiej zapalę papierosa. Poczekaj. Zaciągnąwszy się głęboko papierosem Andrew powiedział:

— Zaczynij może od pierwszej strony.

Daisy wstała z krzesła, wzięła jego pustą szklankę i poszła do kuchni, żeby nalać lekkiego drinka. Wcześniej zapowiedział, że pierwszy będzie jednocześnie ostatnim, jako że zamierzali położyć się wcześniej. Postawiła drinka obok Andrew, wróciła na krzesło i dalej mu się przyglądała. Milczał, gdy Martin czytał mu artykuł z „Ramparta”. — Czy to wszystko?

— Tak.

— Pozwól mi się chwilę zastanowić, Martin.

Powoli pociągnął ze szklanki i odstawił ją z powrotem na stół.

— Czy mógłbyś przeczytać mi jeszcze raz początek tego artykułu z pierwszej strony?

Martin Thrower zrobił to. Po pierwszych czterech zdaniach Andrew powiedział:

261

— Dobrze. Martin czekał.

— Martin, nie odłożę słuchawki zwykłego telefonu na widełki. Czy możesz zadzwonić do mnie jutro z rządowego? O dziewiątej. Teraz zadzwonisz do dyżurnego i powiesz, że nie udzielę żadnego komentarza.

— Tak.

— Wobec tego dobranoc.

Andrew odłożył słuchawkę rządowego telefonu. Jego krótki, cichy śmiech nie brzmiał wesoło.

— Co się stało? — spytała Daisy.

— Ten sukinsyn Franwell nie wierzy chyba w swoje pieprzone szczęście. Nelly został dyrektorem firmy, która właśnie dostała olbrzymi kontrakt od Ministerstwa Obrony.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Franwell skomponował jeden ze swych najlepszych aluzyjnych artykułów, w którym daje do zrozumienia, że znaczy to bardzo wiele. Spojrzał na zegarek.

— Pamiętasz numer Nelly'ego? Jest zastrzeżony, prawda?

— 730—1001. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego jest zastrzeżony. Myślisz, że go zastaniesz w sobotni wieczór? Andrew nie odpowiedział. Podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, ale zamiast wcisnąć guzik uniemożliwiający podsłuch, nakręcił numer zwyczajnie. Po siódmym sygnale rozległ się zupełnie przytomny głos Nelly'ego. — Halo?

— Tu Andrew. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Jesteś sam?

— Niezupełnie. Ale można powiedzieć, że jestem sam w sensie duchowym. Poczekaj sekundkę. Daisy nie potrafiła odczytać z twarzy Andrew jego uczuć. Irytacja? Dystans? Rezygnacja?

— Już jestem — odezwał się Nelly.

— Jeśli jacyś z naszych cudownych dziennikarzy zdobędą twój zastrzeżony numer, czeka cię niespokojny wieczór. Kiedy zostałeś dyrektorem BedHiTe?

- Sfinalizowałem to kilka dni temu. Dlaczego?
- Od jak dawna masz z nimi do czynienia?
- To zależy od definicji. Mniej więcej dwa tygodnie temu prezydent BedHiTe podjął mnie wspaniałym lunchem w Claridge'u. Przypominam sobie, że byłem całkiem zadowolony, że wybrał szczególnie przyjemną butelkę Cios de la Roche. Rocznik 1979. Potem pojechałem do Bedfordshire, żeby rozejrzeć się po firmie. Następnie przysłali mi kontrakt, który sympatycznie datowali wstecznie do dnia naszej słownej umowy. Jak na razie tyle mam z nimi do czynienia.
- A prezes BedHiTe? Na pewno spytałeś go, kto cię zarekomendował.
- Powiedział, że moje nazwisko pojawiało się już wcześniej, że różni ludzie twierdzili, że posiadam właściwe kwalifikacje na dyrektora rozwijającej się firmy.
- Czy wspomniał ci o negocjacjach, jakie prowadzili z Ministerstwem Obrony od ponad roku?
- Ani słowem.
- Nic o programie ES7?
- *De nada.*
- A może czytałeś w zeszły piątek o tym, że Ministerstwo Obrony przyznało BedHiTe kontrakt na program ES7? — Nie. Ale ja nie czytam gazet tak systematycznie, jak może powinienem. O co chodzi? — Redaktor „Ramparta” napisał artykuł, w którym daje dość jasno do zrozumienia, że BedHiTe mianowało cię dyrektorem, ponieważ ty i ja umówiliśmy się, żeby przyznać BedHiTe kontrakt ES7. — Co za zuchwałość. Andrew po raz pierwszy uśmiechnął się blade.
- Można to tak nazwać.
- Andrew, czy masz w związku z tym kłopoty? Wolną ręką Andrew zapalił nowego papierosa.
- Słuchaj, Nelly, przepraszam, że cię zanudzam, ale omówmy to jeszcze raz. Czy to ty zwróciłeś się do BedHiTe, czy oni do ciebie? — Napisali do mnie. Zwalniała się u nich posada dyrektora. Spotkałem się z tym prezydentem na lunchu, żeby

omówić sprawę. Później pojechałem do Bedfordshire, żeby „się zapoznać”, jak to nazywają. To spora organizacja. Budynki z małymi maszynami, które migają światłkami i brzęczą. Obsługa ubrana na białe. W innych budynkach stoją znacznie większe urządzenia.

— Czy wyjaśnili, dlaczego zaproponowali ci stanowisko dyrektora? Elektronika nie jest raczej twoim hobby, co? — Wiem o niej tyle co o przemyśle drzewnym, czyli okrągłe zero. Nie przeszkadza mi to być dyrektorem przedsiębiorstwa drzewnego. Ten gość z BedHiTe powiedział, że słyszeli o mnie i proponują 14 000 funtów za podjęcie się tej pracy Herkulesa.

— 15000.

— Na tym w końcu stanęło.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli zdobędziesz wczesne wydanie „Ramparta”, wyszedł już na West Endzie, a później zadzwonisz z samego rana do tego prezesa BedHiTe, bez względu na to, gdzie spędza ten weekend. Zapytaj go, w jaki sposób twój kontrakt i dokument Ministerstwa Obrony dostały się do „Ramparta”. Spytaj go, co, do cholery, knuje. Potem zadzwoń do mnie. Skorzystaj z linii rządowej; znasz numer. Normalny telefon wyłączyłem. Wiem, że jest niedziela, ale czy mógłbyś to zrobić przed ósmą trzydzieści? Muszę coś powiedzieć cholernym dziennikarzom, choćby: „Bez komentarza”. Muszę wiedzieć, co ci powiedzieli w BedHiTe, zanim będę mógł porozmawiać z Ministerstwem Obrony. Jak się nazywa ten prezes? — Brian Burford. Andrew zapisał nazwisko.

— Czy wspominał coś o Charlesie Cartwrighcie?

— Nigdy o nim nie słyszałem. Co mam powiedzieć dziennikarzom, jeśli zdobędą mój numer?

— Zastanówmy się chwilę.

Andrew zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym go zgasił. Nie patrzył na Daisy: nie chciał się rozpraszać.

— Powiedz im, że nie czytałeś jeszcze artykułu i żeby zadzwonili do ciebie rano. Potem nie odkładaj słuchawki na widełki. Ale, na miłość boską, pamiętaj, żeby zadzwonić do mnie o ósmej trzydzieści.

— Czemu nie mogę im powiedzieć prawdy, że dopiero teraz się dowiaduję o kontrakcie Ministerstwa Obrony?

— Możliwe, że będziesz musiał. Ale poczekaj z tym. Może się wydać dziwne, że zostajesz dyrektorem firmy, z całkiem przyzwoitą pensją, a nie wiesz nic o największym pieprzonym kontrakcie, jaki pewnie kiedykolwiek negocjowali.

— Rozumiem, co masz na myśli. Przez chwilę obydwaj bracia milczeli.

— Strasznie mi przykro, Andrew, jeśli wpadłeś przeze mnie w to bagno — powiedział wreszcie Nelly.
- Nie miałem pojęcia.

— Wiem, Nelly. Zadzwoń do mnie o ósmej trzydzieści, nawet jeśli nie będziesz miał mi wiele do powiedzenia. Dobranoc.

Spojrzał na Daisy. Siedzieli w milczeniu.

— To cholernie głupia sprawa.

— Czy wpłynie jakoś na twoją pracę?

— Trudno stwierdzić. Nelly nie zrobił nic złego. O ile wiem, nie można mi zarzucić korupcji. A jednak w tego rodzaju sprawach zaprzeczenia często podtrzymują szum.

Znowu zamilkł.

— Premierzy rzadko wyrzucają kogoś z powodu wypadku, który został później rozdmuchany przez prasę. Ale muszę przyznać, że to dość niestrawne czytać, że ja i członkowie mojej rodziny jesteśmy zamieszani w aferę łapówkową.

Ponownie zamilkł.

— Muszę przyznać, że jak na wydarzenia jednego tygodnia, to dość uderzający zbieg okoliczności — stwierdził.

— Co takiego?

— Nelly podpisuje kontrakt z BedHiTe. Moje ministerstwo przyznaje kontrakt BedHiTe.

Znowu zapadła cisza.

Po chwili Daisy wstała i dołożyła nowe polano do ognia, który prawie wygasł.

— Może idź się położyć, Daisy. Ja się jeszcze trochę pokręcę. Zapalę papierosa. Nie czekaj na mnie.

— Spojrzał na żonę. — I nie martw się. Przypuszczam, że rano cała sprawa wyda się mniej groźna.

35

O ósmej trzydzieści rano, mimo niedzieli, reporter polityczny lokalnej gazety w towarzystwie fotoreportera zadzwonił do drzwi. Reporter wyjaśnił Daisy, że nie mogli wcześniej zatelefonować, ponieważ telefon państwa Har-woodów był ciągle zajęty.

- Och, mój mąż nie jest w tej chwili osiągalny. Może mogliby panowie wrócić po lunchu?

Dwaj mężczyźni cofnęli się do drewnianej bramy przy wejściu do Stony Farm i stanęli tuż za nią.

Daisy widziała ich z okna kuchni.

Do kuchni weszła Sophie, ciągle w piżamie.

- Czy wszyscy wiedzą, że słuchawka telefonu w salonie nie została z powrotem położona na widełki?

— spytała. Ond i Matty wiedzieli, że nie wolno im dotykać rządowego telefonu w gabinecie, ale wiedzieli też, że nie powinni sądzić, że zwykły telefon został rozłączony przez pomyłkę.

- Niech tak zostanie — odparła Daisy. W drzwiach kuchni stanął Andrew.

- Lepiej nie podchodź do okna, tato. Przy bramie stoją jakieś maty. Myślę, że chcą z tobą mówić.

Andrew posłał córce słaby uśmiech.

- Cała ta historia jest bardzo dziwna - powiedział do Daisy. - Nelly mówi, że Brian Burford, prezydent BedHiTe, jest całkowicie zaszokowany artykułem „Ramparta”. Zapewnił Nelly'ego, że nie ma pojęcia, jak fotokopia kontraktu

mogła wpaść w ręce Franwella. Ludzie z BBC zwrócili się już do Nelly'ego i Burforda.

— Czy prezydent BedHiTe zmartwił się artykułem? — spytała Daisy.

— Nelly mówi, że jest przerażony. Ale nie w tym rzecz. Pojawił się Matty.

— Tato, w twoim gabinecie dzwoni telefon rządowy. Andrew wrócił do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Kiedy po dwudziestu minutach wszedł z powrotem do kuchni, Sophie i Matty stali przy oknie.

— Naliczyłem ośmiu facetów — pochwalił się Matty. — I sześć kamer.

— Czy wiedziałeś, że Denis stoi teraz przed wejściowymi drzwiami? — spytała Sophie.

Daisy piła kawę z dużego kubka. Siedziała przy dużym stole, zasłanym niedzielnymi gazetami; „Rampart” był nie tylko zmięty, ale także upačkany marmoladą, którą Matty zamierzał rozsmarować na grzance. — Tato, czy wujek Nelly zrobił coś złego? — spytał.

— Nie. Ale dziwny łańcuch wydarzeń wskazuje na to, że on i ja zmówiliśmy się, żeby przyznać duży kontrakt firmie o nazwie BedHiTe.

— „Rampart” pisze...

— Sophie, „Rampart” jest osobiście zainteresowany w zniszczeniu twojego ojca. „Rampart” tylko udaje, że uważa, jakoby Andrew i Nelly popełnili jakieś ohydne przestępstwo.

— Kłopot w tym, Sophie, że ten zbieg okoliczności jest niezwykle niewygodny — dodał Andrew. Zwrócił się do Daisy:

— Dzwonił Martin Thrower. Kazałem mu ściągnąć Barthmore'a i Cartwrighta do ministerstwa na czwartą. Spotkam się tam z nimi. Martin poprosił już Olliego, żeby przyjechał tu o jedenastej, na wypadek gdybym zechciał wrócić do Londynu wcześniej, niż planowaliśmy. Wy troje musicie jakoś sobie radzić. Na waszym miejscu wyniosłbym się stąd, zanim przy bramie zgromadzi się więcej dziennikarzy.

— Co mam mówić, jeśli poproszą nas o komentarz? — Chciała wiedzieć Sophie.

— Nie mów nic. Tylko się uśmiechaj — poradził Andrew.

— Mama i Sophie mogą to robić — zauważył Matty. — Ja wyglądałbym głupio, gdybym się ciągle uśmiechał, kiedy oni będą zadawać pytania.

— Matty, to jest ponížanie naszej płci — stwierdziła Sophie. — Skoro ja mogę się do nich uśmiechać, to ty też.

Daisy i Andrew poszli na górę, gdzie zaczął się pakować. Zwykły telefon pozostawał rozłączony.

Kiedy o czwartej Daisy wjechała Volvo w Cheyne Street, na chodniku przed ich domem tłoczyli się dziennikarze i kamerzyści, z których większość przejawiała świąteczny nastrój.

— Używają naszych schodów jako stołu piknikowego — zauważyła Sophie. — Nie spiesz się, mamo. Nikt nie potrafi zaparkować za pierwszym razem, kiedy dookoła stoi banda gapiów. Nie dotkniesz tego samochodu przed nami: masz mnóstwo miejsca.

— Nie zapominaj się uśmiechać — przypomniał Matty. Stojący pod klonem dwaj mężczyźni w lekkich anorakach

podnieśli kamery na prawe ramię, kiedy trójka Harwoodów wysiadła z samochodu i zaczęła wyjmować rzeczy z bagażnika.

— Pani Harwood, czy pani mąż złoży dziś oświadczenie?

— Od jak dawna wiedziała pani, że pani szwagier jest związany z BedHiTe, pani Harwood?

— Pani Harwood, co pani czuje w stosunku do ludzi, którzy mówią, że pani mąż pomagał bratu, kiedy przyznał kontrakt BedHiTe?

To zabawne, pomyślała Daisy, patrząc na młodą dziennikarkę, która zadała ostatnie pytanie: zawsze się dziwię, kiedy inna kobieta wykazuje taką intuicję.

— Do widzenia, przyjaciele — pożegnała dziennikarzy Sophie, uśmiechając się, póki nie zamknęła drzwi. — Głaby. Mogliby się zająć czymś pożyteczniejszym.

Ingrid zeszła po schodach.

— Co się dzieje? Kiedy przyszedłam do domu godzinę temu, zasypali mnie pytaniami.

— To wszystko przez artykuł w porannej gazecie. O tacie — wyjaśnił Matty. — Co im powiedziałaś?

— Że o niczym nie wiem, bo tylko mieszkam na górze. Daisy uśmiechnęła się słabo.

— Proszę wszystkich o nie zbliżanie się do okien od frontu.

Charles, czy mógłby pan wyjaśnić tę sprawę? - Andrew wciąż miał na sobie zblakłą koszulę i tweedowe spodnie, ale założył krawat. Siedział za biurkiem. Przed nim na krzesłach z niebieskiej skóry siedzieli Barthmore i Cartwright. Martin Thrower siedział oddzielnie — niemal obok biurka, tak że jak zwykle nie znajdował się ani po stronie urzędników państwowych, ani po stronie ministra. Błada twarz Charlesa Cartwrighta była bez wyrazu. Czasami, kiedy znajdował się w stanie stresu, tuż pod lewym okiem pojawiał się tik. Ministrowie mogli przyjmować wszystkie niedbałe pozy, na jakie im tylko przyszła ochota — wspierać się na łokciach, z głową przekrzywioną na dowolną stronę, z twarzą parodiującą wyraz skupienia; gdyby jakiś nerw drgał im pod okiem, mogli zasłonić go dłonią, póki się nie uspokoił. Urzędnik musiał siedzieć poprawnie, z całą twarzą odsłoniętą. Cartwright był przekonany, że zawsze wyczuwał początek tiku. Na razie nie czuł nic.

— Jak panu wiadomo, ministrze, kłopot z każdym dokumentem polega na tym, że niezależnie od tego, jak skrupulatnie będziemy nadzorować fotokopiarki, dokument można wynieść z budynku i skopiować gdzie indziej, jeśli któryś z członków biura podejmie się tak nieprzyjemnego zadania.

— Czy przychodzi ci na myśl, kto mógłby się podjąć tego, jak to określiłeś, nieprzyjemnego zadania?

— Andrew musiał przypomnieć sobie, że chemiczna reakcja zachodząca

między nim a szefem sekcji F mogła zaćmić jasność jego osądu. Gdyby ktokolwiek inny użył tego określenia, Andrew nie zwróciłby pewnie uwagi.

— Nie mam pojęcia, panie ministrze. Jutro rano zaczniemy badać tę sprawę.

— Charles, ile zrobiono fotokopii dokumentu, który przesłano ministrowi? — spytał Barthmore.

— O ile mogłem ustalić po pańskim telefonie dziś rano, dwie, sir. Całej sytuacji nie sprzyja fakt, że moja sekretarka postanowiła wybrać się w ten weekend do Paryża. Kiedy wróci do pracy jutro rano, będę mógł udzielić panu bardziej zdecydowanej odpowiedzi.

— Charles, jakie warunki muszą zostać spełnione, żeby biuro robiło kopię dokumentu po tym, jak minister zatwierdził go czerwonym długopisem?

Barthmore wpatrywał się w swego podwładnego, a jego twarz pozostawała jak zwykle nieprzenikniona.

— Taka sytuacja normalnie nie powinna mieć miejsca, sir. — Cartwright wolałby mieć całkowitą pewność, że tik nie stał się widoczny.

— Czy przychodzi ci na myśl, jaką korzyść mogłaby odnieść BedHiTe z przesłania „Rampartowi” kopii ich kontraktu z moim bratem? Przecież zamieszanie[^] jakie z tego wynikło, mogłoby zagrozić ich kontraktowi z Ministerstwem Obrony.

Cartwright zmusił się, by patrzeć ministrowi w oczy: kontakt wzrokowy dowodził pewności.

— Moglibyśmy znaleźć się w trudnej sytuacji, panie ministrze, gdybyśmy anulowali kontrakt. O ile nie uda się udowodnić, że prezydent BedHiTe albo inny członek rady nadzorczej jest odpowiedzialny za ten przeciek, mogą nam wytoczyć proces nie tylko o zerwanie kontraktu, ale także o szkody, jakie poniosła reputacja BedHiTe. Przez minutę nikt się nie odzywał. Andrew i podsekretarz nie spuszczaali wzroku z Cartwrighta. Cartwright wpatrywał się w Andrew. Martin Throver podniósł wzrok znad notatek i przyglądał się pozostałej trójce.

— Ponieważ wygląda na to, że przed dniem jutrzejszym

nie dowiemy się niczego nowego, możemy na dzisiaj zakończyć — oświadczył Andrew. — Austin, czy mógłbyś zostać jeszcze na pięć minut?

Cartwright i Barthmore wstali, skinęli głowami ministrowi i podsekretarzowi, po czym wyszli z gabinetu.

Andrew i Austin Barthmore nadal milczeli.

Wreszcie Barthmore powiedział:

— Wiem, że ta pedantyczna poza jest irytująca, ale to dobry pracownik. Będziemy musieli jeszcze o tym porozmawiać, ale sądzę, że najlepiej się stanie, jeśli zastąpimy Cartwrighta kimś tej samej rangi. Chciałbym się nad tym zastanowić. Sekcja F wymaga wysoko wyspecjalizowanego człowieka.

Andrew zapalił papierosa, wypuścił wąską smużkę dymu i patrzył, jak się rozwiewa.

- Spotkamy się rano, Austin. Przykro mi, że twój dzień został zmałowany razem z moim, nie wspominając już o mojej rodzinie. Przypuszczam, że po powrocie ze wsi musieli stanąć pod pręgierzem.

Barthmore posłał mu swój enigmatyczny uśmiech. Obydwaj mężczyźni wstali.

Ponieważ była niedziela, Charles Cartwright musiał czekać piętnaście minut na pociąg w kierunku zachodnim na stacji metra Westminster. Co pewien czas podnosił w górę zgrabną dłoń i środkowym palcem dotykał powieki. Drgała teraz mocno.

Wagon był prawie pusty. Rozmyślając, wpatrywał się roztargnionym wzrokiem na czerwony przycisk alarmu. Czy zrobił coś niemoralnego? Po przeanalizowaniu faktów także jego można uznać za niewinnego. To prawda, kiedy do biura wrócił dokument z decyzją ministra o przyznaniu kontraktu BedHiTe, z czerwonym dopiskiem Harwooda na marginesie, Cartwright zabrał go ze sobą, kiedy wyszedł na lunch. Po zrobieniu dwóch kopii w sklepie papierniczym, złożył je i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wróciwszy do biura nieco wcześniej, dołączył oryginał do

odpowiednich akt ES7. Jego sekretarka zabrała je razem z innymi aktami o czwartej trzydzieści. Tego wieczoru, w swym mieszkaniu w Eeling, drobnym, zgrabnym piśmie drukowanym zaadresował kopertę do Benjaminu Franwella, oznaczając ją jako prywatną i poufną, nie dołączając żadnej notatki. Następnego ranka wrzucił ją do skrzynki przy stacji metra Westminster. Następnego dnia rano Franwell zadzwonił do niego, żeby podziękować. Wieczorem, po powrocie do domu, Cartwright zniszczył drugą kopię.

Jadąc dalej na zachód linią District, mimowolnie pytał samego siebie, dlaczego był taki skory do przypodobania się Benjaminowi Franwellowi. Dlaczego jemu, Charlesowi Cartwrightowi, miały schlebiać atencje redaktora „Ramparta”? Czy miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, że szef kelnerów w restauracji hotelu Savoy okazywał mu wyjątkowy szacunek? Czy chodziło może o to cudowne poczucie władzy, jakie rodziło się z faktu, że jest w stanie wyrządzić krzywdę swemu politycznemu przełożonemu? Andrew Harwoodowi były na początku dane przywileje, które on, Charles Cartwright, musiał sam sobie wywalczyć. Mało tego, im wydajniej pracował w sekcji F, tym większy splendor spływał na ministra.

Zresztą jak skopiowanie dokumentu, który przecież on sam doradził sformułować, można uznać za niemoralne, nie mówiąc już o nielegalności? Chodziło mu tylko o to, by całkowicie zwyczajny dokument został udostępniony „Rampartowi”. Wszystkim — z wyjątkiem ministrów — zależało na bardziej otwartym rządzie. Prasa brytyjska od lat prowadziła kampanię w tej sprawie. W Stanach Zjednoczonych od 1966 roku obowiązywało Prawo swobody informacji, a od 1974 ustawa o jeszcze szerszym zakresie. Gdyby ktoś zastanowił się nad jego czynem, doszedłby do wniosku, że Cartwright postąpił zgodnie z duchem czasów.

Co się tyczy luksusowego urlopu na koszt „Ramparta”, co w tym złego? Ministrowie stale odbywają luksusowe podróże za pieniądze podatników takich jak on. Żaden podatek nie będzie pokrywał kosztów jego trzytygod-

niowego pobytu w rajach Indii Zachodnich. Skoro „Rampart” zechciał opłacić mu tę wycieczkę, to jego sprawa. Gdyby miał żonę, rachunek byłby dwa razy wyższy, więc „Rampart” powinien uważać się za szczęściarza.

Dotknął policzka tuż pod lewym okiem. Drobne drganie ustało. Kiedy pociąg zaczął zwalniać, wyrzwał przez brudne okno: Turnham Green. Jeszcze dwie stacje. Lubił Ealing Common. Dobrze będzie wrócić do domu. To śmieszne, że minister nie mógł się wstrzymać z tym zebraniem do poniedziałku. Niczego nie osiągnął rozbijając w ten sposób niedzielne popołudnie. Ciekawe, czy podsekretarz także uważa ten pomysł za głupi wybryk, mający na celu wyłącznie „uspokojenie ministra”.

Wyciągnął lewą rękę, odwracając przegub do wewnątrz, żeby spojrzeć na zegarek. Tuż po szóstej. Jego matka zawsze powtarzała: „Masz piękne dłonie, Charles”. Po powrocie do domu zrelaksuje się przeglądając broszury, które wziął z trzech różnych biur podróży.

W gabinecie w ceglany domu w Bedford Forge siedział samotnie z niedzielnymi gazetami i słabą whisky. Ponieważ klejnot wziął sobie wolne na ten weekend, George i młodszy syn zjedzą zimną kolację, którą Rachel zostawiła na dwóch tacach, przykrywając folią, żeby jedzenie nie wyschło. Po herbacie wróciła do Londynu, żeby wczesnym rankiem w poniedziałek rozpocząć tydzień pracy w Ministerstwie Przemysłu. James odrabiał lekcje w swoim pokoju na piętrze. Howard był w szkole z internatem.

Mimo że usilnie próbował skupić się na „Sunday Times” i „Sunday Telegraph”, George wciąż wracał wzrokiem do dwóch fotografii zamieszczonych na pierwszej stronie „Ramparta”. Coś w fotokopii kontraktu z Ministerstwem Obrony przypominało mu o skandalu z Vassall z czasów jego dzieciństwa. George nie miał stuprocentowej pewności, czy kopiując kontrakt BedHiTe z Nelsonem Harwoodem, zdawał sobie sprawę, jak zostanie wykorzystany. Teraz trudno być pewnym. Czy podczas ostatniego spotkania z Charlesem

Cartwrightem w klubie rozmawiał z nim o tym jednoznacznie? Czy może z Rachel? Albo z obojgiem? George zgodził się skopiować kontrakt BedHiTe z Nelsonem Harwoodem, ponieważ ostatecznie to on zarekomendował Harwooda Brianowi Burfordowi. A opinia publiczna miała prawo wiedzieć wszystko o dyrektorach.

Zajmując się ubezpieczeniami BedHiTe, a także z tytułu przyjaźni z prezesem firmy, George często miał dostęp do akt dyrektorów. Kopiując kontrakt, czuł się nieco dziwnie. Z natury był człowiekiem uczciwym, ale także lojalnym. Lojalnym przede wszystkim wobec Rachel. Powiedziała mu, że jej droga na wyższe stanowisko mogłaby zostać ułatwiona, gdyby Andrew Harwooda usunięto z Ministerstwa Obrony. Zresztą nie było nic nielegalnego w kopiowaniu listu BedHiTe. To nie to samo, co podrobienie go. Dając kopię Rachel, nie spytał, co z nią zrobi. Teraz wiedział.

George spotkał Bena Franwella tylko na jakimś okolicznościowym przyjęciu rządowym. Mimo że Franwell zachowywał się przyjaźnie, George wyczuwał w nim pewne skrepowanie. Nigdy nie potrafił dociec, co Ben sądził na jego temat. Ale w londyńskim świecie Rachel było wiele osób mających niejasny stosunek do George'a. Wiedział, że darzyła Franwella szczególną sympatią. Czasami mówiła o tym, że jadła z nim lunch. Ale przecież regularnie spotykała się na lunchu z kolegami z parlamentu i nie budziło to w George'u żadnych podejrzeń. W każdym razie Franwell był swego rodzaju patronem Rachel od czasu, kiedy pracowała jako jego asystentka. Ile to już lat temu?

W umyśle George'a błysnęła nagle myśl o Rachel w łóżku z Benem Franwellem. Wyparł ją natychmiast. Wierzył, że łóżko zajmuje niewiele miejsca w myślach Rachel. Najwyraźniej nie martwiło jej to, że George bynajmniej nie palił się do stosunków płciowych z żoną. Robił to, czego należało wymagać od mężczyzny, a ponadto pełnił obowiązki ojcowskie wobec dwóch synów. Jednak gra wstępna wydawała mu się żenująca, jeśli nie wprost niesmaczna. Poczul wielką ulgę, kiedy odkrył podczas miesiąca miodowego, że Rachel nie oczekuje żadnych silnych wrażeń w tej dziedzinie.

W mieszkaniu na najwyższym piętrze przy Morpeth Terrace 64 marynarka Bena wisiała na oparciu perkalowego krzesła. Myśl, jaka mignęła w umyśle George'a, nie była dokładna: Ben i Rachel nie leżeli w łóżku. Zdjąwszy buty, położyli się na kapie; Rachel z nogami skrzyżowanymi w kostkach, a Ben z podciągniętymi kolanami i wygodnie rozstawionymi stopami. Poluzował krawat, ale go nie zdjął: miał zaledwie czterdzieści pięć minut.

Przyjechał do Londynu o dzień wcześniej, ponieważ właściciel „Ramparta” wydawał comiesięczne niedzielne przyjęcie. Angela oświadczyła, że ostatni raz, kiedy brała udział w podobnej imprezie, wystarczył jej na całe życie: stwierdziła, że siedziała między jedynymi dwoma nudziarzami w całym pomieszczeniu.

— Czy Brian Burford rozmawiał dziś z George'em?

— Nie do mojego wyjazdu.

— Jesteś absolutnie pewna, że George nie wypaple wszystkiego Burfordowi? George ma wszystkie cechy człowieka, który nie potrafi kłamać.

— Może wypaplać jedynie to, że skopiował kontrakt między BedHiTe a Nellym Harwoodem.

Skłamałby w tej sprawie niezależnie od tego, jak bardzo nie chciałby tego robić. George nie obwiniałby nigdy kogoś innego z BedHiTe: nic nie zmusiłoby go do takiego zeznania się. Nie muszę mu jednak mówić, co by się stało z moją karierą, gdyby wyszedł na jaw jego udział w całej sprawie, najpierw rekomendacja Nelly'ego na stanowisko dyrektora, a teraz przeciek.

— Dopóki gra niewinnego przed Brianem Burfordem, nie ma powodu, żeby którakolwiek z tych dwóch spraw wyszła na jaw. Od początku na tym właśnie polegał urok naszego planu. Na tym, a także na fakcie, że Burford nie ma pojęcia, że Cartwright miał interes w rekomendowaniu BedHiTe do kontraktu ES7. Zamilkli, pogrążając się w rozmyślaniach.

— Dziś rano, czytając twój artykuł, śmiałam się w głos — powiedziała w końcu Rachel.

Ben odwrócił głowę opartą na poduszce i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Który fragment ci się podobał?

— Poczekaj chwilę.

Spuściła nogi z łóżka. Wróciwszy z drugiego pokoju z „Rampartem” otwartym na właściwej stronie, stanęła obok łóżka i przeczytała tonem parodiującym słuszny gniew:

Wydawało się nam też, że kontrakty Ministerstwa Obrony przyznawane są zgodnie z interesami tego narodu.

Nie przyszło nam na myśl, że dopiero po mianowaniu brata sekretarza obrony na stanowisko dyrektora BedHiTe sekretarz obrony przyzna kontrakt tej właśnie firmie.

Przebiegła wzrokiem na koniec artykułu:

Co mamy myśleć o braciach Harwood?

Złożyła gazetę, umieściła ją w nogach łóżka i ponownie położyła się na niebieskiej kapie, krzyżując nogi w kostkach.

— Bardzo zgrabnie, panie Franwell.

36

Stojąc przed skromnym wejściem do domu przy Downing Street 10, nikt by nie zgadł, jak przestronne jest jego wnętrze. Ponieważ za frontowymi drzwiami inne drzwi otwierały się na rozmaite przybudówki, pełniące funkcje biur i dołączone po zbudowaniu pierwotnego budynku pod koniec siedemnastego wieku. W roku 1732, kiedy Numer Dziesiąty dołączono do ogromnej posiadłości stojącej w ogrodzie na tyłach, dom stał się oficjalną rezydencją premiera.

Minąwszy policjanta stojącego na schodach i wszedłszy do środka, można spojrzeć prosto przez troje drzwi otwartych w korytarzu na czwarte, zazwyczaj zamknięte. Te czwarte drzwi, podwójne i dźwiękoszczelne, prowadzą prosto do Sali Posiedzeń.

Wewnętrzna strona drzwi do Sali Posiedzeń jest pomalowana na biało, podobnie jak boazeria na ścianach i gzymsach, a także dwie kolumny korynckie stojące niczym strażnicy przed wielkim stołem posiedzeń, zajmującym znaczną część długości sali. Stół, pokryty ciemnobrązowym rypsem, ma kształt łodzi (niektórzy uważają, że trumny), aby każdy z członków rządu mógł widzieć i słyszeć wszystkich pozostałych. W połowie długości stołu stoi krzesło premiera, jedyne z dwudziestu dwóch krzeseł z czerwonej skóry mające oparcia na ręce, ustawione tyłem do małego kominka z szarego marmuru, nad którym wisi portret sir Roberta Walpole'a w peruce z końskiego włosia.

Premierzy różnią się w sposobie prowadzenia posiedzeń rządu. Ta pani premier lubiła zamykać dyskusję w dwóch godzinach. Godzinowa wskazówka zegara na kominku rzadko dochodziła do pierwszej, kiedy ogłaszano koniec dyskusji. Zazwyczaj udzielano głosu tylko tym ministrom, których ministerstwa miały związek z programem obrad, chociaż ci, którzy posiadali zdecydowane opinie w omawianych kwestiach, włączali się do rozmowy. Tradycja zwracania się do siebie z użyciem tytułów pomagała odpersonalizować omawiane kwestie. Z wyjątkiem nagłych sytuacji posiedzenia rządu odbywały się wyłącznie w czwartki. W przeciwieństwie do Izby Gmin, debaty toczyły się tu naprawdę; nie było potrzeby, by zabawiać publiczność na galerii, żadnych dzieciennych partyjnych inwektyw.

Niektórzy ministrowie, czując się niepewnie, poruszali podczas posiedzeń rządu kwestie, które powinni rozwiązywać wewnątrz własnych ministerstw. Andrew Harwood wolał podnosić na forum posiedzeń rządu absolutnie minimalną liczbę poszczególnych problemów, jednak decyzja o ponownym rozmieszczeniu oddziałów brytyjskich w Niemczech Zachodnich musiała zostać uzgodniona z resztą kolegów. Tego dnia przy śniadaniu wspomniał Daisy, że cieszy się z okazji przypomnienia pani premier, że, pomimo zamieszania z BedHiTe, nadal ma pełną kontrolę.

— Sekretarz obrony - powiedziała premier.

Jego krzesło było trzecim z kolei, po przeciwnej stronie do premiera. Nachylając się do przodu, z dłońmi zaciśniętymi na aktówce, Andrew przedstawił swe argumenty w sposób prosty i przekonujący. Kiedy skończył, premier powiedziała:

— Sekretarz spraw zagranicznych.

Sekretarz spraw zagranicznych siedział tuż obok pani premier w charakterystycznie przygarbionej, biernej pozycji, którą rysownicy lubili przedstawiać pod postacią ropuchy. Wyraził swoje poparcie dla polityki sekretarza obrony oraz metod, jakimi Andrew proponował osiągnąć cel.

Premier oświadczyła energicznie:

— Sądzę, że wszyscy zgadzamy się, że tę sprawę można teraz pozostawić sekretarzowi obrony. Kolejnym punktem obrad było proponowane połączenie części państwowego przemysłu brytyjskiego z pewną firmą prywatną.

— Sekretarz przemysłu - powiedziała pani premier. Rachel, która siedziała pięć krzeseł dalej, po tej samej stronie, co pani premier, sprawiała wrażenie wyprostowanej, mimo że musiała wychylać się nieco do przodu, żeby mówić prosto do pani premier. W pozbawiony emocji sposób zaproponowała przyjęcie warunków finansowych oferowanych przez firmę prywatną.

Ponieważ ministrowie wolą, kiedy ich kolega prowadzi debatę w sposób klarowny, obezwładniająca pewność Rachel mogła razić. Prawdopodobnie z tego powodu inni, nie sekretarz obrony, przedstawiali kontrargumenty. Po półgodzinie pani premier „zinterpretowała” opinię ogółu jako poparcie sekretarza przemysłu, po czym przeszła zgrabnie do kolejnego punktu obrad.

Za kwadrans pierwsza drzwi się otworzyły, ministrowie złożyli programy obrad i zaczęli wychodzić, plotkując w długim korytarzu wiodącym do drzwi frontowych.

— Andrew.

Odwrócił się i ujrzał stojącą samotnie panią premier.

— Czy możemy zamienić dwa słowa?

Andrew zawrócił i stanęli przed drzwiami do Sali Posiedzeń.

— Chciałam tylko powiedzieć - oświadczyła premier - że jestem oburzona sugestiami „Ramparta” w sprawie nominacji pańskiego brata do rady nadzorczej BedHiTe. Nie mam wątpliwości, że „Rampart” myli się w swoich przypuszczeniach. Jak pan wie, moje biuro rozmawiało już na ten temat z pana biurem. Te irytujące historie w prasie mają zazwyczaj krótki żywot. Moje biuro zapewnia mnie, że tak też będzie i ze sprawą BedHiTe. Gdyby miał pan jednak jakiegokolwiek wątpliwości co do kontraktu ES7,

277

jestem przekonana, że pańskie biuro skontaktuje się w tej kwestii z moim, ponieważ wtedy należałoby rozważyć implikacje publiczne.

- Dziękuję, pani premier. Zapytania do sekretarza obrony odbędą się w Izbie Gmin w najbliższy czwartek. Przypuszczam, że więcej niż raz zostanę poproszony o zaprzeczenie aluzjom „Ramparta”. Nie będę w stanie dodać wiele do oświadczenia prasowego, które wczoraj opublikowało moje biuro. Nie ma powodu, by zrywać kontrakt ES7, toteż Ministerstwo Obrony ma zamiar go dotrzymać, nie najmniej ważny powód stanowią fantastyczne odszkodowania, jakie w przypadku zerwania musielibyśmy zapłacić BedHiTe.

- Rozumiem. Mimo iż „Rampart” lojalnie popiera mój rząd, nie chcę, żeby jego redaktor sądził, że swoją retoryką może wpływać na moją ocenę ministrów.

- Dziękuję. Pozostaje jednak faktem, że nie mamy pojęcia, kto przesłał te fotokopie „Rampartowi”. Nie wiemy też, czy moment mianowania mego brata na stanowisko dyrektora BedHiTe był dziełem przypadku, czy rzeczywiście odegrała tu rolę czyjaś złośliwa manipulacja.

- W pełni rozumiem pana frustrację, Andrew. Proszę dać mi znać, jeśli zechce pan o tym jeszcze porozmawiać.

Tej nocy, kiedy wrócił do domu po głosowaniu w Izbie Gmin o dziesiątej, Andrew opowiedział Daisy o tej enigmatycznej rozmowie.

- Z jednej strony można ją odczytać tak, że premier uważa artykuł w „Ramparcie” za stek bzdur. Jednocześnie może oznaczać ostrzeżenie: „Kolego, mam⁷ cię na oku”.

Daisy zrobiła tak ponurą minę, że Andrew wybuchnął śmiechem.

- Sprawy nie wyglądają tak tragicznie - zapewnił ją, wstał z fotela i podszedł do jej krzesła. Nachylił się, pocałował Daisy, po czym podszedł do tacy z drinkami i nalał im whisky do wysokich szklanek. - Gdyby się nad tym zastanović, pani premier ma stale na oku każdego z ministrów w rządzie Jej Królewskiej Mości. Dlatego jedyną nowością w mojej sytuacji jest fakt tak dramatycz-

nego podania całej sprawy do wiadomości publicznej. Kiedy dziennikarze zniknęli spod naszych drzwi?

— Ostatni odeszli, kiedy Sophie wróciła ze szkoły. Czy uznali, że nie ma sensu się tu kręcić, ponieważ złożyłeś oświadczenie?

— Prawdopodobnie.

— Godzinę temu Nelly dzwonił z rządowego telefonu.

— Wolałbym, żeby używał zwykłego.

— Powiedział, że próbował przez godzinę, ale był stale zajęty.

— Sądziłem, że będzie włączony, kiedy tylko sprawy trochę przycichną.

— Wydaje mi się, że to Sophie rozmawiała tak długo. Wygląda na to, że ona i jej młodzian mają sobie wiele do powiedzenia.

Na czole Andrew pojawiła się przelotna zmarszczka. Nic nie powiedział. Daisy zauważyła obie te rzeczy.

— Posłuchaj — powiedziała wesoło — Jason ma zaledwie piętnaście lat i cierpi na ciężki przypadek trądzika, dlatego przypuszczam, że odbywa z Sophie długie rozmowy na temat leków homeopatycznych.

Andrew zacisnął wargi.

— Czego chciał Nelly? — spytał.

— Znowu chciał z tobą rozmawiać o tym, czy powinien zrezygnować z posady dyrektora BedHiTe. Powiedział, że wczoraj kazałeś mu nie rozważać takiej możliwości, ale wciąż zastanawia się, czy nie ułatwiłoby ci to sytuacji.

— Nigdy nie pamiętam jego numeru telefonu. Daisy wyrecytowała go bezbłędnie.

— Wspaniale. — Andrew przycisnął siedem numerów. Myśl o Sophie i jej młodzieńcu zdecydowanie wyrzucił z głowy.

Po dziesięciu sygnałach odłożył słuchawkę. W tym samym czasie rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Weszła Sophie.

Była w piżamie. Kiedy tego popołudnia wracała w deszczu ze szkoły, chustka okazała się niewystarczająca: włosy, rozprostowane tego ranka — wstała w tym celu wcześniej —

279

zakręciły się w naturalne loki. Daisy czuła ciepłe współczucie w stosunku do tego dziecka, tak podobnego do niej pod wieloma względami, które pragnęło mieć proste włosy.

- Jeszcze nie spałam. Mogę wejść na parę minut?

- Oczywiście - odparł Andrew. Sophie przycupnęła na krawędzi krzesła.

- Jaki miałaś dzień? - spytał Andrew.

- W porządku. Jedna dziewczyna z mojej klasy zapytała mnie o wujka Nelly'ego. Powiedziała, że jej ojciec spytał, dlaczego wujek Nelly nie zrezygnuje z posady urzędnika Beebite.

- BedHiTe, chociaż podoba mi się twoja wersja. On jest tam dyrektorem. Właśnie o tym rozmawialiśmy. Andrew patrzył na córkę z miłością. Zazwyczaj, kiedy wracał w tygodniu do domu, chciał widzieć tylko Daisy, ale dziś cieszył się, że Sophie zeszła do nich na dół.

- Czy on złoży rezygnację, tato?

- Kiedy rozmawiałem z nim wczoraj, zaproponował, że złoży. Kazałem mu tego nie robić.

- Dlaczego?

Andrew skończył zapalać papierosa.

- Na tym etapie niewiele by to zmieniło: szkoda została już wyrządzona. Mogłoby to nawet sugerować, że ponosi za coś winę. A ja nie mam zamiaru obwiniać mojego brata o cokolwiek.

- Jak to, tato?

- To ja pozbawiłem go naszego starszego brata. Zdumiona Daisy podniosła wzrok. Nigdy wcześniej nie wspominał o tym powodzie tolerancji dla Nelly'ego.

Andrew momentalnie porzucił rozważania o spowodowaniu śmierci Donalda. /

- Najważniejsze jest jednak to, że są granice tego, czego powinienem oczekiwać od członków mojej rodziny tylko dlatego, że jestem ministrem. Chociaż byłbym wdzięczny, Sophie, gdybyś nie urządziła tu domu otwartego dla złodziei i narkomanów.

- Wolałabym, żebyś nie nazywał moich przyjaciół złodziejami i narkomanami.

Czasami Sophie obrażała się na rodziców. Jednak tego wieczoru czuła się tak świetnie po rozmowie z Jasonem, że siedząc tak na krawędzi krzesła i patrząc na ojca, czuła tylko przyjemność. Wiedziała, że nie chciał obrazić jej przyjaciół. Po prostu lubił się z nią droczyć.

Uśmiechnął się do córki.

Sophie wstała.

— Dobranoc. Miło jest móc znowu chodzić Cheyne Street i nie musieć przepychać się przez tych wszystkich matolów.

O drugiej dwadzieścia następnego dnia, kiedy jechali razem na tylnym siedzeniu Jaguara, Martin Thrower znowu zwrócił uwagę na dłoń ministra opartą na obiciu drzwi: kostki zbieleły.

O drugiej trzydzieści przewodniczący zawołał:

— Pan Harwood.

Pytania dodatkowe, zawsze podchwytliwe, okazały się być ani mniej, ani bardziej przykre, niż można się było spodziewać po tym, jak gazeta dostarczyła opozycji paru cegieł do rzucania. W całej Izbie pojawiały się uśmieшки, ale wyczuwało się też sympatię. Andrew miał opinię człowieka uczciwego i zaakceptowano jego zapewnienie, że nie wiedział o nominacji swego brata. Jednocześnie torysi zazdrośni o ministra, pospołu z opozycją, zawsze cieszącą się na widok zakłopotania rządu, znajdowali pewną przyjemność w całej sprawie. Wiedzieli jednak przy tym, że mogą obudzić się pewnego dnia, otworzyć gazetę i spostrzec, że znaleźli się w skórze Andrew Harwooda.

Ponieważ rozgrywał sprawę szczerze, jej żywot — zgodnie z przewidywaniami pani premier — okazał się krótkotrwały. Większość dzienników zamieściła rysunek przedstawiający sekretarza obrony i BedHiTe uwikłanych w siebie nawzajem, dodając streszczenie sytuacji oraz pewną świętoszkowatą radę. Następnie brytyjskie środki przekazu straciły zainteresowanie całą sprawą. W niedzielę tylko „Rampart” zamieścił dodatkowy

komentarz, a Ben Franwell potraktował go lekko. Bo chociaż nigdy nie przyznałby się do tego publicznie, wiedział, że przegrał tę rundę. Mimo to musiał opłacić Cartwrightowi luksusowe wakacje: umowa jest umową.

Nie poniósł jednak całkowitej klęski. Pewien ślad pozostanie w świadomości publicznej — a co ważniejsze, pod Numerem Dziesiątym: sekretarz obrony był człowiekiem podatnym na wypadki. Ben uśmiechnął się na myśl o tym, kto tak umiejętnie manipulował tym wyrażeniem.

Nie należał do ludzi zgorzkniałych; do wendety podchodził jak do twardej gry: uderzasz, jesteś uderzany, zwykła kolej rzeczy. Nie opracował jeszcze Planu Numer Trzy, ale ma jeszcze czas. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Nie spóznisz się, prawda? — spytał Andrew tego ranka . przed wyjściem z domu.

Jak zwykle wręczył jej listę swych najważniejszych spotkań na nadchodzący dzień, którą otrzymywał dzięki uprzejmości sekretarki w swoim biurze. Ostatnia pozycja głosiła: „Między ósmą a ósmą trzydzieści — Kolacja pod Numerem Dziesiątym. Czarny krawat". Tuż przed tą notatką napisano wyróżniającymi się dużymi, drukowanymi literami: „SIÓDMA TRZYDZIEŚCI - PANI HARWOOD WYJEŻDŻA Z CHEYNE STREET".

Daisy nigdy nie była pewna, dlaczego informacje zaadresowane do niej wypisywano zawsze dużymi, drukowanymi literami. Czy był to przejaw dodatkowej uprzejmości w stosunku do niej? Czy może aluzja?

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie łazienki: siódma dwadzieścia osiem. Nie musiała wyglądać przez okno sypialni: Ollie zawsze przyjeżdżał dziesięć minut przed czasem—jak gdyby miało to wpłynąć psychologicznie na jej zaburzone poczucie czasu. Właśnie pewność, że już tam czekał, kazała jej po raz kolejny wetknąć sobie szczoteczkę z tuszem do oka; musiała mrugnąć, rozmazując tusz, po czym wytrzeć i zacząć wszystko od nowa. Starannie wykonała te czynności. Siódma trzydzieści cztery.

Pobiegła do sypialni i włożyła wierzchnią warstwę odzieży: białą bluzkę organdy z dużym dekoltem, czarną, jedwabną spódnicę, pas wysadzany dżetami. Przy innych okazjach mogła wrzucić biżuterię do torebki i założyć

w samochodzie. Tego wieczoru musiała stanąć przed lustrem toaletki i starannie zapiąć naszyjnik z brylantów i perydotów oraz kolczyki do kompletu, które wyjęła rano z sejfu; należały do babci Andrew. Daisy zaczesła włosy do góry, by pokazać migoczącą jasną zieleń perydotów.

Siódma czterdzieści cztery. Chwyciła torebkę, białe boa, czystą koszulę Andrew, wieszak z jego smokingiem. Całe szczęście, że krawat już wcześniej włożyła do kieszeni smokingu. Miała nadzieję, że boa nie zostawi piór na czarnej serży. W najgorszym razie oczyści je w samochodzie.

Zbiegając na parter, krzyknęła na dół w stronę kuchni:

— Do widzenia wszystkim!

— Baw się dobrze — odpowiedział chór głosów Sophie, Matty i Ingrid.

Twarz Olliego nie wyrażała żadnych uczuć, kiedy wysiadł, by otworzyć jej tylne drzwiczki.

Powiedział jedynie:

— Dobry wieczór pani.

Kiedy przejechał Jaguarem przez podwójne światła na Nabrzeżu, z których jedno zmieniło się na żółte, a drugie było już czerwone, Daisy usiłowała nie patrzeć na tył jego czapki, skąd mogła odczytać urazę. Nie po raz pierwszy pomyślała, jakie szczęście ma premier, że mieszka na piętrze pod Numerem Dziesiątym i musi tylko zejść po schodach, żeby znaleźć się w Salach Państwowych.

Ollie przemykał się Jaguarem przez gęsty ruch wokół placu Parlamentu. Daisy spojrzała na Big Ben.

Dwie minuty po ósmej.

— Miałeś doskonały czas, Ollie. Ollie nie odpowiedział.

Wjechawszy Jaguarem na krawężnik przed Ministerstwem Obrony, natychmiast wysiadł, żeby otworzyć jej drzwiczki. Wysiadła, zabierając ze sobą ministerialne ubranie. Mając nadzieję, że sprawia wrażenie niespiesznej i opanowanej, pod długą spódnicą stawiała największe kroki, na jakie pozwalały jej szpilki. Po wejściu na najwyższe piętro Ollie udał się prosto do gabinetu ministra. Kiedy Daisy dotarła na fhiejsce, podejrzewała, że Ollie zdążył się już wyzalić, choć oczywiście

Denis i czworo sekretarzy skłoniło jej się grzecznie, wstając połowicznie z krzeseł, a Martin Thrower wyglądał na rozbawionego, kiedy wystąpił do przodu, żeby otworzyć jej drzwi do prywatnego gabinetu ministra. Zegar nad drzwiami wskazywał siedem minut po ósmej.

Andrew podpisywał listy przy biurku. Nie podniósł wzroku, póki nie skończył podpisywać ostatnich dwóch. Wtedy zerknął na zegarek i po raz pierwszy jakby zauważył, że jego żona wreszcie się zjawiała. — Dobry wieczór - powitał ją, wstając, podchodząc i odbierając od Daisy ubranie. Z ulgą stwierdziła, że jest raczej zrelaksowany niż zirytowany.

— Zechcesz usiąść i zaczekać, póki się nie ubiorę? — spytał. Z wygrawerowanymi okopami Sommy nad głową Daisy

patrzyła na zegar nad drzwiami. Dziesięć po ósmej. Ministerstwo Obrony najwyraźniej nie lubiło zapominać o czasie. Pewnie mieli rację. Czemu, na Boga, nie wyszła z atelier dwadzieścia minut wcześniej? Nigdy nie wiedziała, jakim nastrojem Andrew zareaguje na jej spóźnienie. Sądziła, że zależało to pewnie od tego, czy sanrbył spóźniony, chociaż rzadko się do tego przyznawał w obawie, że na kolejne spotkanie Daisy spóźni się jeszcze bardziej.

Wyszedł z łazienki, wciąż nie przejawiając żadnych oznak irytacji. Pomyślała, że do twarzy mu w smokingu. Kiedy wychodzili z gabinetu, znowu spojrzała na zegar. Ósma piętnaście.

Życzył pracownikom biura dobrej nocy.

— Martin, bądź tak dobry i dopilnuj, żeby Ollie oprócz nesesera zabrał też moje ubranie, dobrze? Obawiam się, że zostawiłem je w łazience w formie sterty. Wygląda na to, że dziś wieczorem zdążyliśmy na styk. Wszyscy się uśmiechnęli.

Kiedy Jaguar oddalił się od krawężnika przed Richmond Terrace, Daisy przejrzała dwie kartki, które wręczył jej Andrew — wyrywkowe biografie głównych gości nie będących członkami rządu brytyjskiego. Brytyjscy urzędnicy państwowi byli niezrównani w dostarczaniu tego rodzaju drobiazgowych danych.

Przy wjeździe na Downing Street barykadę otwierali członkowie Grupy Ochrony Dyplomatycznej. Pod względem stroju ludzie z GOD nie różnili się od zwykłych policjantów, ale Daisy dostrzegła zgrubienie po lewej stronie marynarki jednego z oficerów. Pół minuty później sekretarz obrony z małżonką weszli do domu pod Numerem Dziesiątym.

— Dobry wieczór, pani. Dobry wieczór, sir.

Idąc na kolację pod Numer Dziesiąty, nigdy nie udawała zblazowanej. Kiedy odpowiadała na powitanie sędziwego odźwiernego, który otworzył drzwi, jej uśmiech wyrażał nieklamane przyjazne zadowolenie.

Tuż po prawej w korytarzu stało kilku członków GOD i służb specjalnych, którzy uprzejmie i z dystansem skinęli głowami ministrowi i jego żonie. Ponad agentami znajdowało się czerwone, elektryczne oko alarmu. Dalej w głębi Daisy dostrzegła na ścianie zegar. Ósma dwadzieścia cztery. Przynajmniej nie było jeszcze po wpół. Czy zawsze miała się zjawiać jako ostatnia z zaproszonych? Jednak kiedy tylko weszli z Andrew do hallu przed Salą Posiedzeń, skęcili w prawo ku osiemnastowiecznym schodom z polerowaną, mahoniową poręczą i żelazną balustradą w kształcie litery S, natychmiast zapomniała o problemach czasu. Zapomniała, po co w hallu stoją agenci GOD i służb specjalnych, każdy ze Smith & Wesson w kaburze pod marynarką. Kiedy uniosła czarną, jedwabną spódnicę i zaczęła wspinać się po schodach do historycznych Sal Państwowych, naprawdę wkraczała do innego świata. — Pytałaś, kiedy odwiedzimy Gladstone'a. Jest tuż przed nami, na zakęcie schodów — poinformował ją Andrew. Pewnego dnia Daisy zamierzała zarezerwować sobie dosyć czasu, żeby obejrzeć wszystkie podobizny premierów. Zastanawiała się, czy w Białym Domu znajduje się podobna galeria byłych prezydentów. Pod szklanym żyrandolem z Waterford, rzucającym delikatne światło na Biały Salon, pani premier rozmawiała na stojąco z amerykańskim wiceprezydentem, czekając, by powitać ostatnich gości. Daisy tylko raz widziała, żeby ktoś naprawdę siedział na jednym z obitych adamszkieiń mebli

Adama. Nie zdawała sobie sprawy, jak wysoki jest wiceprezydent. Po wymianie zwykłych uprzejmości - Daisy zawsze czuła, że pani premier z niejakiem wysiłkiem odbywa z nią choćby najkrótszą rozmowę - wszyscy przeszli do Niebieskiego Salonu.

Daisy spojrzała w górę na drugi żyrandol z Waterford, zawieszony ponad meblami Chippendale. Uwielbiała bajkowy efekt uzyskany przez rżnięte szkło i lustra. Przyjrzała się dwunastce gości. Rozpoznała sekretarza spraw zagranicznych, jego żonę, a także dyrektora Galerii Narodowej. Andrew rozmawiał już z kimś na stronie, kiedy poczuła, że jest obserwowana z trzeciego salonu. Popatrzyła przed * siebie. W Salonie Kolumnowym stał Carl Myer.

Nawet zanim przeczytała listę gości, wiedziała, że tu będzie. Carl i Andrew spotkali się wcześniej tego dnia w Richmond Terrace. Mimo to zdziwiła się, widząc go nagle w tej scenerii. Ukłonił się. Daisy odkloniła się lekko, po czym przyłączyła się do rozmowy Andrew z gubernatorem Banku Anglii.

— Jedno z nas powinno pójść poszukać Myerów — powiedział Andrew do żony.

— Mam wrażenie, że widziałam go w następnym salonie.

— Chodźmy tam.

Ponieważ w Salonie Kolumnowym znajdowało się dalszych piętnastu czy dwudziestu gości, a także kelnerzy roznoszący na srebrnych tacach szampana, whisky i sok pomarańczowy, początkowo nie zauważyła Carla Myera. I znowu poczuła nagle, że jest obserwowana. Stał niedaleko jednej z kolumn. Obok niego ujrzała wysoką kobietę w sięgającej ziemi czerwonej sukni z krótkimi rękawami, z dużym dekoltem w kształcie litery V; na dole sukni rozszerzała się w falbany — jak u Carmen - które poruszały się razem z właścicielką. Masa lśniących, jasnych włosów została zebrana w kok na czubku głowy. Kiedy Harwoodowie podeszli, Daisy spostrzegła, że kobieta jest... jaka? Niezupełnie piękna. Ale na pewno pełna ekspresji, w elegancki, nieco złowieszczy sposób.

Carl Myer uśmiechnął się do Andrew, pocałował Daisy w policzek, po czym przedstawił żonę:

— To jest Jocelyn.

Wymieniając z nią uścisk dłoni, Daisy uświadamiała sobie wrogość emanującą od Jocelyn, która uśmiechała się, pokazując małe, bardzo białe zęby. Daisy także poczuła wrogość. Ale przecież najczęściej reakcja jednej obcej osoby na drugą ma charakter obopólny.

Niemal natychmiast goście zaczęli przechodzić do Państwowej Sali Jadalnej. Premier podeszła do Daisy: — Kochanie, czy usiądziesz obok doktora Myera? Andrew, może zechcesz asystować pani Myer. Protokół jest protokołem: Daisy usiadła między sekretarzem spraw zagranicznych po lewej a Carlem Myerem po prawej. Bardzo podobał jej się łukowaty sufit, pomalowany nieco w stylu lukru na cieście, wznoszący się ponad ścianami wyłożonymi boazerią koloru miodu. Na środku przeciwnej ściany wisiał portret całej postaci Wellingtona, stojącego dumnie z czerwoną, jedwabną szarfą na piersi. Dopiero podczas drugiego dania Daisy miała okazję porozmawiać z Carlem. Prawie natychmiast zapytała o Jocelyn. — Od jak dawna jesteście małżeństwem? — spytała, chociaż pamiętała notatkę, którą pokazał jej Andrew, kiedy w maju mianowano nowego amerykańskiego sekretarza obrony. Wiedziała już, że ożenił się w roku 1983 z „córką pana Elliotta Randalla, potomka nowojorskiej rodziny bankierów”. Ktoś z rodziny Randallów studiował w Radcliffe razem z Daisy. Kuzynka? Daisy nigdy się z nią nie przyjaźniła.

— Osiem lat — odparł Carl. — Nie jestem pewien, czy ty i Jocelyn przypadniecie sobie do gustu.

— Dlaczego?

— Jocelyn i ja pasujemy do siebie. Każde jest w stanie dać drugiemu coś, czego mu brakuje.

Carl zawsze prowadził rozmowę zgodnie z własnym upodobaniem, chociaż zawsze miał w tym pewien cel i zawsze w końcu odpowiadał na zadane pytanie. Daisy rozbrzmiały w umyśle słowa wypowiedziane dawno temu przez Angelę: „Ben i ja moglibyśmy świetnie do siebie pasować”.

— Jocelyn jest bogatą nowojorską arystokratką — ciągnął Carl. — Ja jestem Żydem, Amerykaninem w drugim pokole-

niu, któremu się powiodło. Ona urodziła się w najwyższej warstwie społecznej. Ja zająłem silną pozycję w świecie intelektualnym; byłem pewien, że wcześniej czy później trafię do Waszyngtonu. Mogłem jej więc zaofiarować akces do dwóch światów, które przedtem były dla niej zamknięte.

— Czy ta wymiana jest symetryczna? Rozumiem, co mogłeś jej zaofiarować. Ale czyjej pieniądze i cała reszta tak wiele dla ciebie znaczą?

— Znaczą bardzo dużo, Daisy. Dzięki nim życie codzienne staje się atrakcyjniejsze. Lubię elegancję naszego domu w Georgetown, nowojorskie mieszkanie z widokiem na Central Park. To Jocelyn je stworzyła — nie dzięki swoim pieniądзом, ale dzięki własnemu gustowi. Ty mogłaś zrobić to samo.

— Mówiąc to, Carl patrzył Daisy prosto w twarz. — Chociaż nigdy nie oczekiwałem, że twój ojciec dałby ci duży posag, gdybyś za mnie wyszła.

— Na żadnego z moich ewentualnych mężów nie czekał ogromny posag.

— Wiesz, co mam na myśli, Daisy. Wychowałaś się w zamożnej rodzinie w Filadelfii. Twoja- rodzina mnie nie akceptowała. A potem wszystko się zmieniło.

Daisy spuściła wzrok na swój do połowy zjedzony *boeuf en croute*.

— Nieraz pytałem siebie, czy zakochałabyś się w Andrew, gdyby był synem żydowskich imigrantów.

— To dla mnie nie miało żadnego znaczenia — odparła Daisy.

— Nie jestem pewien. Byłaś jeszcze studentką. Sądzę, że układ ze mną wydawał ci się romantyczny. Do czasu -dodał. — Potem wróciłaś do normy.

Daisy nie odpowiedziała. Słowa Carla były obraźliwe. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź, która nie brzmiałaby obraźliwie.

— Potem poznałem Jocelyn Randall. Jej ojciec zaakceptował mnie takim, jakim byłem - wybitnym akademikiem z przyszłością w Waszyngtonie. Możliwe nawet, że lubił moje towarzystwo.

Niewykluczone, że arystokracja nowojorska jest bardziej światowa niż filadelfijska.

Twarz Daisy stężała od gniewu. Wciąż jednak nie mogła mu odpowiedzieć, nie sprawiając wrażenia, że się broni. A Carl miał rację, w każdym razie w kwestii jej rodziny.

— Powiem ci, czemu mogłybyście się nie polubić z Joce-lyn. — Wreszcie był gotów do odpowiedzi na pytanie. — Myślisz, że ona może zachowuje się lepiej, niż ty robiłabyś to na jej miejscu. Jocelyn wie, że kochałem cię tak, jak jej nigdy.

— Och, Carl, nie mów tak.

Gniew Daisy ustąpił miejsca innemu uczuciu. Nie był to żal: zakochanie się w Andrew nie miało żadnego związku z powodem, który wymienił Carl. Poczowała jednak coś na kształt pokory, ponieważ on tak bardzo się przed nią otwierał. Patrząc teraz na Carla, nie widziała w jego oczach śladu dawnego droczącego się śmiechu. Były poważne i smutne.

— Czy zamierza pani towarzyszyć Andrew w podróży do Moskwy? — spytał niski głos po lewej. Kelnerzy usunęli tymczasem talerze po kolacji i zastąpili je deserowymi talerzykami Wedgewooda, z których każdy ozdobiono brytyjskim ptakiem w jego środowisku naturalnym. Kilku kelnerów roznosiło na okrągłych, srebrnych tacach kopczyki truskawek usypane na olbrzymich bezach, a inni nalewali szampana do kieliszków ustawionych w grupach kryształowych naczyń przed każdym z gości. Daisy odwróciła się w lewo. Podczas deseru wypadało jej rozmawiać z sekretarzem spraw zagranicznych. Punktualnie o dziesiątej pani premier wstała od stołu. Drzwi prowadzące do Salonu Kolumnowego otwarto na oścież. Daisy ujrzała, że goście zaproszeni po kolacji zaczęli się już schodzić. Ruszyła przodem. Pod jedną z jońskich kolumn stali Ben i Angela. Na jej widok Daisy wybuchnęła śmiechem. Angela trzymała w dłoni piętnastocentymetrową firkę. Wydmuchnęła obłok tytoniowego dymu tuż obok głowy kobiety, w której Daisy rozpoznała gwiazdę ostrzegającą w telewizji naród przed niebezpieczeństwami palenia papierosów.

— Carl, pewnie nie pamiętasz, ale jedna z moich przyjaciółek w „Ramparcie” miała na imię Angela. Nadal się przyjaźnimy, mimo że jej mąż to sukinsyn. Jest redaktorem „Ramparta”.

Daisy musiała spotykać Bena przy różnych okazjach. Zawsze kryła urazę, jaką żywiła do niego za ciągłe próby zaskodzenia Andrew. Nie chciała dać Benowi satysfakcji, że ją zranił. Kiedy przedstawiła Franwellów Carlowi, Angela błysnęła lekkim uśmiechem.

- Ten sławny doktor Myer? - spytała. - Pragnęłam pana poznać, odkąd usłyszałam o pańskich zniewalających wdziękach.

- Miło mi słyszeć, że ktoś tak o mnie powiedział. Kiedy to było?

- W 1976 roku?

- Nie wiem, o jakich wdziękach mówi moja żona — włączył się Ben. - Dla mnie podstawowym jest pańska niewiara we wszystko, co wmawiają panu Ruscy. Mój Boże, co to było z pańskim poprzednikiem. Zanim Carl zdążył odpowiedzieć, dołączyła do nich kolejna para. Jasne włosy kobiety przypominały niemal srebro. Proste jak druty, założone za uszy i przycięte z absolutną dokładnością tuż nad ramionami. W jasnych oczach kryło się rozbawienie.

- Mam nadzieję, że Daisy nas przedstawi - powiedziała Frances do Carla Myera. — Mój mąż żywi poważne obawy, że zamierza pan doprowadzić do końca świata.

Kiedy Daisy ich przedstawiała, Carl przyglądał się marchewkowym włosom i wąskiej twarzy z dwiema głębokimi bruzdami. Zanim jeszcze został amerykańskim sekretarzem obrony, regularnie czytywał artykuły Gilesa Alexandra w „Vanguard”, w ostatnich latach najbardziej wpływowym brytyjskim tygodniku politycznym. W zeszłym tygodniu znalazł perwersyjną przyjemność w lekturze artykułu, w którym Giles na niego napadał - nieskrępowane obelgi przeplecione z dobrze argumentowaną propozycją, by zredukować siły obronne w Europie.

- Rozumiem, że ma pan szczęście być optymistą, panie Alexander — powiedział Carl.

Giles wybuchnął swym krótkim śmiechem. Jeszcze nikt go tak nie określił.

- Zaproponowałem tylko — odparł - że możemy zrobić kolejny krok w kierunku rozbrojenia, zamiast maszerować

w przeciwną stronę, prosto ku przepaści. Co pan na przykład zamierza zrobić z malutką bombą atomową, nad którą pracują obecnie nasi przyjaciele na Bliskim Wschodzie?

W tym momencie u boku Carla pojawiła się Jocelyn. Wszyscy na nią spojrzeli. Wzrost, upięte do góry jasne włosy, szkarłatna suknia: była bez wątpienia osobą rzucającą się w oczy. W ułamku sekundy Angela przeniosła wzrok z Jocelyn na Daisy i z powrotem na Jocelyn. Daisy przedstawiła żonę Carla pozostałym.

— Kiedy jestem w Londynie, „Rampart” jest moją ulubioną gazetą — powiedziała Jocelyn do Bena. Grupa pograżyła się w rozmowie, a Ben uśmiechnął się szeroko do Jocelyn. W chłopięcym uśmiechu nie kryła się żadna groźba. Chociaż swobodniej czuł się w towarzystwie mężczyzn, coś w Jocelyn przypadło mu do gustu.

— Często zastanawiałem się, jaka kobieta zostanie żoną amerykańskiego ministra obrony — powiedział. — Nie oznacza to, że pani mąż jest typowym ministrem. Widzę też, że i pani jest typowa wyłącznie dla samej siebie.

Możliwe, że był zuchwały wobec kobiet, ale potrafił wyrazić jasno, o co mu chodziło. Spodobała mu się. Jocelyn przywykła do tego, że ludzie odnosili się do niej z dystansem. Ujęła Bena pod ramię.

— Przypuszczam, że nie pozwolą nam usiąść na tamtej kanapce z różowego adamaszku? — powiedziała. — Zawsze odtęszę wrażenie, że William Kent projektował te rzeczy po to, by na nich siadano. A ten matowy róż powinien wyglądać dość ciekawie w połączeniu z moim czerwonym atłasem, nie sądzi pan?

Ben uśmiechnął się szeroko.

Kwadrans później Daisy spojrzała na parę siedzącą na kanapce Williama Kenta. Czerwony atłas rzeczywiście wyglądał oszalamiająco w zestawieniu z różowym adamaszkiem. Ben nachylał się do przodu, przysłuchując się uważnie słowom Jocelyn.

W umyśle Daisy pojawiła się bezwiedna myśl: potęga dwóch połączonych wrogów jest większa niż zdwojona siła każdego z nich.

Ben Franwell poleciał na trzy dni do Nowego Jorku. Angela była w ich londyńskim mieszkaniu; leżała w łóżku w wolnym pokoju. Uważała, że angielskie słowo jest bardziej stosowne niż amerykański „pokój gościnny”. Angielskie określenie sugerowało więcej możliwości.

Sypiali z Benem w podwójnych łóżkach w domu i gdziekolwiek to było możliwe — co w tych czasach oznaczało prawie wszędzie. Czasami kiedy chrapał, w Sussex czy tu, w apartamencie w St James's Place, przenosiła się do wolnego pokoju. Niekiedy od razu kładła się w wolnym pokoju, po prostu po to, by zostać sama.

Leżała w łóżku w stylu Ludwika XIV, pozostałym jeszcze z czasów Pimlico Road. Nadal wolała je od wszystkich innych - przednia i tylna deska pomalowane na akwamarynowo, z wyblakłymi szarobrazowymi i zielonymi kwiatkami, którym nieregularne pociągnięcia pędzla dodawały wdzięku. Za oknem widziała soczystą czerwcową zieleń platanów w Green Park. Uwielbiała kłaść się do łóżka po południu. Uwielbiała świadomość bycia w łóżku. Kiedy bawiła się pod nieobecność Bena, robiła to zawsze w wolnym pokoju. Poczucie przyzwoitości nie było obce Angeli.

Spojrzała na kciuk spoczywający na jej piersi, podczas gdy trzeci palec okrążał, a potem potarł wyprężoną sutkę. Położyła dłoń na jego dłoni: lubiła dotykać jego ręki, kiedy on ją dotykał. To tak, jakby oboje się z nią kochali. Kiedy cofnął rękę i odwrócił się plecami, żeby rozsunąć jej nogi,

leniwie przyciągnęła go z powrotem. Ujęła jego dłoń, położyła ją sobie na piersi, rozwierając mu palce, tak by sutka wystawała między nimi, a ona mogła jej dotykać koniuszkiem polakierowanego na czerwono paznokcia. — Nie mam pewności, jak długo jeszcze zdołam to wytrzymać — wyznał Giles. Angela uśmiechnęła się nieznacznie.

— Czy mam rozumieć, że chciałby pan we mnie wejść, sir? Później położył się obok niej na plecach, patrząc na deskę łóżka za nogami.

— Jesteś pewna, że minęły dwa lata, odkąd widziałem te szarobrazowe kwiaty?

— Mhm.

— Wyglądają tak samo. Ty też. — Odwrócił głowę na poduszce, żeby się jej przyjrzeć. Jedną dłoń położyła sobie na piersi.

Giles podparł się na łokciu i sięgnął do stolika po papierosy i zapalniczkę, którą Nelly dał mu wiele lat temu. Kładąc się znowu na plecach, wyjął dwa papierosy, wręczył jeden Angeli i dwukrotnie pstryknął zapalniczką. Patrzyli, jak dwa obłoczki dymu unoszą się nad ich głowami i rozwiewają się oddzielnie. — Nie wiem, co by z tego zrozumiał twój drogi mąż — powiedział Giles. — W zeszłym tygodniu Frances wyszła ze swoją najnowszą przyjaciółką, a Nelly i ja poszliśmy na kolację do Green's. Nieźle się spiliśmy. Zapytał, czy chciałbym odwiedzić lokal o nazwie German's. To zupełnie inne miejsce niż Niebo, gdzie poszedłem kiedyś z Nellym i już nigdy więcej nie miałem na to ochoty, istny absurd. German's to mały, niemal stonowany klub, gdzie niektórzy mężczyźni przychodzą parami, a inni obserwują cicho gości, po czym siadają przy jednym ze stolików dla dwóch osób, odgradzonych ściankami. Nelly i ja siedzieliśmy przy barze. Jak się pewnie domyślasz, światło w German's jest przyćmione. Mimo to, kiedy od jednego ze stolików wstała para i ruszyła do drzwi, mężczyzna w średnim wieku ubrany statecznie w szare flanelowe spodnie i blezer oraz młodzieniec o wąskich biodrach, cały w bieli, z wyjątkiem złotej biżuterii, poznałem mężczyznę w blezerze.

Widziałem go na zdjęciach

z Rachel Fisher, a poza tym zeszłej zimy był z nią na przyjęciu na Downing Street. To był George Bishop. - Zapalimy jeszcze? — spytała Angela. Zamknawszy zapalniczkę, Giles kontynuował:

- Właściciel German's był tamtej nocy w klubie. Poprosiłem, żeby Nelly się dowiedział, czy znał nazwisko mężczyzny w blezerze. Właściciel nie znał jego nazwiska, ale powiedział, że odwiedzał klub już kilkakrotnie. Podobnie jak wielu stałych gości German's, facet w blezerze zawsze milczał i zawsze płacił gotówką przy barze. Patrzyli na rozwiewające się obłoczki dymu.

- Czy niepokoisz się czasem, że mógłbyś złapać AIDS? - spytała Angela.

- Chyba wszyscy o tym myślą. Ale ja bardzo, bardzo rzadko znajduję się w sytuacjach tak zwanego podwyższonego ryzyka. A ty o tym myślisz?

- Tylko kiedy pojawia się kolejna fala doniesień o rozprzestrzenianiu się choroby wśród nas, przyzwoitych heterose-ksualistów. Dlatego dzisiejszego popołudnia zostałeś poproszony o upiększenie się tym, co nadal wolę nazywać „francuskim Ustem”. Ale kiedy tylko mówi się nam, że to propaganda, żebyśmy brali na siebie część winy, przestaję martwić się AIDS.

- Co pomyślałby Ben?

- O George'u Bishopie zabawiającym się ze ślicznym młodzieńcem?

- Tak.

- Wściekłby się.

- Ale jak?

Angela przyglądała się wyblakłym kwiatkom na desce łóżka.

- Trudno powiedzieć. Znalazłby się w niezwykle niezręcznej sytuacji. Nie mógłby doradzić Rachel, żeby zostawiła George'a: to mogłoby się skończyć skandalem. Mógłby jej doradzić, żeby nie sypiała więcej z mężem; ale możliwe, że już teraz tego nie robi. Jego największym zmartwieniem, oprócz tego, czy będzie wymiotował na myśl o prawdziwym obliczu George'a, stałoby się pewnie to, czy prawda o mężu Rachel Fisher przedostanie się do prasy brukowej.

— Ta ostatnia myśl przyszła mi już wcześniej do głowy — przyznał Giles. — Zastanowię się nad nią. Spojrzał na zegarek.

— Muszę iść.

Kiedy wrócił z łazienki, wciąż leżała w łóżku. Zapaliła kolejnego papierosa. Ubierał się, a ona patrzyła, jak samotne obłoczki rozwiewają się w powietrzu.

Bardzo lubiła Gilesa, ale perspektywa niepodzielnego panowania w ślicznej sypialni także była przyjemna.

Carl zdjął krawat i rozpiął górny guzik koszuli od Braci Brooks. Ze swego wygodnego miejsca na sofie widział za oknami czerwcową soczystość zieleni wierzchołków drzew. Przeniósł wzrok na postać w wyblakłym, płóciennym ubraniu. Jej koszula i spodnie najwyraźniej nieraz przeszły przez pralkę. Włosy ściągnęła z twarzy dwiema dużymi, żółtymi spinkami w kształcie motyli. Chociaż umalowała oczy, resztę twarzy zostawiła *au naturel*. Była boso.

— Czy mogę unieść stopy? - spytał Carl. - Mam wrażenie, że moja prawa noga zasypia w obecnej pozycji. Daisy się zaśmiała.

— Interesuje mnie tylko twoja głowa. Czy możesz patrzeć mniej więcej w tę stronę?

Carl jęknął.

Po dziesięciu minutach odezwał się znowu.

— Ilu z twoich męskich modeli, którzy wpatrują się w ciebie przez dwie godziny bez przerwy, no, dobrze, pozwalasz im na dwie pięciominutowe przerwy, ilu z nich miewa erekcję?

Sięgnęła do sterty wilgotnej gliny na dużym stole obok postumentu. Krótkim, tępym nożem nabrała gliny i roz-smarowała ją na prawym policzku głowy na postumencie. Odłożyła nóż, po czym kciukiem i palcem wskazującym zaczęła modelować kość policzkową. Koncentrując się, przygryzła dolną wargę. — Zadałem ci pytanie, Daisy.

— Mhm.

300

— Pytałem, ilu męskich modeli, którzy wpatrują się w tę konkretną rzeźbiarkę, spostrzega, że ma erekcję. Znowu podniosła tępy nóż, po czym odłożyła go.

— Słuchaj, Carl, to nie był mój pomysł. Najpierw Andrew rzucił tę genialną myśl, a potem Jocelyn mu zawtórowała. I oto tu jesteśmy. Mam nadzieję, że mój talent zostanie doceniony w Pentagonie. Czy mógłbyś jednak mówić o czymś innym niż o stanie twoich genitaliów? One mnie nie interesują.

Podniosła nóż, nabrała kolejną partię wilgotnej gliny i pacnęła ją na lewy policzek.

W odległości dwóch i pół metra leżał na sofie, z nogami opartymi na poręczu, z głową zwróconą nieco w prawo ku Daisy. Carl z krwi i kości bawił się nieźle.

— Zgoda. Porozmawiajmy na tematy filozoficzne. Mówiłaś, że rozmowa uchroni moją twarz przed żezieniem. Daisy wytarła ręce kawałkiem wilgotnej gazy i osuszyła je o siedzenie džinsów.

— Zróbmy sobie drugą pięciominutową przerwę — zaproponowała. — Chcesz kawy? Zostało trochę w ekspresie. — Elektryczna maszynka z jedną fajerką stała na stole pod ścianą.

— Nie, dzięki. Przejdę się po pokoju.

Przeszedł na drugą stronę atelier, oddalając się od Daisy wyciągniętej w fotelu przykrytym wielobarwną kapą z Madrasu, która pamiętała lepsze dni. Była to pozostałość z jej przedmałżeńskich czasów mieszkanka przy Sloane Square. Carl wyciągnął rękę i położył dłoń na rzeźbie w powiększonej skali, przedstawiającej dwa ptaki z szyjkami zaplecionymi w uścisku. Nie poczuł wilgoci; glina wyschła. Cofnął dłoń, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem, mijając kilka drewnianych postumentów wspierających nie dokończone popiersia innych modeli, na wpół widoczne przez plastikowe torby, mające uchronić glinę przed wyschnięciem. Coś w sposobie zawiązania toreb wokół gardeł spowodowało, że Carl opuścił kąciki ust.

Zatrzymał się za fotelem, na którym odpoczywała Daisy. Nachylił się nad jej ramieniem i wsunął prawą dłoń pod płócienną koszulę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami. Miała na sobie stanik.

Wsunął pod spód czubki palców.

Daisy ześlizgnęła się niżej i przekreśliła na bok, odrywając się od dłoni Carla i wstając z fotela.

— Carl, ty nie rozumiesz. Podeszła do kominka, na którym stało pełno słoików i pędzli. Stając do niego plecami, powiedziała: — Nie chcę już mieć z tobą romansu.

— Tak mówisz, Daisy.

— Tak myślę.

Nadal stał za fotelem, który opuściła. Uniósł rąbek konopnej kapy rzuconej na fotel, leniwie przesunął palcami po szorstkim materiale, po czym pozwolił mu opaść z powrotem.

— Wielość doznań pozwala bardziej doceniać kochaną osobę — oświadczył tonem kpiącej powagi, jakby otwierał wykład.

Potem stał się konkretny.

— Daisy, wiesz równie dobrze jak ja, że bez względu na to, jak czułe i pełne wyobraźni jest małżeństwo, po dziesięciu latach pewne powtórzenia stają się nieuniknione. Każda prawdziwie zmysłowa osoba angażuje się w wiele związków, dla własnego dobra, a także po to, by zwiększyć rutynową przyjemność z kochaną osobą.

— Wolałabym, żebyś przestał powtarzać „kochana osoba”, jak gdybyś mówił o jednym z tych zabalsamowanych trupów z powieści Evelyn Waugh.

Carl zaśmiał się. Nie ruszył się z miejsca.

— Nie proponuję niczego, co nadwątliloby twój związek z Andrew.

— Owszem, proponujesz. Fakt, że tylko Andrew pobudza seksualną stronę mojej natury, jest ważny dla niego, i dla mnie. — Nie musiałby się dowiedzieć. Czy ty wiesz, kiedy miewa przelotne przygody?

— Myślę, że powiedziałaby mi o tym. A jeśli nie wtedy, to potem. Prawdopodobnie — dodała. Andrew wspominał czasem o swoim zdziwieniu, że chociaż pozostaje świadom istnienia atrakcyjnych kobiet, kiedy miałby podjąć konkretne kroki, stwierdza, że nic go to nie obchodzi. Uśmiechał się i dodawał, żeby się z nią droczyć: — Ale niech ci to nie uderzy do głowy. Jestem pewien, że

dzieje się tak dlatego, że w tej przeklętej pracy nie mam czasu na wyskoki. — Postanowiła mu wierzyć. Ale może było inaczej. Nigdy nie zapytała go wprost, a teraz, kiedy o tym myślała, uzmysłowiła sobie, że nigdy nie oświadczył, że jej nie zdradził. Nie była pewna, czy chciałaby się dowiedzieć, gdyby tak się stało. Obserwując ją, Carl powiedział:

— Ludzie cieszący się najlepszymi małżeństwami miewają ciche romanse na boku, zwłaszcza kiedy pragną intensyfikować jedną z największych przyjemności, jaką dostaliśmy od Boga, naszą zmysłowość. Nie znaczy to, że mamy chodzić i wszystkim o tym opowiadać. Nikt inny nie musi się dowiedzieć.

— Ale ja bym wiedziała. - Głos Daisy przeszedł na moment w jęk. — Lubię, kiedy on zaspokaja tę sferę mojego życia. Dzięki temu wszystko inne, co robimy razem, staje się bogatsze i zabawniejsze. Fakt, że to wszystko emanuje tylko od niego, wzbogaca nasz związek.

- Jakież to wzruszające. Wiesz, Daisy, mówisz głupio. Mam wrażenie, jakbym słuchał studentki drugiego roku z Radcliffe, która nie ma zielonego pojęcia o świecie.

Daisy tupnęła nogą. Nie mogła znieść podobnych wykładów.

Carl wybuchnął śmiechem. Obszedł fotel i usiadł, wyciągając nogi prosto przed siebie i rozsuwając je. Podniósł konopną kapę i potarł nią policzek, przyglądając się Daisy stojącej plecami do kominka.

Czuła zakłopotanie z powodu tupnięcia nogą: pokazała, że udało mu się ją zirytować. Był tak cholernie zarozumiały, że niewątpliwie odczyta jej chwilową utratę panowania nad sobą jako fizyczną namiętność do niego. Dlaczego, na Boga, Carl Myer musiał zostać amerykańskim sekretarzem obrony? Gdyby jednak była ze sobą szczerą, przyznałaby, że cała sytuacja miała swoją klasę. Nie chciała jednak iść z nim do łóżka, a najwyraźniej tego dotyczyła rozmowa.

- Słuchaj, Carl. Związek z Andrew to najważniejsza rzecz w moim życiu, chociaż oczywiście mówiąc to, nie mam na myśli dzieci.

— Naturalnie.

— A związek ze mną *znaczy* dla Andrew więcej, niż ci się wydaje. Czasami rozmawiamy o tym, co by się stało, gdybym miała z kimś romans. Andrew mówi, że nawet gdybym mu o tym nie powiedziała, sprawy między nami uległyby zmianie, ponieważ czułabym się inaczej w stosunku do niego. To prawda. — Ależ skąd, jestem pewien, że Andrew kocha swoją żonę. To, co proponuję, mogłoby w istocie wzmocnić tę miłość, ponieważ Andrew wydałby ci się bardziej interesujący, gdybyś zapomniała o purytańskich bredniach, które ci wpojono. Powinnaś pozwolić sobie na małą odmianę. Skorzystalibyście na tym oboje.

— Ale stałabym się wtedy kimś innym. Mówiłam ci. Nie chcę tego.

— Mylisz się.

Wstał z fotela i ruszył w jej stronę. Zatrzymał się w odległości pół metra od Daisy.

— Oto co proponuję.

Ktoś zapukał do drzwi atelier.

Carl odwrócił się i szybko odszedł od Daisy.

— Wejdz — powiedziała.

Otworzyły się drzwi i weszła Sophie. Włosy zawinęła do góry i spięła zieloną spinką w kształcie motyla, którą pożyczyła z toaletki Daisy.

— Cześć, doktorze Myer. Cześć, mamó. Tych dwóch matołów, którzy stali przed drzwiami, kiedy wróciłam ze szkoły, stoi teraz w hallu. Zadzwonili i ich wpuściłam. Jeden z nich poprosił, żebym spytała pana, kiedy według pana powinniście wrócić do ambasady. Czy Matty wrócił do domu?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparła Daisy. Carl patrzył na zegarek.

— Mają rację. Powinienem się zbierać. Co u ciebie, Sophie?

— W porządku.

Patrzyła, jak Carl Myer podnosi krawat, okręca go wokół szyi i zawiązuje. Lubiła go.

— Jak pan to może robić, nie patrząc w lustro? — zdziwiła się.

— Doświadczenie. Właśnie o tym rozmawiałem z twoją matką.

Daisy zniknęła. Sophie i Carl ruszyli korytarzem ku frontowi domu.

Daisy stała w hallu z dwoma agentami, którzy teraz wyszli przed dom, gdzie czołowy samochód kolumny i szary Opel Senator stały zaparkowane pośród innych wozów przy krawężniku. Dwóch policjantów w kaskach i wysokich butach stało obok swoich BMW. Czarna limuzyna nadjechała z rykiem od wylotu Cheyne Street i stanęła obok dwóch motorów, blokując ulicę; amerykański sekretarz obrony zegnał się na chodniku z Daisy i jej córką.

Na drugim końcu ulicy, gdzie po przeciwnej stronie stała czerwona skrzynka na listy w kształcie słupa, pojawił się chłopiec. Puścił się biegiem, stając przed domem na sekundę, nim Carl wsiadł do samochodu.

— Cześć, doktorze Myer.

— Cześć, Matty.

Carl uścisnął mu dłoń, jakby wcale się nie spieszył.

— Miałem nadzieję, że cię zobaczę, Matty. Cieszę się na spotkanie następnym razem.

Ledwo tylne drzwiczki Opla Senatora się zamknęły, motocykliści kopnęli pedały starterów. Kiedy kawalkada dojechała do końca Cheyne Street, z przeciwnej strony ulicy wyjechała furgonetka pocztowa.

Sophie patrzyła, jak samochód staje obok skrzynki na listy, a jego silnik tyka niczym krokodyl w „Piotrusiu Panie”. Nigdy nie rozumiała, jak kierowcy furgonetek pocztowych potrafią dotrzeć do każdej skrzynki cztery razy w ciągu dnia niemal co do minuty, chociaż te same godziny wybierania listów obowiązywały w całym Londynie. Mogła się założyć, że kiedy ona, Matty i mama wrócą do domu, stary zegar w hallu będzie wskazywał piątą trzydzieści jeden.

Tak też było. Nie miała powodu wyobrazić sobie, że nastąpi taki dzień, w którym furgonetka pocztowa się spóźni.

Carl siedząc naprzeciw okna widział, jak popołudniowe niebo pociemniało, a potem rozstąpiło się przed błyskawicą. Skończyła się ustabilizowana czerwcową pogodą. Siedząc plecami do okna, Andrew usłyszał pojedynczy grzmot, a później uderzenie deszczu o szyby. Po półgodzinie letnia burza ucichła, a oba zespoły posunęły się znacznie w rozmowach na temat redukcji zbrojeń nuklearnych w Europie.

To kolejny punkt obrad budził kontrowersje: Satyr. Andrew przedstawił trzy części swego równania. Carl odparł:

- Założmy na razie, że zdołam cię przekonać, że żaden komponent wyprodukowany w Ameryce nie będzie zawierał urządzenia, które umożliwiłoby Pentagonowi podsłuch. Gdybyś rozdzielił produkcję między firmy brytyjskie a US Solar Space, mogę zagwarantować, że moglibyśmy wystrzelić dla was satelity po jeszcze niższej cenie, niż ostatnio wspominałem.

Andrew położył łokcie na stole, podpierając podbródek dłońmi. Wyglądało na to, że czuje się swobodnie — tym lepiej. Długa wskazówka zegara nad drzwiami skoczyła do siódmej i zebranie dobiegło wreszcie końca.

- Do zobaczenia w pałacu Buckingham - powiedział Andrew do swego amerykańskiego odpowiednika.

- Zawsze prowadzisz tak szalone życie towarzyskie? — spytał Carl.

- Nie. Monarchowie i głowy obcych państw przejawiają niezrozumiałą namiętność do odwiedzania Anglii w czerwcu.

Długa wskazówka skoczyła na siódmą trzydzieści pięć, kiedy Daisy wyszła.

Wyglądała promiennie w żółtej, jedwabnej sukni, tak wąskiej, że nawet z wycięciem do kolan mogła stawiać tylko małe kroczyki. Białe dworskie rękawiczki z kozłej skórki sięgały jej prawie do ramion.

Oprócz wyszywanej cekinami torebki niosła wykrochmaloną koszulę w przezroczystym opakowaniu z pralni. Za nią kroczył Ollie, niosąc drewniany wieszak z czarnymi spodniami, frakiem, białą kamizelką i białym krawatem zawiązanym wokół wieszaka.

Duma Daisy nie miała granic: wyszła z domu i wsiadła do Jaguara tylko pięć minut po wyznaczonej godzinie.

- Cudownie — stwierdził Andrew. Siedział za biurkiem.

- Właśnie kończę to podpisywać. Ollie, może złożysz swój cenny ładunek na sofie? Rozgość się, Daisy.

Kiedy minister wyszedł z łazienki w białym krawacie i fraku, zlustrował wzrokiem żonę.

- Wyglądasz przepysznie — powiedział.

Ollie objechał Parliament Square, przemknął Birdcage Walk i skręcił w prawo ku złoconemu pomnikowi Zwycięstwa, pod którym siedziała dumnie królowa Wiktorja, patrząc z zadowoleniem w stronę Trafalgar Square, odwrócona plecami do pałacu Buckingham.

Jedna z misternie zdobionych bram z kutego żelaza była otwarta. Samochód sekretarza obrony przejechał, a strażnicy w czerwonych mundurach i czarnych futrzanych czapach zaprezentowali broń.

Ollie przejechał przez frontowy dziedziniec i zatrzymał się za trzema oficjalnymi samochodami czekającymi, aż wysiądą z nich wystrojeni pasażerowie. - Pamiętasz pierwszy raz, kiedy przywiozłeś mnie tutaj na koktajl na cześć Margaret Thatcher, a dworzanin, który prowadził nas na górę, zapewnił, że nie ma najmniejszego znaczenia, że królowa już weszła? — spytała Daisy.

Andrew zaśmiał się.

— Chyba dopiero wtedy zrozumiałem, że nawet kiedy królowa jest gospodynią, należy przyjść przed nią. Ci monarchowie to dziwni ludzie, jeśli się nad tym zastanowić. Wsiądziemy tutaj, Ollie.

Sześciu agentów GOD i dwóch ze służb specjalnych stało koło portyku pośrodku frontonu pałacu. Harwoodowie weszli drzwiami prowadzącymi do Grand Hall.

Daisy spojrzała w górę na wielkie złożone kapitele wieńczące marmurowe kolumny w Grand Hall. Jakiś dworzanin stał przed zdobionym kominkiem, na którego obramowaniu stał wspaniały złożony zegar z boginiami zwycięstwa po obu stronach.

— Witaj, Andrew. Dobry wieczór, Daisy.

Daisy prawie nie знаła dworzanina, ale Andrew studiował z nim w Marlborough. Z wyjątkiem bryczesów, miał na sobie taki sam strój wieczorowy co Andrew. Ruszył z nimi okazałymi schodami, które wznosiły się do przeciwległej ściany, a potem zakręcały w prawo i w lewo, by zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni. Jej suknia była tak wąska, że Daisy musiała ją podwinąć, żeby wspiąć się na schody. Kiedy znaleźli się na szczycie, spojrzała w górę na białe, marmurowe rzeźby i wznoszącą się ponad nimi kopułę. — Chodź. — Andrew ujął ją za łokieć.

Daisy zauważyła pewną charakterystyczną cechę pałacu Buckingham: kiedy wchodziła do Salonu Zielonego, Salonu Niebieskiego czy któregośkolwiek innego, stali tam ludzie. Nie mogła z nimi rozmawiać, a jednocześnie nie mogła się dobrze przyjrzeć pomieszczeniom. Była świadoma sufitów wznoszących się wysoko nad jej głową, ścian pokrytych przepyszными jedwabiami w kolorach purpury, szafiru, zieleni i cytrynowej żółci, ozdobionymi ciężkimi, złotymi girlandami. Nie mogła jednak zwrócić uwagi na żadne szczegóły obrazów, rzeźb, mebli, ani niewątpliwie drogich bibelotów.

— Dobry wieczór, ministrze.

— Dobry wieczór, marszałku.

Andrew przedstawił Daisy szefowi sztabu. Górną połowę

galowego munduru marszałka pokrywały rzędy orderów. Przedstawił żonę, groźną postać w sztywnej, zielonej tafcie i tiarze. Służący podsunął srebrną tacę, z której Daisy wzięła kieliszek szampana, a Andrew dużą whisky.

Ponieważ okazało się, że nie musi rozmawiać z marszałkiem i jego żoną, Daisy rozejrzała się dookoła. W pomieszczeniu znajdowało się chyba z pięćdziesiąt osób. Znała albo rozpoznawała połowę z nich. Mimo że większość zdawała się pogrążona w rozmowach, w salonie panował nastrój wyczekiwania. W końcu sali, gdzie nagle otworzyły się drzwi, rozległ się szum, który rozniósł się po Białym Salonie jak fala: goście stojący najbliżej drzwi ujrzeli wchodzący dwór, a inni goście wyczuwali to i odwracali się w tamtym kierunku. Daisy i Andrew nadal stali po przeciwnej stronie sali, oddzieleni od znakomitych gospodarzy tłumem gości.

— Daisy. Andrew. Poproszono mnie, żebym przedstawił was księciu Walii.

Znajomy dworzanin zaprowadził ich do miejsca, gdzie księżę Walii rozmawiał z dwojgiem ludzi, których Daisy rozpoznała jako dyrektora Teatru Narodowego i jego żonę. Ona, Andrew i dworzanin czekali nie opodal. Rozejrzawszy się wokół, Daisy spostrzegła trzech innych członków rodziny królewskiej, oddalonych od siebie o kilka metrów, zaszczycających gości królewską uwagą. W trakcie wieczoru niemal każdy z gości miał porozmawiać z jedną królewską osobistością, a w przypadku bardzo specjalnych gości, nawet z dwiema. Zabawne. Niezależnie od tego, za jak nieformalnych ludzi uważali się niektórzy z członków rodziny królewskiej, nigdy nie spodziewali się, że będzie się ich traktować w sposób nieformalny. Nawet księżę Karol, przy całej jego trosce o ludzkość i tak dalej, nie spodziewałby się, że gość zaproszony do pałacu Buckingham zagadnie go pierwszy. Poza tym, będzie pytał Daisy, nie oczekując, że ona zada mu jakiegokolwiek osobiste pytanie.

Bez żadnej zauważalnej dla Daisy przerwy księżę Karol skończył nagle rozmowę z dyrektorem Teatru Narodowego i jego żoną, po prostu odwracając się od nich i podchodząc

do dworzanina, który natychmiast zamienił dwa słowa z Harwoodami.

Dworzanin przedstawił ich. Daisy skinęła lekko głową. Jej amerykańskie wychowanie nie pozwalało jej naśladować jednej z tych Angielek - zauważyła, że prawie wszystkie nosiły tiary - które przypadały do ziemi w najgłębszych pokłonach, pyszniąc się swym wdzięcznym, a w oczach Daisy służalczym ukłonem. Książę Karol uściskał dłoń Andrew, który skłonił na moment głowę. Wtedy książę zaczął rozmowę głosem, którego głębia zawsze nieco dziwiła, chociaż Daisy nie była pewna dlaczego. Czy dlatego, że królowa, księżniczka Małgorzata i księżna Diana miały takie napięte, raczej wysokie głosy? Czy może, absurdalnie, nie spodziewała się, żeby mężczyzna tak drobnej budowy jak książę Walii, miał taki głęboki, melodyjny głos?

- Pani Harwood, ile czasu zajęło pani wyrzeźbienie popiersia sir Juliana Stavertona?

Książę wpatrywał się w Daisy z intensywną uwagą, jak gdyby nic na świecie nie mogło interesować go bardziej niż jej odpowiedź. To sprytne z jego strony, że zauważył popiersie w Narodowej Galerii Portretów i zapamiętał je, pomyślał Andrew.

- Mój Boże, sir, ta praca nie miała końca - odparła Daisy. - Sir Julian okazał się najbardziej niespokojnym człowiekiem, jakiego spotkałam. Miał przyjść do mojego atelier na kilka dwugodzinnych sesji. Jednak po półgodzinie zaczynał chodzić tam i z powrotem, a ja przekonałam się, że nie potrafię jednocześnie dreptać za nim, przyglądać się jego rysom i modelować glinę. Dlatego ta praca zajęła mi kilka miesięcy.

Książę Karol zaśmiał się z uznaniem. Daisy zauważyła już dawniej, że kiedy podczas takiej nigdy do końca swobodnej rozmowy z członkiem rodziny królewskiej powie się coś choćby lekko zabawnego, rozmówca uznaje to za przekomiczne. Musi to mieć związek z ich życiem pełnym napięć.

- Czyje rysy można teraz zobaczyć w glinie w pani atelier? - spytał książę.

- *Cóż*, Auberon Waugh leży okutany w jedną plastikową torbę, a Andrew Lloyd-Weber w drugą. Zaczęłam też pracę nad głową amerykańskiego odpowiednika mojego męża, który, jak sędzę, jest tu dzisiaj.

- A, wielki doktor Myer - odparł książę. - Rozumiem, że równowaga ekologiczna naszego środowiska nie jest jego największą troską.

Jest dobrze poinformowany, pomyślał Andrew nie po raz pierwszy. Książę zwrócił się do niego.

- Zaciekawilo mnie pańskie przemówienie w Trinity House dwa tygodnie temu. Niezwykle trudno ocenić, na ile można ufać ofertom innych, składanym najwyraźniej w dobrych intencjach, a na ile należy je rozważać z odrobiną sceptycyzmu.

Ponieważ teraz Andrew stał się obiektem uwagi księcia, Daisy mogła pozwolić sobie na refleksję. Zdziwiło ją nieco, że książę wspomniał o szeroko komentowanej tezie Carla, że atak atomowy jest usprawiedliwiony w warunkach szczególnych prowokacji. Sądziła, że jedną z frustracji księcia Karola, mężczyzny w średnim wieku, wciąż bez konkretnej pracy, jest fakt, że nigdy nie będzie mu dane rozmawiać o polityce czy obronności.

Książę się odwrócił. Przez salon przebiegła kolejna fala. Dwieście osób z trzech salonów udawało się na kolację. Wśród gości Daisy zauważyła Rachel Fisher. Miała na sobie jedwabną suknię koloru brązowego porto. Towarzyszył jej całkiem przystojny mężczyzna, który musiał być George'em Bishopem. Daisy spotkała go raz na przyjęciu w pałacu Buckingham.

Po wejściu do Sali Jadalnej spojrzała w górę na jej potrójną kopułę. Potem zerknęła na kartę, którą wręczono im, kiedy przyjechali: wyznaczono jej miejsce na jednym ze skrzydeł w kształcie litery U. Kiedy tam dotarła, obok stał Carl.

- Pozwól — powiedział, odsuwając krzesło Daisy, zanim lokaj zdążył pomóc jej usiąść.

Spojrzawszy na kartę po lewej, rozpoznała cudzoziemskie nazwisko z dwustronicowej listy gości, którą dostała do

prze czytania podczas krótkiej jazdy do pałacu Buckingham. Była to jedna z osób towarzyszących wytwornemu małemu monarsze z jego kraju w wizycie w Londynie. Ale która to osoba? Zapomniała. Elegancki mężczyzna skłonił się nisko Daisy i zajął miejsce po jej lewej ręce. Zastanawiała się, czy mówi po angielsku. Jedyńm językiem, jaki Daisy dobrze znała, był francuski, ale posługiwanie się nim ją męczyło. Nachyliła się do przodu, żeby zobaczyć, kto siedzi za cudzoziemcem: dzięki Bogu, kobieta ta nie rozmawiała z sąsiadem po swej drugiej stronie. Daisy oparła się i szybko odwróciła się w prawo.

- Nie wiesz przypadkiem, kto siedzi po mojej lewej stronie, Carl? Na karcie napisano komandor Dorocco.

- To *chefde cabinet* gościa honorowego - odparł Carl, a oczy mu zamigotały. - Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że mówi po angielsku, chociaż nie tak dobrze, jak sądzi. Czy zdaje sobie pani sprawę, pani Harwood, że my dwoje przeczymy statystycznym przewidywaniom? Zgodnie z protokołem zazwyczaj siedzę między dwiema najnudniejszymi damami, których mężowie są przypadkowo równi rangą ze mną. Damy robią, co mogą. Ja robię, co mogę. Nikt nie może powiedzieć, że jest to zabawne. Wszystko się jednak zmienia, kiedy przylatuję do Londynu. Słuchajcie, słuchajcie, tak się składa, że żona brytyjskiego sekretarza obrony jest najbardziej atrakcyjną kobietą Albionu. Jak się masz? Daisy zaśmiała się. Cieszyła się na widok Carla. Przynajmniej połowa rozmowy przy stole będzie przyjemna.

- Mam się świetnie - odparła, opuszczając wzrok i rozpinając rękawiczki. Wysunęła z nich dłonie, zrolowała puste palce i zawinęła je za mankiety rękawiczek, zanim służący podszedł do niej z pierwszym daniem. Carl obserwował Daisy. Zawsze interesowało go, jak kobietom udaje się *petit deshabelle des mains*.

- Ale mam takie niegodne myśli — ciągnęła. — Czy widzisz tę kobietę z ciemnymi, kręconymi włosami w brązowej sukni? Tam po lewej. - Daisy wskazała dyskretnie Rachel. - Czy poznałeś ją?

- Nie. Wygląda interesująco.
- Chyba jest taka. To sekretarz przemysłu.
- Rachel Fisher?
- Tak. Pamiętasz, jak na przyjęciu pod Numerem Dziesiątym przedstawiłam cię redaktorowi „Ramparta”? Otóż on stale promuje Rachel Fisher kosztem Andrew. Dlatego jej nie lubię, a widząc ją tu przy stole, mam niegodne myśli.
- Pozwól, że zgadnę. Daisy czekała.
- Możesz mieć nadzieję, że jeden z tych służących obleje ją sosem holenderskim.
- Nie przyszło mi to na myśl, ale niezły pomysł.
- Możesz czuć zadowolenie, że siedzisz na lepszym miejscu.
- Dokładnie na tym polega moja niegodna myśl. Czyż nie jest obrzydliwa? To takie marne. Teraz, kiedy ci o tym powiedziałam, dokonałam oczyszczenia.

Carl uśmiechnął się.

- Masz rację: to marne. Ale my wszyscy jesteśmy marni, Daisy. Czy mam ci powiedzieć, kto jest marniejszy niż wszyscy inni znani mi ludzie? Moi koledzy z Princeton. A konkretnie: żydowscy intelektualiści z Princeton. Nie mogą znieść, że to ja jestem sekretarzem obrony.
- Ale czy nie jesteś na nich bardziej wyczulony niż na kogokolwiek innego? Jestem pewna, że i inni nie są wolni od zazdrości. - Logicznie tak jest, Daisy. Ale zawiść tamtych ludzi jest krótkotrwała. Henry Kissinger powiedział mi, że doświadczył tego samego. Mówił, że żydowska grupa z Harvardu wolałaby, żeby sekretarzem stanu został ktokolwiek inny niż żydowski intelektualista. Tego nie mogli wybaczyć. Lokaje w czerwonych liberiach ze złotymi guzikami z koroną i znakiem ER zbierali już królewskie talerze z porcelany z Worcester. Królowa nie lubiła przeciągać poszczególnych dań. Zresztą większość talerzy z ręcznie malowanymi angielskimi kwiatami została dokładnie wy-

złożony talerz i kielichy stojące przed każdym z gości; dwa z czterech kielichów były złożone. Postanowiła, że musi spytać Andrew, dlaczego pozostałe dwa gatunki win piło się z kryształowych kielichów; skoro królowa ma tyle złożonych, na pewno miała też i więcej - czemu ich więc nie wyjęto? Po lewej stronie Daisy rozległ się głęboki głos *chefde cabinet*.

- Pani Harwood, czy mam pani zdradzić sekret gotowania homara w taki sposób, aby został tak delikatny jak Jej Wysokości i żeby jego mięśnie nie stały się twarde, sztywne?

Daisy odwróciła się w lewo, co nakazały jej nie tylko wymogi życia towarzyskiego, ale także jej niepohamowana ciekawość.

- Sztywne - powtórzyła zachęcająco. Przez moment pomyślała o „Thesaurusie Rogeta”, nie mając całkowitej pewności, o jakich mięśniach była mowa.

Chef de cabinet wygłosił długą rozprawę o tym, jak kucharz Jej Wysokości musiał powoli podgrzewać wodę i ukołysać homara do snu. Z powodu słowa w jego tytule, Daisy wyobraziła sobie, jak siedząca obok niej godna postać ubrana w biały fartuch i wysoką czapę stoi nad wielkim rondlem. Wpatrywał się w nią uważnie oczami koloru tak ciemnej czekolady, że nie potrafiła w nich nic wyczytać. Ale istnieje przecież teoria, według której samo oko nic nie wyraża, ale źródłem ekspresji są okalające je mięśnie.

Spojrzała na królową, siedzącą, za stołem, który łączył oba skrzydła. Nawet bez swej dalekowzroczności Daisy dostrzegłaby, że dworskie rękawiczki królowej, z zawiniętymi zgrabnie palcami, nie były zrobione z eleganckiej skórki. W lipcu Daisy była pod silnym wrażeniem zaproszenia do łoża królewskiej w Royal Opera House w Covent Garden. Wszyscy wiedzieli, że znaczna część rodziny królewskiej nieskończenie bardziej od opery wołała konie, toteż łożę królewską zajmowały zazwyczaj osoby niższego stanu. Może jednak występ Placida Domingo zwabił królową do przyścia. Kiedy Daisy została zaproszona przez królową do jej prywatnej sali jadalnej na tyłach łoża, najbardziej uderzyło

ją to, że królowa nosiła bransoletkę z diamentów i rubinów na jednej z białych rękawiczek. W latach młodości w Filadelfii Daisy słyszała od matki, że noszenie biżuterii na rękawiczkach jest wulgarnie. Jednak najbardziej godną uwagi rzeczą był fakt, że dworskie rękawiczki królowej wyglądały na zrobione z bawełny. Całe zdarzenie miało miejsce jednego z tych parnych, lipcowych dni, a wewnątrz Covent Garden przypominało saunę. Daisy, podobnie jak dama dworu oraz żona dyrektora opery, będąca gospodynią, nosiły rękawiczki z białej kozłej skórki, sięgające im do ramion. Istnieje niewiele materiałów mniej odpowiednich na upały. Tylko królowa założyła wygodne rękawiczki z lekkiego materiału.

Kiedy przyjęcie pod potrójną kopułą dobiegło końca, *chef de cabinet* skłonił się Daisy, a Carl odprowadził ją do Białego Salonu. Odszukała wzrokiem Andrew i podeszła do niego. Dziesięć minut później zbliżył się do nich znajomy dworzanin. Poproszono go, by przedstawił ich Jej Wysokości. Podczas gdy czekali, aż monarchini skończy rozmawiać z parą innych gości, Daisy przyjrzała się jej badawczo. W życiu wyglądała bardziej świeżo i znacznie mniej surowo niż na zdjęciach w gazetach. Uśmiechała się promiennie i zaraźliwie. Któż mógł się dziwić, że w jej stylu rozmowy było coś z rytuału? Trudno sobie wyobrazić, że trzeba rozmawiać z tyloma obcymi osobami podczas tysiąca różnych, przeciągających się okazji w ciągu roku. Daisy by oszalała.

Królowa najwyraźniej doszła do wniosku, że poświęciła parze gości dosyć energii. Nagłym ruchem odwróciła się do nich plecami. Miała dobrą pamięć, toteż dworzanin nie musiał jej przypominać, że już kiedyś spotkała Harwoodów. Daisy skłoniła na moment głowę, Andrew na trochę dłużej.

— Książę Karol mówił mi, że jedna z pani rzeźb stoi w Narodowej Galerii Portretów - powiedziała królowa. — Ostatnia okazja, podczas której rzeźbiono moje popiersie, stanowiła najbardziej męczące doświadczenie w moim życiu. Artyście wydawało się najwyraźniej, że ludzie nie mają nic

lepszego do roboty jak siedzieć przez dwie godziny i nie mrugać.

Królowa uśmiechnęła się promiennie.

Kiedy ich samochód wyjechał z dziedzińca pałacu Buckingham i Ollie ruszył w stronę Cheyne Street, Daisy położyła urękawiczoną dłoń na dłoni Andrew.

- Myślałam wcześniej o tym, że nasze życie stało się bardziej wystawne i skomplikowane, ale nasze małżeństwo nie zostało zepchnięte na bok. Dzieci są zdrowe. Twoja praca cię cieszy. Ja lubię to, co robię. A na dodatek dane są nam przywileje w postaci takich olśniewających wieczorów jak dzisiejszy: jądanie kolacji w pałacu Buckingham nie jest ważne, ale zabawne — owszem.

Rozbierali się w sypialni. Andrew zdjął biały krawat, poluzował kołnierzyk i kamizelkę, po czym przerwał. Usiadł w fotelu i patrzył, jak Daisy wychodzi z żółtej sukni i staje w szafranowym staniku, rajstopach i sandałach na wysokich obcasach. Jeszcze nie zdjęła naszyjnika i kolczyków: wiedziała, że się jej przyglądał.

- Za każdym razem, kiedy wchodziliśmy w nową fazę życia, sądziłaś, że okaże się gorsza niż poprzednia - powiedział Andrew. - A jednak każda faza była szczęśliwa, inna, ale szczęśliwa.

Nie spuszczał z niej wzroku. Wciąż stała w sandałach, bieliźnie i biżuterii.

- Czy chcesz, żebym znowu założyła wieczorowe rękawiczki?

- Czemu nie?

Kiedy to zrobiła, wstał z fotela i podszedł do żony. Rozpiął jej szafranowy stanik.

Ze względu na liczbę poniedziałków w lipcu, szkoła zakończyła się tego roku wcześniej niż zazwyczaj. Miała na sobie starą koszulę po Andrew i swoje obcięte džinsy. Trudno jej było wciąż podwijać rękawy koszuli. Ależ on miał długie ręce. Lubiła tę koszulę, bo nie musiała jej zdejmować przez głowę, żeby się przebrać w sukienkę.

Metoda prostowania włosów polega na tym, by zacząć, kiedy jeszcze są mokre, wyprostować je dokładnie, a następnie jak najciaśniej obwiązać je wokół głowy, przytrzymując szylkretowymi spinkami; należy jednak zachować ostrożność, bo nawet spinka może spowodować zagięcie i zepsuć cały efekt. Największym niepokojem napełniała Sophie potrzeba czekania przez godzinę, aż się wyprostują. Dopiero wtedy mogła je rozpuścić i sprawdzić, czy zwyciężyła czy też musiała zaczynać wszystko od początku. Nawet kiedy zabieg się udał, musiała uważać, by nie wystawiać włosów na podmuchy albo wilgoć, bo wtedy znowu zaczynały się kręcić. Dlatego najpierw się wykapała.

Wcześniej zamierzała zostawić sobie dość czasu, by w razie potrzeby powtórzyć proces prostowania, ale kiedy spojrzała na zegar, spostrzegła, że było już dwadzieścia po piątej. Jason miał zadzwonić po nią o szóstej. Było zdumiewająco ciemno jak na lipiec. Wtedy zrozumiała, że to chmury deszczowe musiały zasłonić słońce. Wyjrzała przez okno na Cheyne Street. Ulica przybrała ten śliczny, gładki, czarny kolor od pierwszych kropli. Liście klonu były mokre. Uwielbiała szept deszczu

spadającego delikatnie na liście. Nagłość ulewy pozwalała mieć nadzieję, że wszystko przejdzie, zanim wyruszą z Jasonem. Zaczęła delikatnie zdejmować spinki. Dwa długie kosmyki kasztanowych włosów opadły jej prosto do ramion. Póki co, wszystko dobrze.

- Sophie?

Mama wołała. Po natężeniu głosu Sophie poznała, że Daisy stała przed swoją sypialnią piętro niżej. Będzie musiała chwilę poczekać. - Sophie? Cholera, cholera, cholera.

- Co?

- Proszę cię, podejdź do schodów. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie mogę, mam. Moje włosy są na etapie krytycznym.

- Sophie, ja nie żartuję. Jesteś mi potrzebna.

Idąc bardzo prosto, Sophie wyszła na korytarz i wyjrzała przez barierkę, przyciskając dłonie do uszu, przytrzymując dwie kolejne partie włosów, z których właśnie zdjęła spinki.

- O co chodzi?

- Spójrz na mnie. Jestem kompletnie goła. Włosy ociekają mi wodą. Samochód przyjeżdża po mnie za kwadrans szósta. Nie wysłałam listu do matki Andrew, a obiecałam. Proszę cię, zanieś go na róg.

Samochód pocztowy przyjeżdża za dwie minuty.

- Nie mogę, mam. Moje włosy są naprawdę w stanie krytycznym. Jeśli je rozpuszczę, zniszczę całą fryzurę. Pada deszcz, a ja nie mam czasu na prostowanie ich od początku.

- Sophie, proszę. Wyglądasz ładnie bez względu na to, co robisz z włosami. Przykryj je czymś.

- Czemu ty nie możesz pójść? - Popatrz na mnie, na miłość boską. Ten okropny samochód przyjeżdża za piętnaście minut. To jakieś oficjalne przyjęcie, na które nie chcę iść, a wiesz, co czuje twój ojciec, kiedy się spóźniam. Ten list musi zostać wysłany. Obiecałam mu to. Pomóż mi, proszę. Furgonetka przyjeżdża za minutę.

- No dobra. Gdzie on leży?

318

— Na stole w korytarzu.

Sophie zbiegła ze schodów. Do połowy uwolnione od spinek włosy zaczęły spadać kaskadą.

Wszystko na marne. Zalała się łzami.

— Dlaczego twoje przyjęcie jest ważniejsze od mojego? — Ten półkrzyk, półłkanie wyrwało się jej z ust, kiedy przebiegała obok otwartych drzwi do sypialni rodziców.

— Boże, jak ja nienawidzę kłótni rodzinnych — powiedziała głośno Daisy. Ubrała się połowicznie i owinęła się ręcznikiem na tyle, by pójść korytarzem do garderoby Andrew, gdzie trzymała pod łóżkiem suszarkę. Jeśli tylko się skoncentruje, uda jej się ułożyć i wysuszyć włosy w ciągu sześciu minut; zostanie jej całe dziewięć minut na ubranie się i makijaż. Ale jak mogła się skoncentrować, kiedy Sophie tak rozpaczała? To rzeczywiście niezbyt sprawiedliwe w stosunku do niej. Boże, jak bardzo Daisy nienawidziła tego przekłętego, przekłętego, przekłętego samochodu i tego, że wszyscy ludzie z biura Andrew myśleli, że Daisy nie ma nic innego do roboty, jak przez cały dzień czekać, żeby wsiąść do niego dokładnie w wyznaczonej minucie. Znajdowała się w połowie drogi do garderoby, kiedy usłyszała rozdzierający pisk hamulców.

Pobiegła z powrotem i otworzyła okno w sypialni. W pobliżu wylotu Cheyne Street, między samochodami zaparkowanymi po obu stronach, stał samochód, z którego wyskoczył mężczyzna i pobiegł na przód pojazdu. Daisy widziała czerwoną skrzynkę na listy na rogu. Z wyjątkiem szeptu deszczu na liściach klonu panowała cisza i wszystko zdawało się dziwnie trójwymiarowe, jakby zastygłe w czasie. Złapała z podłogi dzinsy, naciągnęła przez głowę bluzkę i popędziła na dół.

Drugi samochód nadjeżdżał zbyt szybko Cheyne Street. Kierowca także miał za sobą długi dzień i spieszył się do domu. Tuż przed rogiem ujrzał samochód stojący pod dziwnym kątem. Jakiś idiota zostawił otwarte drzwiczki. Dałby radę go ominąć, ale lepiej, jeśli zwolni. Kiedy to zrobił, jakaś kobieta wybiegła na jezdnię tuż przed nim. Z całej siły nacisnął hamulec, a mokra nawierzchnia sprawiła,

że samochód zatrzymał się tuż przed kobietą. Zauważył, że miała mokre włosy. Ona nie zauważyła go wcale. Kiedy biegła obok samochodu z otwartymi drzwiczkami blokującego pół ulicy, zobaczył, że była boso. Ponownie uruchamiając silnik kierowca, zły jak ktoś, kto został przestraszony, opuścił szybę i krzyknął:

- Pani zwariowała. Życie pani niemiłe?

Pół sekundy później zrozumiał. Zatrzymał samochód obok otwartych drzwiczek tamtego, w ten sposób blokując całą ulicę. Zgasił silnik i otworzył drzwiczki, zastanawiając się, jak uda mu się nie stracić zimnej krwi. Zaszedł drugi samochód od przodu, gdzie mężczyzna nachylał się nad czymś, co leżało na lśniącej jezdni, a obok klęczała kobieta z mokrymi włosami.

U wylotu Cheyne Street pojawiła się czerwona furgonetka pocztowa. Spóźniła się o minutę.

oczekamy tu trochę, sir. Może na coś się panu przydamy.

— Dobrze — odparł Andrew.

Nie spieszył się, wchodząc razem z Daisy na frontowe schody. Nadal miała na sobie dzinsy i bluzkę z krótkimi rękawami, ale założyła jakieś buty. Andrew niósł swój czerwony neseser. Liczył stopnie: jeden, dwa, trzy, cztery. Wydawało mu się, że dłoń, która wsunęła klucz do zamka, nie ma z nim wiele wspólnego. Zamknął za sobą drzwi. Matty siedział na najniższym stopniu schodów. Wstał, kiedy weszli. — Och, mamó. Och, tato.

Daisy dotknęła policzka Matty'ego otwartą dłonią. Potem poszła na górę.

— Czy ona nie żyje?

— Nie.

— Wyzdrowieje?

— Nie wiem, Matty.

Matty przytulił twarz do koszuli Andrew i poczuł, że bawełniany materiał wilgotnieje. Potem poczuł, że coś kapie

mu na włosy. Po kilku minutach wyswobodził się z objęć ojca i podniósł wzrok. Łzy Andrew płynęły teraz prosto na zmoczoną koszulę. Matty otarł dłonią nos i usta.

— Jeśli ona nie umrze, to czy zostanie jej jakiś uraz?

— Nie wiem.

Andrew zastanawiał się, czy powiedział tak, żeby powoli oswajać Matty'ego z prawdą, czy sam nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co powiedział chirurg. Nie potrafili przewidzieć, kiedy — nie powiedzieli „czy”, a on nie zdobył się na to, by zapytać, czy to mieli na myśli, chociaż był pewien, że tak — wyjdzie ze śpiączki. Nie mogli rozważać możliwości operowania Sophie przed ustąpieniem obrzęku. Wyjaśnili, że obrzęk to płyn zbierający się w mózgu. Występuje zazwyczaj w przypadku pęknięcia czaszki. Było zbyt wcześnie, żeby oceniać rozmiary paraliżu. Ciało ludzkie jest zdumiewającym instrumentem. W leczeniu tego rodzaju pęknięć kręgosłupa osiągnęto pozytywne rezultaty, może należałoby raczej powiedzieć, częściowe rezultaty. Oczywiście, nie zostanie sama w pokoju na oddziale intensywnej terapii. Ale jest ważne, by matka nie- była obecna podczas wczesnych testów. Powiedzieli, że przeprowadzanie testów potrwa całą noc. Nic w pracy serca nie wskazywało na to, by Sophie miała nagle umrzeć. Cokolwiek miało się stać, nie miało się stać w ciągu jednej nocy. Mogła nie odzyskać przytomności przez wiele tygodni. Rodzice mogli wrócić następnego dnia rano. Kiedy sytuacja się wyklaruje, pani Harwood będzie mogła oczywiście siedzieć przy córce. Nie wchodziło jednak w grę, żeby Sophie odzyskała przytomność tej nocy. Pani Harwood znajdowała się w szoku i dla dobra wszystkich powinna wrócić do domu i trochę się przespać. Czy potrzebowali proszków nasennych? Oczywiście, gdyby nastąpiła jakakolwiek zmiana, ktoś natychmiast zadzwoni do państwa Harwoodów. Szpital znajdował się zaledwie o piętnaście minut jazdy od Cheyne Street. Minister może dzwonić do nich o każdej porze. Nad ranem sytuacja może się wyjaśnić.

— Wujek Nelly zaraz tu będzie - oznajmił Matty. Andrew schylił się po czerwony neseser. Nie pamiętał,

żeby kładł go na podłodze. Stawiał stopę przed stopą. Kiedy dotarł do szczytu schodów, spostrzegł, że drzwi sypialni były zamknięte.

Poszedł do gabinetu. Po ciemku podszedł do krzesła, a neseser położył obok na otomanie. Wyciągnął rękę, żeby zapalić światło, ale zrezygnował. Wyszedł z pokoju.

Otworzył drzwi sypialni i wszedł, zamykając je za sobą. Zastony były zaciągnięte, więc z ulicy nie dochodziło żadne światło; w sypialni panowała całkowita ciemność. Podszedł do fotela, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu. Zwinął krawat i położył na gzymsie kominka. Jego wzrok zdążył już przywyknąć do mroku, a zresztą i tak wiedział, gdzie co było.

Zbliżył się do łóżka od strony Daisy i objął ją. Wydawało się, że upłynęło wiele czasu, zanim zapytał: - Co się stało? - Wiedział tylko, że samochód potracił Sophie na Cheyne Street. Ani w szpitalu, ani w samochodzie nie spytał Daisy, jak się to stało.

Opowiedziała mu. Zajęło to dużo czasu, z powodu rozdzierających szlochów po każdym słowie. Kiedy doszła do tego, jak zawołała Sophie, która właśnie kończyła prostować sobie włosy, przez pewien czas Daisy nie mogła mówić dalej.

Płacz kobiety brzmiał inaczej niż mężczyzny.

A potem Andrew spytał okropnym, zduszonym głosem:

- Dlaczego kazałaś jej wysłać ten list?

Daisy wyrwała się z jego ramion. Odwróciła się na prawy bok, plecami do niego, lewą ręką zasłaniając twarz. Leżała milcząc i nie poruszając się.

Andrew wszedł na piętro. Zastanawiał się, kto zapalił światło w pokoju Sophie. Purpurowy abażur nadawał pościeli barwę siniaków. Położył się na łóżku i wpatrzył się w sufit. Dostrzegł dwa spore pęknięcia. Może powinni wezwać robotników?

Po pewnym czasie wyszedł z pokoju Sophie i zszedł na dół. Zapalił światło w gabinecie i podszedł do barku. Nie

było szklanek. Zszedł piętro niżej. Matty i Nelly siedzieli przy kuchennym stole. Wszędzie stało pełno kubków po kawie. Nelly palił. Słuchali starej kasety Beatlesów. „Eleanor Rigby”.

Nelly wstał i przycisnął wierzch dłoni do policzka Andrew.

- Jak Daisy?

- To fatalna sprawa - odparł Andrew.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, siedzę tu z Mattym. Jeżeli zadzwoni telefon, odbiorę.

Andrew wziął z szafki dwie szklanki i wrócił na górę. W gabinecie zauważył, że każde z krzeseł ma własny indywidualny charakter, jak gdyby znajdowały się tam od dawna. Wyglądały zdumiewająco trójwymiarowo. Jednym haustem wypił pół szklanki whisky. Potem napełnił do połowy obie szklanki, dodał trochę wody sodowej i zaniósł do sąsiedniego pokoju.

- Zapalę tylko jedno światło po drugiej stronie sypialni — powiedział.

Podszedł do łóżka od jej strony i usiadł na krawędzi. Jedną szklankę postawił na nocnym stoliku, a drugą wyciągnął ku Daisy. Leżała na lewym boku, wciąż twarzą do ściany.

- Daisy, kochanie. Musisz zrozumieć, że nie myślę tego, co powiedziałem. Jak mógłbym tak myśleć? To nie miało żadnego znaczenia. Byłoby niewybaczalne, gdyby cokolwiek znaczyło, ale nie. Musisz to zrozumieć. Był to całkowicie wyzbyty sensu krzyk kogoś, kto na moment stracił zmysły.

Nie odpowiedziała. Wydawało się, że nie zauważa szklanki, którą jej podsunął. Upił z niej nieco whisky i odstawił na stolik obok drugiej. Obszedł łóżko i położył się po swojej stronie. Przekręcił się na bok, objął żonę ramieniem, przytulając do siebie. Leżała plecami do niego; nie poruszyła się ani nie odezwała.

Po pewnym czasie Andrew wstał i obszedł łóżko na stronę Daisy. Podniósł do połowy opróżnioną szklankę. Zgasił światło. Zamknął za sobą drzwi sypialni.

Później tego wieczoru otworzywszy drzwi gabinetu, Nelly ujrzał brata siedzącego w fotelu z pełną szklanką whisky w dłoni. Na otomanie leżał czerwony neser. Nelly zauważył, że nie został otwarty. Zamienili kilka słów. Nelly zdziwił się nieco, kiedy Andrew nazwał go Donaldem, ale zrobił to tylko raz i Nelly był prawie pewien, że brat nie zwrócił na to uwagi.

Zamknął drzwi gabinetu i zszedł do salonu. Nalał sobie szklankę dzinu i wypił. Ponownie napełnił szklankę do połowy i wypił, tym razem wolniej. Następnie nalał dzinu prawie po brzegi i zszedł do kuchni, żeby dolać wody.

Matty wciąż siedział przy stole. Nelly miał wrażenie, że słuchali wciąż tej samej kasety Beatlesów. Usmażył jajka, które zjedli, zagryzając chlebem z masłem. Niedługo potem Nelly dolał sobie dzinu i razem z Mattym poszli na górę. Spał w wolnym łóżku w pokoju Matty'ego.

O północy Denis obudził Olliego.

— Chyba możemy jechać.

Ollie wyprostował się za kierownicą i uruchomił silnik. Kiedy Jaguar dojechał do rogu, obaj spojrzeli na czerwoną skrzynkę na listy.

— Jezu — powiedział Denis.

41

Niektóre noce Daisy spędzała w szpitalu. Siedziała tam przez większą część każdego dnia. Jaguar zabierał Andrew z Cheyne Street na tyle wcześnie, żeby mógł zobaczyć Sophie w drodze do Richmond Terrace. W ciągu pierwszych tygodni często wracał do szpitala po raz drugi w ciągu dnia, a czasem także wieczorem.

Po operacji Sophie wróciła na oddział intensywnej terapii. Dwa tygodnie później umieszczono ją w małym pokoju na oddziale neurologicznym. Pozostawała w stanie śpiączki. Do pokoju wciśnięto wąskie łóżko, żeby Daisy mogła odpoczywać. Woląa spędzać noce na tym łóżku niż na jednym z sześciu na ostatnim piętrze, przeznaczonych dla „gości”. Mówiła do Sophie i czytała jej na głos. Kiedy przyjeżdżał Andrew, Daisy zawsze wychodziła z pokoju i spacerowała po nie kończących się szpitalnych korytarzach. Jeśli nie padało, wychodziła na dwór i szła na most Westminsterki, zatrzymując się w połowie i wyglądając przez barierkę na Tamizę. „Czas jak nieprzerwany strumień zabiera swoich synów w dal...” Przypomniała sobie, że zawsze nienawidziła tego hymnu, a jednak patrząc w dół na szarą wodę przepływającą pod mostem, nie czuła nic tak pozytywnego jak nienawiść; czuła się jak z ołowiu. Woda wyglądała na ołowianą. Spojrzała w górę na niebo nad Parlamentem: było bezchmurne. Pomyślała, że jest pewnie błękitne, a mimo to zdawało się ołowiane. Cofnęła się od barierki i ruszyła z powrotem. Kilku kierowców, którzy

przemknęli obok, odczuło irytację na widok kobiety idącej ze spuszczoneym wzrokiem tak blisko krawężnika. Bok ciężarówki minął ją w odległości paru centymetrów. Daisy nie zwróciła na to uwagi. Niektóre noce oraz część każdego dnia spędzała na Cheyne Street. Matty spędzał większość czasu w domu przyjaciela, ale kiedy zdarzało się, że znajdowali się w domu razem z Daisy, cieszyli się na swój widok. Mimo to przekonała się, że nawet przebywanie z Mattym ją wyczerpuje. Nadal trzeba było zajmować się domem, odpisywać na listy, płacić rachunki. Najbardziej wyczerpywały ją rozmowy telefoniczne. Matka Andrew należała do nielicznych osób, które to rozumiały. Lady Harwood pisywała do synowej raz w tygodniu, ale kiedy czuła, że musi z kimś porozmawiać o stanie Sophie, dzwoniła do Nelly'ego do pracy. Lady Harwood wiedziała przy tym dobrze, że ani Andrew, ani Daisy nie dzwonili, ponieważ nie mogli jej powiadomić o żadnym postępie.

Ją i sir Edwarda zawiadomiono w godzinę po wypadku. Martin Thrower zadzwonił do nich, żeby nie dowiedzieli się o wszystkim ze środków przekazu. W rozmowie z Andrew następnego dnia lady Harwood oświadczyła, że chciałyby zamieszkać z mmi na pewien czas na Cheyne Street, żeby pomóc.

- Mogłabym tam mieszkać, kochanie, żeby Daisy nie musiała się martwić o Matty'ego. Wiesz, że nie oczekiwałabym od ciebie ani Daisy, żebyście spędzali ze mną czas. Mogłabym zająć się takimi rzeczami jak telefon. Macie Ingrid, ale to nie to samo.

- Dziękuję, mamó - odparł Andrew. - Myślę, że lepiej się stanie, jeśli będziemy teraz sami. Dam ci znać, kiedy będziesz nam mogła pomóc.

Nie musiał mówić, że nie mieli energii, by obcować z kimkolwiek innym, choćby tak dyskretnym jak lady Harwood. Nie trzeba jej było tego tłumaczyć: kiedy sobie na to pozwalała, pamiętała śmierć Donalda tak, jakby zdarzyła się wczoraj.

Zarówno szwagierka jak i matka Daisy chciały przylecieć

z Ameryki i zamieszkać na Cheyne Street. W Filadelfii była piąta trzydzieści wieczorem, kiedy Martin Thrower zadzwonił do rodziców Daisy, żeby powiadomić ich o tym, co się wydarzyło o piątej trzydzieści czasu londyńskiego. Dopiero następnego popołudnia pani Brewster miała okazję porozmawiać z córką przez telefon.

- Dziękuję, mamó - powiedziała Daisy. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli przyjedziesz później. Dam ci znać, kiedy tylko będziesz mogła coś zrobić. Na razie musimy pozostać sami.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni Nelly sypiał u nich po kilka razy w tygodniu. Matty cieszył się z jego obecności. Mimo teorii, że dzieci szybko przystosowują się do wydarzeń, Matty czuł się dziwnie. Nie potrafił stwierdzić, na ile jest nieszczęśliwy z powodu wypadku Sophie, a na ile z powodu nieszczęścia rodziców. Kiedy przychodził do szpitala, siadał na brzegu łóżka Sophie i rozmawiał trochę z mamą, z jednej strony to wszystko wydawało mu się normalne. Z drugiej strony przypominało jakiś sen.

Później Matty pojechał do Shropshire, żeby resztę lipca spędzić u dziadków w Long Green. Ustalono, że na większość sierpnia pojedzie do Włoch z kolegą szkolnym, którego rodzina miała willę pod Weroną. W ciągu pierwszych dni po wypadku przebywając w domu, Daisy szła do atelier.

Rozpakowywała plastikowe torby kryjące trzy nie dokończone popiersia. Roztargnionymi ruchami sprawdzała wilgotność gliny, po czym na powrót zawiązywała torby. Pewnego dnia nie chciało jej się zawiązać torby mocno wokół glinianego gardła Carla. Później przestała odwiedzać atelier. W połowie drugiego tygodnia jego głowa wyschła na pieprz.

Biuro Andrew nadal wkładało mu do czerwonego nesesera kartkę dla Daisy z listą głównych zajęć męża w ciągu dnia. Zostawiał ją w gabinecie na stole przy jej krześle. Jeśli leżała tam ciągle, kiedy wracał do domu następnego wieczoru, wyrzucał kartkę do kosza, zastępując ją listą zajęć na kolejny dzień. Raz lub dwa razy w ciągu tygodnia udawało mu się wracać do domu na obiad. W lipcu, póki Matty był z nimi,

Andrew zastawał Daisy przygotowującą wieczorny posiłek. Szybko ustalono, że Matty będzie jadł razem z rodzicami, łamiąc w ten sposób wieloletni obyczaj, zgodnie z którym dzieci jadały wcześniej, a rodzice mieli trochę czasu dla siebie. Weekendy upływały różnie, ale kiedy Andrew jechał do okręgu wyborczego, Daisy nigdy mu nie towarzyszyła. Czasami, kiedy wypełniał obowiązki w Waymere w sobotni wieczór, jechał na noc do Long Green. Zazwyczaj kiedy Daisy zostawała na noc na Cheyne Street, spali w sypialni. Czasami Andrew spał, obejmując ją. Daisy nigdy nie spała, obejmując męża. Dwukrotnie rozmawiali o dzielącym ich dystansie.

- Żadne z nas nie jest w normalnym stanie - stwierdził. - Gdybyś była, zaakceptowałabyś może w sercu, że to, co powiedziałem, nie miało znaczenia.

- Miało w chwili, kiedy to mówiłeś. Widziałam twoją twarz.

- Daisy, gdybyś doznawała tortur fizycznych, które stałyby się nie do zniesienia i powiedziałaabyś: „Zróbcie to Andrew”, nie mówiłabyś tego poważnie. Wiem, że nie. To, co powiedziałem, nie miało znaczenia. Jest niewybaczalne, bo wyraziłem twoje myśli: „Dlaczego kazałam jej wysłać ten list?” To szalone pytanie. Oboje wiemy, że to szalone pytanie. Oboje wiemy, że ludzie obwiniają się po wypadkach.

- W tej książce Orwella, kiedy Winston powiedział na torturach: „Zróbcie to Julii”, już nigdy nic nie było tak samo między nim a Julią.

- To jest książka. My jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy się kochają. Teraz potrzebujemy się nawzajem bardziej, a nie mniej. Daisy, czy nie możesz otworzyć przede mną serca?

- Chciałabym, ale nie potrafię — odparła.

Po drugim niepowodzeniu zaczął sypiać w garderobie.

Relacje o wypadku pojawiły się we wszystkich gazetach. Co pewien czas ukazywała się krótka notatka informująca o tym, że trzynastoletnia córka sekretarza obrony nadal znajduje się w stanie śpiączki.

W ministerstwie i Izbie Gmin wszyscy pytali Andrew

● sytuację. Niektórzy znajomi pisali listy, inni dzwonili.

Pewnego wieczoru, kiedy wrócił do domu i nie zastał Daisy, znalazł kilka listów na swojej otomanie.

Otworzył dwa zaadresowane do nich obojga i te przeczytał najpierw. Westchnął.

Otworzył list adresowany do niego. Pisany ręcznie na papierze Izby Gmin.

Drogi Andrew,

Jest mi bardziej przykro, niż mogę to wyrazić. Całe moje serce jest przepelnione nadzieją, że Twoja córka zostanie Ci przywrócona.

Nic, co się stanie, nie odbierze trzynastu lat, które Ty

i Daisy spędziliście z córką. Może wyda Ci się to dziwne w tym niewyobrażalnym momencie, ale są ludzie, którzy zazdrościliby Ci tych trzynastu lat, bez względu na to, co po nich nastąpi.

Na zawsze Twoja Rachel Fisher

42

Chciałbym móc coś powiedzieć o Sophie. Problem w tym, że nie ma nic takiego. Przykro mi, Andrew - powiedział Carl, kiedy po raz pierwszy wszedł do gabinetu na ostatnim piętrze Ministerstwa Obrony. Było piątkowe popołudnie pierwszego tygodnia sierpnia. Dwaj mężczyźni mieli spędzić pół godziny sam na sam, po czym miały się do nich dołączyć ich zespoły.

- Jak Daisy to znosi?

Andrew odwrócił wzrok od Carla i wyjrzał przez okno.

- To fatalna sprawa — powiedział. Carl milczał.

Andrew zacisnął na moment wargi.

Znowu skupił się na przyczynie, dla której siedział w tym gabinecie z amerykańskim sekretarzem obrony. Przeszli do rzeczy.

Na koniec, kiedy urzędnicy wyszli, Carl zatrzymał się przy drzwiach.

- Prosto stąd jadę do okręgu wyborczego - oświadczył Andrew. - Nie zobaczę Daisy przed niedzielą.

Nigdy nie wiadomo, czy zastanie się ją w domu, ale może do niej zadzwonisz?

- Na pewno spróbuję - obiecał Carl.

Mógłbym przyjechać na Cheyne Street - powiedział. - Jednak z tego, co mówił Andrew, rozumiem, że przydałoby

326

ci się oderwanie na kilka godzin od domu i szpitala. Słyszałem, że przez ostatni miesiąc kursujesz tam i z powrotem. Przedłużyłem pobyt o jeden dzień, a wiesz, że w sobotę londyńczycy nie chcą się zajmować niczym poważnym. Mogę być wolny na lunch, jeśli uważasz, tak jak ja, że wyjście na lunch byłoby dla ciebie zdrową rzeczą. Moglibyśmy zjeść u Claridge'a.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

Carl czekał.

— Dobrze. — Jej głos brzmiał słabo.

— Czy wiesz, skąd będziesz jechać, ze szpitala czy z domu? Przyślę samochód.

— Nie wiem, gdzie będę - odparła Daisy. - Przyjadę taksówką.

— Chcesz się umówić na pierwszą?

— Dobrze.

— Jeśli się spóźnisz, Daisy, nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Po prostu będę pracował, dopóki nie powiedzą mi, że przyjechałaś.

— Dobrze.

— Najprostszy sposób na radzenie sobie z ochroną, to podejść do frontowego biurka i powiedzieć, że jesteś ze mną umówiona. Oni to sprawdzą.

— Dobrze.

Szef portierów zadzwonił do apartamentu 620-25. Daisy zauważyła bez zainteresowania, że zegar na ścianie za jego biurkiem wskazywał pierwszą dwadzieścia pięć.

— Asystent doktora Myera przeprasza, ale doktor Myer rozmawia przez drugi telefon. Pyta, czy pozwoli nam pani odwiedzić się na szóste piętro, gdzie asystent spotka się z panią przy windzie.

— Dobrze.

Portier podniósł rękę i pstryknął palcami. Natychmiast podbiegł chłopiec hotelowy.

— Proszę zawieźć tę panią na szóste piętro. Tam spotka się z nią asystent sekretarza obrony.

331

Domyśliła się, że osoba w lustrze na ścianie windy to musi być ona; stała w czarnej, lnianej spódnicy i różowej, lnianej marynarce dwurzędowej z dużymi czarnymi guzikami, spod której wyglądała jedwabna koszulka z krótkimi rękawami. Pamiętała marynarkę jako jaśniejszą, niż wydawała się jej teraz, ale może była to kwestia oświetlenia w windzie. W sumie wyglądała na nie zmienioną, dziwne, jeśli się zastanowić. Odwróciła się od lalkowatej postaci i spojrzała na tył głowy chłopca hotelowego. W istocie nie był chłopcem: w równo przyszczyżonych ciemnych włosach między czapką a kołnierzykiem widziała wiele siwizny. Fryzjerzy utrzymują, że siwe włosy nie istnieją: faktycznie są białe. Jednak jego włosy wyglądały na siwe.

Drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze. Czekał tam na nią szczupły mężczyzna po trzydziestce w ciemnoniebieskim garniturze.

- Pani Harwood, jestem asystentem sekretarza Myera. Ray Stimson. Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do apartamentu sekretarza. - Skinął głową chłopcu hotelowemu, który wrócił do windy. Asystent pełnił kluczową rolę w tych sprawach sekretarza obrony, które wymagały dyskrecji.

Przed apartamentem 620-25 stał agent ochrony z radiotelefonem w dłoni i kawałkiem plastiku w uchu. Asystent nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Zanim drzwi się otworzyły, minęło pół minuty. Pomijając brak marynarki, Carl był ubrany oficjalnie na lunch.

- Witaj, Daisy. Wybacz, ale wciąż rozmawiam z Waszyngtonem przez telefon w drugim pokoju. Wejdz. Dziękuję, Ray - powiedział do asystenta. - Na razie nie będę cię potrzebował.

Carl zamknął za nimi drzwi, a Daisy usłyszała szcęk zatraskiwanego zamka. Zaprowadził ją korytarzem do salonu.

- Postaram się skończyć jak najszybciej. Rozgość się, proszę. Pomyślałem, że może nie masz ochoty na całe to zamieszanie związane z restauracją. Kiedy znajdziesz się w tym apartamencie i zamkniesz drzwi, możesz liczyć na całkowitą prywatność. Zajrzyj do tego porcelanowego

rondla i skosztuj *foie gras*. Jeśli ci zasmakuje, zaczniemy od tego. Mamy kartę, z której możesz wybrać to, co chciałabyś zjeść później. Załatwię tę rozmowę. Zniknął za drzwiami za sofą. Przez szorstki, zielony obrus widziała, że nogi stołu kończą się kółkami. W zasięgu ręki od stołu stała duża konsola, a na niej niezwykła liczba telefonów. Potrafiła zrozumieć, dlaczego Claridge przez kilka lat wyrzekał się honoru goszczenia amerykańskiego sekretarza obrony: aparatura instalowana przez amerykański departament obrony była zaiste okazała. Obojętnie spojrzała znowu na stół na kółkach nakryty ślicznie zielonym, krochmalonym obrusem, z butelką wina w kubelku z lodem. Nie podniosła pokrywki *foie gras*: była pewna, że jest bardzo smaczne.

Nie spodziewała się zastać w apartamencie stołu nakrytego do lunchu, ale jej to nie zdziwiło. Jadąc taksówką do Claridge'a wyglądała przez okno nie widzącym wzrokiem. Miała wrażenie, że jechała na przedstawienie, które jej zbytnio nie interesowało; wiedziała z góry, co się wydarzy.

Osoba jedząca lunch z Carlem chyba się dobrze bawiła. Rozśmieszał ją. Raz zaczęła płakać, ale przecież to tylko inna forma przesadnej ekspresji, która często nie ma żadnego związku z faktycznymi uczuciami. Ktoś powiedział jej, że każdy, kto śmiejąc się lub płacząc spojrzy w lustro, natychmiast przestaje: odbicie wydaje się zbyt wulgarne.

W porcelanowym rondlu znajdowało się tyle *foie gras*, że później mieli ochotę tylko na sałatkę. Carl nacisnął guzik znajdujący się pośród batalionu na konsolce; przez jeden z telefonów wydał asystentowi polecenie co do sałatek.

- Czy mógłbyś jednocześnie kazać, żeby przynieśli nam kawę i *petits fours*!

- Gdzie jest cały twój personel? - spytała Daisy. Carl zrobił minę.

- Czasem myślę, że wszędzie. Nasze apartamenty zajmują większą część tego korytarza. Niekiedy wydaje mi się

to nieco frustrujące: nie mogę pójść nigdzie bez całej ceremonii ochrony. Brytyjczycy, jak ci wiadomo, są bardziej zrelaksowani w tych kwestiach.

Rozległ się brzęczyk. Carl nacisnął inny guzik na konsolecie.

Po półminucie wszedł kelner, trzymając wysoko tacę. Obok niego kroczył agent ochrony z trzaskającą krótkofalówką. Kiedy kelner zebrał naczynia po pierwszym daniu i rozstawił pozostałe, Carl wstał od stołu i wyszedł za nim na korytarz apartamentu, a agent o krok za nimi.

— To już wszystko, czego nam potrzeba — oświadczył Carl.

— Dziękuję, sir - odparł kelner, trzymając tacę w jednej dłoni, a drugą zamykając na dziesięciofuntowym banknocie.

Carl skinął głową agentowi, który wyszedł w ślad za kelnerem.

Daisy usłyszała szcęk zatrzaskiwanego zamka.

— Nareszcie spokój i prywatność z Daisy - powiedział Carl.

Popili sałatkę resztką białego burgunda. Nalała im kawy. Wstał.

— Przepraszam na chwilę — powiedział.

Słyszała jego głos w jednym z dalszych pokojów. Nie słyszała, co mówi przez telefon, ale domyślała się: poza przypadkiem, gdyby zadzwonił prezydent, nie chciał odbierać żadnych telefonów, zanim nie wyda następnego polecenia. Wracając, uniósł podbródek i poluzował krawat, niemal jednocześnie odpinając górny guzik koszuli. Podeszedł do stołu nakrytego szorstkim, zielonym obrusem.

Zanim się do niej zbliżył, Daisy wstała. Nie chciała, żeby myślał, że ją uwiódł. Robiła to, co robiła, ponieważ robiła to, co robiła. Nie miało to wiele wspólnego z nim. Chciała, żeby o tym wiedział.

— Dobrze - powiedziała.

To ona poszła pierwsza do sypialni.

Odwrócił wzrok, żeby zamknąć za nimi drzwi. Kiedy się odwrócił, rozpiniała guziki z przodu jedwabnej bluzki. Nie chciała, żeby on to robił.

Obserwował ją. Kiedy stanęła nago, podszedł i położył dłoń na jej piersi. Odepchnęła jego rękę, nie szorstko, ale z ospałością graniczącą z obojętnością. Podeszła w milczeniu do najbliższego łóżka i położyła się na plecach, patrząc, jak zdejmował ubranie.

Uklęknął przy niej. Uśmiechając się, ujął jej sutkę między kciuk i środkowy palec, zaczynając jednocześnie delikatnie pocierać drugą sutkę kciukiem i środkowym palcem drugiej dłoni.

Odepchnęła jego ręce.

Uśmiechnął się i położył dłoń między jej nogami. Umiejętnie podniecał ją, droczył się i znowu podniecał.

— Nie chcę, żebyś to przeciągał — powiedziała.

Potem odwróciła się od niego i położyła się na boku. Okna sypialni wychodziły na południe: ujrzała, że światło słoneczne, przyćmione od zanieczyszczonego powietrza, dotykało tylko prawych krawędzi gzymsów domu po przeciwnej stronie ulicy. Trzy olbrzymie gołębie usadowiły się na gzymisie.

Carl otoczył Daisy ramieniem.

— To jest dla ciebie lepsze, wiesz? Zauważyłem też, że chyba zapamiętaliśmy, jak dawać i brać przyjemność.

Nie odpowiedziała. Pomyślała o Waymere: ciekawe, co robi Andrew. W całkowicie zdystansowany sposób myślała o sobie, leżącej nago w tym łóżku. Pomyślała o Sophie w białej koszuli nocnej leżącej w tamtym białym łóżku. Jaka jest różnica między snem a śpiączką? Daisy poczuła w sobie dojmującą tęsknotę. Carl pobudził jej ciało do ostrego pożądania, kulminującego konwulsyjnym fizycznym spełnieniem oraz, trwającym parę minut, uczuciem ulgi. Teraz czuła coś głębszego: chciała wrócić do szpitala.

— Muszę się ubrać — powiedziała.

43

Z wyjątkiem sytuacji kryzysowych prywatne biuro ministra nie powinno zajmować się prywatnymi sprawami, które nie mają związku z funkcjonowaniem ministerstwa; brytyjscy urzędnicy państwowi przejawiają drobiazgowość w kwestii pieniędzy podatników. Dlatego to sekretarz Andrew w Izbie Gmin, opłacany przez niego, odwołał plany Harwoodów, związane ze spędzeniem trzech tygodni w Toskanii w willi, którą wynajęli podczas ostatnich wakacji. W drugim tygodniu sierpnia w obradach parlamentu zarządzono wreszcie letnią przerwę.

Andrew i Daisy zgodzili się, że jest mu potrzebny odpoczynek od domu przy Cheyne Street; musiał wyjechać dokądś, gdzie nie będzie czerwonych neserów, gdzie będzie mógł spacerować, czytać powieści i biografie, odetchnąć. Jego rodzice mieli nadzieję, że przyjedzie do Long Green, ale Andrew nie chciał tak bardzo oddalać się od domu. W końcu jego sekretarz zarezerwował pokój w hotelu Wessex w Winchester, z oknami na dziedziniec katedralny. W sierpniu większość turystów to cudzoziemcy, którzy go nie będą poznawali. Martin Thrower miał wiedzieć o jego miejscu pobytu, ale nie umieści go w oficjalnym rejestrze: w ten sposób Andrew uniknie towarzystwa detektywa: pragnął oderwać się całkowicie.

Po raz pierwszy Daisy miała zostać sama w domu przy Cheyne Street. Matty był u rodziny przyjaciela pod Weroną. Nawet Ingrid wyjechała.

Andrew pojechał do Winchester własnym samochodem - najnowszym modelem Scimitara SE6 - który większość czasu stał w garażu dobudowanym do domu przy Cheyne Street. Chciał mieć możliwość przyjechania do Londynu o każdej porze dnia i nocy, a autostradą M3 sto kilometrów przejeżdżało się szybko.

Okna jego pokoju wychodziły prosto na północną stronę katedry; od hotelu dzieliły ją tylko wiekowe lipy i kilka nagrobków pośród traw. Kiedy długie, letnie dni dobiegały końca, reflektory umieszczone pod okapem hotelu oświetlały nagrobki, które lśniły niesamowitym, białym blaskiem i rzucały na trawę ostre, czarne cienie; efekt dramatyczny i posępny.

Pewnego ranka Andrew wyglądał przez okno na tuzin gawronów, które przysiadły na gałęziach lipy. Dwa ptaki sfrunęły na ziemię i zaczęły się zaciekle dziobać; czarne jak węgiel skrzydła trzepotały, aż jeden z gawronów padł na ziemię, a drugi stanął nad nim, raz po raz wbijając dziób w pokonanego. Andrew, któremu scena ta wydała się szczególnie przykra, zastanawiał się, czy gdyby się wychylił przez okno i krzyknął, zdołałby ją przerwać. W tym momencie zwyczajca podfrunął na lipę, przysiadł na końcu gałęzi i przekrzywiając szyję zaczął wygładzać zmierzwione pióra. Pokonany podniósł się, otrząsnął, podfrunął na inną gałąź, gdzie zaczął doprowadzać się do porządku. Po minucie dwa inne gawrony sfrunęły na ziemię i rozpoczęły rytualną walkę - Andrew domyślił się bowiem, że tego właśnie był świadkiem. Zafascynowany, obserwował ptaki.

Wtedy w jego myślach pojawił się zupełnie inny obraz: powiększona gliniana rzeźba w studio Daisy, przedstawiająca dwa ptaki splecione w pogodnym uścisku. Pamiętał, jak powiedziała mu w tamtej restauracji - czy był to drugi raz, kiedy się z nią umówił? - dlaczego tak uwielbiała marmurowe gołębie Epsteina w Tate Gallery. „Jest w nich ta zdumiewająca łagodność, mimo że się pieprzą.” Łzy popłynęły Andrew po twarzy i na koszulę.

Poszedł do łazienki obmyć twarz, potem wrócił do okna,

z ręcznikiem w dłoni. Wszystkie gawrony siedziały na gałęziach lipy.

Spojrzał na zegarek: pojedzie do Londynu i wróci do Winchester wieczorem. Czuł silne pragnienie, żeby się znaleźć w szpitalu.

Jedyną rozrywką urlopową, jaka bawiła Bena Fran-wella, było żeglowanie. Stanowiło odmianę od napięć pracy, a jednocześnie ujęcie dla jego niepokoju; zwariowałby, gdyby miał siedzieć na jakimś zapomnianym przez Boga wzgórzu w północnych Włoszech, wpatrując się w przereklamowany krajobraz albo kontemplując własny pepek. Chryste, co za sposób na spędzanie czasu.

Na wyspie Wight trzymał Nicholsona 36. Kiedy siedział za sterem, miał satysfakcjonujące poczucie władzy; zespół pracował dla niego i z nim, współzawodnicząc z innymi żeglarzami, rzucając wyzwanie morzu. Dwaj maklerzy giełdowi oraz prawnik, którzy tworzyli załogę, podzielali to przyjemne poczucie koleżeństwa, ponieważ nie zaćmiewał go lęk przed Benem: kiedy morze stawało się wzburzone, wszyscy byli równi we wzajemnej zależności od siebie! W „Ramparcie” koleżeństwo z Benem Franwellem nigdy nie było wolne od świadomości, że każdy jest potencjalną ofiarą.

Angela nie cierpiała zatłoczonej niewygody jachtów.

- Pod warunkiem, że nie mówimy o „Trump Princess” czy choćby o starym Niarchosie i „Atlantis II”, sybarycki wizerunek nie ma nic wspólnego z faktyczną rzeczywistością. Poprzestanę na rozrywkach lądowych - mawiała.

Brak choćby jednego czterogwiazdkowego hotelu na całej wyspie Wight był uznawany za coś zabawnego przez międzynarodową brać żeglarską, paradującą po Cowes w platynowych zegarkach nurków. Angela była pewna, że to jakiś rodzaj odwrotnego snobizmu. Z wyjątkiem okresów, kiedy udowadniali własne męstwo w Cowes, żadnego z nich nie ujrzano by nigdy w nawet trzygwiazdkowym hotelu, jak ten, w którym obecnie wyczywała.

Siedziała na leżaku na balkonie sypialni, osłaniając twarz dużym, słomkowym kapeluszem. Choć nigdy nie wychodziła na słońce przed późnym popołudniem, kiedy już traciło swą moc, nie narażała twarzy na najmniejsze ryzyko. Od czasu do czasu otwierała oko i spoglądała na to, co hotel z dumą nazywał widokiem panoramicznym - wszystkie te statki gwizdzące na kanale Solent. Raz, kiedy rzuciła okiem na panoramę, ujrzała „Queen Elizabeth 2” płynącą majestatycznie ku Southampton. Angela zapragnęła popłynąć QE2 przez ocean: kawior z białugi przez cztery noce z rzędu. Kiedy wyjeżdżała na wakacje, żeby oderwać się od wszystkiego, naprawdę nie wymagała wiele: całkowicie wystarczyłaby jej kabina na luksusowym statku, gdzie mogłaby zająć się własnymi sprawami.

Sięgnęła po papierosa i zapalniczkę.

Wieczorami brać żeglarska nadal trzymała się razem; Angela i Ben mieli mało czasu dla siebie.

Jednak pewnej niedzieli po kolacji znaleźli się w barze *à deux* i Angela poruszyła temat artykułu, który ukazał się tego dnia w „Ramparcie”. Zastępca redaktora naczelnego kierował gazetą przez trzy tygodnie, chociaż Ben rozmawiał z nim przez telefon co najmniej cztery czy pięć razy w tygodniu.

- Zauważyłam, że ostatnio oszczędzasz Andrew Har-wooda. Czy to z powodu jego córki?

Ben chrząknął. Niektórzy twardziele lubią uchodzić za ludzi o złotych sercach. On do nich nie należał.

- W sierpniu nikt nie interesuje się politykami, chyba że zostają przyłapani z opuszczonymi spodniami - odparł.

Angela uniosła lekko kącik ust i nic nie powiedziała. Znała go dobrze: podobnie jak wielu tyranów nie był wolny od sentymentalizmu.

Przyglądając się żonie Ben oświadczył:

- Mogłabyś powiedzieć, że miałem okazję wbić Har-woodowi kolejną szpilę przed przerwą w obradach parlamentu. Zgoda, czasami jestem miękki. Ale nie myśl, że tak będzie już zawsze. Po powrocie do pracy we wrześniu wszystko wróci do normy.

Carl i Jocelyn Myer dzielili sierpniowe wakacje między amptons a Riwierę Włoską.

- Rodzina Jocelyn ma jeden z tych oszalowanych pałaców, które starają się wyglądać skromnie, chociaż zajmują półtora kilometra piaszczystej plaży na Long Island Sound - powiedział Carl do Daisy podczas ich drugiego lunchu w apartamencie w Claridge'u. - Z Hampton Bay na lotnisko Kennedy'ego można się dostać w godzinę, a po co mamy Concordy, jeśli nie po to, bym mógł odbyć krótką prywatną podróż do Londynu?

Tym razem przyleciał z Nicei. Musiał kilkakrotnie telefonować z Menton, zanim zastał Daisy w domu. Nie pytając wprost, czy Andrew jeszcze nie wrócił, upewnił się, że tak właśnie było.

- Muszę się spotkać w Londynie z izraelskim ministrem obrony. - Przerwał zaledwie na ułamek sekundy, po czym ciągnął dalej: - Ponieważ Jocelyn nie znosi Londynu w sierpniu, będę w Claridge'u sam. Moglibyśmy zjeść w czwartek kolację, Daisy, jeśli ci to odpowiada. W piątek po południu zamierzam złapać samolot do Nicei.

- Wolałabym lunch w piątek - odparła.

Jej taksówka przejechała Park Lane i skręciła w Upper Brook Street. Kiedy Daisy mijala ambasadę amerykańską, spojrzała nie widzącym wzrokiem na żołnierzy piechoty morskiej pełniących straż przy drzwiach od strony północnej. Kogo [^]usiłowała ukarać? Andrew? Siebie? W jaki sposób karała Andrew, skoro nie wiedział? Przypomniała sobie odpowiedź. Przestała ją tak naprawdę interesować. Odźwierny w cylindrze i płaszczu w kolorze granatowego atramentu Parkera otworzył drzwiczki taksówki; prawie go nie zauważyła. W hallu byli sami Amerykanie. Żadni londyńczycy nie przychodzili tu na służbowy lunch, ponieważ przebywali za granicą, pływali na jachtach albo grali w golfa w Gleneagles. Żadni dziennikarze polityczni nie siedzieli razem; wesoło obliczali, ile im może ujść na sucho, jeśli wpiszą na listę wydatków „Lunch z ministrem w celach informacyjnych”.

Gdyby oczy Daisy padły na któregokolwiek z lokajów

w granatowych liberiach, zostałaaby pozdrowiona małym ukłonem. Szła jednak do windy tak bardzo pochłonięta własnymi myślami, że nikt jej nie pozdrowiał. Z dystansem przyjrzała się w lustrze windy lalkowatej postaci w różowej, lnianej marynarce i czarnej spódnicy.

Mimo że udała się najpierw do recepcji, stojący w foyer agent rozpoznał ją i zadzwonił do apartamentu asystenta. Kiedy wysiadła z windy na szóstym piętrze, czekał na nią nieznany asystent; Ray Stimson pewnie pojechał na urlop. Asystent przedstawił się i zaprowadził Daisy do apartamentu 620-25.

Agent stojący przed drzwiami pozdrowił ją skinieniem głowy, nie dając po sobie poznać, czy widział ją już wcześniej. To pewnie nowy, pomyślała Daisy.

Carl otworzył drzwi w już rozpiętej pod szyją koszuli. Uśmiechał się. Drzwi zamknęły się za nią, szcęknął zamek. Zaprowadził ją korytarzem do salonu. Uśmiechał się coraz szerzej.

Spojrzała na szorstki, zielony obrus, na którym stała butelka chablis w kubelku z lodem. Stół nakryto dla dwóch osób całą baterią potraw pod przykryciem. Na stole obok, przykrytym innym krochmalonym, zielonym obrusem, postawiono lśniący termos i wszystko, co towarzyszy kawie, włącznie z koszyczkiem *petits fours*.

- Pomyślałem, że będziesz mogła się bardziej rozluźnić, nie musząc ciągle zamawiać, więc wcześniej kazałem przynieść różne potrawy, z których możesz wybierać. Jeśli nie znajdziesz nic, co ci przypadnie do gustu, wezwiemy kelnera.

Zdjęła marynarkę i powiesiła na poręczy sofy.

Czy Carl stanowił rozrywkę czy odmianę? Raczej rozrywkę, pomyślała: jego mieszanka humoru, oryginalnych pomysłów i plotek politycznych zajmowała ją i bawiła. Podobały jej się dwie pionowe bruzdy przecinające jego policzki, a migotanie brązowych oczu wywoływało jej uśmiech.

Mimo to odkryła w ciągu tych tygodni, że chociaż mogła się oderwać od myśli o Sophie, po kilku minutach zapominała, co ją od niej oderwało. Daisy przyszło na myśl,

że kiedy przezornie zwracała uwagę na to, co mówił Carl, oraz na własne odpowiedzi, połowa jej umysłu była zajęta czym innym i dlatego nie zachowywała w pamięci ani rozmów, ani niczego innego, co wydarzało się między nimi. A może zapominała o tym, ponieważ było to tak bardzo pozbawione znaczenia w porównaniu z tym drugim?

Tym razem w porcelanowym rondlu znajdował się kawior z białugi. Zabawne: przysmaki, za którymi dawniej szalała, teraz straciły smak. Nie stały się nieprzyjemne; po prostu jej nie pociągały. W niektóre wieczory w drodze powrotnej ze szpitala kupowała frytki z rybą albo robiła sobie kanapkę z sałatką jajeczną z mnóstwem majonezu. Czasami gotowała sobie na kolację owsiankę.

- Pracowałaś ostatnio w atelier? - spytał Carl.

- Nie interesuje mnie to.

- Czy kiedy kawałek gliny już całkiem wysechł, możesz nad nim jeszcze pracować, czy wyrzucasz go i zaczynasz od nowa?

- Da się jeszcze uzdatnić, ale czasami go wyrzucam. Nie jestem pewna dlaczego, ale można znaleźć dziwne zadowolenie w wyrzuceniu połowicznie wykonanej głowy do kosza.

Carl zaśmiał się.

- Trudno się do końca pogodzić z tym obrazem: moja głowa w koszu na śmieci. Czy kiedy poczujesz, że jesteś gotowa do powrotu do atelier, a poczujesz to, Daisy, chociaż wiem, że teraz trudno ci w to uwierzyć, czy ponowimy próbę stworzenia mego słynnego popiersia?

Daisy rozgarnęła sałatkę widelcem, układając liście tak, by wyczyścić na środku talerza równy kwadrat. Podniosła wzrok.

- To zabawne. Lubię cię. Mówiąc dokładniej, jestem teraz z tobą w tym pokoju. Ale nie chcę już rzeźbić twojej głowy. Carl wyjął chablis z kubelka i ponownie napełnił kieliszki. Położył dłoń na dłoni Daisy spoczywającej na krochmalonym obrusie.

Dziesięć minut później tą samą dłoń położył jej między nogami.

Później, leżąc na plecach, z pościelą w nogach łóżka, wsłuchiwał się w odgłos prysznica w łazience. Odwróciwszy głowę na poduszce w stronę różnobarwnych telefonów na stoliku, zauważył, że na jednym z nich mruga światełko. Po wyjściu Daisy wezwie asystenta i powie mu, że można już odbierać telefony. Lepiej też go spytać, o której mieli się wymeldować z hotelu. Był to pierwszy dzień pracy tego asystenta. Mimo to, kiedy Carl oznajmił mu, że zje z panią Harwood lunch w apartamencie, nowy pracownik niewątpliwie pojął znaczenie tych słów. O tego typu sprawach sekretarz obrony nigdy nie rozmawiał z asystentem.

Odgłos prysznica ustał. Daisy chyba się wycierała. Każdego popołudnia, które spędzali razem, po wyjściu z łóżka szła prosto do łazienki, zamykała drzwi i brała prysznic.

Podobnie jak przy wcześniejszych okazjach, po wyjściu z łazienki, z włosami na skroniach zakręconymi w wilgotne loczki, sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej ubieraniem się, prawie nieświadoma Carla, który leżał nago na łóżku, przyglądając się jej.

— Do widzenia — powiedziała.

— Kiedy się znowu spotkamy? . — Zadzwoń kiedyś.

— Daisy, poczekaj chwilę. Pozwól mi odprowadzić cię przynajmniej na korytarz.

Spuścił nogi z łóżka, poszedł szybko do łazienki po szlafrok, narzucił go, luźno zawiązując pas, po czym poczłapał boso do salonu.

— Zawsze dżentelmeński — oświadczył.

Daisy uśmiechnęła się. Włożyła już różową, lnianą marynarkę.

Carl poszedł z nią tylko do drzwi wyjściowych, żeby po ich otwarciu nie było go widać na korytarzu.

Agent stojący przed apartamentem zawsze zachowywał dyskrecję, ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

Daisy nacisnęła guzik zwalniający zamek, jednocześnie pociągając za drzwi. Spojrzała prosto w oczy asystenta, który stał z wyciągniętą ręką z zamiarem naciśnięcia

dzwonka. Po jego jednej stronie stał agent, a po drugiej chłopiec hotelowy dźwigający dwie olbrzymie torby z zakupami od Harrodsa. Za nimi stała Jocelyn Myer.

- Och — wyrwało się z ust Daisy.

Wpatrując się prosto w Jocelyn zrobiła krok w tył, żeby nie blokować wejścia. Przyszedł jej na myśl menuet z tymi wszystkimi z góry ustalonymi figurami i krokami.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała Jocelyn do agenta, który nie ruszył się z miejsca. - Wezmę te torby - zwróciła się do chłopca hotelowego, który wręczył je jej, składając drobny ukłon.

Weszła do korytarza, zamykając za sobą drzwi. Zamek szczęknął.

- Proszę, proszę - powiedziała, a ramię jej marynarki otarło się o ramię Daisy, kiedy Jocelyn ruszyła w stronę Carla, który właśnie wyszedł na korytarz z salonu, okryty białym szlafrokiem, stosunkowo schludnie, biorąc pod uwagę pośpiech.

Daisy stała nadal tuż przy zamkniętych drzwiach. Jej twarz była pozbawiona wyrazu. Poczula pewne znudzenie, Jak ktoś, kto oglądał dobrze już znaną sztukę. Nie przypominała sobie jednak, by widziała kiedyś tę konkretną scenę. Może to był film widziany dawno temu?

- Zeszłej nocy miałam zachciankę - oświadczyła Jocelyn, zwracając się ostentacyjnie do Carla. -

Pomyślałam, że będzie zabawnie złapać wczesny samolot z Nicei, zrobić zakupy w Londynie i wrócić z tobą wieczorem. Kiedy tu przyjechałam i wjechałam na górę z chłopcem hotelowym, asystent czekał pod drzwiami. Odniosłam wrażenie, że zdziwił się na mój widok. Niewątpliwie był skrepowany, kiedy nalegałam, żebyśmy przyszli prosto do ciebie i zadzwonili do drzwi. Zapewniłam go, że ucieszysz się na mój widok.

Uśmiechnęła się. Daisy zapomniała już, jak białe zęby miała Jocelyn. Ani ona, ani Carl jeszcze nic nie powiedzieli.

- Matka zawsze mi mówiła - powiedziała Jocelyn. - „Nigdy nikogo nie zaskakuj. Ludzie nie lubią niespodzianek.” Teraz wiem, co miała na myśli.

Zdjęła marynarkę.

- Może się zdecydujesz, Daisy. Wracasz do środka czy wychodzisz? — powiedziała.

- Tak się składa, że wychodzę, dziękuję - odparła Daisy. - Do widzenia. Dziękuję za lunch, Carl - rzuciła przez ramię, naciskając guzik i wychodząc na korytarz; drzwi zatrzasnęły się za nią. Agent nie dał po sobie poznać, że w ogóle ją zauważył.

Dopiero wtedy na policzki wypłynął jej rumieniec, a kiedy dotarła do windy, twarz przybrała zwykły kolor. Nacisnęła guzik do foyer i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła osobę zamkniętą w sobie, nieczułą.

Wysiadłszy z taksówki, ujrzała Scimitara zaparkowanego nieco dalej na Cheyne Street, po lewej. Daisy starała się nie patrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie na rogu stała czerwona skrzynka na listy. Przekreśliła klucz w zamku.

Dom był pogrążony w zwykłej ciszy, w której tykanie starego zegara brzmiało jakby dużo głośniej. Poszła na górę. Drzwi gabinetu były zamknięte. Wyciągając rękę, żeby zapukać, przypomniała sobie rękę asystenta wysuniętą do dzwonka. Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi.

Andrew siedział w fotelu, z filiżanką kawy na stole obok i „Spectatorem” na kolanach. Uśmiechnął się do niej, a w piwnych oczach zaśniła radość.

- Wyglądasz bardzo elegancko - powiedział. - W szpitalu poinformowali mnie, że wyszłaś tuż przed moim przyjściem. Pomyślałem, że wpadnę tu przywitać się przed powrotem do klasztoru. Gdzie byłaś?

- Och, nagle przyszła mi ochota na zakupy. - Pomyślała o lśniących, ciemnozielonych torbach, które trzymał chłopiec hotelowy, stojąc pod drzwiami apartamentu 620-25. - Poszłam do Harrodsa. Pójdę na dół zrobić sobie kawy. Chcesz jeszcze jedną?

- Nie, dzięki. Zostaw otwarte drzwi. Miło wiedzieć, że wróciłaś do domu.

Patrzył, jak odwraca się i wychodzi. Jego nieszczęście było tak całkowite, że nie uświadamiał sobie w pełni, jak bardzo tęsknił za nią fizycznie.

Wróciła już bez różowej marynarki. Usiadła w fotelu, stawiając kawę obok na stole.

— Co robiłeś w Winchester? Opowiedział jej o gawronach.

Daisy spuściła wzrok na lewą dłoń, której kciuk i środkowy palec delikatnie kręciły jeden z obszytych welwetem guzików fotela.

Andrew obserwował jej rękę. Przypuszczał, że przyczyną zdenerwowania Daisy było przebywanie z nim sam na sam. Odepchnął wcześniejszą myśl, by zostać z nią na noc, a następnego dnia pojechać do Winchester po rzeczy, wrócić na Cheyne Street i zacząć sypiać z własną żoną w jednym łóżku.

Wstał.

— Chyba powinienem ruszać.

— Dobrze.

Cześć, Andrew. Co tu robisz?

Jadł kolację w Old Chesil Rectory w Winchester, po czym zamierzał wrócić na noc do Wessex.

Wstając od stołu poczuł miłą falę przyjemności.

- Mógłbym zadać to samo pytanie - odparł z uśmiechem.

— Jesteś sam?

- Tak.

- Czy mogę się dosiąść? Właśnie pokłóciłam się z moim obecnym wielbicielem. Wrócił do Wessex spakować rzeczy, a potem wraca do Londynu.

- Zatrzymałem się w Wessex, sam. Pokój na ostatnim piętrze z widokiem na katedrę. Myślisz, że nasze pokoje sąsiadują ze sobą? Uśmiechnęła się jak kotka.

Flirtowała z Andrew z nikłym skutkiem podczas kilku londyńskich przyjęć. Była beztroska, ładna, jasnowłosa i seksowna; miała niewiele ponad trzydzieści lat, niezamężna

i nie przejawiająca wielkiego zainteresowania ogniskiem domowym.

- Jadłaś już? - zapytał.

- Dwa kęsy wędzonego łososia. Potem runęło niebo. Andrew roześmiał się.

- Może się napijemy, zanim dojdiesz do wniosku, co tym razem zjesz na kolację? Marzę o drugim drinku.

Wezwał kelnera.

Po dwóch godzinach zapłacił i zapytał z kpiącą kurtuazją:

- Czy wolno mi odprowadzić panią do hotelu?

- Dziękuję, panie ministrze. Pański pokój czy mój? - spytała zuchwale.

- Jesteś pewna, że twój poprzedni wielbiciel faktycznie wrócił do Londynu?

- Nie jestem niczego pewna na tym świecie. Dlatego właśnie jest taki przyjemny.

Andrew przeniósł wzrok z jej ust na piersi, potem na niebieskie oczy, w których skrzyło się oczekiwanie. Po raz pierwszy od wielu tygodni jego własne oczy miały ten szczególny, skupiony wyraz seksualnego pożądania.

- Wobec tego mój pokój - oświadczył.

Andrew podjął decyzję.

Musiła zostać przedstawiona na forum rządu, ponieważ niosła za sobą poważne implikacje polityczne. Sekretarz przemysłu rozproszyla już wśród kolegów z rządu krótką ulotkę, w której wyjaśniała, dlaczego uważała za konieczne, by wszystkie komponenty do Satyra produkowano w Anglii. Jednak Andrew dysponował większą liczbą faktów, a poza tym sam rozważył całą kwestię w sposób racjonalny. Żałował, że Satyr nie może być niezależny od początku do końca, ale tak wyglądały fakty.

Kiedy Carl zagwarantował, że Stany Zjednoczone zgodzą się wystrzeliwać nowe satelity po niższych cenach, jeśli połowa komponentów Satyra zostanie wyprodukowana w Ameryce, temu układowi wiążanemu nie sposób się było oprzeć.

Biorąc pod uwagę niezręczną atmosferę polityczną wokół NATO, Andrew wykluczył powiązania z amerykańskim systemem Sun. Przyjął zapewnienie Carla, że nie istniało ryzyko, że amerykańskie komponenty będą zawierać elektroniczne układy umożliwiające Pentagonowi podsłuch. Miał rację, wierząc Carlowi.

Ponieważ w kwestiach wagi państwowej poruszanych przez obu ministrów Carl był człowiekiem godnym pełnego zaufania. Fakt, że miał skryty romans z żoną Andrew, był całkowicie bez znaczenia: ta sprawa należała do innej sfery.

Kiedy obaj mężczyźni zasiedli naprzeciw siebie przy

sześciokątnym stole, każdy w towarzystwie swej ekipy, ich dialog ograniczył się głównie do ustalenia kwestii zasadniczych. Andrew był przekonany, że uda mu się uzyskać poparcie rządu dla swej decyzji. — W takim razie ta sprawa jest ustalona — powiedział.

Tego wieczoru pani Franwell wydała starannie zaplanowane przyjęcie w apartamencie w St James's Place. Początkowo zaplanowała je na dziesięć osób, jednak rano Ben zadzwonił z redakcji „Ramparta”. Powiedział, że Jocelyn Myer dopiero co zadzwoniła do niego z Claridge'a, •żeby się przywitać. Przyjechała do Londynu na dwa dni, a jej mąż przebywał tu służbowo. Nie zdążyli wcześniej zrobić żadnych planów na wieczór. Jocelyn spytała, czy Franwellowie mają może czas na drinka. Ben zaproponował, żeby przyszli do nich na kolację i na tym też stanęło.

Angela cieszyła się na ten dodatek do przyjęcia. Samotne spędzanie czasu nie przysparzało jej żadnych trudności, ale kiedy miała przebywać w towarzystwie innych ludzi, chciała, żeby należeli do tych, którzy sprawują władzę — w Westminsterze, świecie sztuki, biznesu albo w łóżku. Lubiła obserwować ich interakcje. Sekretarza spraw zagranicznych posadzi po swej prawej ręce, a amerykańskiego sekretarza obrony po lewej. Podobnie usadzi ich żony i Bena. Narysowała w notatniku nowy układ gości, przesuwając dyrektora ICI o dwa krzesła dalej od miejsca po jej lewej ręce, gdzie siedział przed minutą.

Kiedy Myerowie weszli do salonu, Jocelyn nie kryła zainteresowania śmiałym wystrojem. Na białym jedwabiu, którym obito ściany, lśniły wielkie barwne plamy. Większość parkietu zajmował biały, chiński dywan, którego spokojną płaszczyznę przerywały tylko dwie splecione ze sobą fiołkoworóżowe i złote girlandy, tworzące krawędzie. Nad kominkiem z białego marmuru wisiał przepyszny akt, dzieło Matthew Smitha; pociągnięcia farby olejnej lśniły niczym rubin. Na przeciwległej ścianie tętnił życiem późny Ivor Hitchens. W wielkich chińskich wazach stało co najmniej

dwieście szkarłatnych róż, przetykanych dwukrotnie większą liczbą chabrów.

Angela przedstawiła Myerów tym z gości, którzy już przyszli. Obdarzywszy ich uśmiechem, Jocelyn podeszła do okien wychodzących na Green Park, pragnąc obejrzeć widok, którego Angela nigdy nie zasłaniała. Majestatyczne kaskady liści platanów we wrześnieowym zmierzchu nie zdradzały oznak nadchodzącej jesieni. Wiktoriańskie latarnie oświetlały ścieżkę pod drzewami, pustą, z wyjątkiem dwóch mężczyzn i teriera na smyczy.

- Czego się napijesz, Jocelyn? — spytał Ben. Odwróciła się i spojrzała na gospodarza. We włosach upiętych na czubku głowy miała szyfonową piwonie w tym samym fioletowym kolorze co ametystowy naszyjnik i kolczyki. Angela zastanawiała się, czy były sztuczne. Ben pomyślał, że cudownie wyglądają na tle jej kremowej skóry. Jocelyn miała na sobie wąską, czarną suknię z atłasu, wyciętą tak nisko, że Ben widział krągłość piersi. Miała w sobie śmiałość, która mu się podobała. Już miał wyciągnąć rękę i poklepać ją po biodrze, kiedy przypomniał sobie, że była to śmiałość kobiety z nowojorskiej wyższej sfery, a nie zwykłej puszczańskiej. Zamiast ją poklepać, uśmiechnął się szeroko. Mimo że czuł się swobodnie w towarzystwie bardzo niewielu kobiet, przekonał się teraz, podobnie jak wtedy, kiedy zostali sobie przedstawieni pod Numerem Dziesiątym, że w towarzystwie Jocelyn mógł się rozluźnić. Była fantastyczną dziwą, a jednocześnie traktowała go jak przyjaciela. W pewien tajemniczy sposób sprawiała, że czuł, jakby byli sprzymierzeńcami w zмовie.

Podzieliła się z nim waszyngtońskimi plotkami, o których oboje wiedzieli, że mu się przydadzą. Posiadała umiejętność, jak mógł się spodziewać po inteligentnej żonie polityka, powtarzania anegdoty, która pozornie ośmieszała jej męża, a w istocie przedstawiała go w korzystnym świetle. Przy drinku przed kolacją Ben w związku z tym się z nią droczył.

- Wiesz, Jocelyn, każda twoja krytyczna uwaga pod adresem Carla sprawia, że jeszcze bardziej go kocham. -

Oboje wybuchnęli śmiechem, dwoje ludzi z różnych środowisk, którzy spotkali się na samym szczycie sukcesu i przypadli sobie do gustu. Przy stole podczas pierwszego dania rozmawiali ze swoimi innymi sąsiadami. Kiedy podano drugie danie, Ben odwrócił się od żony sekretarza spraw zagranicznych i podjął rozmowę z Jocelyn. — Kiedy ostatni raz byłam w Londynie w niedzielę, czytając twój artykuł odniosłam wrażenie, że nie jesteś fanem waszego odpowiednika Carla — powiedziała. — Andrew Harwooda? — Ben wzruszył ramionami. — Nigdy nie przepadałem za tym rodzajem angielskiego dżentelmena z klasy wyższej. Nie uwierzysz, Jocelyn, ale oni wciąż nie zdają sobie sprawy, że są wymierającym gatunkiem.

— A są?

— Możesz być pewna. Kiedy Margaret Thatcher została premierem w 1979 roku, wszystkie te pieprzone matoly z partii wigów myślały, że znowu zaczną kręcić całym kramem. Co zrobiła Margaret? Pozwoliła im trzaskać dziobami w rządzie, a sama stawiała na swoim. Potem zaczęła ucinać im głowy. Niektórzy przez lata nosili w rękach własne głowy, nie mogąc uwierzyć w to, co się im przytrafiło.

— Ile lat ma Andrew Harwood?

— Czterdzieści pięć. — Podobnie jak politycy, dziennikarze znają wiek wszystkich osób publicznych.

— Musiał zaczynać pod Margaret Thacher, a dziś zajmuje jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk.

— Rozumiem, o co ci chodzi. Mimo że nie jest jednym z ludzi Margaret Thacher, którzy do wszystkiego doszli o własnych siłach, nie ma też tak rewelacyjnej pozycji, jaką mógł osiągnąć, mając za sobą ojca baroneta i szkołę prywatną. Miewał momenty, w których sprawdzał się jako dość sprawny administrator, ale nie miał ich dostatecznie dużo. Osobiście stawiam na Rachel Fisher. Założę się z tobą o pięć funtów, że w ciągu sześciu miesięcy zostanie sekretarzem obrony. Silna, kompetentna,

patriotycznie nastawiona kobieta w Ministerstwie Obrony potrafi zrobić niemało.

— Czy Andrew Harwood dostanie inną pracę, czy wyleci?

— Przepuszczalnie dostanie inną pracę. Na pewno nie awansują go na żadne z dwóch czy trzech najwyższych stanowisk, sekretarza spraw zagranicznych, ministra skarbu. Sekretarz spraw wewnętrznych też jest raczej wykluczony. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zbyt wiele pytań zrodziło się wokół Harwooda. Ben nie wspomniał, że te znaki zapytania były jego dziełem.

— Nie ma stanowiska, które równałoby się z sekretarzem obrony — ciągnął. — Dlatego musiałby zostać przeniesiony w dół. Nie dbam zbytnio o to, gdzie skończy, pod warunkiem, że Rachel Fisher go wyprzedzi. Ambitny polityk musi zawsze pokonywać jednego konkretnego rywala: ma to silniejszy wydźwięk społeczny. Uśmiechnął się. Widział już pierwszą stronę „Rampar-ta”: artykuł pisał się niemal sam. — Dobrze znasz Daisy Harwood?

— Kiedyś dla mnie pisała.

— Czy także z tobą sypiała?

Rumiana twarz Bena pociemniała. Przez moment jego usta wyrażały dziecinne rozdrażnienie.

— Nie — odparł. — Nie była dostępna. Należy do kobiet, które ograniczają się do związku z jednym mężczyzną. Zresztą nigdy nie byłem kobieciarzem.

Daisy Brewster Harwood nic go nie obchodziła, a jednak drażniło go, że nie poświęciła mu ani odrobiny uwagi. Z posępną miną podniósł kieliszek klaretu.

— Ona sypia z moim mężem.

Ben nie doniósł kieliszka do ust, po czym odstawił go na stół. Usta rozchylił nieco w wyrazie zdumienia, odwracając się do Jocelyn i patrząc w jej intensywnie niebieskie oczy.

— Chyba żartujesz.

— Była panienką Carla, zanim poznała Andrew Harwooda. Była jego panienką, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Londynu i strzelała oczami do Andrew Harwooda. Jest

panienką mego męża w tym samym czasie, kiedy jej córka leży w śpiączce w szpitalu.

- Jezu.

Jocelyn wypła łyk klaretu.

- Skąd wiesz, Jocelyn?

- Większość mężczyzn rozmawia z żonami o swojej przeszłości.

- Ale chyba większość z nich nie rozmawia z żonami o swoich aktualnych romansach pozamałżeńskich, co?

Jocelyn opuściła wzrok na własny biust wznoszący się spod czarnego, atlasowego stanika. Była dumna ze swych piersi. Ben poszedł za jej wzrokiem.

Oboje podnieśli wzrok.

- Nie musiał mi mówić. W niestosownym momencie weszłam do apartamentu w Claridge'u.

Ben ściągnął usta w bezgłośnym gwizdnięciu.

- Dlaczego mi to mówisz, Jocelyn? Mógłbym to wykorzystać przeciw twemu mężowi.

- Nie sądzę, żebyś to zrobił. Ty i ja rozumiemy się nawzajem. Nie miałabym jednak nic przeciw temu, żeby ktoś huknął Carlowi nad uchem i dał mu do zrozumienia, żeby lepiej się pilnował. Chyba chciałabym, żeby ktoś go nastraszył, nie narażając jego funkcji na niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się do Bena.

- Na pewno ucieszyłabym się też, gdyby Daisy Harwood dostała swoją zapłatę. Nie lubię tych kobiet, które pozują na strażniczki domowego ogniska, a potem wskakują do łóżka twojego męża, kiedy tylko się odwrócisz. Ben uświadomił sobie, że Angela obserwuje go z przeciwnej strony stołu. Opuścił wzrok i zobaczył, że podano trzecie danie. Nie zauważył, kiedy skończył drugie. Odwrócił się do żony sekretarza spraw zagranicznych. Angela starała się bardzo, by te kolacje dobrze wypadły, a Ben dotrzymywał zobowiązań wobec żony: układ to układ. Poza tym, od żony sekretarza spraw zagranicznych także mógł się dowiedzieć czegoś pożytecznego, nigdy nic nie wiadomo.

Po wyjściu ostatnich gości Ben spytał Angełę:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Carl Myer pieprzy swoją przyjaciółkę, Daisy Brewster?

Jej twarz straciła na moment porcelanową nieprzenik-liwość; widział, że jego słowa autentycznie ją zdziwiły. A niewiele rzeczy mogło zdziwić Angełę.

Ułożyła się leniwie na jednej z białych sof, wyciągnęła nogi w czerwonych, jedwabnych spodniach, krzyżując je w kostkach, zakładając jeden czerwony, atłasowy pantofel z kitkami na drugi; głowę z ciemnymi, krótko przyciętymi włosami położyła na oparciu sofy. Wyjęła papierosa z kryształowego pudełka na stoliku i pstryknęła alabastrową zapalniczką.

- Kto ci to powiedział? - spytała nonszalancko.

- Jocelyn Myer, oto kto. Angela zmarszczyła lekko nos.

- Co za wymiona. Ben się zaśmiał.

- Dlaczego myślisz, że to prawda? - spytała.

- Ponieważ niezależnie od tego, co sądzisz o cymbałach tej pani, w rozmowie ze mną jest szczerą: czuję to w kościach. Powiedziała, że kiedy Daisy po raz pierwszy przyjechała do Londynu, była już dupą Myera.

Angela wydmuchnęła dym. Mimo całej obojętności słownictwo Bena czasem ją irytowało.

- Jestem przekonana, że powiedziałam ci wtedy, że Daisy jest do szaleństwa zakochana w pewnym żydowskim profesorze z Princeton. Jej rodzice nie byli tym zachwyceni. Tak się składa, o czym dobrze wiesz, że później zakochała się w Andrew Harwoodzie. Wtedy nic nie słyszałam o doktorze Myerze. Śmiem twierdzić, że ty też nie, i dlatego zapomniałeś.

- Czy Daisy wspominała o nim, odkąd został sekretarzem obrony?

- Nie. Tylko tyle, że poproszono ją, by wyrzeźbiła jego popiersie, chyba dla Pentagonu.

Czy Daisy mówiła jej coś o Carlu Myerze? W miesiącach poprzedzających wypadek Angela widziała ją tylko parę

razy. Po wypadku jadły razem kolację na Cheyne Street, a rozmowa z pewnością nie dotyczyła Carla Myera. Angela nie potrafiła sobie przypomnieć wiele z tego, co Daisy mówiła tego wieczoru; pamiętała tylko jej zachowanie: tak pełne dystansu, że niemal sprawiała wrażenie robota.

Angeli wydawało się niemożliwe, by Daisy, pogrążona w rozpacz, podjęła na nowo romans z Myerem. Jednak zastanowiwszy się nad tym teraz, stwierdziła, że była w tym pewna nieuchronność, prawie logika.

Zgasiła papierosa i wstała.

- Zauważyłeś, jak bardzo ludzie potrafią być zazdrośni o kogoś z przeszłości współmałżonka? - spytała. - To zupełnie irracjonalne, jeśli się nad tym zastanowić. Jeżeli Jocelyn Myer odczuwa taką zazdrość, mogła zmyślić całą historię. Sądzę, że jest mało prawdopodobne, by Daisy miała romans z Carlem Myerem. To nie pasuje.

- Jeśli coś jest mało prawdopodobne, to nie znaczy, że jest niemożliwe - stwierdził Ben z uśmiechem.

- Jocelyn zastała ich razem w sypialni w Claridge'u.

- A propos sypialni, jestem zmęczona - powiedziała Angela.

Niespiesznie ruszyła w stronę drzwi salonu. Lepiej szybko porzucić ten temat. Bóg jeden wie, co Ben zamierzał z tym zrobić? Na pewno lepiej go nie pytać.

- Idziesz? - spytała.

45

Pierwszym punktem obrad był Satyr.

- Sekretarz obrony - powiedziała premier. Andrew przedstawił zwięzłe streszczenie podjętej decyzji. Kiedy skończył, pani premier powiedziała:

- Poproszę teraz o głos dwoje ministrów, którzy są szczególnie zainteresowani tą sprawą. Sekretarz przemysłu.

Rachel w przekonujący sposób przedstawiła dwa punkty.

Po pierwsze, powiedziała, sekretarz obrony powinien zwrócić większą uwagę na fakt, że jeśli część komponentów do Satyra będzie produkowana w Kalifornii, pewna grupa w Pentagonie może podjąć próbę infiltracji tajnego programu. Po drugie, sekretarz obrony powinien pamiętać, że inżynieria elektroniczna to gałąź przemysłu, z której Anglia słynie: 4

- Rząd powinien bez wątpienia wspierać wiodące dziedziny przemysłu. Ludzie powinni widzieć, że tworzymy nowe miejsca pracy.

Andrew poruszył oba te punkty w swoim wystąpieniu, a jednak Rachel przedstawiła je tak, jakby o nich zapomniał.

- Sekretarz spraw zagranicznych - powiedziała premier.

Sekretarz przedstawił wyważoną opinię w kwestii „grupy” w Pentagonie infiltrującej tajny program brytyjski. Stwierdził, że to mało prawdopodobne.

Ponieważ oba wątki dyskusji: relacje anglo-amerykańskie i brytyjskie miejsca pracy wzbudzały żywe emocje, inni członkowie rządu przedstawiali zdecydowane opinie.

Pani premier stwierdziła, że blisko sześćdziesiąt minut to wystarczający czas na tę debatę.

- Wysłuchaliśmy tu trafnych i zadowalających opinii w tej kwestii - oświadczyła. - Panuje powszechna zgoda z sekretarzem obrony, że możemy wykluczyć ryzyko podjęcia przez naszych amerykańskich sojuszników próby zainstalowania podsłuchu. Sekretarz obrony słusznie podkreślił, że Satyr będzie częścią systemu komunikacji wojskowej, a nie faktycznym środkiem obrony. Zgadzam się w pełni z nim i z sekretarzem spraw zagranicznych, że możemy wierzyć amerykańskiemu sekretarzowi obrony.

Pani premier spojrzała po twarzach ministrów siedzących po przeciwnej stronie stołu, po czym ciągnęła dalej:

- Zarysowała się ostra różnica zdań w kwestii brytyjskich miejsc pracy. Sekretarz przemysłu przedstawiła silny argument, mówiąc, że ludzie powinni widzieć, że rząd poświęca uwagę wysokim wskaźnikom bezrobocia.

Tu premier zrobiła przerwę, by tym mocniej podkreślić wagę słów, które miała wygłosić na zakończenie.

- Poproszę sekretarza obrony, by łącał swoim urzędnikom jeszcze raz przeanalizować koszty Satyra, gdyby produkowano go wyłącznie w Anglii, w porównaniu z kosztami produkcji w kooperacji ze Stanami Zjednoczonymi. Będę wdzięczna, jeśli ta sprawa powróci na forum rządu i zostanie zakończona w przyszły czwartek. Premier przeszła energicznie do drugiego punktu obrad. Rachel siedziała dumnie wyprostowana, z twarzą pozbawioną wyrazu. Andrew zacisnął usta.

Rząd zakończył obrady za kwadrans pierwsza.

- Coś takiego przydarza się czasem każdemu z nas — powiedział sekretarz spraw zagranicznych, idąc obok Andrew do wyjścia z Numeru Dziesiątego.

Ollie czekał na zewnątrz wraz z innymi rządowymi kierowcami. Andrew wręczył mu neseser.

- Pójdę piechotą — oświadczył.

Kiedy wszedł do biura, sekretarki podniosły wzrok, żeby go pozdrowić. Odpowiedział krótkim skinieniem głowy.

— Lepiej wejdz - powiedział do Martina Throwera. Martin zamknął za sobą drzwi. Minister zdążył już

powiesić marynarkę na oparciu krzesła i chodził po gabinecie, z rękami w kieszeniach, marszcząc czoło.

Martin stał przy drzwiach z notatnikiem w dłoni. Czekał. W ciągu pięciu minut, podczas których Andrew szedł od Numeru Dziesiątego do Ministerstwa Obrony, rządowy sekretarz powiadomił telefonicznie Martina Throwera, że jego ministra spotkało niepowodzenie.

Urzednicy państwowi czują zastępczą dumę, kiedy ich minister odnosi sukcesy. Kiedy zostaje pokonany przez innego, martwią się na własny rachunek. Zadają sobie pytanie, czy przypadkiem ich minister nie okazał się zbyt miękki.

Prywatny sekretarz ministra pozostaje jednak na emocjonalnej ziemi niczyjej; jego lojalność nadal jest podzielona. Martin Thrower współczuł Andrew Harwoodowi. Wiedział, że minister jest bardzo zły. Andrew przestał chodzić po gabinecie, usiadł za biurkiem i zapalił papierosa. Po raz pierwszy spojrzął na Martina.

— Wiesz, co się stało.

— Tak, sir.

Andrew machnął ręką w stronę jednego z krzeseł z niebieskiej skóry, stojących po drugiej stronie biurka.

— Usiądź, Martin.

W gabinecie panowała cisza, poza cichym odgłosem, który rozlegał się, kiedy Andrew zaciągał się papierosem, wpatrzony w pustą przestrzeń za oknem.

Zgasił papierosa.

— Dziś po południu musisz tu wezwać Austina Barth-more'a. Chcę z nim pomówić w cztery oczy, sam na sam. Potem wezwij szefa sekcji F. Najwyraźniej nie mamy szczęścia do dyrektorów sekcji F. Najpierw Cartwright, teraz ten. Szczerze mówiąc, to nie jego wina. Możliwe, że mogłem lepiej przedstawić swój punkt widzenia.

Obwiniwszy dyrektora sekcji F, a potem przyjąwszy winę na siebie, Andrew poczuł się lepiej.

359

- Nawet jeśli będzie to moja ostatnia decyzja, mam zamiar skłonić rząd do przyjęcia kontraktu Satyra w mojej wersji, a nie w takiej, która odpowiada sekretarzowi przemysłu — oświadczył.

Wyraziwszy żal, jaki miał do Rachel Fisher, Andrew poczuł się jeszcze lepiej. Zaśmiał się, choć pośepnie.

- Kiedy zrobisz to, o co cię poprosiłem, Martin, może polecisz, by przyniesiono mi tu trochę kanapek i zupę. Zamierzam nalać sobie drinka i jeszcze raz przejrzeć te cholerne liczby.

Martin wstał z uśmiechem i wyszedł z gabinetu. Podobała mu się siła ducha ministra.

- A tak przy okazji, panie ministrze - powiedział Martin. - Czy widział pan może w dzisiejszym „Telegraphie” wzmiankę o Charlesie Cartwrightcie?

- Nie.

- Utopił się. Spędzał urlop w jakimś modnym kurorcie w Indiach Zachodnich. Miał wrócić do biura w przyszłym tygodniu. Jakoś dziwnie jest wyobrazić sobie Cartwrighta na placu zabaw dla bogaczy.

Nigdy nie przypuszczałem, że dysponuje takimi pieniędzmi.

Wizyty Daisy w szpitalu nie miały regularnego charakteru. W pewien czwartek została na noc, śpiąc na wąskim łóżku obok Sophie.

O dziewiątej rano w piątek Andrew przyjechał po drodze do Richmond Terrace. Daisy siedziała na schludnie zasłanym łóżku.

Zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Sophie. Nigdy nie wiedział, czy zastanie ją leżącą na boku czy na plecach: co dwie godziny pielęgniarki zmieniały jej pozycję. Leżała na plecach. Gdyby nie wiedział, że nie odzyskała przytomności od ośmiu i pół tygodnia, mógłby udawać przed sobą, że córka normalnie śpi. Niekiedy czuł pokusę, żeby się zwodzić, ale zawsze się jej opierał: tam leżało szaleństwo.

Jej skóra pod piegami, mimo że blada, nie była całkowicie pozbawiona koloru. Pielęgniarki dbały o czystość włosów

Sophie; leżały rozrzucone, nie rozprostowane na poduszce. Czasami kiedy Daisy i Andrew patrzyli na łoki Sophie, oboje wzdrygali się w duchu. Jej ręce w krótkich rękawach szpitalnej koszuli nocnej spoczywały na wierzchnim prześcieradle i białym, bawełnianym kocu.

— Cześć — powiedział Andrew.

Nie wiadomo było, z którą z nich się wita.

Obserwował Daisy, jak obchodzi łóżko Sophie i bierze z parapetu torbę ze swymi rzeczami.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem, zamierzając zostawić Andrew sam na sam z córką. Zatrzymała się.

Prawa ręka Sophie, leżąca na pościeli, poruszyła się. Nie był to znaczny ruch: palce zacisnęły się nieco.

Daisy stała jak zaczarowana. Częścią mózgu uświadomiła sobie, że krew w niej wezbrała. Inna część zastanawiała się, czy za chwilę zemdleje.

Potem spojrzała na Andrew.

Zdażył się już odwrócić i otworzyć drzwi.

Korytarz był pusty. Pobiegł ku gabinetowi pielęgniarek u zbiegu czterech korytarzy, o mały włos nie zwałając z nóg pielęgniarki, która stanęła mu nagle na drodze.

Lekarze powiedzieli, że jest za wcześnie na prognozy. Na razie najważniejsze, by odzyskała przytomność. Mogło się to stać bardzo szybko. Wyniki EEG nigdy nie wykluczały możliwości powrotu mózgu do pełnej wydolności.

- Kiedy, a mam wrażenie, że nie powinniśmy świętować zbyt wcześnie, jeżeli córka państwa odzyska w pełni przytomność, będziemy musieli pomyśleć o Stoke Mandeville -oświadczył chirurg. Żadnemu z Harwoodów nie trzeba było wyjaśniać, że uraz kręgosłupa mógł być tylko częściowo odwracalny. Oboje wiedzieli, że nie ma lepszego miejsca, gdzie leczono tego typu urazy, niż szpital w Stoke Mandeville.

Andrew przemknęło przez głowę wspomnienie o Tito Ariasie, mężu Margot Fonteyn, który został sparaliżowany od pasa w dół po czterokrotnym postrzeleniu go przez innego panamskiego polityka. Ariasa umieszczono w szpitalu koło Aylesbury.

Daisy przypomniała sobie zamach bombowy na konferencję partii konserwatywnej w Brighton w 1984 roku. Ujrzała siebie, stojącą na promenadzie przed ruinami Grand Hotelu, oboje z Andrew w nocnych koszulach; światło latarek ślizgało się po zniszczonej fasadzie, strażacy wbiegali i wybiegali, usiłując odszukać ofiary IRA przysypane gruzem. Przypomniała sobie, jak strażacy odnaleźli Normana Tebbita i jego żonę, trzymających się za ręce, przysypanych stalą i betonem, po tym jak podłoga ich sypialni

zapadła się i zlecieli cztery piętra w dół. Nadal widziała pobrużdżoną cierpieniem twarz sekretarza przemysłu i handlu, kiedy wyciągali go spod gruzów. Najbardziej zapamiętała, jak sparaliżowaną Margaret Tebbit zabrano do Stoke Mandeville. Ile trwała droga z Cheyne Street do Aylesbury? Godzinę?

Kiedy Daisy wróciła ze szpitala w piątek po południu, zastała Matty'ego na górze. Powiedziała mu o nowinach, na co się uśmiechnął. Potem opuścił kąciki ust i zaczął płakać. Wyglądał przy tym na chłopca pięcio-, nie dwunastoletniego. Daisy objęła syna. Po minucie wyswobodził się z jej ramion, wycierając nos wierzchem dłoni, zostawiając wilgotną plamę na koszuli matki.

- Czy mogę ją jutro odwiedzić? - zapytał.

Daisy spojrzała na Matty'ego z uśmiechem. Miała wrażenie, że upłynęło wiele czasu - czy naprawdę tylko osiem i pół tygodnia? - odkąd ostatnio się uśmiechała i czuła jakikolwiek związek między układem ust a stanem ducha.

- Może uda mi się ją skłonić do otwarcia oczu - powiedział. - Mógłbym jej powiedzieć o tym, że Jason ciągle dzwoni i pyta, co z nią, i o tym, że trzy razy tu przyszedł i wyglądał fatalnie.

Przez resztę dnia, ilekroć Daisy natykała się na Matty'ego, promieniał.

Właśnie kończyła się malować, kiedy usłyszała odgłos zwalniającego, a potem gasnącego silnika Jaguara. Spojrzała na zegar na ścianie łazienki. Siódma dziesiąta. Włożyła koralową, jedwabną koszulę, którą Andrew podarował jej na Gwiazdkę. Spuściwszy wzrok, rozpięła jeszcze jeden guzik. W sypialni wsunęła stopy w sandały na wysokich obcasach - lubił, kiedy je zakładała do wąskich, białych spodni. Wybrała długi sznur sztucznych pereł spośród innych naszyjników wiszących na lustrze toaletki niczym paciorkowata kurtyna. Założyła perły tak, by opadały częściowo na zewnątrz, częściowo pod koszulę.

Usłyszała jego kroki na schodach, a potem oddalające się w stronę gabinetu. Wcześniej napełniła kubek do lodu i postawiła na barku.

Kiedy weszła do gabinetu, stał odwrócony do niej plecami. Słyszała dzwonienie lodu wkładanego do szklanek. Odwrócił się i spojrzał na Daisy.

— Cześć — powiedziała.

Później, w nocy, spali razem w sypialni. Czasem Andrew obejmował Daisy, a czasem ona jego.

To Matty siedział przy Sophie pewnej soboty, kiedy otworzyła oczy.

— Cześć — powiedział.

W niedzielny poranek Daisy zaniósła tacę ze śniadaniem na górę do sypialni, trzymając poranne gazety pod pachą. Postawiwszy śniadanie Andrew na małym stoliku pod oknem, wróciła do łóżka z kawą, układając gazety w nogach łóżka. Andrew wstał, włożył szlafrok, usiadł w fotelu i otworzył „Sunday Times”.. Wolałby, żeby gazety nie stawały się coraz grubsze: lektura zajmowała już parę godzin.

Daisy zaczęła od „Ramparta”. Od dwóch miesięcy nie miała w rękach żadnej gazety. Wsunęła palce stóp pod kołdrę i ułożyła szyję w wygodniejszej pozycji na poduszkach.

Czytała z zadowoleniem, poczynając od pierwszej strony, po dziesięciu minutach dochodząc do artykułu wiodącego. Momentalnie zwróciła uwagę na trzy nazwiska, które wymienił Ben.

Poczuła, że ogarnia ją chłód. Może jeśli tego nie przeczyta, będzie tak, jakby artykuł nie istniał?

Przebiegła wzrokiem te akapity, w których pojawiała się jej nazwisko. To bzdury, kompletne bzdury.

Zagniewana poczuła, że twarz jej płonie. Zebrało jej się na mdłości: to nie były całkowite bzdury.

Ben przyjął ton częściowo mentorski, a częściowo, w zwykły dla siebie sposób, kłamliwy. Zmusiła się do lektury od początku, czytając powoli, drżąc na myśl, co będzie dalej.

Co mamy myśleć o brytyjskim sekretarzu obrony, który płaszczy się przed amerykańskim sekretarzem obrony, zamiast stawiać na pierwszym miejscu bezpieczeństwo własnego narodu? Równie dobrze możecie zapytać pana Andrew Harwooda, czemu zamierza powierzyć Stanom Zjednoczonym połowę produkcji Satyra.

Czy ktokolwiek potrafi zagwarantować, że US Solar Space nie umieści w satelicie elementu umożliwiającego Pentagonowi podsłuch?

Czy ktokolwiek potrafi wyjaśnić, dlaczego pan Harwood lekceważy wysiłki pani premier zmierzające do ożywienia naszej gospodarki?

Wiadomo, że przed wyjściem za mąż pani Daisy Harwood była zaurufzona Dr. My erem. Możliwe, że przekonamy się, iż nadal jest nim zauroczona, jeśli tylko wolno nam będzie zobaczyć jego popiersie, nad którym pani Harwood pracuje od czterech miesięcy.

Nikt nie może protestować przeciw temu, by żona naszego sekretarza obrony zapraszała do swego atelier w Chelsea amerykańskiego sekretarza obrony. Jeśli jednak pan Harwood pozwolił, by zainteresowanie jego żony osobą pana Myera wpłynęło na pracę pana Harwooda jako sekretarza obrony, my jako naród mamy prawo spytać, czy nie sprawdziłby się on lepiej na innym stanowisku. A czyja nominacja byłaby przejawem większej wyobraźni jak i rpzsądku, niż powołanie Rachel Fisher na sekretarza obrony? Wojskowi wiedzieliby, że mają do czynienia z ministrem, który pojmuję argumenty i potrafi wypracować strategię.

Biurokraci wiedzieliby, że kontrakty ministerstwa obrony muszą być przyznawane brytyjskim firmom, które udowodniły, że na to zasługują.

Opinia publiczna wiedziałaby, że osoba odpowiedzialna za obronę tego narodu pojmuję głębokie przyczyny, dla których ten naród musi być silny. Nikt nie powinien zapominać, że Rachel Fisher nie tylko doskonale kieruje powierzonym jej ministerstwem, ale także posiada instynkt, który mogą w pełni pojąć tylko inne matki.

Tymczasem miejmy nadzieję, że pani premier oraz czuj-niejsi spośród ministrów powiedzą obecnemu sekretarzowi obrony, że jego plan oddania połowy Satyra nie przejdzie.

Benowi szczególnie podobał się sposób, w jaki zasugerował, że **to** Daisy naprzykrzała się Carlowi Myerowi; samego Carla nie można było o nic winić. Popisał się w tym artykule zgrabną żonglerką semantyczną, którą Jocelyn doceni jako pierwsza.

Daisy wpadła w panikę.

Złożyła „Ramparta” i położyła obok siebie na łóżku, zakrywając go do połowy prześcieradłem. Spojrzała na Andrew. Właśnie przewracał stronę „Sunday Times” z artykułem redakcyjnym. Może nie zauważył, co czytała. Może zapomniał przeczytać „Ramparta”. Albo powie mu, że nie przyniesiono go dziś rano. Wepchnęła gazetę głębiej, aż zniknęła pod pościelą, po czym sięgnęła po stertę prasy złożoną w nogach łóżka. Drugą połową „Sunday Telegraph” zakryła „Ramparta”, a pierwszą otworzyła przed sobą. Zaczęła czytać. Nie docierało do niej ani jedno słowo.

— Czy twój dawny redaktor miał nam dziś rano do powiedzenia coś wesołego? - spytał Andrew.

Musiła zmienić taktykę.

— Zrobił się nudny — odparła.

Andrew zerknął ponad „Sunday Times” i przez chwilę przyglądał się żonie badawczo.

— Nie pozwolę, żeby Ben Franwell zepsuł nam pierwsze prawdziwe niedzielne śniadanie - oświadczył w końcu. -Przeczytam „Ramparta” jutro rano. Niezależnie od tego, co Franwell ma do powiedzenia w swojej gazecie, błędnie to wobec rzeczy, jakie wydarzyły się w naszym życiu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Spróbuj więc nie dopuścić do tego, by ten sukinsyn zepsuł ci niedzielę.

Kiedy Andrew poszedł do łazienki ogolić się, Daisy wyjęła „Ramparta” spod prześcieradła. Zaczęła czytać artykuł od początku, ale jej wzrok padł na fragment, w którym wymieniono jej nazwisko.

Przeczytała więc od tego

miejsca do końca, słowo po słowie, próbując sobie wyobrazić, jak zareaguje Andrew, kiedy przeczyta artykuł nazajutrz.

* * *

- O, Boże — powiedziała Frances. - Czy Franwell nigdy nie może sobie odpuścić?

Wylegiwali się z Gilesem w fotelach w apartamencie na ósmym piętrze, z oknami wychodzącymi na most Tower. Wysoki blok zbudowano przed trzema laty tuż za wiktoriańskim magazynem na południowym brzegu Tamizy. Jeden z parapetów był zawalony rękopisami, które Frances przyniosła z pracy: większość agentów literackich sporą część pracy wykonywała w domu.

Włosy założyła za uszy, a na nos wetknęła duże, przyciemnione okulary. Jej niska sylwetka była okryta czerwonym, chińskim kimonem z jedwabiu. Kropla kawy spłynęła z kubka na kimono. Frances nie chciało się jej ścierać przed wyschnięciem: w niedzielę lubiła się trochę pobarłżyć.

Złożyła „Ramparta” i pchnęła po dywanie w stronę Gilesa.

Podniósł go, a Frances przesunęła okulary na czubek głowy i przyglądała się, jak otwiera gazetę na stronie z artykułem redakcyjnym.

Siedząc wygodnie w pizamie i prążkowanym szlafroku, zagłębił się w lekturze, wspierając podbródek na piersi. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie nazwisko Daisy pojawiała się po raz pierwszy, dwie bruzdy na jego twarzy pogłębiły się.

Skończywszy czytać artykuł Bena, Giles cisnął „Ramparta” na dywan i wyjął papierosa z kieszeni szlafropa. Rozciągając wargi, tak że dym wysnuwał się pomiędzy nich powoli, spojrzał na szparę, która pojawiła się na suficie przed miesiącem.

Potem popatrzył na Frances.

- Taką grę mogą prowadzić dwie osoby - stwierdził. Zadzwoił telefon. Stał na podłodze, w zasięgu ręki

Frances.

367

- Halo? - powiedziała. - Jest tutaj. U ciebie wszystko w porządku? - Na inteligentnej, małpiej twarzy malowała się ciekawość. — Daję ci Gilesa.

Wstała i podała mu telefon z długim przewodem.

— Tu Angela.

— Dzień dobry, Angelo — przywitał ją Giles.

Po drugiej stronie Angela spojrzała na polakierowane paznokcie u stóp. Skrzyżowała nogi w kostkach, leżąc na pościeli.

- Jestem w Sussex — powiedziała. — Ale we wtorek przyjeżdżam do Londynu. Czy miałbyś czas na lunch, Giles? Może jeszcze nie widziałeś uroczego artykułu Bena w dzisiejszym „Ramparcie”?

— Przeczytałem go dwie minuty temu.

- Tym razem posunął się za daleko. Przyszła mi do głowy jedna, może dwie myśli.

Przez chwilę po obu stronach panowała cisza.

- Poczekaj chwilę, Angelo. Wezmę mój kalendarzyk. Wróciwszy na fotel, podniósł słuchawkę.

— Mogę być wolny we wtorek.

- Dobrze. Co powiesz na Langan's? W Brasserie. O ile mi wiadomo, mój uroczy mąż nigdy tam nie chadza. Co nie znaczy, że zmartwiłabym się, gdybyśmy się na niego natknęli.

— O pierwszej?

- Doskonale. Zarezerwuję stolik - obiecała.

W ciągu wieloletniej znajomości Giles nigdy nie słyszał, żeby Angela się powtarzała. Tuż przed odłożeniem słuchawki powiedziała znowu:

— Tym razem posunął się za daleko.

Tuż po pierwszej Giles wszedł do Langan's, zerkając w stronę baru, gdzie Nelly przewrócił się kiedyś razem ze stołkiem. Giles wciąż pamiętał ten potworny łomot. Przypomniawszy sobie, jak razem z Frances pomagali przyjacielowi wstać, uśmiechnął się do siebie.

Kierownik sali zaprowadził go do stolika pod oknem wychodzącym na Stratton Street. Giles nachylił się, żeby pocałować Angelę w policzek, po czym usiadł naprzeciwko niej.

— Mają tu nowy gatunek szampana. Właśnie zamówiłam kieliszek. A co dla ciebie?

— Wiesz już, co będziesz jadła?

— Mają dziś sznycle z ryby. Myślałam o suflecie szpinakowym na przystawkę.

— Dobry pomysł.

— Może zrezygnujemy z mojego kieliszka szampana i zamówimy butelkę do lunchu?

Po oddaleniu się kelnera Angela powiedziała:

— Kiedy dzwoniłam do ciebie w niedzielę, nie znałam wspaniałych nowin o Sophie, a ty?

— Też nie. Frances zadzwoniła wczoraj do Daisy. W ten sposób się dowiedzieliśmy. Daisy powiedziała, że w rodzinie panuje takie podniecenie, że nie zebrała się jeszcze, by do nas zadzwonić.

Podobno z mózgiem Sophie jest wszystko w porządku. Następnym etapem jest oczywiście Stoke Mandeville: to jeszcze wielka niewiadoma.

- Tak. Dowiedziałam się podobnych rzeczy, kiedy zadzwoniłam wczoraj do Daisy. Rozmawiała już jak inna osoba, chociaż kiedy wspomniałam o artykule tego kutasa, przez minutę była przygnębiona. Powiedziałam jej, że istnieje sposób na powstrzymanie Bena Franwella, że kawaleria pojawi się wkrótce zza wzgórza.

- Zapytała, co to za kawaleria?

- Nie.

Angela podniosła wzrok na kelnera, który zawahał się przed odkorkowaniem szampana, nie mając pewności, od kogo zacząć nalewanie. Samowystarczalność Angeli podkreślał dodatkowo jej wygląd: miała na sobie damski odpowiednik prążkowanego garnituru dżentelmena z City. Przyglądając się przyjaciółce, Giles zastanawiał się, co takiego w tej delikatnej masce emanowało dzisiaj siłą. Może gniew? Skinął na jej kieliszek. Kelner wyciągnął korek.

- Bardzo dobry - pochwaliła Angela. - Smakuje mi bardziej niż szampan, który podaliście ostatnim razem. Zwróciła się do Gilesa:

- Kiedy Ben pisał ten artykuł, sądził, że Sophie wciąż znajduje się w stanie śpiączki. Nie mogę zaakceptować faktu, że wszedł w ich życie tak po chamsku w butach, kiedy Andrew i Daisy wciąż jeszcze byli pogrążeni w rozpacz. Wyjęła papierosa z paczki, którą Giles położył między nimi na stole. - Ben powiedział mi w Cowes, że kiedy wróci do pracy we wrześniu, wszystko będzie jak dawniej. Nigdy nie sądziłam, że posunie się tak daleko.

- Czy Daisy ma romans z Carlem Myerem? Twarz Angeli pozostała bez wyrazu.

- Według słów Jocelyn, tak - odparła. - Ja naprawdę nie wiem. Jocelyn opowiedziała Benowi jakąś historyjkę, a on w nią wierzy. Ben jest taki dziwny w sprawach seksu, właściwie purytański. Przejawia lubieżne zainteresowanie życiem seksualnym innych. Jednocześnie gdyby czuł, że Daisy zboczyła z prostej drogi, zasługiwałaby na każdą karę.

- Nikt nie może mu nic zrobić za wypisywanie aluzji,

które nie wykraczają poza granice prawa o zniesławieniu -stwierdził Giles.

- A teraz będzie się bardzo pilnował. Przyszedł ci może do głowy jakiś pomysł, Giles?

- Owszem, ale opowiedz mi najpierw o swoim.

- Jedna z linii ataku Bena pozostawiła go odkrytym na kontratak, a mówiąc ściślej, dwa.

- Bardzo możliwe, że nasze umysły są ze sobą sprzężone — zauważył Giles. — Zawsze mówiłem, że to twój umysł mnie pociąga.

Angela uśmiechnęła się uroczo.

- Przesadził we fragmencie, gdzie pisze te bzdury o kobiecości Rachel jako dodatkowym atucie ministra obrony — powiedziała.

- „Nikt nie powinien zapominać, że Rachel Fisher nie tylko doskonale kieruje powierzonym jej ministerstwem, ale także posiada instynkt, który mogą w pełni pojąć tylko inne matki.” - Giles tak świetnie znał styl prozatorski Bena, że potrafił go bezbłędnie cytować.

- Powiedziałam Benowi, że nie sądzę, by wszyscy ludzie zgodzili się, że decyzja Rachel o aborcji nieślubnego dziecka była przykładem instynktu macierzyńskiego.

- Co? Zagrałaś już kartą aborcji?

Wdzięcznym skretem kciuka i palca wskazującego Angela zgasła papierosa. Giles spojrzał na tytoń, który właśnie miał spać z jego dopalającego się papierosa. Kelner wyrósł jak spod ziemi i wymienił popielniczkę na czystą. - Zrobiłam to w niedzielne popołudnie — oświadczyła. — Ben wyglądał tak, jakby miał dostać zawału. Jeden z moich psychoanalityków powiedział, że ludzie naprawdę potrafią zapominać o rzeczach, których nie chcą pamiętać. - Co odpowiedział?

- Najpierw nic. Miałam wrażenie, że ta wspaniała maska rozleci się na kawałki. Potem wziął się w garść. Nie zapytał, skąd to wiem. „Przeszłość to przeszłość”, stwierdził. „Nikt nie może tego teraz wyciągnąć.” Giles patrzył, jak wypięła maleńki łyczek szampana.

- Powiedziałam mu, że jest kilka osób, które mogą to

wyciągnąć, poczynając od ludzi z „Ramparta”, którzy o tym wiedzą: ja, Frances, Daisy, a także ty. A Daisy prawie na pewno powiedziała Andrew. Chcesz wiedzieć, co odpowiedział Ben? Giles czekał.

- Powiedział, że Andrew nie wykorzysta podobnej informacji. „Tkwi w pułapce własnego pieprzonego pochodzenia.” - Przedrzeźniała charakterystyczny dla Bena akcent z Yorkshire. - „Harwood jest zbyt wielkim dżentelmenem, żeby brudzić sobie ręce tak jak my, którzy do wszystkiego musieliśmy dochodzić sami.”

- A co ze mną? Ja już dawno temu odrzuciłem kodeks dżentelmena.

- Dokładnie.

Skłoniła ku niemu głowę, kiedy Giles pstryknął purpurową zapalniczką Dunhilla. Położył ją między nimi na stole. Oboje wpatrywali się w nią, paląc w milczeniu.

- Czy wspomniałaś, że męża Rachel widziano w barze dla pedałów?

- Nie. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Kelner postawił przed nimi talerze z sufletem szpinakowym, po czym podał ostry sos z *anchois*.

Giles przyglądał się słupkowi popiołu rosnącemu na papierosie.

- Zabawne - powiedział. - Nie mam nic przeciwko temu, by niszczyć tego czy tamtego polityka za jego grzechy czy uchybienia natury politycznej. Chyba nigdy nie pisałem o niczyich grzeszkach, tylko raz, ale to nie było przeznaczone do druku. Zresztą wtedy zmyśliłem całą historię, żeby rzucić wyzwanie Benowi. Pamiętasz? Wtedy właśnie wylał mnie z „Ramparta”.

- Przypomnij mi, co napisałeś.

- Ukazała się notatka o Nellym, który wdał się w jakąś szarpaninę przed klubem dla pedałów. Ben polecił mi ją rozwinąć, żeby sprawić przykrość Andrew. Napisałem nieco inną wersję niż ta, której domagał się Ben: szarpanina miała według mnie miejsce podczas „mieszanej nocy”, jak to nazywają, a kobieta, którą widziano wychodzącą z klubu

w towarzystwie innej, była torysowską kandydatką do parlamentu, czyli Rachel Fisher. Napisałem tę notatkę tylko do wiadomości Bena. Kiedy ją przeczytał, wylał mnie na poczekaniu.

- Jak widać, twoja zmyślona historia była natchnioną przepowiednią, chociaż trochę niedokładną - stwierdziła Angela.

- Jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak przepowiednia, zazwyczaj jest nieco chybiona.

Podszedł kelner, żeby wymienić popielniczkę. Angela i Giles zaatakowali suflet szpinakowy.

- A teraz mam napisać podobny brukowy artykuł, tym razem do druku, i po to, by powstrzymać Bena Franwella. Dziwny jest ten świat — zauważył Giles.

Przez minutę czy dwie panowało milczenie, po czym Giles powiedział:

- Jeśli się bardzo postaram, to może uda mi przekonać samego siebie, że prywatne życie polityka ma znaczenie, o ile pozostaje w silnym kontraście z kazaniem, którymi ów polityk nas raczy. A Rachel niewątpliwie uderzyła w struny starej wiktoriańskiej gitary, kiedy wychwalała cnoty rodzinne i tym podobne. Ironia polega na tym, że ostatnio nie śpiewa zbyt często tej piosenki. Jedzie raczej na tym, że kobieta może się sprawdzić na męskim stanowisku. Odplacę Benowi pięknym za nadobne po tym, co zrobił Daisy.

- Czy zrobisz aluzję do obu rzeczy? - spytała Angela. — Do aborcji Rachel i homoseksualnych rozrywek jej męża?

- Chyba tak - westchnął Giles. - Ale o obu sprawach muszę napisać między wierszami. Ben zrozumie jednak, że jeśli będzie kontynuował dotychczasową linię ataku na Harwoodów, ja będę kontynuował kontratak. Czy mam rozumieć, że wciąż nie wspomniałaś mu o numerze z George'em Bishopem?

- Jeszcze nie.

48

W środę rano Denis i Ollie zjawili się na Cheyne Street o ósmej: minister chciał w drodze do pracy zatrzymać się nieco dłużej niż zwykle w szpitalu.

Denis skręcił na Nabrzeże i ruszył na wschód, a Andrew wyjrzał przez okno po prawej na drugi brzeg, gdzie pod dachem pagody siedział Budda, kontemplując rzekę płynącą nieprzerwanie pod jego stopami. Migoczące złoto jakby płonęło w porannym słońcu. Kiedy wzniesiono świątynię, Andrew uznał, że nie pasuje do otoczenia, jednak zawsze uważał, że jest ładna i przyzwyczał się do Buddy siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, sprawującego władzę nad Tamizą. Poczucie czasu Andrew było przez moment tak zaburzone, że wprawiło go w roztargnienie. Miał spędzić pół godziny z córką; porozmawiają o tym i owym, a przecież tydzień temu nie wiedział, czy kiedykolwiek mu będzie dane z nią rozmawiać.

Zerknął na zegarek. Na czerwonym neseserze na tylnym siedzeniu leżały dwie gazety poranne, na które nie zdążył nawet spojrzeć. „Express” nie powinien mu zająć wiele czasu. W istocie jednak lektura trwała dłużej niż zwykle; na stronie redakcyjnej znalazł kolejny artykuł, którego autor spekulował na temat przyszłości Andrew.

Od czasu ostatniego artykułu Bena Franwella kilka gazet podchwyciło pomysł, by podczas najbliższego przetasowania w rządzie poprzeć kandydaturę Rachel Fisher na stanowisko sekretarza obrony. Każda z gazet miała inne

zdanie **co** do przyszłych losów obecnego sekretarza obrony. „Telegraph” przypominał, jak świetnie pan Harwood radził sobie w resorcie przemysłu. Według „Independent” sprawdziliby się może najlepiej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jak dotąd nikt nie zasugerował grobu polityków, Irlandii Północnej. Andrew uśmiechnął się ponuro, czytając zamieszczoną w „Express” bezkrytyczną pochwałę Rachel. Byłby nieszczerzy, gdyby udawał, że nic go to nie obchodzi. Dziś po południu po raz ostatni przeanalizuje sprawę cholernego Satyra przed jutrzejszym posiedzeniem rządu.

Zwrócił uwagę na własne słowa: „po raz ostatni”. Dziwne, jak często wyrażenia okazują się prawdziwe, ale w inny sposób niż zamierzaliśmy. Cóż, nie dbał o to: nawet jeśli miała to być jego ostatnia decyzja, przekona jutro rząd do przyjęcia programu Satyr w formie, którą on uważał **za** właściwą. Oczami wyobraźni ujrzał Rachel, siedzącą prosto po przeciwnej stronie stołu.

- Dokuczliwa góra lodowa - mruknął do siebie.

Po jedenastej Daisy miała wyjść do szpitala, kiedy zadzwonił telefon.

— Będiesz dziś w domu późnym popołudniem? Jeśli tak, to czy mogę wpaść na godzinkę? - spytała Angela.

Zaniosła tacę z herbatą do atelier. Włosy zaczesła do góry i spięła zieloną spinką w kształcie motyla, którą Sophie pożyczyła od niej na początku lata. Dopiero w ostatnim tygodniu Daisy zdobyła się na dokonanie jakichkolwiek zmian w nie zamieszkanym pokoju przy Cheyne Street. Teraz, kiedy wiedziała, że Sophie znowu w nim zamieszka, chociaż nikt nie odważył się jeszcze prognozować, kiedy to nastąpi, Daisy krzątała się wesoło po sypialni córki. Pod wpływem kaprysu wzięła z toaletki zieloną spinkę i wpięła we włosy, tak jak widziała ją wpiętą we włosy Sophie tego dnia, kiedy matka, córka i Carl znajdowali się razem w atelier.

Wcześniej tego środowego popołudnia Daisy poszła do

atelier i zaczęła ratować dwie nie ukończone gliniane głowy. Teraz stały opatulone ociekającą gazą. Jeden postument był pusty.

- Czy Carl jeszcze jest? - spytała Angela.

- Niezupełnie. - Daisy wskazała na duże pudło na odpadki. - Był ukończony zaledwie do połowy.

Glina wyschła. Kąciki ust Angeli powędrowały w górę.

- Kiedy ma znowu przyjechać do Londynu? - spytała.

- Nie wiem. Andrew nie wspominał.

Oparły się na sofie i, popijając herbatę, wyglądały przez okno; liście, choć nieco pożółkłe, wciąż trzymały się mocno wierzchołków jesionów w ogrodzie.

- Co powiedział na rozkoszny artykuł Bena w zeszłą niedzielę?

- Niewiele. - Daisy zamilkła na chwilę. - Rzeczy, które w pewnym okresie twego życia wydają się końcem świata, kiedy indziej są znacznie mniej istotne. „Wszystko jest względne.” To prawda.

Angela przyjrzała się przyjaciółce.

- Nie znaczy to, że nic nas nie obchodzi. Po prostu nie przejmujemy się tym tak, jakby to miało miejsce, gdyby Ben napisał ten artykuł na wiosnę.

- Premierzy zawsze twierdzą, że nie zwracają najmniejszej uwagi na prasę - powiedziała Angela. - Jest to jawna nieprawda. Nie wiadomo jednak, czy myślą: „W tym może być coś, na co powinienem zwrócić uwagę”. A może reagują negatywnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby obecna pani premier uważała, że to impertynencja ze strony prasy podsuwać rady, o które się jej nie prosi.

- To jednak zabawne, kiedy wciąż czytasz, że się nie nadajesz do swojej pracy. Andrew uważa, że się nadaje - stwierdziła Daisy. - Większość gazet jest jak stado owiec. Jeśli jeden redaktor napisze, że przyszłość któregoś z ministrów stoi pod znakiem zapytania, następnego dnia czytasz o tym w sześciu innych gazetach. Tak jest zawsze, Daisy, wiesz przecież. To tak, jakby każdy redaktor polityczny sądził, że może coś przegapił, więc lepiej nie ryzykować. To śmieszne.

- Chociaż powiedziałam, że wszystko jest względne, ilekroć widzę w tym tygodniu nazwisko Andrew w gazecie, przygotowuję się na to, że w następnym akapicie zobaczą swoje i Carla - wyznała Daisy. - Drzę przed kolejnym numerem „Ramparta”.

Angela zaciągnęła się papierosem, po czym zgasiła go.

- Przypuszczam, że Carl nie dzwonił do ciebie od ostatniej niedzieli? — zapytała.

- Nie. Ze wszystkich sił powstrzymywałam się, żeby nie zadzwonić do niego do Pentagonu i nie spytać: „Jak mogłeś dopuścić, żeby ta sprawa dotarła do Bena Franwella?” Jednak to wydawało się zbyt poniżające dla mnie, Andrew, a także Carla. Po prostu nie mogę uwierzyć, że powiedział o tym Benowi.

- To nie on. To Jocelyn.

- Zastanawiałam się nad tym. Piły herbatę.

- Czy wyobrażasz sobie, że znowu jestem, by użyć słów Bena, „zauroczona Carlem”?

- To nie pasuje — stwierdziła Angela. — Ale pamiętaj, żyjemy w dziwnym świecie.

Daisy zignorowała dwuznaczną uwagę.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Przedtem... - Zawahała się. - Przed wypadkiem myślałam czasem o flirtowaniu z Carlem, odkąd pojawił się znowu. Flirtowanie jest poniekąd zabawne. Ale myślę też, że cała sytuacja wydała mi się tak dziwna: Carl zostaje najważniejszym ministrem obrony na świecie. Musiało to w pewien sposób polechtać moją próżność. A fakt, że był odpowiednikiem Andrew, w dziwny sposób czynił całą sprawę jeszcze bardziej intrygującą. Nie miałam jednak zamiaru ani ochoty, żeby iść z nim do łóżka.

Spojrzała na Angelę, która obserwowała wierzchołki drzew.

- Gdybyś to ty zrobiła, nie byłoby w tym nic nagannego. Ale zawsze uważałyśmy, ty i ja, że różnimy się w tych sprawach, że kochana, mała Daisy jest monoerotyczna i tak dalej.

- Dlaczego postanowiłaś zmienić tę zasadę?

- Możliwe, że chciałam się ukarać za spowodowanie wypadku.

- Nie spowodowałaś tego wypadku, Daisy. Wypadki polegają na tym, że po prostu się zdarzają.

- Być może. Ale to zniszczyło, ja zniszczyłam, wszystko wszystkim, więc równie dobrze mogłam zniszczyć jeszcze trochę bardziej.

Zamilkła na chwilę.

- Myślę jednak, że osobą, którą chciałam ukarać, był Andrew. W noc wypadku powiedział coś, co odczułam jak nóż wbity mi w serce. Chciał cofnąć te słowa, ale czegoś takiego nie można cofnąć. Angela zapaliła papierosa i znowu położyła głowę na oparciu sofy. Zastanawiała się, czy Daisy wyzna, co powiedział Andrew. Daisy zawahała się. Czy oczyści się całkowicie, jesh to powie? Ale przecież już się oczyściła. Nie chciała więcej myśleć o tych słowach.

- W zeszły piątek, kiedy Sophie poruszyła ręką, słowa Andrew przestały wydawać się ważne. Stały się kolejną rzeczą, której się żałuje, ale o której nie sposób myśleć przez resztę życia. Postanowiłam więcej o nich nie myśleć. Przyjaciółki piły herbatę.

- W piątkową noc Andrew i ja spaliśmy we wspólnym łóżku po raz pierwszy od blisko dwóch miesięcy. Podczas niedzielnego śniadania w sypialni przeczytałam „Ramparta”. Wpadłam w panikę.

- Czy Andrew powiedział coś o tym, że twoje nazwisko pojawiło się w artykule Bena?

- Nie.

- A ty?

- Nie.

- Czy mam rozumieć, że twoja krótka przygoda z Carlem należy już do przeszłości?

- Tak.

- Pamiętasz ten wieczór na wiosnę, kiedy jadłyśmy tu kolację, wtedy kiedy Nelly grzmotnął swoim Mini w samochód ministra?

Daisy uśmiechnęła się mimowolnie.

- Zanim rozpętała się cała awantura, ty i ja piłyśmy spokojnie kawę w twojej sypialni. Powiedziałaś, że oprócz tego, że nie masz ochoty pakować się komuś do łóżka, wiesz też, że gdybyś to zrobiła, twoje uczucia do Andrew uległyby zmianie. Czy tak się stało, Daisy?

- Jest tak, jakby nic się nie wydarzyło - wyznała Daisy. - Carl zawsze mi mówił, że „wielość”, jak to nazywa, wzmacnia przyjemność seksualną pary, która jest ze sobą od lat. Jednak moje wizyty w Claridge'u nie miały najwyraźniej żadnego wpływu na mój związek z Andrew. To inne rzeczy spowodowały zerwanie, a potem pogodzenie się. Sprawa z Carlem nie zostawiła żadnego śladu, który mogłabym dostrzec.

- Powiesz o tym Andrew?

- Nie wiem, co robić.

Daisy spojrzała na pusty postument. Angela zerknęła na skrzynię na odpadki.

- Zawsze mówiłam Andrew prawie wszystko, niekoniecznie w momencie kiedy to się działo, ale kiedy indziej. Kiedy czułam się niezręcznie w związku z jakąś sytuacją, nie mam na myśli wyłącznie seksu, mogłam zlikwidować to uczucie, mówiąc mu o wszystkim.

- To bardzo ładnie, ale w tym konkretnym przypadku Andrew wolałby może nie wiedzieć.

Znowu zamilkły na chwilę.

- Ze względu na relację ze mną? Czy dlatego, że musi pracować z Carlem?

- Może jedno i drugie.

- Czy chcesz powiedzieć, że gdybym wyznała wszystko Andrew, byłoby to niemal folgowanie samej sobie?

- Być może. Mam wrażenie, że i tak ma teraz sporo na głowie. Z drugiej strony możesz czuć, że chcąc nie chcąc powinnaś wyznać prawdę.

Piły herbatę.

Zegar na kominku wskazywał dwie minuty po dziesiątej, kiedy pani premier powiedziała:

- Sekretarz obrony.

Andrew skrzyżował ręce na aktówce leżącej przed nim, po czym zaczął bez wstępu:

- Pozostaje kwestia następująca: czy wszystkie komponenty do Satyra powinno się produkować w Anglii, bez względu na koszty... Jeśli odrzucimy ofertę US Solar Space, ta część produkcji może zostać wykonana przez firmę brytyjską za nieco mniejszą opłatą niż suma, którą przedstawiłem na ostatnim posiedzeniu rządu. Niemniej jednak, proszę kolegów o wzięcie pod uwagę dwóch czynników... Wykonanie komponentów do Satyra zajmie brytyjskiej firmie od dwunastu do piętnastu miesięcy więcej... Musielibyśmy zainstalować własne wyrzutnie, co wiązałoby się z kolejnym wydatkiem - pół miliarda funtów.

Przerwał na moment, spoglądając na Rachel Fisher, po czym ciągnął dalej:

- Podobnie jak wszyscy obecni przy tym stole, w pełni zdaję sobie sprawę z konieczności ożywiania brytyjskiego przemysłu i tworzenia miejsc pracy, kiedykolwiek jest to możliwe. Jest to w istocie podstawowy powód istnienia ministerstwa przemysłu... Byłoby jednak nieodpowiedzialne z mojej strony, gdybym zapomniał, że moją dziedziną jest resort obrony... Jeśli wydam znaczne środki na Satyra, będę zmuszony obciąć fundusze innego programu przy niezwykle

skomplikowanej sytuacji finansowej mojego ministerstwa. W innym wypadku sekretarz skarbu zostanie zmuszony do zwrócenia się do podatników o więcej pieniędzy... Ponadto jeśli pozwolę, by program najwyższej wagi realizowano o dodatkowe dwanaście czy piętnaście miesięcy dłużej, w takim razie nie powinienem pełnić zajmowanego stanowiska. Andrew zamilkł.

Podniósł dokumenty, do których nie odwołał się w swoim wystąpieniu, po czym uderzył ich dolnymi krawędziami o stół konferencyjny, jakby należało je wyrównać. Następnie schował je z powrotem do teczki i zamknął. Oparłszy łokieć na stole, wsparł podbródek na dłoni i spojrzał na panią premier oraz ministrów siedzących po przeciwnej stronie stołu; jego wzrok nie zatrzymał się na twarzy Rachel dłużej niż na którymkolwiek z kolegów.

Nie zagroził, że złoży rezygnację, jeśli nie uzyska poparcia, a jednak w sposobie, w jaki uderzył dokumentami, było coś, co sprawiło, że taka myśl zaświtała w głowach wszystkich obecnych.

- Poproszę teraz o głos sekretarza spraw zagranicznych - powiedziała pani premier.

Sekretarz spraw zagranicznych milczał przez kilka chwil. Sprawiał wrażenie pogrążonego w rozmyślaniach. Potem wyjaśnił zwięźle, dlaczego według niego koledzy powinni przyjąć plan sekretarza obrony. Kiedy skończył, roztargnionym ruchem podniósł nie otworzoną aktówkę i uderzył o stół, jak gdyby robił w niej porządek przed odłożeniem teczki na bok.

Andrew obserwował go, zaintrygowany dziwnie nieobecny wyrazem twarzy sekretarza spraw zagranicznych.

— Sekretarz przemysłu.

Rachel wiedziała, że musi zmienić front. Sprawa Andrew była bez zarzutu. Jeśli ktokolwiek jeszcze się wahał, zdanie sekretarza spraw zagranicznych musiało przeważyć szalę. Musiała teraz dać do zrozumienia, że zawsze była otwarta na rozsądne argumenty i że na ostatnim posiedzeniu Andrew nie przedstawił sprawy dostatecznie jasno.

Na swoim miejscu oddalonym o pięć krzeseł od pani

premier, Rachel nachyliła się nieznacznie do przodu, nadal jednak sprawiała wrażenie wyprostowanej.
- Sekretarz obrony rozwiął wątpliwości, jakie pozostały po jego poprzednim wystąpieniu... Żałuję, że nie możemy skorzystać z doskonałej okazji, by nagrodzić nasz przemysł elektroniczny, by pokazać naszym przemysłowcom i ich pracownikom, że nadrzędną zasadą tego rządu jest wynagradzanie za dokonania... Żałuję też, że nie możemy skorzystać z okazji stworzenia w naszym kraju nowych miejsc pracy... Jednak wobec informacji, które przedstawił nam teraz sekretarz obrony, jestem gotowa przyjąć jego osąd.

Premier obrzuciła zebranych oficjalnym spojrzeniem, po czym oświadczyła energicznie:

- Zgadzamy się zatem, by produkcję Satyra podjęto zgodnie z rekomendacją sekretarza obrony.

Przejdźmy, proszę, do kolejnego punktu obrad.

Zegar na kominku wskazywał dwadzieścia minut po dziesiątej.

Kilka minut po jedenastej karetka pogotowia wyjechała z bramy szpitala. Pielęgniarski siedział po jednej stronie noszy, na których leżała Sophie, a Daisy po drugiej. Matty usiadł przy bocznym oknie. Dyrektor szkoły zwolnił go na cały czwartek.

- Z tego miejsca widzę tylko niebo - powiedziała Sophie. — Na co patrzysz, Matty?

- No, widać niebo. Niżej jest barierka mostu, przez który przejeżdżamy, a w dole płynie rzeka. Widzę trzy barki i biały statek motorowy z ludźmi, którzy wychylają się i patrzą na wodę. Dalej przed nami widać Big Ben i ten wielki dom, gdzie tata spędza tyle czasu.

Zamiast o Izbie Gmin Daisy pomyślała o Numerze Dziesiątym i osobach znajdujących się wewnątrz, na końcu długiego korytarza, za zamkniętymi drzwiami. Proszę, proszę, niech ktoś sprawi, żeby Andrew się dzisiaj tam powiodło. Przed wyjściem z domu o wpół do dziesiątej powiedział:

- Jeśli mi się nie uda, nie powinnaś się o mnie martwić,

Daisy. Liczy się tylko to, czy Sophie będzie mogła chodzić. Mam nadzieję, że podróż przebiegnie dobrze. Zadzwonisz, kiedy będziesz mogła, prawda?

Karetka objechała trzy czwarte obwodu Parliament Square i skręciła w Birdcage Walk. Kiedy stanęła, Sophie powiedziała:

— Słyszę bębny. Która godzina?

— Wpół do dwunastej. „Zmiana warty przed pałacem Buckingham, Christopher Robin poszedł z Alice tam. Alice wychodzi za żołnierza. Ciężki jest żołnierski los, mówi Alice w głos” — zaśpiewał Matty.

Daisy uśmiechnęła się.

Szpitalną koszulę nocną Sophie zastąpiono prążkowaną koszulą Andrew, której rękawy podwinęto i upięto agrafkami. Leżącą na noszach Sophie opatulono białym, bawełnianym kocem.

Od bioder w dół prawie nie mogła się ruszać. Od pasa w górę ruszała się dość swobodnie, biorąc pod uwagę fakt, że cały kręgosłup unieruchomiono. Najwyraźniej nie wyobrażała sobie, by mogła nigdy nie wrócić do zdrowia. Kiedy ostatni strażnicy przeszli przez bramę z kutego żelaza, a ci, którzy zostali zluzowani, pomaszrowali w nogę przez Mail, policjant dał znak samochodom, że mogą ruszać. Karetka dojechała do Scotch House, gdzie większość wozów skręciła w lewo do Harrodsa, po czym skręciła w prawo, — Mijamy tę wielką stertę cegieł, Knightsbridge Barracs. Po lewej mamy Albert Hall, a po jego prawej stronie ten dziwny pomnik księcia Alberta. Na głowie usiadły mu dwa duże gołębie. Nie widzę Round Pond, ale musi być gdzieś tam po prawej. Po lewej mamy House of Fraser z tymi dziwnymi metalowymi ozdobami wzdłuż ścian. Mamo, pamiętasz, kiedy budowano takie domy? — To było przed moim urodzeniem, Matty. Ten styl nazywa się *art deco*, lata trzydzieste.

— Trochę straszny, ale podoba mi się. Wiesz, mamo, że „Daily Mail” przeniósł się na tyły House of Fraser?

— Słyszałam.

383

- Wiesz, że na ulicy Fleet nie zostały już żadne gazety?
- To zabawne, prawda? - powiedziała Daisy.
- Ty pracowałaś na ulicy Fleet, mamó - przypomniała jej Sophie.
- Sophie, ona to wie — powiedział Matty.
- Wiem, że wie. Po prostu chciałam pokazać, że ja też. Dotarłszy do końca Kensington High Street karetką

skręciła na północ ku autostradzie A40, pojechała nią piętnaście kilometrów na zachód, po czym kolejne sześćdziesiąt na północny zachód. Wjechała do Aylesbury, zatrzymała się przed bramą szpitala Stoke Mandeville, gdzie dano jej znak, by wjechała.

Kiedy Daisy zadzwoniła ze szpitala do prywatnego biura, Martin Thrower powiadomił ją, że minister jest w Izbie Gmin. Minister kazał Martinowi powtórzyć jej, że u niego wszystko poszło dobrze i miał nadzieję, że u nich też. Zapowiedział, że wróci na Cheyne Street o wpół do jedenastej wieczorem.

Wtedy zadzwonił do niej do hotelu. Daisy zarezerwowała pokój w hotelu w Aylesbury, by móc odwiedzać Sophie w Stoke Mandeville w trakcie pierwszych dni adaptacyjnych.

Późnym popołudniem Ollie przyjechał do szpitala, żeby odwiedzić Matty'ego na Cheyne Street, by mógł pojechać rano do szkoły. Andrew skonsultował się z Martinem Throwerem: zdaniem Martina w sytuacji tego typu można było użyć rządowego samochodu.

Tego wieczoru w drodze do Aylesbury Daisy wyjrzała przez okno taksówki na księżyc: był prawie w trzech czwartych pełny. Nie pamiętała, po czym się poznawało, czy księżyc rósł czy malał; po prostu to się wiedziało. Księżyc rósł. Cieszyła się, że nie osiągnął jeszcze pełni. Nie powinna jednak myśleć o księżycu jako o symbolu. To byłoby głupie, ponieważ co by czuła za kilka dni, kiedy zacznie maleć? Mimo to była szczęśliwa.

W ten sam czwartek Tommy Lowell, redaktor działu wiadomości „Ramparta”, wyszedł do pracy później niż zwykle. Kiedy wreszcie wyruszył, tygodniki wystawiono już na stoisku z gazetami na stacji metra. Kupił „Vanguarda”, żeby go przejrzeć w pociągu.

Artykuł Gilesa Alexandra zawsze zajmował całą stronę „Vanguarda”. Zanim pociąg dojechał do stacji Tower Hill, Tommy przeczytał artykuł Gilesa trzykrotnie. Kończąc, zaczynał lekturę od początku, nie opuszczając ani słowa.

— Jezu — mruknął, wychodząc wraz ze współpasażerami na Triinty Place — ten czwartek zapowiada się upiornie.

— Widziałeś artykuł Gilesa Alexandra? — brzmiały pierwsze słowa zastępcy redaktora działu wiadomości.

— Tak. Czy szef już go widział?

— Pięć minut temu weszłam do jego gabinetu z informacją o szkockich kolejach, którą właśnie przysłało faxem. Wyrwał mi ją i kazał się wynosić.

— Masz szczęście, Joyce, że Ben Franwell rozróżnia płęć. Gdybyś nie była kobietą, która niedługo ma zostać matką, wyraziłby uczucia dosadniej.

— Na miłość boską, Tommy, nie wspominaj dziś o matkach.

Ben powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Rozpiął kamizelkę, podwinął rękawy, poluzował krawat. Na maho-

niowym biurku leżał „Vanguard” otwarty na artykule Gilesa.

Grubo ciosana, mięsista twarz Bena wyrażała skupienie, kiedy ponownie czytał pierwszą część. Zazwyczaj styl Gilesa był elegancki, a kąśliwa ironia zwiększała napięcie, kiedy wtykał nóż w ranę i obracał nim. Tym razem jednak postanowił sparodiować styl Benjaminą Franwella.

Czy jest ważne, że sekretarz przemysłu, Rachel Fisher, marzy o wyższym stanowisku? Tak. Jest to ważne dla was i dla mnie, którzy opłacają jej pensję, dzięki czemu panna Fisher może żyć w wielkim stylu. Zamiast zajmować się powierzonym jej resortem przemysłu, nieprzerwanie snuje plany podkopania pozycji sekretarza obrony, Andrew Harwooda, ponieważ zajmuje wyższe stanowisko niż ona.

A co mamy powiedzieć o Benjaminie Franwellu, redaktorze „Ramparta”, który wspiera pannę Fisher w jej knowaniach? Czy to związek osobisty tłumaczy jego energiczne wysiłki zmierzające do wyeliminowania pana Harwooda, by panna Fisher mogła wejść na jego miejsce?

Zanim panna Fisher została posłanką z okręgu Bedford Forge, była już znana jako bardzo dobra przyjaciółka pana Franwella i jego „osobista asystentka”. Czy to właśnie wtedy przekonał się, że posiada ona, mówiąc jego słowami, „instynkty, które mogą pojąć tylko inne matki”?

Czy inne matki, wychowujące dzieci, są równie pewne macierzyńskich instynktów sekretarza przemysłu?

A pan George Bishop? To pan Bishop, oddany mąż panny Fisher, podtrzymuje ognisko domowe w Bedfordshire, podczas gdy ona zajmuje się własną karierą w Westminster. Nie każdemu mężowi takie odwrócenie obowiązków rodzicielskich i domowych przypadłoby do gustu.

Miejmy nadzieję, że pan Bishop ma własne rozrywki, które umilają mu długie noce bez żony.

Ben obiema rękami odepchnął od siebie „Vanguarda”. Odrócił krzesło, tak że siedział naprzeciw stalowego kwadratu na ścianie, z wzrokiem utkwionym w złoty kontur

Wielkiej Brytanii. Poczł się niepewnie na myśl, że siedzi tyłem do drzwi, więc znowu się odwrócił. Jego twarz pociemniała do barwy zbliżonej do buraczanej. Usta zaciskał mocno jak ktoś, kto lada moment miał wybuchnąć płaczem.

Zerwał się z krzesła i podszedł do okien. Na zachodzie widział wieżyczki Tower of London lśniące w wodnistym słońcu wrześnie.

Wrócił do biurka i stojąc wcisnął guziki białego telefonu.

Patrząc w dół na Green Park Angela podniosła słuchawkę. Duże liście platanów lśniły w porannym słońcu na tle odchodzącej płatami kory.

— Mam nadzieję, że nie umówiłaś się z nikim na lunch, Angelo. Jeśli tak, to lepiej odwołaj.

Spotkajmy się w Savoyu o wpół do drugiej.

Kiedy tam dotarł, siedziała już przy jego stoliku pod oknem. Patrzyła poprzez platanów nabrzeża na Tamizę płynącą spokojnie ku Greenwich i morzu. Na różowym, krochmalonym obrusie leżał „Vanguard”. Kupiła go po drodze do Savoyu; lepiej nie udawać ignorancji.

— Zjemy dziś tylko jedno danie — powiedział Ben do szefa kelnerów. — I niech podadzą szybko.

Wpatrywał się w żonę.

— Co powiedziałaś Gilesowi i co on ci powiedział?

— Kiedy?

Krótko przystrzyżona głowa przechyliła się na moment, kiedy zapalała papierosa.

— Przestań się zgrywać, Angelo.

Odwróciła się nieco w stronę okna, by nie dmuchać mu dymem w twarz.

— Co on miał na myśli, Angelo, kiedy napisał, że ma nadzieję, że George Bishop ma własne rozrywki? Cała reszta była dla mnie jasna. Gdybym sądził, że jest też jasna dla ludzi spoza waszej małej bandy harpii i męskich gnid, jeszcze dziś wytoczyłbym „Yanguardowi” i Gilesowi sprawę

● zniesławienie. Poczekam jednak i zobaczę. Co, do cholery, miała znaczyć ta uwaga o George'u Bishopie? - Giles dał do zrozumienia, że to ciota.

Ben wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie wierzę ci — powiedział. Wzruszyła ramionami.

Dwaj kelnerzy w czarnych frakach pospieszyli do stolika i zamaszystym gestem postawili przed mężem i żoną dwa talerze przykryte lśniącymi pokrywami. Kolejny zamaszysty gest i oto ukazały się piersi kurczęcia w śmietanie i brandy. W umyśle Bena pojawił się obraz Charlesa Cartwrighta: ten chamuś w prażkowanym garniturze, z pedalskim kwiatkiem w butonierce. Te mendy są wszędzie.

Chryste, jak on ich nienawidził. Czy Rachel wiedziała?

- Dlaczego skłoniłaś Gilesa, by to napisał?

- Nie było takiej potrzeby. Kiedy wlałeś w buciorach w życie Daisy, posunąłeś się za daleko. Ona nie zajmuje się polityką, a wypadek Sophie przeżyła bardzo mocno.

Ben zaciskał usta. Angela musiała się pilnować, by jej twarz zachowała beznamiętny wyraz; kiedy Ben robił tę minę, wbrew własnej woli czuła się dotknięta. Nigdy nie potrafiła stwierdzić, czy wyglądał jak chłopiec, który się dąsa, czy taki, który ma zamiar się rozpłakać.

Po minucie czy dwóch zapytał: - Skąd wiesz, że George Bishop jest jednym z nich?

- Nie wiem tego. Ale chodzi do jednego z bardziej dyskretnych barów dla ciot. Pewnego wieczoru towarzyszył mu młodzian o wąskich biodrach gustujący w złotej biżuterii. To oczywiście niczego nie dowodzi: George Bishop mógł w dorosłym wieku zacząć studiować socjologię. W czasach kiedy studiował w Cambridge, nie mieli tam pewnie zajęć z socjologii.

- Mam nadzieję, że kiedyś spotkam absolwenta Cambridge, który nie jest zboczeńcem - stwierdził Ben. - Przypuśćmy, że George złapie AIDS. Wszyscy wiedzą, że większość pedałów zaraża się AIDS albo powinna się zarazić. Chryste, niedobrze się robi człowiekowi.

- Skoro mowa o AIDS - powiedziała Angela - czy

zdajesz sobie sprawę, że pewna grupa ludzi, włącznie z dwojgiem siedzących przy tym stole, powinna zrobić sobie testy na AIDS? Chcesz, żebym ci to załatwiła, czy wolisz może powierzyć tę sprawę asystentce?

Patrzył na nią w całkowitym milczeniu.

Angela wydmuchnęła obłok dymu obok twarzy Bena.

— Wielki Boże — wykrztusił. Milczała.

— Kto widział George'a Bishopa w tej melinie? — spytał.

— Przyjaciel Gilesa.

— Wiem kto. Nelly Harwood.

Angela zawsze prowadziła rozmowę bardzo ostrożnie: kłam najmniej jak to możliwe; potwierdzaj to, co musisz; pomijaj to, co możesz. Paliła dalej spokojnie.

— Czy Giles zamierza poświęcić tym brudom serię artykułów?

— Przypuszczam, że to zależy od twoich poczynań. Ben wpatrywał się w żonę niebieskimi oczami.

— Zauważyłem to już dawniej. Wy, wielkie damy i przy-jemniaczkowie ze szkół prywatnych zachowujecie doskonałe maniery tylko do pewnego punktu. Potem zdejmujecie rękawiczki, a wtedy już nie przebieracie w środkach.

Angela posłała mu swój charakterystyczny uśmiezek.

51

Kiedy w sobotni poranek Jaguar wyjechał z Cheyne Street, Denis siedział obok Olliego z przodu, a Matty razem z ojcem z tyłu. Matty zawsze czuł się ważny, jadąc rządowym samochodem.

Tuż po jedenastej Ollie minął bramy szpitala Stokes Mandeville. Andrew i Matty weszli do pokoju Sophie, gdzie siedziała już Daisy.

- Cześć tato. Cześć Matty. Tu jest-świetnie.

Leżała wsparta na poduszkach; loki opadały na męską koszulę w paski z podwiniętymi i upiętymi rękawami.

Walizka Daisy stała przy drzwiach; przyniosła ją z hotelu Aylesbury.

Kilka minut po południu trójka Harwoodów wsiadła do Jaguara i Ollie ruszył ku autostradzie M1.

Dwie i pół godziny później zatrzymał się, a Matty wyskoczył z samochodu, żeby otworzyć drewnianą bramę na zwirowanym podejździe. Kiedy podjeżdżali do frontowych drzwi Stony Farm, Andrew zerknął na Daisy. Jej twarz promieniała. Wracła do Waymere po raz pierwszy od wypadku.

Wcześniej przygotowała kolację dla Matty'ego, żeby Andrew, po wypełnieniu obowiązków wobec wyborców, mógł spędzić resztę wieczoru razem z nią. Po późnej kolacji usiedli w małym gabinecie przy kamiennym kominku z wesoło trzaskającymi polanami. Wrzesień był wciąż

łagodny, ale w Shropshire temperatura po zmroku gwałtownie spadała.

— Ponieważ jesteś na tyle miła, że pozwalasz mi opowiadać o moich problemach politycznych, zrelacjonuję ci czwartkowe obrady rządu. Wygrałem tę rozgrywkę. Rachel wygrała mecz. Satyra będą produkować na warunkach, o których jestem pewien, że są właściwe. Jednak nie można tego uznać za wielkie osobiste zwycięstwo. Rachel udało się rzucić cień wątpliwości na moją kompetencję.

— Co się stało?

— Ponownie przedstawiłem moje zdanie. Dobry, stary sekretarz spraw zagranicznych mnie poparł. Potem premier poprosiła o głos Rachel. Oświadczyła, że żałuje, że okazałem się mniejszym patriotą niż ona, nie tak gotowy do służenia krajowi i tym podobne brednie, ale mimo to udzieli mi poparcia, ponieważ teraz przedstawiłem sprawę jasno, w przeciwieństwie do poprzedniego posiedzenia. — Uśmiechnął się gorzko. — Chyba tego nie powiedziała?

— Do tego się to sprowadza.

— Czy przedstawiłeś sprawę jaśniej?

— Nic mi o tym nie wiadomo. - Łyknął drinka. — Zarówno za pierwszym jak i za drugim razem przedstawiłem ją konkretnie i prosto. Może zyskałbym nieco, gdybym dodał trochę retoryki, ale jestem, jaki jestem. Przypuszczam, że gdybym usiłował się stać innym politykiem, skutki byłyby jeszcze bardziej opłakane. — Podobasz mi się taki, jaki jesteś — stwierdziła Daisy.

— Dziękuję.

— Zresztą nie brzmi to wcale jak klęska.

— Może nie było tak źle. Nie wypadłem jednak błyskotliwie. Problem w tym, że nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z osobą w rodzaju Rachel. Przemawia w ten niemal majestatyczny sposób, a jednocześnie nieprzerwanie zbiera punkty. Jedyna metoda, to walczyć z nią jej własną bronią, ale to nie mój styl. Dlatego na koniec czuję, że ktoś inny poradziłby sobie lepiej.

Wstał, dorzucił dREW do ognia, a potem wrócił na miejsce.

- Skąd wiesz, że pani premier nie spodobał się sposób, w jaki sobie poradziłeś?
- Po pierwsze pani premier jest zagadkowa. Po drugie nie poszło mi zbyt dobrze. Ale dość o tym. Zobaczmy, co napiszą jutrzejsze gazety. Teraz, kiedy podzieliłem się z tobą melancholią, czuję się lepiej. Porozmawiajmy o czymś ciekawszym.

Niedzielny poranek upływał leniwie; gazety leżały na dużym kuchennym stole, podzielone między trójkę Harwoodów.

Andrew zerknął kątem oka na Daisy, która otworzyła „Ramparta” na stronie z artykułem redakcyjnym. Na jej twarzy odmalowała się ulga. Ponownie skupił się na „Sunday Timesie”.

Większość artykułów redakcyjnych udzielała poparcia jego decyzji w sprawie Satyra, choć osobiste komentarze na temat osoby Andrew były neutralne. „Rampart” nie napisał nic ani o Satyrze, ani o sekretarzu obrony.

Po wczesnym lunchu wsiedli do Jaguara. W dwóch trzecich drogi do Londynu Ollie skręcił z M1 i ruszył do Aylesbury.

Wydawało się, że Sophie czuje się w Stoke Mandeville jak w domu.

- Basen by ci się spodobał, Matty. Woda jest ciepła i nikt cię nie kopie. Wiesz, mam, myślę, że unosząc się na wodzie, poruszyłam trochę nogami, chociaż nie mam całkowitej pewności.

Późnym popołudniem trójka Harwoodów wsiadła z powrotem do Jaguara i Ollie ruszył do Londynu. Kiedy przejeżdżali przez South Kensington, kierując się w stronę Chelsea, Andrew powiedział:

- To najspokojniejszy i najweselszy weekend, jaki ostatnio przeżyłem.

— Wiem — odparła Daisy.

— Polityka to zabawna gra — mówił Andrew. — Wszyscy się czymś podniecają. Wydaje się, że czyjaś kariera wisi na włosku. Potem wszyscy wracają do swoich spraw, jak gdyby nic się nie stało. Muszę przyznać, że byłoby miło, gdyby nasz spokojny weekend stał się prognozą na przyszłość. Sądzę, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Pięć minut po tym, jak weszli do domu, zadzwonił rządowy telefon.

— Sądziłem, że zechce pan wiedzieć, panie ministrze — powiedział Martin Thrower— że w wiadomościach o dziewiątej ogłoszą, że sekretarz spraw zagranicznych złożył rezygnację.

Odłożywszy słuchawkę Andrew wyciągnął się w fotelu i zapatrzył się w sufit. Po pięciu czy sześciu minutach wstał, poprawił spodnie i poszedł do sypialni, gdzie Daisy rozpakowywała rzeczy.

— Wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe — powiedział.

Spojrzała na niego w panice.

— Wszystko w porządku, kochana Daisy. Nie chciałem cię straszyć. Nic się nie stało. Dzwonił Martin. Mówił, że sekretarz spraw zagranicznych złożył rezygnację. Czy mogłabyś przerwać to, co robisz, i pójść do gabinetu na drinka?

Usiedli w fotelach, które kiedyś stały w Eaton Place, a Andrew powiedział:

— Nie miałem zielonego pojęcia, że zamierza zrezygnować. Słyszałem, że jego żona jest chora, ale nie wiedziałem, że zamierzał wyjść z rządu, żeby spędzać z nią więcej czasu. To dlatego trzy dni temu na posiedzeniu rządu sprawiał wrażenie tak zamyślonego, jakby nieobecnego duchem.

Milczeli.

— Jaki to wywrze wpływ na ciebie? — spytała w końcu.

— Nie wiem. Może żaden. Jeśli sekretarz spraw wewnętrznych obejmie teraz resort spraw zagranicznych, pani premier może zdecydować, że nadszedł stosowny moment na duże przetasowania.

Zadzwoił zwykły telefon. Andrew podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Dobry wieczór, panie ministrze, tu dział wiadomości „Daily Mail”. Czy wybiera się pan rano pod Numer Dziesiąty?

- Co pan ma na myśli?- spytał Andrew chichocząc; cicho.

- Słyszeliśmy, że na górze mogą zajść pewne zmiany -mówił dziennikarz. - Mówi się, że sekretarz spraw wewnętrznych przejmie sprawy zagraniczne, a pan i sekretarz przemysłu zamienią się stanowiskami.

- Rozumiem. Najwyraźniej wie pan więcej niż ja - odparł pogodnie Andrew.

- Jak by się pan czuł, panie ministrze, wracając do ministerstwa przemysłu? Zebrał pan wiele pozytywnych ocen, kierując dawniej tym resortem. Teraz jednak mógłby pan czuć, że jest to przeniesienie na niższe stanowisko, chociaż oczywiście nieznacznie. Przyjąłby pan tę propozycję czy złożyłby pan rezygnację?

Tym razem śmiech Andrew nie był udawany.

- Poruszył pan kilka bardzo odmiennych kwestii. Dopóki nie usłyszemy oficjalnego komunikatu, odmawiam komentowania jakichkolwiek spekulacji.

Odłożywszy słuchawkę, powiedział do Daisy:

- Ten myśli, że przeniosą mnie do przemysłu.

- Kiedy premier podejmie decyzję?

- Przypuszczam, że właśnie w tej chwili pani premier rozstawia figury na szachownicy. Ciekawe, kto jeszcze wie, co się dzieje. - Spojrzał na żonę. - Czuję się dziwnie na myśl, że do niektórych moich kolegów dzwonią teraz z Numeru Dziesiątego, podczas gdy tu telefonował tylko Martin Thrower.

Zadzwoił zwykły telefon. Był to „Times”.

Po skończeniu rozmowy Andrew powiedział do Daisy:

- Ci goście nie wiedzą więcej niż ja. Po prostu powtarzają plotki polityczne. Mimo to panuje najwyraźniej powszechna opinia, że Rachel zaproponują resort obrony.
- A jak byś się czuł, wracając do przemysłu?
- Jakbym dostał młotkiem w głowę. Hierarchia stanowisk ministerialnych nie powinna mieć znaczenia, ale ma

dla ludzi, z którymi się pracuje, nie mówiąc już o próżności. Jeśli Rachel otrzyma nominację na stanowisko sekretarza obrony, będzie to jednoznaczne z oświadczeniem, że ja się nie nadaję do tej pracy. Szkoda, że nie poszło mi lepiej na ostatnim posiedzeniu rządu.

Oboje milczeli przez kilka minut.

- Czy przyjmiesz propozycję ponownego objęcia resortu przemysłu? Jaki jest sens w składaniu rezygnacji?

Po chwili milczenia odpowiedział:

- Nie ma sensu, chyba że trzeba tak postąpić z pewnych przyczyn natury moralnej. Jeśli chodzi o próżność, historia zna mnóstwo przypadków ministrów, którzy złożyli rezygnację uważając się za niezastąpionych i pewnych, że wkrótce otrzymają inną wspaniałą propozycję. Przekonywali się jednak, że zostali odstawieni na dobre. Osobiście nie sądzę, bym zrezygnował. Trudno mieć jednak jasny pogląd, póki nie wiem, w jakiej kwestii mam go zająć.

Zadzwoił zwykły telefon. „Independent”. Odłożywszy słuchawkę Andrew powiedział posepnie:

- Sądziłem, że te gazety konkurują między sobą. Tymczasem wygląda na to, że się zgadzają, że polityczne prognozy nie rysują się różowo dla twojego męża.

Ponownie zamilkli.

- Pamiętasz, co mi powiedziałaś w zeszły weekend, kiedy byłam przygnębiona potwornym artykułem Bena Franwella? „Niezależnie od tego, co Franwell ma do powiedzenia w swojej gazecie, błędnie to wobec rzeczy, jakie wydarzyły się w naszym życiu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.”

Niezależnie od decyzji pani premier, ja się tak właśnie czuję. Zmartwię się ze względu na ciebie, jeśli spotka cię zawód, ale nie zmartwię się ze względu na siebie. Wiesz o tym, prawda?

Andrew wstał i podszedł do jej krzesła. Nachylił się i delikatnie pocałował Daisy w usta.

- Nie ma sensu martwić się teraz - powiedział. - Wkrótce wszystkiego się dowiemy.

Spojrzał na zegarek.

Wszystkie poniedziałkowe gazety zamieściły na pierwszych stronach przypuszczenie, że komunikatu premiera należy się spodziewać wczesnym popołudniem. Ponieważ rezygnacja sekretarza spraw zagranicznych miała wkrótce zostać zatwierdzona, wyrażano powszechne przekonanie, że jak najszybsze mianowanie jego zastępcy jest wysoce pożądane. Zgadzano się, że będzie nim obecny sekretarz spraw wewnętrznych.

Kto zatem objąłby resort spraw wewnętrznych? Jedna z gazet sugerowała kandydaturę Rachel Fisher. Według innej, ponieważ sekretarz Irlandii Północnej przetrwał na stanowisku, w cudowny sposób nie doznając uszczerbku na reputacji, być może powinno się go nagrodzić taką sprawą wewnętrzną. Z trójki kluczowych stanowisk w rządzie, spraw zagranicznych, skarbu oraz spraw wewnętrznych, tylko sekretarz skarbu nie był obiektem ożywionych spekulacji: piastował swój urząd od niedawna, toteż nie było powodu go przenosić.

Nazwisko Andrew wymieniano tylko w związku z Rachel Fisher. Gdyby Rachel objęła sprawy wewnętrzne, Andrew pozostałby w Ministerstwie Obrony. Gdyby Rachel przeszła do Obrony, Andrew mógłby wrócić do Ministerstwa Przemysłu. We wszystkich konfiguracjach Rachel była osobą numer jeden.

Mimo że Bena Franwella zmuszono poprzedniego dnia do przyczajenia się, długa kampania „Ramparta” odniosła

skutek: wydawało się, że wszystkim spodobał się pomysł mianowania silnej kobiety na stanowisko, które dotąd uważano za męską domenę. Rachel sforsowała przeszkody stojące na jej drodze do Ministerstwa Przemysłu, a zanosilo się na to, że jeszcze tego dnia miała pokonać kolejną przeszkodę. Andrew golił się w łazience, kiedy zadzwonił zwykły telefon. Daisy sięgnęła nad łóżkiem i odebrała.

- Czy to pani Harwood? Tu BBC. Chcielibyśmy rozmawiać z pani mężem.

- Zobaczę, gdzie on jest.

Zostawiła słuchawkę na łóżku i otworzyła drzwi łazienki.

- To BBC.

- Spytaj ich, czego chcą. - Andrew zmarszczył brwi, przesuując brzytwą po szczęce.

Wróciła do telefonu. - Czy mogłabym się dowiedzieć, w jakiej sprawie pan dzwoni?

- W sprawie pogłosek o nowym sekretarzu obrony.

- Proszę poczekać.

Ponownie odłożyła słuchawkę na łóżko. Tym razem Andrew podszedł do telefonu. Daisy zauważyła, że nie skończył się golić.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, panie ministrze. Tu Percy Jones z BBC. Istnieją dość silne pogłoski, że pani premier zamierza mianować Rachel Fisher na stanowisko sekretarza obrony.

Andrew poczuł skurcz żołądka.

- Ach, tak?

Obserwując jego twarz, Daisy poczuła skurcz żołądka.

- Czy myślał pan o swoim przyszłym stanowisku, jeśli tak się stanie? — spytał Percy Jones.

- Nie.

Andrew zauważył, że Percy Jones przestał tytułować go ministrem.

- Komentarz w tej sprawie zostanie ogłoszony później. Muszę kończyć. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Daisy.

- Mówił tak, jak gdyby miał pewne podstawy, żeby myśleć o Rachel Fisher jako o nowym sekretarzu obrony.

- Ale przecież najpierw dowiedziałabyś się o tym od pani premier.

- Niekoniecznie.

Poszedł do gabinetu, zapalił papierosa i wrócił z nim do sypialni. Wyjął z komody koszulę i zaczął rozpinąć guziki.

- Proszę, proszę — powiedział. — Dlaczego nie wysłaś za innego rzeźbiarza?

Daisy uśmiechnęła się słabo.

Podnosząc podbródek, by zawiązać krawat, stwierdził:

- Nie sądzę, że mogliby mi nie zaproponować innego wysokiego stanowiska. Problem w tym, że nigdy nie pojąłem, w jaki sposób funkcjonuje umysł pani premier.

Oboje usłyszeli telefon rządowy w gabinecie. Andrew poszedł odebrać.

- Halo — powiedział oschle.

- Tu Downing Street Numer Dziesięć. Czy mówię z panem Harwoodem?

- Tak.

- Czy mógłby pan chwilę poczekać? Słuchawkę przejął osobisty sekretarz pani premier.

- Dzień dobry, Andrew, Pani premier chciałaby cię zobaczyć. Czy mógłbyś się tu zjawić dziś o jedenastej?

- Naturalnie.

Odłożywszy słuchawkę, spojrzął na pobladłą Daisy stojącą w drzwiach. Mijając ją, pocałował ją w policzek.

- Tak bym chciała móc podzielić zawód, który może cię spotkać, na dwie połowy - powiedziała. -

Kiedy się podzieli coś złego, przestaje być aż tak bardzo złe dla pojedynczej osoby. Chciałabym to umieć zrobić.

- Mimo że nie możemy tego dokonać, fakt, że mam cię przy sobie, Daisy, uśmierzy każdy mój zawód. Ollie ruszył spod domu, a Andrew wyjrzał przez tylną szybę. Daisy wyglądała przez jedno z okien sypialni na pierwszym piętrze. Pomachała mu.

393

Panie ministrze, czy wie pan, co przyniesie przyszłość? — krzyknął jeden z reporterów, kiedy Andrew wysiadł z Jaguara.

Pomachał ręką w chwili, kiedy otworzyły się drzwi do Numeru Dziesiątego i wszedł.

Sekretarz pani premier czekał w hallu. Obaj mężczyźni ruszyli korytarzem, a Andrew zerknął na znajdujące się na końcu zamknięte drzwi do Sali Posiedzeń. Kiedy wchodzili na schody, mijając podobizny premierów, Andrew pomyślał o zainteresowaniu, jakim Daisy darzyła Glads-tone'a.

— Czy mógłbyś chwilę poczekać, Andrew? — spytał sekretarz, kiedy dotarli do hallu przed gabinetem, po czym wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili wyszedł i Andrew wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim.

Pani premier siedziała za mahoniowym biurkiem.

— Dzień dobry, Andrew.

— Dzień dobry, pani premier.

Wskazała mu fotel stojący niedaleko biurka.

— Od pewnego czasu myślałam o dokonaniu zmian na stanowiskach ministerialnych. Wobec rezygnacji sekretarza spraw zagranicznych wydaje się, że nadszedł stosowny moment. Wie pan, oczywiście, że nigdy nie uległabym wpływowi „Ramparta”. Już dawniej rozważałam możliwość powierzenia Rachel Fisher resortu obrony. Andrew zastanawiał się, czy pobrał.

— Po naszym ostatnim zwycięstwie wyborczym kampania kobiet na rzecz rozbrojenia nuklearnego ucichła — ciągnęła pani premier. — Byłoby wysoce niewygodne, gdyby znowu stała się problemem, jak sam pan aż nazbyt dobrze wie. Fakt kierowania resortem obrony przez kobietę wiązałby się z niewątpliwymi politycznymi korzyściami. Ponieważ Rachel dowiodła, że potrafi sobie radzić z przemysłowcami i związkowcami, jestem gotowa powierzyć jej kontakty z generałami i admirałami.

— Premier uśmiechnęła się zimno. — Spotkam się z Rachel później i poproszę, by przyjęła tekę sekretarza obrony.

— Rozumiem.

— Czuję, że nadszedł czas, by dać sekretarzowi środowiska nowe dziedziny do eksploracji.

Zamierzam powierzyć mu tekę przemysłu.

Andrew odniósł wrażenie, że obserwuje całą scenę z zewnątrz: widział własne oblicze — pomimo wysiłków zachowania beznamiętnego wyrazu twarzy, był spięty — kiedy tak siedział obok pani premier.

— Sekretarz spraw zagranicznych bez wątpienia zasłużył na odpoczynek po nie kończących się podróżach po świecie. Cieszę się jednak, że zgodził się przyjąć tytuł para i zostać przewodniczącym Izby Lordów. Myślałam o przeniesieniu sekretarza spraw wewnętrznych do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ponieważ jednak znajduje się w środku prac legislacyjnych, które grały kluczową rolę w naszym manifeście wyborczym, uznałam, że lepiej będzie, jeśli doprowadzi je do końca.

Pani premier przerwała. Andrew czuł gułę w żołądku, a jednocześnie nadal obserwował całą scenę z zewnątrz. — Wszyscy musimy znosić krytykę kierowaną pod adresem naszej kompetencji i rozsądku. Podobał mi się sposób, w jaki w ciągu minionych sześciu miesięcy radził pan sobie z atakami osobistymi i na państwa politykę. Podobał mi się sposób, w jaki rozwiązał pan wątpliwości w kwestii Satyra. Co by pan powiedział na przejście do Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

W tym momencie Andrew, mocno spięty, przebywał całkowicie wewnątrz własnej osoby. Degradacja na stanowisko numer dwa nie mogła wchodzić w rachubę.

— Oczywiście, na stanowisko sekretarza spraw zagranicznych - dodała premier.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Byłby to dla mnie wielki zaszczyt — odparł Andrew.

— Dobrze więc. Przyszło mi na myśl, że po tym, co przydarzyło się pańskiej rodzinie w lecie, Daisy i panu przydałaby się przeprowadzka do innego domu. Wie pan, że Carlton Gardens jest do pańskiej dyspozycji. Z tego co

wiem, jak dotąd tylko jeden sekretarz spraw zagranicznych nie wyraził ochoty, żeby tam zamieszkać.

— Dziękuję, pani premier. Pomówię z Daisy o Carlton Gardens.

— A zatem do zobaczenia na posiedzeniu rządu, panie sekretarzu spraw zagranicznych.

Premier posłała mu zimny uśmiech. Andrew zastanowił się nie po raz pierwszy, czy był to sposób droczenia się z ludźmi, czy skrywania emocji.

W południe na Cheyne Street zadzwonił zwykły telefon. Daisy chwyciła słuchawkę.

— Pani Harwood, tu Martin Thrower. Pani mąż poprosił, bym powtórzył pani, że przyjdzie dziś do domu na lunch, jeśli to pani odpowiada. Prosił też, żebym pani powtórzył, że jest w pogodnym nastroju.

Kiedy Daisy usłyszała Jaguara zwalniającego przed domem, wyjrzała przez okno sypialni. Nie potrafiła dostrzec wyrazu twarzy Andrew.

Słuchała kroków na schodach. Zajrzał przez drzwi sypialni.

— Dzień dobry — przywitał żonę. Powoli podszedł do fotela i zdjął buty.

— Muszę tam wracać za półtorej godziny. Przynajmniej przez ten czas mogę odpocząć.

Włożył kapcie i ruszył do gabinetu, a Daisy w ślad za nim. Oświadczył, że ma ochotę na małego drinka.

— Czy ty też wypijesz kropelkę? Nalał jej wódki do małego kieliszka.

— Zgadnij, co dostałem.

— Obronę?

— Sprawy zagraniczne.

Oboje wciąż stali. Daisy objęła go. Ku jej zdumieniu łzy popłynęły jej po twarzy i spadły na koszulę Andrew.

— Słowo daję, nie będę przynosił do domu żadnych nowin, skoro sprawiają, że płaczesz.

53

W pewien wtorkowy poranek słońce lśniło na złoconym posągu Zwycięstwa; skrzydła rozpościerały się nad marmurową królową. Jedna z kunsztownie zdobionych żelaznych bram do pałacu Buckingham otworzyła się przed nadjeżdżającym czarnym, opancerzonym Jaguarem sekretarza spraw zagranicznych. Andrew spojrzął na dach pałacu, gdzie w porannym wietrze powiewała królewska flaga, obwieszczająca wszem wobec, że Jej Wysokość rezyduje w pałacu.

Tym razem nie musiał klękać na kolejnych podnóżkach, kiedy podchodził, by ucałować dłoń królowej, jak to miało miejsce, kiedy został członkiem Najwyższej Rady Jej Wy-skości. Dzisiaj królowa po prostu wręczyła mu insygnia nowego urzędu, a Andrew złożył mały pokłon.

Zapytała o Sophie. Andrew odparł, że lekarze w Stoke Mandeville byli coraz większymi optymistami.

Sophie mogła codziennie nieco więcej poruszać nogami. Wierzyła, że wyzdrowieje zupełnie.

- Czemu Sophie nie miałyby wyzdrowieć? - zdziwiła się królowa.

* * *

Jaguar wyjechał z dziedzińca pałacu Buckingham, Ollie okrążył królową Wiktorię i ruszył w drogę powrotną przez Birdcage Walk. Na Parliament Square jak zwykle skręcił w lewo.

404

Jednak zamiast jechać dalej przez Whitehall do Richmond Terrace, skręcił przed Downing Street. Na King Charles Street zatrzymał się, gdy ustawiano barierki.

Andrew wjechał następnie na wielki dziedziniec przed budynkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, okrytym dziewiętnastowiecznym splendorem.

• Ółtorej godziny później Daisy wysiadła z taksówki na rogu Greek Street. Jej szpilki stukały wesoło na chodniku, kiedy szła w stronę szyldu ze ślimakiem. Pomyślała o pierwszej wizycie w L'Escargot, kiedy Ben Franwell używał sobie na Andrew.

Pomyślała o drugiej wizycie, podczas której poznała Nelly'ego Harwooda.

Na górze w tylnej sali dostrzegła przy narożnym stoliku Gilesa. Razem z Nellym wstali na powitanie.

— Cześć, Tulipanku — powiedział Giles.

W kącikach oczu Nelly'ego krył się przyjazny uśmiech. Jego piaskowe włosy zawsze przywodziły Daisy na myśl Andrew.

— Czego się napijesz? — spytał Giles.

— Jeśli zamawiamy wino do obiadu, poczekam — odparła.

Po złożeniu zamówienia Giles powiedział:

— Jeśli odwrócisz się w prawo, Tulipanku, po drugiej stronie sali zobaczysz znajomą twarz.

Odwróciła się we wskazaną stronę.

Przy stoliku, w towarzystwie mężczyzny, którego nie znała, siedział Ben Franwell.

On i Rachel wygrali rozgrywkę, ale przegrali mecz. Kiedy przyglądali się tak sobie od stolików, twarz Bena miała przez chwilę gburowaty wyraz. Potem przytknął dłoń do czoła, jak gdyby uchylał przed Daisy kapelusza.

Wiedziała, że nigdy mu nie zapomni, jak próbował zniszczyć Andrew. Jednak w tym momencie przywrócone szczęście Daisy było tak wielkie, że nie dbała zbytnio o to,

co zrobił Benjamin Franwell. To należało do przeszłości. Z drugiej strony, nabrała nowej pewności siebie i nie musiała — jak dawniej — udawać, że jej nie zranił.

Posłała mu chłodny uśmiech, a potem pokazała Benowi koniuszek języka.

Jego twarz oblała się purpurą.

Ku własnemu zdziwieniu oboje wybuchnęli śmiechem.